

AUTORKA BESTSELLEROWEJ *INFORMACJONISTKI*

TAYLOR STEVENS

NIEWINNA

SEKTA — NISZCZY, ZNIEWALA, IZOLUJE I NIGDY NIE ZAPOMINA...



REBIS

TAYLOR STEVENS

NIEWINNA

Przełożyła
Agnieszka Jacewicz



DOM WYDAWNICZY REBIS

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

*Tym, którzy nie przetrwali.
Obyście w wiecznym śnie odnaleźli spokój,
jakiego brakowało w waszym życiu.*

Prolog

Poruszała się przy ziemi, z nożem w zębach, wszystkimi kończynami przywierając do podłoża. Na moment przekrzywiła głowę, nasłuchując, po czym ruszyła dalej przez zarośla, tuż obok trupa.

Cienie na runie nakładały się na cienie, płatając figle światłu. W koronach drzew, zwykle pełnych brząków i gwaru, zapanował nienaturalny bezruch, tak jakby dżungla wstrzymała oddech na widok takiej przemocy.

Zamarła, gdy szept powietrza ostrzegł ją przed jakimś ruchem za piecami.

Sprytnie starali się ją podejść jak najciszej.

Obróciła się, aby stawić im czoło, gdy się zjawią.

Wiedziała, że na pewno przyjdą.

Ta świadomość sprawiła, że poczuła przypływ adrenaliny.

I euforie.

Z gęstych zarośli wyłoniło się dwóch ludzi ubranych w tandetne panterki i gumowe buty. Nie mieli broni palnej, tylko noże. Poruszali się pewnie. Zamierzali zająć ofiarę z dwóch stron. Tropili ją, mając żądzę krwi w oczach i wykrzywione wrogo wargi. Chcieli jej śmierci, więc musieli zginąć.

Idealnie skupiona, głęboko wciągnęła powietrze, oceniając stopień zagrożenia. Świadomość nadchodziła falami. Instykt dzikiego zwierzęcia najdrobniejsze sygnały wychwytywał z precyzją radaru. Gdy wyczuła ich słabe strony, ruszyła do ataku i zadała pierwszy cios.

Celny.

Krzyk strzaskał ciszę.

Pierwszy napastnik stracił równowagę i runął na ziemię. Płynnym ruchem obróciła się i odepchnęła od niego, aby z tym większą siłą dopaść drugiego.

Zrobił unik, żeby się z nią nie zderzyć. Jego wykręcona szyja napotkała ostrze jej noża.

Padł.

Wylądowała w przysiadzie i natychmiast zawróciła ku pierwszemu. Pięść do głowy. Nóż do gardła. Błyskawicznie, przez mięśnie i ścięgna.

Walka trwała zaledwie kilka sekund. Potem wokół znowu zapanowała cisza. Stała nad ciałami. W uszach dudniło jej bicie własnego serca. Po chwili wahania zakłęła. Poszło za szybko. Za łatwo.

Jej pierś uniosła się gwałtownie. Nienawidziła umiejętności, dzięki którym wciąż żyła. To one pchały ją do zwycięstwa i nieuchronnie niosły śmierć.

Osunęła się na kolana i dopiero teraz po raz pierwszy przyjrzała się twarzy leżącego bliżej łowcy. Miała wrażenie, że wokół jej serca zaciskają się kleszcze. Nie byt obcy. Przypadła do niego.

Jego otwarte oczy miały zielony kolor. Włosy były jasne, a twarz gorzko znajoma.

W jej duszy zagrał ponury werbel: Proszę tylko nie on. Nie on. Nie on.

Martwe źrenice wwiercały się w nią oskarżycielsko. Z przerażenia otworzyła usta. Patrzyła na życiodajną krew, która sączyła się z jego szyi i malowała jej skórę szkarłatem.

Nie mogła zaczerpnąć tchu.

Bezsilność. Duszność. Mdłości.

I w końcu powietrze.

Wtargnęło w jej zapadnięte płuca z piekącym pędem. Krzyk, który zrodził się w głębi jej duszy i przedarł przez struny głosowe, zmiażdżył ciszę. W koronach drzew gwałtownie zatrzepotały skrzydła.

Poderwała głowę. Z dzikim, narastającym wyciem wściekłości i bólu rozwarła powieki i spojrzała w górę. Nie na sklepienie dżungli, lecz na sufit swojej sypialni, pokryty wzorami, bielony i zabarwiony kolorami świtu, który wkradł się przez okno.

Vanessa Munroe gwałtownie złapała powietrze. Zasłony poruszyły się lekko. Minarety w całym mieście rozbrzmiewały wezwaniem do modłów. Jej dłoń wciąż

zaciskała się na rękojeści noża zatopionego w drugiej części podwójnego materaca.

Oprzytomniała. Puściła nóż, tak jakby ją parzył, i zsunęła się z łóżka.

Utkwiła wzrok w broni.

Ostrze dwukrotnie przeszło materac i sterczało teraz z niego jak niemy świadek coraz bardziej brutalnych koszmarów. Prześcieradło przesiąkło potem. Zerknęła na koszulkę i bokserki, w których spała. Były mokre. Gdyby Noah wczesnym rankiem nie wyszedł do pracy, już by nie żył.

Rozdział 1

Casablanca, Maroko

Tłum w końcu ruszył naprzód.

Podniósł torbę i przerzucił pasek przez ramię. Odrętwiały i przymulony włókł się noga za nogą przed siebie, jak jeden z jeńców gromadnie opuszczających transatlantycką niewolę - przesmykiem między fotelami do wyjścia z brzucha samolotu, a potem rękawem lotniczym i zalanymi blaskiem słońca terminalami portu Muhammada V.

Dotarł tu po trzech prawie bezsennych dobach - i życiu przeżytym trzy razy od tamtego telefonu przed świtem, który tak nagle przyniósł od dawna wyczekiwane wieści. Po nim długo siedział w ciemnościach, zamarły na skraju łóżka, w myślach szukając drogi przez ogrom możliwości, aż w końcu zrozumiał, że tak naprawdę ma tylko jedno wyjście. Ponownie podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do Maroka.

Potrzebuję twojej pomocy.

Tylko te trzy słowa prośby.

Nie przedstawił się ani niczego nie wyjaśnił.

- Mów, o co chodzi - usłyszał.

- Przyjeżdżam do ciebie.

I tyle. Żadnych pożegnań. Tylko wyszeptane w noc krótkie zdanie, pędzące do niej światłowodami, i ukryty w nim niewypowiedziany lęk. Spoconymi, drżącymi dłońmi odłożył słuchawkę, usiadł przed monitorem komputera i kupił bilet.

Potrzebował pomocy i przeleciał pół świata, aby o nią prosić.

Teraz bez zastanowienia podążał z tłumem. W jego myślach to odzywały się, to znów milkły błagalne słowa - jak taśma puszczana wciąż na nowo: od początku do końca i od końca do początku, w nieskończonej pętli, z której nie mógł się wyrwać, odkąd odebrał tamtą wiadomość.

Zwolnił kroku. Zatrzymał się przed szklaną przegrodą i zaga-

pił na nagi pas startowy. Inni pasażerowie mijali go w pośpiechu.

Nawet gdyby bardzo chciał, nie zdołałby zliczyć lotnisk i dworców kolejowych, które wyznaczyły kurs jego młodości. Kolekcja stempli wiz i niekończąca się wędrówka z miejsca na miejsce zdefiniowały życie jego i siódemki rodzeństwa. Razem z rodzicami, członkami sekty, skakali z pola na pole po planszy globu, jak zgraja tanio podróżujących wagabundów.

Do szkła wyszeptał swoje nazwisko. Nawet jemu wydawało się dziwne. Niskie dźwięki brzmiały jak cichy hołd przeszłości, która przywiodła go w to miejsce - przeszłości, która nie dawała o sobie zapomnieć, bez względu na to, jak często i jak głęboko próbował ją zakopać.

Szerebiesz Gospel Logan.

Nazywał się Logan. *Tylko* Logan. *Zawsze* Logan. Kilku osobom, które poznały resztę, tłumaczył to narkotykami i zwyczajami hipisów, bo to było o wiele łatwiejsze niż wyjaśnianie spraw dla większości ludzi nigdy niepojętych.

Desperacja przywiodła go tutaj, do jedynej osoby, która naprawdę go rozumiała i potrafiła na dobre pogrzebać przeszłość. Jeśli tylko tego chciała. Potrzebował jej pomocy i bardzo chciał, żeby się zgodziła, ale nie miał czym się zrewanżować. Zjawiał się jak żebrak, z czapką w rękę i z lękiem, że odmówi. Prócz łączącej ich więzi nie miał nic, co mógłby jej zaoferować.

Wzrokiem śledził malejący strumień pasażerów i członków załogi, którzy wędrowali korytarzem, ciągnąc za sobą bagaże. W końcu jego stopy także ruszyły ich śladem.

Jak automat przeszedł przez kontrolę celną i wszystkie procedury związane z przekraczaniem granicy. Wreszcie wydostał się do hali przylotów i tam, wśród morza głów, zaczął szukać jej twarzy. Przebiegł wzrokiem czekający tłum raz i drugi, ale jej nie dostrzegł. Zobaczył ją dopiero za trzecim razem. Stała oparta o filar, z założonymi rękami i szerokim uśmiechem, który oznaczał, że przygląda mu się od dłuższej chwili.

Vanessa. Michael Munroe. Najlepszy przyjaciel. Przybrana rodzina. I wybawicielka.

W niczym nie przypominała zahartowanej w boju kobiety,

która przed ośmioma miesiącami wróciła z zachodniego wybrzeża Afryki. Niemal jej nie poznał ubranej w szerokie spodnie i z włosami przewiązаныmi delikatną chustą. W ogóle cała wydawała się łagodna i kobieca, zupełnie inna, niż się spodziewał. Na jej widok poczuł jednak, że wciąż jest nadzieja.

Stał jak wrośnięty w ziemię, a tymczasem ona oderwała plecy od kolumny i z nieodłącznym uśmiechem ruszyła w jego stronę. Przemykała przez tłum zwinnie jak kot. Jej szare oczy wpatrywały się w niego, dopóki nie znalazła się na wyciągnięcie ręki.

Szybkim gestem, który dla innego skończyłby się złamaniem nosa, zmierzwiła jego blond czuprynę, śmiejąc się głęboko i beztrasko. Naprawdę się cieszyła, że go widzi.

Wewnętrzne przygotowania i lęki, które zżerały go przez ostatnie dni, zastąpił promyk nadziei. Logan chwycił ją i zamknął w niedźwiedzim uścisku, z którego na niby próbowała się uwolnić. Trzymając ją, okręcił się wokół własnej osi. Kiedy wreszcie ją puścił, na sekundę zapadła krępująca cisza i Vanesa raz jeszcze zmierzwiła mu grzywę.

- Jezu, Logan. Masz minę, jakbyś przyjechał prosić mnie o rękę.

Nie zdołał powstrzymać szerokiego uśmiechu. Palcami przecesał włosy, aby zaprowadzić w nich jako taki ład.

- Może kiedyś to zrobię.

- Ha, chciałbyś - odparła ironicznie i lekko pacnęła go pięścią w ramię, na którym miał torbę. - To twój cały bagaż?

Kiwnął głową, wciąż głupio szczerząc zęby.

Uśmiechnęła się, chwyciła go pod rękę i ramię przy ramieniu - bo niemal dorównywała mu wzrostem - ruszyli przez tłum.

- Naprawdę się cieszę, że cię widzę.

Zastanowił go ton jej głosu i niezwykła jak na nią serdeczność gestów. Idąc obok, odwrócił lekko głowę, aby zajrzeć jej w oczy. Uśmiechnęła się szeroko, szelmowsko ścisnęła jego biceps i położyła mu głowę na ramieniu.

- Jesteś głodny? - spytała. - Czeką nas długa droga.

- Jadłem w samolocie - odparł, a po chwili zerknął na nią zdziwiony. - Poza tym jak długo jedzie się do Casablanki?

- Nie do Casablanki - sprostowała. - Do Tangeru.

Z mapy Maroka pamiętał, że Tánger znajduje się prawie dwieście mil na północny wschód. W myślach zaczął szukać przyczyn.

- Ty i Noah zerwaliście ze sobą?

Munroe wzruszyła ramionami i odwróciła się tak, że teraz szła tyłem. Raz jeszcze uśmiechnęła się do niego i w tym uśmiechu Logan dojrzał dawną, osobliwą i wiele mówiącą obojętność, która nie gościła na jej twarzy przez ponad pięć lat.

- Trudno nazwać zerwanym coś, co nigdy nie było całe - stwierdziła. - Ale nie, między nami nic się nie zmieniło. Wciąż jesteśmy razem.

Posłała mu jeszcze jeden uśmiech i znowu odwróciła się do niego bokiem. Logan poczuł, że brzemień tego, o czym chciał jej powiedzieć, staje się jeszcze cięższe.

Jej spojrzenie powiedziało mu to, czego nie wyraziła w słowach. Z trudem zapanował nad sobą. Nie chciał, aby jego twarz zdradziła szok, jaki wywołała w nim świadomość tego, co się z nią dzieje. Noga za nogą przemierzali wyfroterowane podłogi, kierując się na dolny poziom. Stamtąd pociągami zamierzali dostać się do centrum.

- Dlaczego akurat Tanger? - spytał Logan.

- Bo tam mi się podoba - odparła.

Zabrzmiało to pusto i śmiertelnie poważnie. Zero humoru, zero szczerości. Tak jakby wymijająco próbowała mu powiedzieć: Nie twój interes. Na razie dał jej spokój. Musiał zabrać się do tego z innej strony, znaleźć sposób, aby najpierw zbadać rozmiary problemu, który kryła pod uśmiechem. Jako przyjaciel i ktoś, kto potrzebował jej pomocy, musiał najpierw sprawdzić, na co może liczyć, przekonać się, jak solidne jest jeszcze podwozie i jak bardzo powgniatana karoseria.

Dojechali do stacji Casa Voyageurs i Munroe powiodła go przez chłodny budynek dworca do kas biletowych, gdzie wdała się w dyskusję po arabsku.

Logan podał jej swój portfel, ale go odsunęła.

- Daj spokój - powiedziała - od tego nie zbiednieję.

Trzymając bilety w jednej dłoni, drugą wzięła go za rękę

i poprowadziła z czystej hali na zewnątrz, przejściem obok płataniny torów, do pociągu, który miał ich zabrać na północ. Jeszcze nim dotarli do przedziału pierwszej klasy, wagonem szarpnęło i pociąg zaczął się powoli wytaczać ze stacji.

Logan przystanął i tak jak w przeszłości patrzył, jak peron kurczy się i znika. Dopiero gdy tory, mury i budynki miasta zaczęły się zamazywać, ruszył za Munroe do sześciomiejscowego przedziału.

Siedziała przy oknie, z opartą o siedzenie głową i zamkniętymi oczami, więc zajął miejsce naprzeciwko niej. Otworzyła oczy odrobinę i wyciągnęła się w poprzek przejścia, opierając stopy między jego kolanami.

- Mogłem przylecieć prosto do Tangeru, wiesz? Nie musiałabyś jeździć tam i z powrotem - stwierdził.

- Chciałam spędzić trochę czasu sam na sam z tobą - odparła.

Zawahał się i nie zadał na głos pytania: Dlaczego?

Zrobiła pierwszy ruch, dała mu szansę pozbycia się ciężaru. Mógł jej teraz powiedzieć, po co przeleciał przez Atlantyk, ale nie potrafił. Nie w tej chwili. Nie gdy ona była taka. Potrzebował czasu do namysłu.

Munroe zerknęła na niego niepewnie. To był tylko cień wahania, ale wystarczył, aby pojął, że spasowała. Domyśliła się, że świadomie nie wykorzystał jej otwarcia, i pozwalała, by to on nadawał ton tej rozgrywce.

- Noah czeka w domu - podjęła. - Denerwuje się... jest za zdrosny. - Spojrzała Loganowi prosto w oczy. - Nie chciałam, żebyś z mety musiał stawić temu czoło.

- Nie wie, że jestem gejem?

Błysnęła w uśmiechu zębami i zmarszczyła nos.

- Wie. Ale wie też, że cię kocham.

- I dlatego uważa mnie za rywala?

Przytaknęła.

Logan westchnął.

Jego przyjazd mógł zostać uznany za zagrożenie, tylko jeśli między nimi się nie układało. W normalnej sytuacji Logan spytałby wprost, o co chodzi, a ona by mu powiedziała. Tor ich rozmowy wyznaczyłaby bliska więź powierników, która defi-

niowała ich relacje przez lata. Tym razem jednak sytuacja nie była idealna, wręcz odwrotnie.

Przez jakiś czas gadali o mało ważnych sprawach, a potem zapadło milczenie, bo Logan uspokojony jej obecnością i ukołyszany rytmem kół toczących się po torach, poddał się zmęczeniu, z którym walczył przez trzy doby, i pogrążył się w niebycie snu.

Dopiero lekkie uderzenia metalu o metal powoli ściągnęły go znowu do rzeczywistości. Z położenia słońca wnioskował, że upłynęły całe godziny.

Oszołomiony i zdezorientowany, spojrzął na Munroe. Znowu się uśmiechała w ten charakterystyczny dla niej sposób. Nie odrywając wzroku od Logana, bawiła się nożem, przesuwając ostrze po dłoni.

Zaklął w myślach, próbując nie gapić się na broń.

- Długo ich nie nosiłaś - stwierdził.

Kiwnęła głową, wciąż patrząc mu w oczy i się uśmiechając. Stal migiała między jej palcami.

Logan pochylił głowę i zamknął oczy. Próbował zagłuszyć ból, jaki sprawiał mu jej widok w takim stanie. Noże i wszystko, co symbolizowały, świadczyły o tym, jak bardzo się pogrążyła.

Niebo zdążyło pociemnieć, nim dotarli do Tangeru - marokańskich wrót do Europy. Czysty i lśniący dworzec na stacji końcowej Tanger Ville, był z kolei bramą, za którą nocne ulice miasta zakwitały życiem i ruchem w przesyconym wilgocią powietrzu północnego wybrzeża Afryki.

Cel ich podróży, dom w Malabata, na wschodnich peryferiach Tangeru, znajdował się dość blisko i Logan sądził, że dotrą tam pieszo. Munroe jednak wezwała małą taksówkę. W blasku fluorescencyjnych świateł dworca przez chwilę kłóciła się z kierowcą o cenę. W jej pośpiechu Logan wyczuwał napięcie.

Przejazdka trwała zaledwie kilka minut. Taksówka zatrzymała się przed trzypiętrowym budynkiem zwróconym frontem w stronę oceanu. Podobnie jak większość tych, które mijali po drodze, był pomalowany na biało i zwieńczony płaskim da-

chem. Logan wiedział, że dach jest tu taką samą przestrzenią życiową jak pokoje.

Wysiadł z taksówki i wciągnął nosem słono pachnące powietrze.

Przy krawężniku, nieopodal wejścia do budynku stało czarne BMW. Na jego widok Munroe zmeła w ustach przekleństwo.

- Już wrócił - rzuciła.

Logan założył pasek torby na ramię.

-I tak chciałem go poznać - przyznał.

Munroe długą chwilę patrzyła na BMW, a potem skierowała się do frontowych drzwi. Logan ruszył za nią.

Od wejścia schody prowadziły na wyłożone kafelkami półpiętro i dalej, na kolejny podest. Kończyły się pod jedynym mieszkaniem na piętrze. Munroe przekręciła klucz w zamku i pchnięciem otworzyła szerokie drzwi, odsłaniając skąpo umeblowane, przestronne wnętrze.

- Oto dom - oznajmiła z emfazą.

Logana rozśmieszył jej żart. Po zaledwie sześciu miesiącach w Maroku Munroe przeniosła się do innego miasta. Raczej nie należało się spodziewać, że kiedykolwiek znajdzie prawdziwy, stały dom.

Mieszkanie było ciche i słabo oświetlone. Wrażenie spokoju potęgowały wysokie sufity, wzorzyste podłogi i leciutki prąd powietrza, które wydymało zwiewne firanki w otwartych oknach. Od strony korytarza dobiegł odgłos kroków. Logan odwrócił się i zobaczył wchodzącego do pokoju mężczyznę.

Noah Johnson był Amerykaninem wychowanym w Maroku. Munroe natknęła się na niego przypadkiem, gdy pracowała nad poprzednim zleceniem, i to spotkanie wpłynęło na jej decyzję o wyjeździe ze Stanów - prawdopodobnie na stałe.

Logan sporo słyszał o Noahu i znał go ze zdjęć, ale teraz miał okazję poznać go osobiście. Od razu pojął, dlaczego tak się spodobał Munroe. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, czarne włosy i jasną karnację, a do tego sylwetkę skalkowca.

Gestem, który łączył prawo posiadacza i czułość, przyciągnął Munroe do siebie i pocałował ją w czoło. Potem podał rękę Loganowi.

Munroe podjęła się roli tłumacza, aby podstawowy angielski Noaha i łamana francuszczyzna Logana nie przeszkodziły im w rozmowie. Pomimo swobodnej wymiany zdań Logan wyczuł rysę w bliskości tych dwojga. Słuchał, jak Munroe przekłada niezobowiązujące uwagi, i zastanawiał się, co czuje Noah, bezsilnie patrząc, jak jego ukochana wycofuje się emocjonalnie. Na pewno obawiał się, że wkrótce ją straci, i jednocześnie musiał przyjaźnie wyciągnąć rękę do mężczyzny, który - jak podejrzewał - był tego przyczyną.

Munroe odwzajemniła pocałunek Noaha.

- Pokażę Loganowi mieszkanie, dobrze? Będę gotowa za dwadzieścia minut - powiedziała cicho, po czym wzięła Logana za rękę i pociągnęła go do przedpokoju.

Trzy sypialnie i dwie łazienki zajmowały większą część jednopoziomowego lokum. Z kuchni wąskie schodki prowadziły do pralni i roboczej strefy na dachu. Logan miał okazję mieszkać w Wielu krajach rozwijających się i uznał, że mieszkanie Munroe i Noaha jest urządzone równie skromne jak tamtejsze domy. W kuchni i łazience brakowało wielu sprzętów uważanych za nieodzowne nawet w lokalach o niższym standardzie w Stanach Zjednoczonych.

Krótką prezentacją zakończyła się w gościnnej sypialni. Munroe pokazała Loganowi wszystko, co powinien wiedzieć, i poszła się przebrać przed wyjściem.

Zgasił światło i po ciemku rzucił torbę na krzesło.

Nocna cisza niosła ze sobą pewną formę odprężenia. Sam w ciemniej sypialni wreszcie miał szansę wszystko przemyśleć, zaplanować i znaleźć jakiś sposób na wygrzebanie się z dołu, który, gdy tylko wyczuł, co jest grane, stał się dwa razy głębszy. Przybył do Maroka z nastawieniem, że będzie musiał błagać Munroe o pomoc, a ona albo się zgodzi, albo mu odmówi. Tymczasem okazało się, że ma do pokonania nieoczekiwany tor przeszkód, zanim przedstawi swoją prośbę.

Od strony holu dobiegł szum wody. Do środka wpadała przez okno słaba poświata ulicznej latarni. Logan usiadł na łóżku i oparł łokcie na kolanach. Konsekwentnie próbował wymusić na sobie spokój. Czekał.

Migotanie światła w szparze pod drzwiami sypialni zapowiedziało jej obecność, jeszcze zanim usłyszał kroki. Położył się na łóżku i podparł głowę rękami, gotowy na pukanie, które rozległo się sekundę później.

Jej zachwycająca sylwetka rysowała się cieniem na tle jasnego prostokąta wejścia. Luźny i skromny strój zastąpiła bardzo krótka, dopasowana sukienka, która podkreślała smukłe, androginiczne ciało i nieskrywaną zmysłowość. W butach na wysokim obcasie przewyższała Noaha przynajmniej o cal. Tworzyli onieśmielającą parę.

Uściskała Logana szybko, włożyła mu klucz do ręki i już jej nie było.

Echo powtórzyło odgłos zamykających się frontowych drzwi i Logan wstał z łóżka, żeby zobaczyć, jak BMW odrywa się od krawężnika. Zaczekał, aby nabrać pewności, że nie wróćą po jakąś zapomnianą rzecz, po czym ruszył do salonu, w którym wcześniej zauważył telefon.

Rozdział 2

Dziesiąta wieczorem czasu lokalnego oznaczała popołudnie w Dallas. Większość firm wciąż jeszcze urzędowała, zresztą Logan podejrzewał, że w Capstone Consulting telefony odbierane są znacznie dłużej niż w standardowych godzinach pracy od dziewiątej do piątej.

Podniósł słuchawkę, wziął głęboki wdech i wybrał numer. Nie sądził, że kiedykolwiek wykona ten telefon.

Właścicielem i kierownikiem Capstone był Miles Bradford, były członek służb specjalnych. To on towarzyszył Munroe, gdy jej świat wywrócił się do góry nogami. Gdyby ktoś chciał wiedzieć, co się z nią dzieje, i był gotowy wplątać się w koszmarnie kłopoty tylko dlatego, że chodzi o nią, to właśnie Bradford.

Jak na złość, Logan musiał czekać na połączenie. Sfrustrowany krążył po pokoju, zaglądając w zakamarki i otwierając szuflady. Uważał, żeby zostawić wszystko tak, jak było. Z przyciśniętej do ucha słuchawki płynęła muzyka. Właśnie sprawdzał, co jest pod sofą, kiedy Dziewiątą symfonię Beethovena przerwał radosny głos, obwieszczający, że dodzwonił się do Capstone, tak jakby chodziło o jakąś ważną nowojorską korporację, a nie o firmę wynajmowaną do brudnej roboty.

Recepcjonistka oznajmiła, że pan Bradford obecnie przebywa za granicą.

- Wiem, że może się z nim pani skontaktować - powiedział Logan. - Proszę mu przekazać, że Michael ma kłopoty i że jeśli Miles chce ze mną porozmawiać, to ten numer będzie bezpieczny jeszcze tylko przez trzy lub cztery godziny.

Podał telefon mieszkania i w odpowiedzi usłyszał zwykłe zapewnienie, że ktoś się do niego odezwie. Odłożył słuchawkę i zajrzał do skromnej szpiżarni.

Zdawał sobie sprawę, że narusza prywatność Munroe. Nie bez oporów przekraczał dopuszczalne granice. Szukał czegoś,

co musiało być gdzieś tu ukryte. Nie potrzebował dowodów na potwierdzenie swoich podejrzeń, wolał jednak poznać konkrety, aby ocenić zakres szkód.

Właśnie penetrował łazienkę, kiedy zadzwonił telefon. Potknął się, ale na szczęście szybko odzyskał równowagę. Upłynęło trzydzieści minut. Uznał to za dobrą miarę obaw Bradforda.

Pomimo trzasków na linii oraz kilkusekundowego opóźnienia w głosie dzwoniącego wyraźnie dało się słyszeć niepokój i zniecierpliwienie.

- Dostałem twoją wiadomość - oznajmił Bradford. - O jakie kłopoty chodzi?

Logan już wcześniej dokładnie obmyślił, co powie.

- O takie, które sama na siebie ściągnęła... z rodzaju „rany, mam dość, już po mnie”.

W słuchawce na moment zapadła wymowna cisza.

- Popełniła samobójstwo? - spytał w końcu Bradford.

Logan zamknął oczy i powoli wypuścił z płuc powietrze.

- Nie, jest jak najbardziej żywa. Tylko czymś się faszkuje i znowu zaczęła nosić przy sobie noże.

Znów chwila milczenia.

- Od jak dawna to trwa?

- Nie mam pojęcia. Przyleciałem do Maroka dziś rano. Przyjechała po mnie na lotnisko. Oznaki są wyraźne. Nawet nie próbuje ich ukrywać - przeciwnie, afiszuje się z nimi - tak jakby chciała, żebym wiedział. Na oko oceniam, że to trwa dopiero od kilku tygodni. Niedawno przeniosła się do Tangeru. Może to ma jakiś związek z jej stanem.

- Wiesz, co bierze?

- Nie jestem pewien. Próbuję coś znaleźć. Nigdy nie sądziłem, że dożyję dnia, kiedy znowu zacznie się babrać w tym gównie. Jeżeli przeszłość jest jakąś wskazówką, podejrzewam, że chodzi o legalny środek, na który ma sfalszowaną receptę - stwierdził Logan, sprawdzając szuflady komódki. - Teraz wyszła gdzieś z Noahem - dorzucił. - Właśnie przeszukuję jej mieszkanie.

Bradford z cichym gwizdem wypuścił powietrze.

- Niczego się nie domyśli - zapewnił go Logan. - Nie pierwszy raz to robię. Nie przyłapie mnie.

- Logan - odezwał się Bradford po kolejnej pauzie - jestem w Afganistanie. Nie dam rady wydostać się stąd przez najbliższy tydzień. Przez ten czas nic nie mogę zrobić. Zupełnie nie wiem, jak w tej sytuacji postąpić.

Logan przyklęknął, żeby zajrzeć pod łóżko.

- Mnie też nic nie przychodzi do głowy - przyznał. - Pomyślałem tylko, że chciałbyś wiedzieć. Jeśli chodzi o interwencję w jej przypadku, wybór pada na ciebie... Byłeś wtedy z nią. Lepiej od pozostałych wiesz, dlaczego to robi... Poza tym myślę, że oprócz mnie tylko ciebie tak to obchodzi, Miles.

Otworzył szafę i zatrzymał wzrok na niewielkim pudełku, ledwie widocznym pod stertą ubrań.

- Chyba coś znalazłem - powiedział.

Z pudełka wydobył drugie, mniejsze. Otworzył je i wytrząsnął ze środka butelkę syropu.

- Phenergan VC - przeczytał etykietę.

- Syrop z kodeiną? - spytał Bradford.

Logan przestudiował nalepkę, zaciskając usta. Bradford miał encyklopedię leków w małym palcu.

- Tak - odparł. - Powinno być dwanaście butelek. Dwóch brakuje.

- Jeśli mamy szczęście, to dopiero pierwsze pudełko - powiedział Bradford i umilkł. - Posłuchaj, rozumiem, dlaczego do mnie zadzwoniłeś, i dziękuję ci - dodał po chwili wahania. - Mogę się stąd wyrwać najwcześniej w czwartek. Znajdziesz jakiś pretekst, żeby ściągnąć ją w tym czasie do Stanów?

- Przecież wiesz, jakie jest jej zdanie na ten temat.

- Mógłbym sam przylecieć do Maroka, ale nie sądzę, aby to było dobre rozwiązanie.

Po tych słowach zapadło długie milczenie. Bradford nie musiał niczego wyjaśniać, Logan wiedział, o co chodzi. Gdyby Munroe miała przy sobie i Noaha, i Milesa, ryzyko konfliktu byłoby zbyt wielkie.

- Najlepiej będzie ściągnąć ją do Stanów - stwierdził Bradford. - Albo namówić na wyjazd gdziekolwiek za granicę.

Logan przytaknął pustemu pokojowi.

- Coś wymyślę i dam ci znać, jak sprawy stoją - powiedział.

Prawdą było, że przysługa, o jaką chciał prosić Munroe, i tak wiązała się z wyjazdem.

- Dałbym ci numer, ale to nie ma sensu - powiedział Bradford. - Wciąż się przenoszę z miejsca na miejsce. Lepiej dzwoni do biura. Oni będą wiedzieli, jak mnie złapać. Jeśli nie namówisz jej na powrót, przyjadę do was, ale potrzebuję co najmniej tygodnia.

Logan się rozłączył. Nie spuszczał wzroku z pudełka w szafie. Kodeina nie należała do najmocniejszych ani najgorszych w skutkach specyfików, jakimi Munroe faszerowała się w przeszłości. Problemem było samo to, że coś bierze.

Przygnębiony włożył butelkę na miejsce i z powrotem przykrył pudełko ubraniami.

Musiał coś wymyślić. Na szczęście zdołał namówić do współpracy Bradforda. Uważał to za ogromny krok naprzód, a poszło mu dość łatwo.

Odsunął od siebie poczucie winy.

Powtarzał sobie w duchu, że wykonałby ten telefon, nawet gdyby nie potrzebował pomocy Munroe. Poza tym i tak sam chciał zrobić to, co proponował Bradford.

Logan wrócił do sypialni. Oczy same mu się zamykały po dwóch dobach męczącej podróży, mimo to zamierzał wytrwać, dopóki Munroe nie wróci do domu, o Bóg wie jakiej porze. Zamknął powieki tylko na sekundę, a kiedy je uniósł, słońce wlewało się do środka przez firanki.

Zerwał się jak oparzony. Nie pamiętał, kiedy zasnął ani czy Munroe wróciła. Zupełnie nie miał pojęcia, ile czasu upłynęło. Namacał obok łóżka zegarek.

Siódma rano czasu miejscowego.

Boże, jaki był zmęczony.

Zsunął stopy za krawędź łóżka, usiadł i przez chwilę nasłuchiwał. Potrząsnął głową, próbując się pozbyć mgły, która spowijała jego mózg. Z głębi mieszkania nie dochodziły żadne odgłosy, więc wstał i bosy podszedł do okna. Przy krawężniku parkowało kilka samochodów, ale nie było wśród nich czarnego

BMW.

Logan otworzył sypialnię i ostrożnie, jak dziecko, które chce się zakraść do kuchni po ciastko, wyjrzał do przedpokoju. Drzwi pokoju Munroe były uchylone - na pewno bardziej niż nocą. Stąpając bospo po kafelkach, ruszył ku nim, chwilę nasłuchiwał, a potem przytknął do nich dłoń i pchnął.

Spała sama, rozciągnięta w poprzek łóżka, z twarzą ukrytą w poduszce i zaplątana w prześcieradło, którego koniec zsunął się na podłogę. Noże leżały obok na nocnej szafce, a w nogach łóżka tkwiło ubranie, które zrzuciła, zanim się położyła. Drzwi szafy były niedomknięte. Nigdzie nie widział opróżnionej butelki, ale nie wątpił, że to zrobiła. Leżała nieprzytomna, zupełnie jak nieżywa.

Zostawił ją i poszedł do łazienki dla gości. Czuł, jak narasta w nim gniew i irytacja. W takim stanie nie była sobą, on zaś potrzebował jej teraz przytomnej i trzeźwo myślącej, a nie takiej... półżywej, z przyćmionymi emocjami i umysłem. Bez względu na powody, zaprawiając się do tego stopnia, marnowała błyskotliwość i cholerny talent.

Odkręcił prysznic. Nie musiał być cicho. Kobieta, którą zwykle cichy szept budził z najgłębszego snu i stawiał w stan pełnej gotowości bojowej, odurzyła się do nieprzytomności.

Po południu w przedpokoju rozległy się ciche kroki. Logan zaczekał, aż się oddalą, i dopiero wtedy wyruszył z sypialni na poszukiwanie Munroe. Zastał ją w kuchni. Nappełniała podstawę ekspresu do kawy wodą, ubrana w koszulkę bez rękawów i bokserki. Włosy miała tak potargane, że w innych okolicznościach na pewno wybuchnęłyby śmiechem. Noży nie zauważył, ale nigdy ich nie potrzebowała, żeby zabijać, i nie po to nosiła je przy sobie.

- Chcesz kawy? - spytała.

- Pewnie - odparł. - Gdzie Noah?

Ziewnęła i podrapała się w kark.

- W swoim domku letniskowym. Która godzina?

- Gdzieś koło trzeciej.

Munroe postawiła ekspres na płycie i zapaliła palnik, a potem usiadła przy stole. Po chwili przekrzywiła głowę i się uśmiechnęła. Szczerze.

Wbrew sobie, na przekór frustracji i złości, Logan odpowiedział jej uśmiechem.

- Musiałam się wyspać - powiedziała. - Poza tym uznałam, że jesteś zmęczony podróżą i jeszcze nie przestawiłeś się na tutejszy czas, więc przyda ci się odpoczynek. Już więcej nie będziesz musiał tak długo na mnie czekać.

Na więcej wyjaśnień z jej strony nie miał co liczyć. Zdawał sobie sprawę, że Munroe działa z wyrachowaniem. Sen i to, że kazała mu na siebie czekać, były taką samą demonstracją jak celowe nieukrywanie noży w pociągu. Chciała, żeby znał stan jej umysłu i miał na uwadze to, co się z nią dzieje, gdyby mimo wszystko zamierzał ją prosić o przysługę.

Nic nie powiedział, więc uśmiechnęła się ponownie na swój zabójczy sposób.

- Siadaj - rzuciła. - Zrobię ci lunch.

Kiwnął głową w stronę pustej spizarki.

- Z czego?

- Z kawy - odparła bez mrugnięcia okiem i po chwili ciszy, która trwała nie dłużej niż jedno uderzenie serca, wybuchła zażalnym śmiechem, rozładowując napięcie.

Logan nie zdołał się powstrzymać i uśmiechnął się szeroko. Tak dobrze było ją widzieć przytomną i prawdziwą - taką, jaką znał i kochał. Pozwolił sobie na ten moment radości, bo wiedział, że nie potrwa długo.

Spojrzała na niego tak, jakby czytała mu w myślach.

- Powiedz mi, dlaczego przyjechałeś... Czego potrzebujesz?

Znieruchomiał.

Ekspres zabułgotał, ale Munroe nie wstała, żeby zdjąć go z ognia. Skinęła głową w stronę krzesła naprzeciwko. To nie było zaproszenie, tylko polecenie. Sprzeciw nie miał sensu, więc Logan zajął wskazane miejsce. Oparł przedramiona o blat i przysunął się bliżej do stołu. Już miał otworzyć usta, aby wszystko jej wyjaśnić, kiedy położyła dłoń na jego nadgarstku.

- Zaczekaj, tylko nie zapomnij, co chciałeś powiedzieć -

poprosiła i podeszła do kuchenki, żeby wyłączyć palnik.

Zupełnie go tym rozbroiła. Patrzył, jak porusza się po kuchni: płynnie, z rozmysłem, bez pośpiechu, ale i bez marudzenia, jak doświadczona tancerka. Odwróciła się na moment, żeby na niego spojrzeć, uśmiechnęła się konspiracyjnie i nalała kawę do kubków. Postawiła jeden przed nim, a drugi objęła dłońmi i usiadła. Ciało miała napięte, ale twarz rozluźnioną.

- Teraz mów - poprosiła, podnosząc kubek do ust i dmuchając na parujący płyn.

Z portfela wyciągnął wyblakłe zdjęcie, które tak wiele dla niego znaczyło: szczęście i tragedię, miłe wspomnienia i złamane serce. Przesunął je po stole w jej stronę. Munroe przyjrzała się fotografii.

- To córka Charity?

Przytaknął.

Charity.

Osoba, którą kochał najdłużej i najprawdziwiej. Tak jak on, przetrwała burzę dzieciństwa. Znała tamto życie, ból i traumę lepiej od niego i dźwigała to samo brzemie kłamstw, tajemnic i blizn.

Logan zerknął na zdjęcie dziewczynki o blond lokach i jasnych, zielonych oczach. Palcami obrysował jego krawędź, a potem zastygł w pół ruchu. Wszelkie wyjaśnienia i argumenty, które przez ostatnie trzy dni tłukły mu się po głowie, nagle umknęły. Poczul pustkę. Podniósł wzrok i spojrzał prosto w oczy Munroe.

- Znalazłem ją.

Rozdział 3

Logan nie musiał nic więcej mówić, bo Munroe nie potrzebowała dodatkowych wyjaśnień, aby się domyślić, dlaczego przyjechał. Choć nie znała szczegółów, rozumiała, o co mu chodzi.

Położyła dłoń na jego rękę.

Niczego nie pragnął tak bardzo jak tego, by móc przedstawić jej sprawę, z którą przyjechał, i przekonać ją rozsądnymi argumentami. Mimo to milczał.

Munroe wiedziała, ile go to kosztuje i jakie ma dla niego znaczenie. Po jej oczach poznał, że w głowie już prowadzi kalkulacje. Wreszcie odwróciła wzrok i spojrzała na okno.

- Sama nie wiem, Logan - przyznała. - Naprawdę nie wiem.

Przez dłuższą chwilę czekał, pozwalając, by cisza ogarnęła ich oboje. Odezwał się dopiero, gdy poczuł, że coś go dławi:

- Może przynajmniej zechcesz się dowiedzieć, co już wiemy? Poznać szczegóły? Wysłuchać nas?

Nie odpowiedziała.

- Pojedź ze mną - poprosił. - Tylko na tydzień... żeby spotkać pozostałych.

- Mam wrócić do Stanów?

- Nie wszyscy mogą tu przyjechać. Taka podróż jest droga i zbyt czasochłonna. Poza tym wcale nie musisz wracać do domu. Możemy wybrać inne miejsce... Nowy Jork! Co powiesz na Nowy Jork? Wybierzemy się tam na tydzień, zatrzymamy w jakimś ładnym hotelu, pogadamy z interesującymi ludźmi. Dopiero potem, kiedy wszystko sobie przemyślisz, podejmiesz decyzję.

Wstała od stołu, dołała sobie kawy, ale nie usiadła z powrotem, tylko zapatrzyła się przed siebie.

- Proszę cię - wyszeptał Logan. - Zrób to dla mnie.

Przez otwarte okna docierały do nich odgłosy przejeżdżających samochodów i od czasu do czasu strzępy rozmów przechodniów. Munroe stała w bezruchu, z nieodgadnionym wyra-

zem twarzy, nieobecna duchem. W końcu spojrziała na Logana.

- Pojadę - oznajmiła. - Dla ciebie.

Wypuścił z płuc powietrze. Dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że wstrzymywał oddech.

- Logan, niczego ci nie obiecuję - ostrzegła. - Pojadę. Posłucham. Ale w nic się z góry nie zaangażuję. I nie zostanę... chyba rozumiesz?

Kiwnął głową. I tak oferowała dość: początek.

- Potrzebuję trochę czasu, zanim będę mogła wyjechać - oznajmiła, nie odrywając się od kuchennego blatu.

- Chodzi o Noaha? - zaryzykował.

Przytaknęła. Nawet nie próbowała ukryć tego, co tak wyraźnie mógł wyczytać z jej twarzy. Ciężar jej milczenia sprawił, że Logan poczuł smutek na myśl o tym, co musiało nadejść. Zrozumiał, dlaczego bardziej się nie opierała propozycji wyjazdu. Szykowała się do osobistego rozstania. Nienawidziła tego, cierpiała, ale nie widziała innego wyjścia.

- Noah myśli, że to przez niego... albo przeze mnie, mam rację? - spytał Logan. - O niczym nie wie?

Pokręciła głową. Nieznacznie się odwróciła i utkwiała wzrok w jakiś niewidzialnym punkcie.

- Próbowałam mu to wyjaśniać, ale jak można zrozumieć coś takiego?

Noahowi mogło się wydawać, że dobrze zna Munroe, ale w rzeczywistości tak wielu spraw nigdy nie miał szansy pojąć. Niedostrzegalne prądy w końcu by ją od niego odciągnęły, nawet gdyby nie zjawił się Logan. Wszystko nieuchronnie prowadziło do cierpienia i zamętu. Taki był naturalny bieg rzeczy. Dzięki Noahowi Munroe przez jakiś czas znowu miała ochotę się śmiać. Sprawiał, że czuła się szczęśliwa. Właśnie dlatego Logan wolalby ją zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Niestety nie było i być może nigdy nie będzie.

- Może to i lepiej - stwierdził.

Munroe spojrziała na niego. Długo nie odrywała od niego oczu, zanim w końcu wyszeptała:

- Wiem.

Ból, z jakim wypowiedziała to słowo, odebrał Loganowi mowę.

Na moment zasłona opadła. Mógł przez szczelinę zajrzeć w duszę Munroe i zobaczyć, co kryje się w głębi - jej prywatne piekło. Twarz Munroe zmieniła się niespodziewanie, jak za wciśnięciem jakiegoś przełącznika, i szczelina się zamknęła.

- Jutro pościgamy się na wodzie - oznajmiła.

Logan odpowiedział jej zmęczonym uśmiechem, bo wciąż nie mógł wydobyć z siebie słowa.

To był barter. Jej czas w zamian za jego. Tydzień w Nowym Jorku za tydzień w Tangerze. Tylko reakcja Noaha na wiadomość o rozstaniu wywołała zgrzyt i emocjonalne napięcie. Poza tym dni wypełniła im adrenalina i energia śmiechu, której starczyło jeszcze na powrotny lot do Stanów. Nawet jeśli Munroe coś brała, dobrze się z tym kryła. Logana często w nocy budził odgłos jej kroków w przedpokoju, więc wiedział, że mało spała.

Na lotnisku JFK przeszli kontrolę paszportową, a potem taksówką pojechali na Manhattan, do hotelu New York Palace, w którym Munroe zarezerwowała jeden z trypoziomowych apartamentów. Chociaż kariera Logana rozwijała się świetnie, a uzależnienie od adrenaliny przyniosło mu sławę, to jednak nie miał dostatecznie dużego konta bankowego, aby uzasadnić dzielenie rachunku hotelowego na pół, dlatego nie protestował, gdy Munroe stanowczo oznajmiła, że sama pokryje koszty.

Apartament zajmował górne piętra jednej z wież, miał trzy sypialnie na trzech poziomach i w sumie ponad 450 metrów kwadratowych. Stanowił dokładne przeciwieństwo surowych warunków, w jakich Munroe mieszkała przez ostatnie lata. Na drugim poziomie apartamentu otworzyła drzwi do głównej sypialni i tyłem padła na ogromne łoże, rozrzucając ręce i śmiejąc się do sufitu.

- Podoba ci się? - spytała Logana.

Uśmiechnął się od ucha do ucha, patrząc przez okno na linię dachów na tle nieba.

- Niesamowity - przyznał.

- To twój pokój - oznajmiła. - Potrzebujesz miejsca dla przyjaciół. Niech zajmą całą górę. Możesz ich trochę porzpuścić. Na mój koszt. Ja zajmę sypialnię na dole.

Logan długo patrzył na jej uśmiech. W takiej chwili słowa nie

były potrzebne, bo nie miał wątpliwości, że to tylko przysłowiowa cisza przed burzą.

* * *

Dochodziła pierwsza. Munroe stała przy oknie salonu i patrzyła na miasto. Logan poszedł spać o północy, ale ona ociągała się jeszcze, obserwując ulice, wsłuchując się w rytm serca hotelowego apartamentu i czekając, aż zapadnie głęboka noc. Chciała mieć pewność, że naprawdę zasnął.

Jej odpoczynek - sen - miał przyjść znacznie później, jeśli w ogóle, bo gdy mrok przesłaniał świat maską piękna, czuła, że naprawdę żyje.

W końcu odwróciła się od okna i od zjawy swojego odbicia w szybie. Winda zjechała na dół, tam, gdzie nocne powietrze uparcie zatrzymywało parność dnia. Do cywilizacji i asfaltu, do spalin i śmieci, do mieszaniny zapachów, jaką potrafiło wyprodukować w upale tylko wielkie miasto - Nowy Jork w środku lata.

Wyszła z hotelu, żeby pooddychać powietrzem, przejść się i rozluźnić napięte mięśnie - efekt uboczny wielogodzinnej podróży. Szła szybkim krokiem, kierując się na zachód, bez żadnego konkretnego celu.

Dziwny, miauczący dźwięk sprawił, że zamiast minąć kolejną bramę, skręciła w nią. Zwabił ją w mroczny zaułek wypełniony zarysami wozów dostawczych i samochodów osobowych. Zupełnie nie pasował do nocnego miasta. Był płaczem kociątka, które zgubiło mamę, a raczej - jak się zorientowała, gdy jej wzrok przywykł do gęstszej ciemności - żalną skargą przerażonej dziewczyny, którą dwóch mężczyzn przygniatało do ziemi.

Młoda kobieta miała najwyżej osiemnaście lat. W zasadzie była jeszcze dzieckiem, jedną z wielu niewinnych, pełnych nadziei i naiwnych, które w poszukiwaniu czegoś nowego przybywały do wielkiej metropolii i kończyły jako ofiary ogni Molocha.

Mężczyźni pochylali się nad nią. Każdy ich ruch wydawał się wrogi i brutalny. Munroe nie rozróżniała słów. Słyszała jedynie

groźby w ich głosach, które przedzierały się ku niej przez nieruchome powietrze, zwiastując zamiary oprawców. Ich ofiara przestała już walczyć. Sprawiała wrażenie sparaliżowanej. Na pewno nie przyszła z własnej woli w to miejsce pełne płam po oleju i śmieci. Może została tu przyciągnięta. Nie miała butów. Porwaną sukienkę podciągnięto jej do talii. Piersią dziewczyny szarpał bezgłośny szloch.

Munroe przystanąła i przez sekundę, która zdawała się trwać całe milenia, patrzyła. To, że trafiła w objęcia okrucieństwa i podłości, nie budziło w niej zdumienia ani zgrozy. Czuła tylko nieposkromiony, palący gniew i sprzeciw wobec gwałtu na niewinności. Nieokiełznana wściekłość trysnęła gdzieś z głębi niej, prosto do myśli, i zagrała sygnał zemsty i zniszczenia. Nawet gdyby chciała, już nie zdołałaby się cofnąć, tak wszechpotężne były wibracje wezwania do boju.

Nawet na chwilę nie oderwała wzroku od celu. Ruszyła do przodu, stawiając stopy powoli, pewnie, świadomie, dopóki czubkiem buta nie natrafiła na coś miękkiego.

Zatrzymała się. Spojrzała pod nogi.

Damska torebka z rozsypaną wokół zawartością.

Ponownie podniosła wzrok i ruszyła dalej, niewidzialna i niesłyszalna. Dopiero gdy była bardzo blisko, mężczyźni ją dostrzegli i znieruchomieli.

Po chwili większy z nich wstał i odwrócił się do Munroe.

Czas i przestrzeń stężały. Obraz zyskał idealną ostrość. W jej oczach mężczyzna stał się celem, zaznaczonym szarym cieniem na tle mroku. Ręce trzymała swobodnie wzdłuż ciała. Sprawiała wrażenie spokojnej, niemal obojętnej, tylko wzrokiem błyskawicznie ogarniała zaulek, oceniając odległości, powierzchwnie i szukając potencjalnej broni.

Mężczyzna podszedł blisko, przekraczając granice jej przestrzeni osobistej. Był cuchnącym oddechem i rozszerzonymi nozdrzami; był niewidzącymi oczami i powietrzem bez tlenu. Spojrzał na nią z góry i wciągnął jej zapach, niemal dotykając nosem jej włosów.

W rdzeniu jej duszy wojenny taraban zabrzmiał gwałtowniej i głośnie, mobilizując każdą komórkę jej ciała.

- Popatrz, popatrz, co my tu mamy - odezwał się mężczyzna, a jego koleś zachichotał nerwowym szczeknięciem, wciąż przyciskając ofiarę do ziemi.

Większy przesunął opuszkami palców po włosach Munroe.

- Nie dotykaj mnie, jeśli chcesz żyć - powiedziała.

Jej głos brzmiał nisko, jednotonowo i choć mężczyzna nie wiedział, że to dźwięk zwiastujący nieuchronne zniszczenie, jego partner wyczuł zagrożenie i solidarnie stanął obok kolegi.

Dziewczyna niezdarnie podniosła się z betonu. Oprawcy stali teraz odwróceny do niej plecami. Obrzuciła ich niepewnym spojrzeniem, po czym czmychnęła na ulicę.

Pozostała trójka w milczeniu patrzyła, jak się oddala. Gdy jej drobna postać rozplynęła się w mroku, ten pierwszy mężczyzna ponownie odwrócił się do Munroe.

- I widzisz, co zrobiłaś? - Uśmiechnął się, odsłaniając rząd białych zębów.

Munroe przeniosła na niego wzrok, ale nic nie powiedziała.

- Jesteś mi winna jebanko - oznajmił.

Uśmiech znikł.

- Radziłabym ci stąd odejść - ostrzegła. - Zabiję cię, jeśli mnie tkniesz.

Zaczął rechotać. Głośno. Dudniący śmiech wspiął się echem po ścianach, a potem gwałtownie umilkł.

Walka była nieunikniona. Wraz z tą świadomością pojawił się przypływ adrenaliny. Munroe poddała się jej fali i zamknęła oczy w powolnym, wydłużonym mrugnięciu. Uważny obserwator dostrzegłby drgnięcie jej dłoni. Zastanowiłby go zupełny brak lęku i zaniepokoiła jej swoboda. Obu mężczyzn zaślepiła jednak zbyt pewność siebie.

Nastał moment ciszy, niepewności. Przez chwilę wydawało się, że osilek i jego kompan mają dość rozumu, by rozpoznać szaleństwo większe od własnego i się wycofać.

Niestety.

Większy chwycił garść jej włosów. Szarpnął. Zmusił ją, by uklękała.

- Pierdolona suka - wysyczał.

Oczy Munroe błysnęły, a kąciki jej ust uniosły się w odpo-

wiedzi na słowa mężczyzny.

Czas odmierzały mikrosekundowe odcinki, a ruch - nanoplastry przestrzeni. Absolutna jasność ogarnęła jej zmysły, jak gwałtowna powódź wtargnęła w jej żyły i wymieszała się z krwią.

Jego lewa dłoń wciąż zaciskała się na jej włosach. Prawą odciągnął jak do ciosu. Ten mężczyzna - z wyszczerzonymi zębami, rechoczący, oddychający - stał się wrogiem, który musiał zgiąć. Już nie była pośrodku dusznego miasta, tylko w parnej dżungli, otoczona wszechobecnym zapachem ziemi.

Ręce wciąż trzymała wzdłuż tułowia. Palcami sięgnęła noży ukrytych pod nogawkami spodni. Skóra dotknęła metalu. Do głosu doszedł instynkt. Wewnętrzne werble grały coraz głośniej, zmierzając do kulminacyjnego wezwania do walki - aby przetrwać, aby zwyciężyć, aby pomścić... i zabić.

Zegar przy łóżku wyświetlał ósmą. Logan zerknął na mrugające cyfry i w pół oddechu pojął źródło strachu, który wybudził go ze snu.

Gwałtownie zrzucił kołdrę, poderwał się i niemal biegiem ruszył po schodach na dół, jednocześnie wołając Munroe po imieniu. Zatrzymał się dopiero przed jej sypialnią.

Drzwi były nieznacznie uchylone. Tak jak tamtego dnia w Tangerze, położył na nich dłoń i pchnął.

Dopadło go *déjà vu*. Ze zdumienia rozdziawił usta.

Na nocnej szafce tkwiły noże. Munroe leżała w poprzek łóżka, martwa dla świata. Przez moment patrzył na nią, walcząc z frustracją i niechęcią. Zamierzał się odwrócić i wyjść, ale jego oczy zdażyły przywyknąć do słabego światła i zarejestrowały coś dziwnego. Znał to wrażenie. Zatrzymał się w pół kroku.

Z walącym sercem i podchodzącym do gardła żołądkiem zbliżył się do łóżka, do niej. Ukląkł. Ostrożnie, by jej nie dotknąć, przyjrzał się smugom rozmazanej, zaschniętej krwi na jej przedramionach.

Nie miał pojęcia, kiedy wyszła z apartamentu. Nie słyszał, jak prywatna winda zjeżdża na dół, a potem wraca na górę.

Bezgłośnie wciągnął powietrze i zacisnął pięści. Wiedział, że za kilka godzin zacząną się zjawiać pozostali. Przyjeżdżali, żeby z fragmentów i kawałków poskładać historię ośmiu lat, którą Munroe musiała poznać. Tymczasem ona - jedyna osoba, która mogła dać tej historii pieprzone dobre zakończenie - pograżyła się w narkotycznym otępieniu.

Miał ochotę ją obudzić, poznać wydarzenia minionej nocy, dowiedzieć się, co zrobiła, nawrzeszczyć na nią i trzasnąć ją w głowę, żeby odzyskała choć krzywą rozsądku. Wiedział jednak, że to nic nie da, dlatego ruszył do kuchni, żeby wrzucić coś na ruszt i pozbyć się uczucia mdłości.

Przez cały ranek i wczesne popołudnie przybywali jego znajomi. Logan grał rolę gospodarza, tłumiąc lęk, jaki wywoływał w nim stan Munroe.

Bawiły go ich reakcje na widok luksusowego apartamentu. Oprowadzał ich i wyjaśniał, kto za wszystko płaci.

Stanowili dziwną i barwną grupę. W końcu wszyscy rozsiedli się na górnym tarasie, na meblach z kutego żelaza, pośród wielkich, drewnianych donic, które tworzyły tu, na górze, spokojną atmosferę Starego Świata, tak odmienną od chaosu miasta w dole.

Ich wygląd, gusta, stroje i życiowe wybory były tak odmienne, że w zasadzie można by ich uznać za grupę przypadkowych, obcych sobie ludzi, gdyby nie dzieciństwo - wspólna nić, która wiązała ich ze sobą tak mocno, że nie mogły jej zerwać żadne różnice. Łączyło ich braterstwo broni, więź towarzyszy, którzy przetrwali razem traumę wojny. Rozmowa toczyła się gładko do momentu, kiedy szklane drzwi się rozsunęły i na taras wyszła Munroe.

Doprowadziła się do porządku. Po krwi nie został nawet ślad. Stojąc na progu, w dziewczęcej sukience i butach na płaskim obcasie, wyglądała jak uosobienie skromności i niewinności.

Odwzajemniła spojrzenie Logana. W jej oczach dostrzegł figlarne iskierki.

Westchnął.

Miała wiele cech, ale naiwność i skromność na pewno do nich nie należały. Celowo wybrała sobie taki właśnie wizerunek, fasadę nieśmiałości i powściągliwości, skutecznie ukrywając się przed tymi, którzy jej nie znali. Jej spojrzenie wyraźnie mówiło mu, że jest świadoma tego, jak bardzo go to irytuje.

Odwrocił wzrok, a ona uśmiechnęła się szerzej, jak gdyby chciała powiedzieć: Tak, Logan, wiem, co próbujesz osiągnąć.

Poczuł ciężar w piersi. Wiedział, że nie powinien jej lekceważyć. To zawsze kończyło się źle. Wprawdzie nie skłamał ani nie wprowadził jej w błąd, ale sporo przed nią zataił.

Raz jeszcze zerknął na dziewczęcy strój Munroe, przez chwilę się wahał, po czym przedstawił ją pozostałym.

- To Michael - oznajmił. - Ta, o której wam opowiadałem.

Oprócz Logana przy stole siedziało sześć osób: agentka nieruchomości, prawniczka, menedżerka, dyrektor firmy komputerowej, fotograf i student medycyny. Wszyscy dobiegali trzydziestki albo już ją przekroczyli. Każde musiało wytrwale walczyć, a ich osiągnięcia okupione były wielką ceną i poświęceniami, o których ich partnerzy niewiele wiedzieli.

Munroe zajęła miejsce, a pozostali się jej przedstawili. Oszczędzili sobie grzecznościowych formułek, za to po kolei opowiedzieli jej własne wersje tej samej historii: o życiu kontrolowanym już od narodzin, o poświęceniu Bogu i Prorokowi, o ubóstwie i ślepym oddaniu, i w końcu o podjętym ryzyku - rezygnacji z rodziny i oswojonego świata, w nadziei na to, że możliwy jest inny, lepszy los gdzieś na Pustkowiu.

Logan słyszał rozpacz, która kryła się za każdym wyważonym słowem, i zastanawiał się, czy oni są tego świadomi. Przyglądali się Munroe, niepewni, czy jest w stanie zrozumieć, o jak wysoką stawkę toczy się gra. Nie mieli pojęcia, jak ta nieśmiała *dziewczynka* zdoła naprawić zło. Na ich twarzach malowało się powątpiewanie.

Patrząc na nią, Logan - choć ją dobrze znał - sam miał trudności z wyobrażeniem jej sobie w roli mścicielki wymierzającej sprawiedliwość. Rozumiał ich niedowierzanie, ale musiał zapomnieć o wszelkich wątpliwościach, bo bardzo potrzebował jej pomocy.

Rozdział 4

Buenos Aires, Argentyna

Drzewa, budynki i zaparkowane przy ulicy samochody przesuwały się za szybą. Hanna patrzyła przez okno furgonetki, prawie nie zwracając na nie uwagi. Nadstawiała uszu.

Bardzo ciekawiło ją, dlaczego tu jest, ale wiedziała, że lepiej o nic nie pytać, dlatego siedziała cicho w ostatnim rzędzie foteli, próbując wyłapać coś z rozmowy, którą prowadzili dorośli z przodu.

Z niepokoju bolał ją brzuch. Gdyby wiedziała przynajmniej, o co chodzi, nawet jeśli było to coś złego, mogłaby się odpowiednio przygotować. Lepiej było wiedzieć coś złego niż zupełnie nic, a teraz właśnie nie wiedziała nic.

Dziwiła się, że zabrano tylko ją, bez innych dzieci. Raczej nikomu nie podpadła, ale nie miała pewności, bo czasami nie przeczuwała kłopotów, a one spadały na nią niespodziewanie, tak jak chłaśnięcie w ucho.

Wiedziała, że mdłości nie znikną, dopóki się nie dowie, w czym rzecz, ale na razie mogła tylko cicho siedzieć, żeby nie pogorszyć sytuacji. Miała nadzieję, że jeśli nie będzie się odzywała, zapomną o niej i przynajmniej na jakiś czas zostawią w spokoju, a wtedy może coś podsłucha.

Głosy wuja Sadoka i ciotki Sunshine brzmiały bardzo poważnie. Recytowali Złote Wersety, które miały zapewnić bezpieczeństwo, dać mądrość i wskazać właściwą drogę. Tym razem musiało chodzić o Tajemnicę, bo nie kazali Hannie przenieść się na przedni fotel i dołączyć do modlitwy.

Sadok miał otwarte oczy, na pewno dlatego, że prowadził, ale Sunshine zacisnęła powieki i tylko jej usta się poruszały.

Prosiła o radę duchy przodków. Hannę to nudziło, dlatego słuchała jednym uchem.

Miała dla siebie cały tył wozu. Nikt jej nie pilnował, więc

czuła się fantastycznie - niemal tak jak wtedy, kiedy dostała prawdziwy prezent na urodziny. Modlitwa pochłonęła Sadoka i Sunshine tak bardzo, że nawet nie zganili dziewczynki za bezczynność. Hanna poświęciła skradzione chwile na obserwowanie świata za szybą i wędrowanie myślami do zakazanych, głęboko ukrytych marzeń, dzięki którym czas szybciej płynął i wszystko wydawało się lepsze. Wróciła do rzeczywistości, dopiero gdy furgonetką zarzuciło na zakręcie.

Nie miała pojęcia, ile czasu upłynęło ani jak długo tkwiła w świecie fantazji. Nagły przypływ lęku ścisnął jej żołądek. Za takie nieposłuszeństwo na pewno czekała ją kara.

Na szczęście Sadok i Sunshine nie zauważyli, że pochłonął ją świat marzeń, więc się uspokoiła. Rozpoznała jeden z budynków za szybą. Znajdowali się teraz w strefie biurowców, niedaleko dzielnicy portowej. Czasami przyjeżdżali tu zbierać datki.

Sunshine znowu miała otwarte oczy i wydawała się trochę spokojniejsza. Całe szczęście, bo spokojni dorośli mieli lepszy humor i rzadziej się gniewali na podopiecznych. Może duchy przepowiedziały, że zdarzy się coś dobrego, choć według Hanny ich słowa zawsze brzmiały niejasno, a jeśli przepowiednie się nie spełniały, dorośli wynajdywali jakieś usprawiedliwienia. Jaki pożytek miały takie rozmowy ze zmarłymi, skoro nigdy nie można było polegać na tym, co mówią?

Sunshine powiedziała coś do Sadoka - zwróciła się do niego własnymi słowami, nie cytując duchów - więc Hanna wlepiła wzrok w księgę Nauk, którą trzymała na kolanach, i słuchała uważnie. Docierały do niej urywki: *Wola Pana. Niewielka paczka. Stany Zjednoczone. Prorok będzie zadowolony. Tylko kilka razy w roku.*

Nie miała pewności, co to wszystko znaczy, ale trochę się domyślała. Dlatego czasem opłacało się cicho siedzieć i słuchać. Kiedy dorośli zapominali o jej obecności, mogła się czegoś dowiedzieć.

Podobny wyjazd odbył się już raz, pod koniec lata, tuż przed tym, jak ciocia Sunshine wybrała się gdzieś z dwutygodniową wizytą. Poprzednio Sunshine zabrała do miasta nastoletnią Rachelę i Hanna musiała na ten dzień przejąć obowiązki kole-

żanki. Dzięki takiemu wyróżnieniu Rachela wydawała się wyjątkowa i Hanna trochę jej zazdrościła, choć wiedziała, że nie powinna. Tamtego dnia, zupełnie tak jak dziś, wszystko było owiane Tajemnicą - jeszcze większą niż zwykle - może więc dzisiaj chodziło o podobne wyróżnienie, i dlatego Hanna miała dobry humor, bo to znaczyło, że ona również jest wyjątkowa.

Sadok zaparkował furgonetkę, ale nie wysiadł razem z Sunshine. Widocznie zamierzał zostać w samochodzie, co było trochę dziwne.

Sunshine gestem dała Hannie znak. Dziewczynka wysunęła się z fotela i zeskoczyła na chodnik.

Znajdowali się przed pięciopiętrowym budynkiem. Wyglądał na stary i okazały, przez co strój Hanny wydawał się jeszcze bardziej niezgrabny i krępujący. Sukienka była pożyczona, trochę za mała i za bardzo dziewczęca, co wprawiało ją w zakłopotanie. Sunshine kazała jej się tak ubrać i żadne protesty nie miały sensu. Musiała ją włożyć i już. Przynajmniej sukienka wyglądała na nową, w przeciwieństwie do ubrań, które donaszała po starszych dzieciach.

Sunshine trzymała Hannę za rękę, co krępowało ją jeszcze bardziej niż strój, ale wiedziała, że lepiej się nie sprzeciwiać. Starła się odsunąć od siebie przykre uczucia.

- Skarbie, chcesz służyć Panu i być dzielnym, małym żołnierzem Jezusa, prawda? - odezwała się Sunshine.

Hanna nie cierpiała słowa „mały” i wszystkiego, z czym się ono wiązało. Nienawidziła sposobu, w jaki Sunshine się do niej zwracała, tak jak do dwulatki, mimo to skinęła głową.

- Doskonale. To znaczy, że Bóg może cię pobłogosławić. Błogosławieństwo otrzymują tylko ci z nas, którzy są posłuszni Jemu oraz Prorokowi, wiesz?

Przykre uczucie rosło i ścisnęło gardło dziewczynki, więc znów tylko przytaknęła.

- Twoja obecność tutaj jest wyjątkowym przywilejem. Prorokowi zależy na twoim posłuszeństwie i poświęceniu. Musisz być absolutnie oddana i dochować Tajemnicy. Mówienie o dzisiejszym dniu komukolwiek oznacza nieposłuszeństwo,

rozumiesz?

Kolejne kiwnięcie głową, tym razem pełne powagi.

- Co się dzieje, kiedy nie jesteśmy posłuszni naszemu Panu oraz Prorokowi? - Głos Sunshine zabrzmiał jeszcze surowiej, jeśli było to możliwe.

- Bóg nie może nas błogosławić ani chronić - odparła Hanna zachrypniętym szeptem.

Opiekunka przytaknęła, usatysfakcjonowana jej odpowiedzią. Hanna powinna odetchnąć z ulgą, bo udało się jej zadowolić Sunshine, nie rozumiała więc, dlaczego poczuła się jeszcze gorzej. Sunshine nie traktowała podopiecznej tak, jakby dziewczynka zrobiła coś złego lub zasłużyła na karę. Po prostu coś było nie tak. Okropne wrażenie nie opuszczało Hanny, przeciwnie, czuła się coraz bardziej nieswojo. Na początku tylko ścisnęła ją w dołku, ale przykre wrażenia wciąż się nasilały i w końcu wszystko zaczęło ją irytować. Nie mogła nawet swobodnie myśleć ani oddychać. Znała tylko jedno wyjście z takich sytuacji: musiała dochować posłuszeństwa i cierpliwie wszystko przetrzymać, minuta po minucie, dopóki się nie skończy i przestanie się czuć nieswojo.

Dotarły do budynku. Sunshine pchnęła drzwi frontowe. Gdy przekraczały próg, obrzuciła Hannę surowym, bezwzględny spojrzeniem. Dziewczynka dobrze wiedziała, co ono oznacza. *Mam być absolutnie posłuszna, bo Sunshine może mnie okropnie ukarać.*

Hol na drugim piętrze rozchodził się w dwóch kierunkach od klatki schodowej. Na pełnych drzwiach widniały mosiężne tabliczki z nazwami firm.

Sunshine wciąż mocno ścisnęła dłoń Hanny. Gorący i wilgotny dotyk jej ręki sprawiał, że dziewczynka miała ochotę krzyknąć i się wyrwać, mimo to zachowała spokój.

Opiekunka zatrzymała się dopiero przed ostatnimi drzwiami, z tabliczką bez nazwy. Za nimi znajdował się pokój z biurkiem stojącym pod zasłoniętymi oknami. Wyglądał jak recepcja, ale nikogo tu nie było.

Hanna pomyślała, że meble, lampy i obrazy na ścianach bardziej przypominają dom jakiegoś bogacza niż biura, jakie do-

tychczas odwiedzała. Po obu stronach pomieszczenia widniały drzwi. Były zamknięte. Wokół panowała zupełna cisza.

Sunshine wskazała na sofę.

- Usiądź tam i niczego nie dotykaj - nakazała, .po czym poszła do drzwi po prawej stronie i zapukała.

Ktoś jej odpowiedział. Sunshine nacisnęła klamkę i weszła do środka. Po kilku chwilach wróciła w towarzystwie dwóch mężczyzn. Jeden z nich był starszy, w wieku Sunshine, a drugi przypominał młodych dorosłych z Przystani.

Sunshine i młody mężczyzna odsunęli się na bok, a starszy podszedł do Hanny i przyklęknął, tak żeby spojrzeć dziewczynce w oczy. Zapytał ją o imię tonem, w którym nie było niezyczliwości. Kiedy mu odpowiedziała, ujął jej dłoń i delikatnie ją podniósł. Zerknęła na Sunshine, niepewna, co ma robić. Opiekunka skinęła głową. Pojmując intencje mężczyzny, Hanna wstała.

Jego wzrok powędrował w dół do jej stóp, a potem z powrotem do góry. Dłoń dotknęła jej włosów, ledwie muskając kosmyki tuż przy uchu. Po chwili spojrzał na Sunshine.

- O wiele lepiej - powiedział.

- Hanno - opiekunka zwróciła się do dziewczynki - muszę załatwić kilka spraw. Zostań tu z panem Carcanem. Niedługo wrócę.

Hanna poczuła ukłucie paniki. Nie z powodu strachu przed tym mężczyzną ani tego, że Sunshine zamierzała ją opuścić - absolutnie nie. Lękała się, bo miała zostać sama z obcym z Pustkowie, a to było wbrew zasadom. Poza Przystanią każdy musiał mieć przy sobie towarzysza, zawsze i wszędzie. Na tym polegała jedna z określonych przez Proroka zasad posłuszeństwa. Złamanie jej oznaczało, że Bóg nie mógł takiego kogoś chronić.

No ale Sunshine kazała jej tak postąpić, a Hanna musiała wypełniać polecenia opiekunki.

Kiedy Sunshine wyszła, mężczyzna zwrócił się do niej:

- Lubisz lody?

Kiwnęła głową, a on jakoś tak śmiesznie poruszył oczami.

- To chodź. W gabinecie mam zamrażarkę.

Weszła za nim do pokoju, który z gabinetem miał tyle wspólnego, że stało w nim ogromne biurko. Poza tym wyglądał na salon. Zadzwoił telefon i mężczyzna podniósł słuchawkę, jednocześnie otwierając niewielką zamrażarkę. Ze środka wyjął lodę na patyku, podał go Hannie i gestem poprosił, żeby usiadła. Przez jakiś czas przytakiwał głosowi w słuchawce, a w końcu się roześmiał.

- Tak, oczywiście - powiedział - są zbyt prości i naiwni, żeby coś podejrzewać. Ale żyją blisko Boga, a ja lubię, kiedy Bóg jest po mojej stronie.

Po tych słowach przeszedł na hiszpański, nie dbając o to, czy Hanna go rozumie. Pewnie przypuszczał, że nie zna tego języka, bo nie ściszył głosu ani nie wyszedł do drugiego pokoju.

- Tak, tak - zaśmiał się w słuchawkę. - To tak, jakbym miał osobistego księdza. Nic na to nie poradzę, że ich lubię. Religia, seks i brak kłopotów, czy może być lepiej?

Hanna nie do końca pojmowała znaczenie jego słów, ale uznała, że powinna udawać nierozgarniętą i sprawiać wrażenie, że nic jej nie obchodzi, tak jak wtedy, gdy słuchała Sadoka lub Sunshine.

Siedziała na kanapie, na wprost ściany, całkowicie skupiona na lodzie. Smakowała go powoli, aby przyjemność trwała jak najdłużej. Dopiero po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że w pokoju panuje cisza. Nie miała pojęcia, od jak dawna. Odwróciła głowę.

Mężczyzna zakończył rozmowę i siedział teraz na krawędzi biurka, przyglądając się jej i powoli przesuwając kciukiem, to w górę, to w dół, między nogami. Wszystkie złe emocje, które na moment odpłynęły, gdy zajęła się lodem - lęk, obawa przed karą i przykre uczucie, którego nie potrafiła nazwać - teraz wróciły z jeszcze większą siłą. Ucisk w żołądku sprawił, że przestała jeść.

Czuła się tak, jakby za chwilę miała wymiotować. Trzymała przed sobą lodę, niepewna, co ma robić.

Mężczyzna nie przestawał się na nią gapić i robić tego, co robił. W końcu, gdy lód zaczął ściekać jej na palce, wstał i wyjął z jej dłoni roztopioną masę.

- Zdejmij sukienkę - powiedział.

Jego słowa były jak uderzenie w twarz. Jak kara. Potworna kara. Tamto nienazwane przykre uczucie stało się tak silne, że Hanna nie była w stanie się poruszyć.

- Kochasz swojego Proroka? - spytał mężczyzna.

Przytaknęła.

- Twoja ciocia powiedziała ci, że masz być posłuszna, prawda?

Ponownie kiwnęła głową.

- W takim razie wypełnij wolę Proroka i bądź posłuszna.

Dobrze знаła te słowa, tylko nie rozumiała, dlaczego wymawia je obcy z Pustkowie. Okropne uczucie przepełniało ją i otaczało ze wszystkich stron. Niezwykle strach... chociaż właściwie tak, to był strach. Powinna zrobić to, co jej kazał, powinna go posłuchać. Wiedziała, że może ją uderzyć albo, co gorsza, poskarżyć się Sunshine, ale nie mogła się ruszyć.

Mężczyzna wyrzucił loda do kosza i wytarł palce w nogawkę spodni. Potem ujął jej dłoń i gwałtowniej niż w recepcji pociągnął ją tak, aby wstała.

- Chodź tu - powiedział. - Pomogę ci.

Ręce drżały mu niecierpliwie, gdy obracał ją plecami do siebie. To, co robił, nie było dla niej nowe, tylko po raz pierwszy doświadczała tego poza Przystanią, z obcym. Szarpnął zamek sukienki i Hanna zamknęła oczy. Łzy paliły ją pod powiekami, ale nie pozwoliła im wypłynąć. Odetchnęła powoli i uciekła myślami daleko, w ukryte i zakazane marzenia, w których nie działo się nic złego, nie było żadnych kar, a ona czuła się wyjątkowa i ważna, a przede wszystkim zawsze, ale to zawsze bezpieczna.

Rozdział 5

Logan wyciągnął zdjęcie z portfela i położył je na stole. Zrobiono je, gdy Hanna miała pięć lat, zaledwie trzy dni przed tym, gdy została zabrana z zajęć i wyprowadzona przez frontowe drzwi szkoły. Dopiero później się dowiedzieli, że wywieziono ją do Meksyku.

Gideon, dyrektor firmy informatycznej, z torby na komputer wyciągnął wydruk zeskanowanej fotografii i położył go na blacie, obok zdjęcia Hanny. Fotografia była stara, o czym świadczyły fryzura i ubiór oraz szczególnie kolor, jakiego z czasem nabierał papier fotograficzny.

- To David Law - wyjaśnił.

Podmuch wiatru zaczął o brzeg papieru i uniósł go lekko. Gideon obciążył róg kartki swoją szklanką, żeby jej nie zwiało.

Oczy Munroe błysnęły z ożywieniem. Sięgnęła po wydruk zdjęcia Davida Lawa i Logan po raz pierwszy od chwili, gdy Michael wyszła na taras, poczuł iskierkę nadziei.

Fotografię Hanny oglądała już trzykrotnie, ale Davida Lawa widziała pierwszy raz. Nawet postronny obserwator zauważyłby intensywność, z jaką przyglądała się zdjęciu. Zerkając to na fotografię, to na Logana, dostrzegając uderzające podobieństwo: jasne włosy, zielone oczy, podobne rysy twarzy.

- David i ja nie jesteśmy spokrewnieni - odezwał się Logan, odpowiadając na pytanie, którego nie zadała - z tego, co mi wiadomo. Był chłopakiem Charity... dzieckiem sekty, tak jak my. To on uprowadził Hannę i zabrał ją z powrotem do nich.

- A gdzie jest Charity? - spytała Munroe. - Dlaczego nie przyjechała?

- Chciała tu być, ale nie mogła się wyrwać, dlatego prosiła, abym mówił w jej imieniu - wyjaśnił. - A tak przy okazji, przesyła ci pozdrowienia.

Munroe skinęła głową.

Logan na moment umilkł, w myślach ogarniając kontekst sytuacji i zastanawiając się, jaki powinien być następny krok. Przez ostatnie lata do Munroe docierały strzępki tej historii. Dwukrotnie spotkała się z Charity, ale na krótko. Coś nieco wiedziała o porwaniu Hanny, bo Logan w niezwykłym u niego wybuchu frustracji pożałił się jej kiedyś na niesprawiedliwość losu. Poza tym niewiele jej wyjawiał.

- Cztery lata zabrało mi namówienie Charity na opuszczenie sekty. W przypadku wielu z nas najtrudniejsze do pokonania bariery tkwią tu. - Postukał palcem w głowę. - Trzeba czasu, żeby przezwyciężyć strach i poczucie winy, jakie wpajano nam od dzieciństwa... zwłaszcza że wszystko, co dotychczas było nam wiadome, każe nam się bać świata na zewnątrz. Załatwiłem mieszkanie, znalazłem pracę dla Charity i przedszkole dla Hanny, i kiedy Charity wreszcie zdecydowała się opuścić sektę, razem z nią zjawił się David. Pięć miesięcy później, gdy już się urządzili, David nagle zabrał małą i wrócił do tamtych.

- Jak to „zjawił się”?

- Był chłopakiem Charity - wyjaśnił Logan - ale nie ojcem Hanny. Nie byli ze sobą długo... najwyżej rok... więc w pewnym sensie przyjechał z nimi na doczepkę.

- Masz pewność, że on nie jest ojcem Hanny? Że to niemożliwe?

- Według Charity - nie.

- Dlaczego więc uznał, że ma prawo zabrać małą z powrotem?

- Nie mam pojęcia - przyznał Logan. - Bo absolutnie nie miał takiego prawa. Po prostu wykradł jej paszport, sfalszował pełnomocnictwo opiekuna i zabrał ją za granicę, a potem wywiózł do Ameryki Południowej.

- Zatem kłótnia rodziców o prawo do opieki nad dzieckiem nie wchodzi w grę?

- Nie. Mała została z całą pewnością porwana. - Logan na chwilę umilkł, szukając odpowiednich słów. - Bezpośrednio po odejściu trudno jest znaleźć grunt pod nogami - stwierdził w końcu. - Życie dopada cię ze wszystkich stron. Na tak wiele spraw nie jest się przygotowanym i czasami człowiek ma wrażenie, że każdego dnia musi od nowa wydostawać się na

powierzchnię, żeby zaczerpnąć tchu. Ale ponieważ przygotowałem wszystko na przyjazd Charity, David nie miał takiego problemu. Gdyby naprawdę chciał rozpocząć życie poza wspólnotą, miał na to większe szanse niż ja lub wy. W porównaniu z nami było mu o wiele łatwiej...

- Problem w tym, że on nigdy tu nie pasował - wtrąciła Heidi, menedżerka, która siedziała obok Gideona.

- Znałaś go? - spytała Munroe.

Heidi przytaknęła.

- Sprawiał wrażenie, jakby nic go nie obchodziło. Nie szukał sobie żadnego zajęcia. W zasadzie żył na koszt Charity. Nie każdemu udaje się przystosować. Niektórzy wracają. Wiele zależy od przyczyny odejścia.

- Prawda jest taka, że nie wiemy, dlaczego się na to zdecydował... dlaczego z nią przyjechał - przyznał Logan. - Może wtedy ją kochał, może powodowała nim ciekawość albo po prostu nie podobało mu się bezustanne słuchanie rozkazów innych...

- To nigdy nie jest dobry powód - stwierdziła Heidi.

- Niewykluczone, że kazano mu wyjechać razem z Charity, a potem zabrać Hannę z powrotem.

- Myślisz, że przywódcy byliby do tego skłonni? - spytała Munroe. - Że polecili mu znaleźć sposób na ściągnięcie dziewczynki?

Logan wzruszył ramionami.

- Oni uważają, że prawo ich nie dotyczy.

- Dzieci, które przychodzą na świat w ich społeczności, traktują jak własność - dodała Heidi. - Nawet jeśli David nie otrzymał bezpośrednio nakazu, tylko sam wszystko uknuł - w co wątpimy - pomogli mu, chroniąc go i ukrywając. Dlatego tak długo jej szukaliśmy.

- I co teraz? Skoro już ją odnaleźliście?

- Chcemy, żebyś ją stamtąd wydostała.

Munroe odłożyła wydruk na stół i z powrotem przystawiła go szklanką Gideona. Wyprostowała się i po chwili na jej wargach pojawił się uśmiech.

- Chcecie, żebym ją porwała.

Zabrzmiało to jak stwierdzenie, a nie pytanie. Logan miał

pewność, że powiedziała tak tylko ze względu na niego. Cała Munroe. Tak jakby się upewniała: Jesteś przekonany, że wszystko dobrze przemyślałeś?

Zebrani przy stole milczeli.

- Skoro już wiecie, gdzie ona jest, może lepiej byłoby załatwić wszystko legalnie? - spytała.

- To nie takie proste - odparł Logan.

- Poza tym już próbowaliśmy - wtrącił Eli, student medycyny.
- Jeśli David wróci do Stanów, zostanie aresztowany. Szuka go także Interpol i podejrzewamy, że właśnie dlatego trzyma się krajów słabiej rozwiniętych. Tam, gdzie jest mniej technologii, trudniej go znaleźć. Ale nawet gdyby się udało, nic nam to nie pomoże w dotarciu do Hanny.

- Zależy nam również, aby nie ucierpiały przy tym osoby postronne - dorzucił Logan.

- Jak to? - zdziwiła się Munroe.

- Wiemy, gdzie ona jest, w jakim kraju i mieście. Nie wiemy tylko, w której dokładnie komunie. Na tamtym terenie istnieją co najmniej trzy. Jeżeli wciągniemy w to policję, aby do niej dotrzeć, będą musieli dokonać nalotów na wszystkie grupy. Dzieci zostaną przekazane pod tymczasową opiekę państwa, a wydarzenia wymkną się nam spod kontroli. Poza tym istnieje duże ryzyko, że w zamieszaniu znowu zgubimy Hannę, zwłaszcza jeśli wyrobiono jej dokumenty na fałszywe nazwisko i imię.

- Nie zrozum nas źle - odezwała się Heidi. - Naprawdę uważamy, że to chore środowisko, i los pozostałych dzieci nie jest nam obojętny, ale zarazem wiemy, że wydarzenie ich z jedyne go świata, jaki znają, i umieszczenie w południowoamerykańskich ośrodkach dla młodocianych przestępców nie jest dobrym rozwiązaniem.

Munroe przez jakiś czas milczała.

- Domyślam się, że to nie pierwszy taki przypadek? - spytała w końcu.

- Nie - przyznał Logan. - Było ich sporo. Jednak bez względu na to, co myślimy na temat sekty Wybranych i jej przywódców, a nawet niektórych dorosłych członków, tamte dzieci są

naszymi braćmi, siostrami i kuzynami. W tej chwili liczy się Hanna. Charity jest jej jedynym prawnym opiekunem. Za Davidem rozesłano listy gończe. Teraz trzeba tylko wymyślić, jak podejść Wybranych. Najlepiej byłoby przeniknąć do środka.

- My nie możemy tego zrobić - dodał Gideon. - Znają nas. Jeśli tylko nas zauważą, od razu się zorientują, o co chodzi, i znowu ją gdzieś przerzucą.

- Mam rozumieć, że aby ją stamtąd wyciągnąć, najpierw muszę sama dostać się do sekty?

- Właśnie.

Munroe przez jakiś czas nic nie mówiła. Logan po jej minie poznał, że wszystko sobie kalkuluje.

- Do porwania doszło osiem lat temu - powiedziała w końcu - więc Hanna ma teraz ile lat? Dwanaście? Trzydzieści?

- Trzydzieści - potwierdził Logan.

- W Stanach Zjednoczonych paszporty dzieci są ważne tylko przez pięć lat i rodzice muszą być obecni przy wyrabianiu nowych. W tej sytuacji wyrobienie dokumentu w obcym państwie, w obecności tylko jednego opiekuna, który nie jest nawet rodzicem, powinno zaalarmować władze. Skoro listy gończe rzeczywiście zostały rozesłane, tak jak twierdzicie, to dlaczego nie zgłosiła się do żadnego konsulatu ani ambasady, kiedy jej paszport stracił ważność?

- Już wcześniej zdarzyło się coś podobnego - poinformowała Heidi - z inną rodziną. Dlatego teraz przywódcy sekty są sprytniejsi i nie dopuszczają, by tamto się powtórzyło. Możemy się jedynie domyślać, że Hanna nie korzysta już z amerykańskiego paszportu, ale nie mamy pewności, jakiego kraju dokumentem obecnie się posługuje.

- Czyli że bez względu na to, w jakim kraju obecnie przebywa, na dobrą sprawę nie jest obywatelką amerykańską - stwierdziła Munroe i dla efektu zrobiła pauzę. - A to w gruncie rzeczy oznacza, że chcecie, abym ja, obywatelka Stanów Zjednoczonych, pojechała do obcego państwa, porwała dziewczynkę, która de facto jest jego obywatelem, i sprowadziła ją tu?

- Hm... nie owijasz w bawełnę. Faktycznie, tak właśnie jest. - Tym razem odezwała się Bethany, agentka nieruchomości, a w

jej głosie zabrzmiała nuta ironii. - Szukamy kogoś, kto jest na tyle zdolnym aktorem, że zdoła się dostać do środka, a przy tym nie da im się przekabacić i wydostanie stamtąd Hannę.

- Rozumiem - powiedziała Munroe. - Założmy, że byłabym w stanie podjąć się tego zadania i że chciałabym to zrobić. Rozumiem, dlaczego zależy na tym Loganowi. Charity to jego przyjaciółka z dzieciństwa i przez te wszystkie lata zaangażowany był w poszukiwania Hanny. Ale jaki interes ma w tym reszta? Nie zlecieliście się tu z całego kraju, by się zrzucić dla jakiejś trzynastolatki, z którą nic was nie łączy. Mam rozumieć, że wszyscy jesteście spokrewnieni z Charity, Hanną albo Loganem? Tu musi chodzić o coś więcej.

- Eli jest przyrodnim bratem Charity - wyjaśnił Logan. - Każde z nas ma osobiste powody, dla których się w to angażuje... i nie da się zaprzeczyć, że są one związane z naszymi rozrachunkami z przeszłością oraz ludźmi, którzy ponoszą odpowiedzialność za to, co się stało. Ale przede wszystkim chodzi nam o Hannę.

- Lub o zemstę - stwierdziła Munroe.

- Jeżeli mamy się ograniczyć do najprostszej definicji naszych motywów, to tak - przyznał Logan.

Munroe spojrzała na niego.

- Muszę się zastanowić - powiedziała.

Kiedy wyszła, przy stole przez chwilę panowała cisza, a potem wszyscy zaczęli mówić naraz. Jeden przez drugiego przedstawiali swoje opinie i uwagi w coraz głośniejszej wymianie akceptacji i sprzeciwów.

- Szlag by to trafił! - zachnął się Gideon. - Logan, to, co mówiłeś nam wcześniej o niej i o całym przedsięwzięciu, pozwalało wierzyć, że taki plan jest możliwy, ale kogo my próbujemy nabrać? Może i uda nam się wkręcić Michael do sekty, ale jak, do diaska, zdoła się wydostać stamtąd sama, że nie wspomnę już o wyciągnięciu Hanny?

- Da radę - stwierdził Logan.

- To, że ją lubisz i darzysz zaufaniem, nie oznacza, że my też

musimy. Sam fakt, że chce się podjąć takiego zadania - o ile tak jest - nie przesądza o naszej decyzji. Mamy tylko jedną szansę. Jeżeli ona ją zaprzępaści, gra skończona.

- Munroe da radę.

- Tu nie chodzi tylko o Hannę - wtrąciła Heidi. - Dobrze wiesz, że jeśli plan się nie powiedzie, wszystko obróci się przeciwko nam, będziemy skończeni.

Logan objął dłońmi butelkę wody i okręcił ją wokół osi, po czym odstawił na stół i wstał.

- Eli, ile dokładasz?

- Jakies trzy tysiące.

- Ruth?

- Pięć.

Bethany podniosła dwa palce, a pozostali poszli za jej przykładem, pokazując, ile zamierzają dorzucić. Spojrzenie Logana po kolei zatrzymywało się na każdym z obecnych.

- To daje nam w sumie ile? Dwadzieścia pięć patyków na wszystko, zgadza się? Ktoś z was ma ochotę zgadnąć, na jaką sumę opiewał ostatni kontrakt Munroe?

- Z pięćdziesiąt tysięcy? - rzucił Gideon.

Logan dla efektu zrobił pauzę i dopiero potem powiedział:

- Pięć milionów dolarów.

Wszystkich zamurowało.

- Michael jest moją przyjaciółką, nie zaprzeczam - przyznał, ważąc każde słowo. - I tylko dlatego nasz projekt w ogóle ją zainteresował. Dwadzieścia pięć tysięcy nie pokryje nawet kosztów takiego przedsięwzięcia. Ona nie szuka mocnych wrażeń. Jest tu, ponieważ osobiście ją o to poprosiłem. Jeśli się zgodzi, zrobi to dla mnie. Oczywiście możemy lukrować sprawę ile wlezie, ale Michael nie jest głupia. Wcześniej już to przerabiała i ma świadomość, że nawet po najczystszy z wejść droga powrotna będzie skomplikowana.

- Jak radzi sobie z hiszpańskim? - spytała Bethany.

- Z tego, co mi wiadomo, zna dwadzieścia dwa języki. - Logan na powrót usiadł i pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. - Możliwe, że teraz już więcej. Hiszpańskim włada biegle.

- Załóżmy, że przeniknie do sekty, znajdzie Hannę i zdoła ją wydostać. Ale czy poradzi sobie na przykład ze skorumpowanymi urzędnikami? - nie dawała za wygraną Bethany. - A jeśli coś pójdzie nie tak i będzie musiała opuścić kraj bocznymi szlakami? Da radę?

- Powiem wprost. Jeżeli dojdzie do tego, że Michael będzie musiała pociągnąć za spust, aby ochronić Hannę i bezpiecznie ją wyprowadzić, nie zawaha się tego zrobić - zapewnił Logan, po czym umilkł i podniósł dłonie, tak jakby chciał coś sprostować. - Nie twierdzą oczywiście, że wparuje tam pod gradem pocisków. Mówię tylko, że jest do tego zdolna, jeśli zajdzie taka potrzeba. Poza tym spędziła więcej czasu w sparszywiakach, rządzonych przez despotów krajach niż którekolwiek z nas, łącznie z Gideonem.

- Trudno mi w to uwierzyć - odezwał się Gideon.

- Hej, nie musisz mi wierzyć na słowo - rzucił Logan. - Michael jest na dole. Sam sprawdź. Odważ się ją sprowokować. Nie, chwilę. Nie musisz nawet tego robić. Spróbuj ją podejść. Dotknij jej ramienia, chwyć za nadgarstek.

- Mi się ona podoba - przyznała Ruth, prawniczka, która do tej pory milczała. Tym stwierdzeniem rozładowała napięcie. - Jest inteligentna, nawet bardzo, i myślę, że naprawdę rozumie sytuację.

- Z tym się zgodzę - powiedziała Heidi. - Ale czy naprawdę jest w stanie tego dokonać?

- To w ogóle nie podlega dyskusji - odparł Logan. - Pytanie tylko, czy się zgodzi.

Rozdział 6

Munroe mocniej naciągnęła na czoło czapkę z daszkiem, który zasłaniał jej twarz, wcisnęła ręce w kieszenie luźnych spodni i dyskretnie oglądając się przez ramię, przeszła na drugą stronę ulicy.

Nawet przed świtem, o najchłodniejszej porze, która dla jednych oznaczała koniec, a dla innych początek dnia, miasto kiło się w niezmiennym upale, nieznośnym i lepkim. Wciągnęła nosem zapachy cywilizacji i ruszyła Piątą Aleją w kierunku Central Parku. Chociaż wiedziała, że to mało prawdopodobne, miała nadzieję, że tym razem uniknie niefortunnnych przygód.

Przygód. Takich jak ta minionej nocy.

Wprawdzie mogła się upierać, że jest niewinna; tłumaczyć, że znalazła się w złym miejscu o złej porze lub że działała w samoobronie. Ale wymówki były dobre dla tchórzy. One nie mogły przywrócić zmarłym życia ani naprawić spustoszenia dokonanego pod wpływem instynktu. Krew jest krwią i nie liczą się powody, dla których została przelana.

Odsunęła te myśli. Stało się. Już nie mogła tego zmienić.

Szła przed siebie, krok za krokiem, aż dotarła do południowo-wschodniego krańca parku. Potem skierowała się w jedną z oświetlonych alejek, nie przejmując się tym, gdzie jest ani dokąd zmierza. Przestała myśleć o faktach dokonanych, a skupiła się na planach.

Nie żałowała, że zdecydowała się na tę podróż, nawet jeśli miała jedynie poznać przyjaciół Logana i dzięki ich opowieściom nieco bardziej zagłębić się w jego przeszłość - choć i tak znała jego losy lepiej, niż sądził.

Jak mogła ich nie znać? Wprawdzie istniały szczegóły, o których przez te wszystkie lata nie wspominał, ale był przecież jej najlepszym przyjacielem i tak jak ona przetrwał traumatyczne dzieciństwo. Znając okruchy historii i migawki z przeszłości,

którymi się z nią podzielił, postąpiła jak każdy dobry informacjonista - zajrzała głębiej.

Tak jak jego przyjaciele, Logan przyszedł na świat w sekcje Wybranych przez Boga, ruchu, który narodził się pod koniec lat sześćdziesiątych i zwabił tysiące młodych ludzi, odciągając ich od społeczeństwa - Pustkowia - i kierując prosto w ramiona Proroka, współczesnego Mojżesza, który obiecał wyprowadzić swój lud z Egiptu.

Odłączyli się od rodzin i przyjaciół, zerwali więzi z wszystkimi, którzy nie wierzyli w to, co oni, i sami stworzyli nową rodzinę, zespoloną lojalnością wobec Proroka.

Na całym świecie założyli wspólnoty, Przystanie, w których tysiącom młodych Wybranych, takich jak rodzice Logana, rodziły się tysiące dzieci - nowe pokolenie posłuszne Prorokowi i odizolowane od reszty świata. Nikt nie brał pod uwagę tego, że one wolałyby wybrać inną ścieżkę, ani nie dopuszczał możliwości, że za ich życia nie nadejdzie koniec świata. Kiedy te dzieci podrosły i postanowiły odejść, pozostali wykleli je, zaczęli demonizować i zostawili samopas w świecie, którego nie rozumiały.

Historie Logana i jego przyjaciół były podobne. Mówiły o dzieciakach, które prześlizgnęły się przez pęknięcia w materii społeczeństwa, nieświadome, że takich jak one jest więcej. Logan był świadkiem, jak jego druhowie z dzieciństwa pogrążają się w narkotykowym otępieniu i popełniają samobójstwa, jak borykają się z lękami i nerwicami, nie umieją dostosować się do konwencji i zwyczajów społecznych, walczą z uprzedzeniami i napiętnowaniem albo z wysiłkiem dzień po dniu drapią się pod niewidzialną górę.

Każda z tych historii, pomimo indywidualnych różnic, przypominała inne. Stawały się one brzemieniem nawet dla tych, którzy próbowali je bagatelizować. Może mała Hanna, pozbawiona pomocy, za dziesięć lat będzie opowiadać podobną, jeśli w ogóle pisane jej jest tego dożyć.

Munroe dotarła do rozwidlenia alejki, w myślach rzuciła monetą, po czym opuściła szlak światła i asfaltu, wybierając obietnicę mroku i odosobnienia. Wiatr poruszał koronami

drzew, a dojrzały księżyc nad nimi oświetlał jej drogę.

Była dzieckiem nocy. Dobrze знаła jej odgłosy, które działały na nią oczyszczająco. Gdy nie mogła zasnąć i obawiała się, że zatamuje falę koszmarów o jeden raz za dużo, na zewnątrz czuła się o wiele lepiej niż uwięziona w czterech ścianach.

Ale chęć uspokojenia umysłu, znalezienia samotności i ucieczki od przyjaciół Logana nie była jedynym powodem tego wypadu do parku. Przyszła tu, bo podobnie jak poprzedniego wieczoru ktoś ją śledził.

Taką już miała naturę, że traktowała to jak grę. Lubiła długo udawać, że nie jest niczego świadoma, tylko dlatego, że tak jej się podobało. Jednak tej nocy nie była w nastroju do zabaw. Musiała poskładać elementy układanki w całość.

Dotarła do ławki i się zatrzymała. Czekala wsłuchana w ciemność. Miała pewność, że on tam jest. Usiadła i po chwili odezwała się do cieni:

- Może się do mnie przyłączysz. Męczą mnie już te podchody.

Usłyszała, jak się zbliża, jeszcze zanim go zobaczyła. Jego sylwetka pojawiła się w mroku. Szedł spokojnie, wyprostowany, swobodnie trzymając ręce w kieszeniach lekkiej kurtki. Zatrzymał się tuż przy niej i spojrzał na nią z delikatnym półuśmiechem. W odpowiedzi również się uśmiechnęła.

Zadarła ku niemu głowę.

- Witaj, Miles - powiedziała.

Skinął głową, odwzajemnił jej uśmiech i przez chwilę stał z założonymi rękami, zanim usiadł obok niej.

Oboje milczeli.

- Od jak dawna wiesz? - zapytał w końcu.

- Zauważyłam cię na lotnisku - odparła, a on zachichotał.

W blasku pełnego księżyca widziała, że ostatnie miesiące dały mu się we znaki. Wokół oczu miał więcej zmarszczek, a skórę od płatka lewego ucha po brodę znaczył dziesięciocentymetrowy srebrny szlak. Lekko dotknęła jego twarzy i obróciła ją ku sobie, aby lepiej mu się przyjrzeć.

- Oberwałem odłamkiem. Nowa blizna do kolekcji. Zaczynam doganiać ciebie - powiedział. Długą chwilę milczał, po czym

dodał: - Dlaczego nic nie dałaś po sobie poznać? Mogłem sobie darować zabawę w inwigilatora.

- Miałabym zniszczyć iluzję tej małej... hm... - Munroe nakreśliła palcami w powietrzu znak cudzysłowu - interwencji Logana?

- Martwi się o ciebie. Mówi, że znowu zaczęłaś brać.

- To prawda. Ale nie z tego powodu, o którym myśli.

- Powiniennem się martwić?

Munroe pochyliła się do przodu i oparła łokcie na kolanach. Twarz odwróciła tak, że nie oświetlał jej księżyc.

- Może.

Z trudem szukała słów, które mogłyby oddać koszmar, jakim stała się dla niej ostatnio kraina snów.

- Ma to jakiś związek z Afryką? - spytał.

Zerknęła na niego.

- Kto wie - odparła. - Tamto na pewno mi w niczym nie pomogło. - Ponownie obróciła twarz tak, że spowił ją mrok. Zmrużyła powieki. - Już się pogodziłam z tym, co się tam stało, Miles. Nie mogę na nowo napisać przeszłości, nawet gdybym bardzo chciała. Wiem, że wtedy nie mogłam zrobić nic, co zmieniłoby bieg zdarzeń.

Umilkła na długo. Nawet jeśli Bradford chciał ją ponaglić, nie dał po sobie nic poznać.

- Zaczęło się mniej więcej półtora miesiąca temu - powiedziała w końcu. - Najpierw były sporadyczne złe sny, ale z czasem przerodziły się w huragan przemocy. Kiedy śpię, nie mam świadomości, co się ze mną dzieje. Dopiero gdy się budzę, widzę wkoło zniszczenia. - Munroe urwała i ponownie spojrzała na Milesa. - Nie dość, że zadaję śmierć na jawie, teraz może się to zdarzyć także przez sen. Nie ufam sobie. Nie potrafię nad tym zapanować i dlatego się znieczulam do nieprzytomności. - Oderwała wzrok od jego twarzy i ponownie zapatrzyła się w ciemność. - Bez snu jestem w stanie wytrzymać tylko kilka dni. Potem zacznę wariować - przyznała. -1 tak źle, i tak niedobrze.

- Byłaś u lekarza? Przepisał ci chociaż to, co trzeba?

Rzuciła mu chłodne spojrzenie.

- Już kiedyś o tym rozmawialiśmy.

Tamtą rozmowę - o sensowności badań psychiatrycznych - odbyli podczas ich pierwszego spotkania, po tym jak Munroe dowiedziała się, że to właśnie Bradford grzebał się w jej przeszłości na polecenie ówczesnego pracodawcy.

Zaczekała, aż on pojmie, o co jej chodzi, a potem spytała:

- Logan wspomniał ci o swojej prośbie... o tym, dlaczego mnie tu ściągnął?

- Nie. Sądziłem, że zrobił to ze względu na ciebie.

- Chce, żebym się wybrała do Ameryki Południowej. Mam wkraść się w łaski jakichś drani, wyrwać z ich łap córkę jego przyjaciółki z dzieciństwa i przywieźć ją z powrotem do domu.

Bradford powstrzymał się od komentarza. Munroe czekała, aż zrozumie prawdziwe podstawy altruizmu Logana. W końcu usłyszała westchnienie.

- Dokąd miałybyś jechać? - spytał z nutą troski w głosie. - Ma to jakiś związek z kartelami narkotykowymi?

- Do Argentyny - odparła. - I nie, nie chodzi o narkotyki, tylko o religię. I o porwanie. Sprawa jest skomplikowana i prawdopodobnie warta zachodu. No ale, pomijając racje, ryzyko jest ogromne i gdyby poprosił mnie o to ktoś inny, od razu bym odmówiła.

- Skoro o tym wiedziałaś, dlaczego przyjechałaś do Nowego Jorku?

- Miałam swoje powody.

- Noah?

Przytaknęła, choć w rzeczywistości nie chodziło tylko o niego.

- Wrócisz do Maroka? - spytał Bradford.

- Jeszcze nie wiem - odparła.

Przez jakiś czas milczał. Munroe wiedziała, że choć bardzo chce usłyszeć coś więcej, o nic nie zapyta. Pomyślała, że może kiedyś znajdzie powód, by obnażyć przed nim duszę, ujawnić ból, wyrazić słowami to, co Bradford i tak instynktownie wyczuwał. Ale jeszcze nie teraz.

- A oprócz niewyspania i narkotyków, co jeszcze u ciebie słyhać? - spytał po długiej pauzie.

Wzruszyła ramionami.

- Mam taki sam burdel w głowie jak zawsze... Widziałeś, co się stało wczoraj w nocy.

- Tylko część - przyznał. - Zniknęłaś mi z oczu, gdy skręciłaś w zaułek, i zanim cię dogoniłem, jeden gość już leżał martwy, a drugi zwiewał, kuśtykając.

- Rzeczywiście szybko poszło - stwierdziła. - Sadyistyczne chujki.

- Walka w obronie własnej wcale nie oznacza, że coś jest z tobą nie tak.

Spojrzała na niego.

- Nie? Przecież nikt nie każe mi się włóczyć ulicami o drugiej w nocy. Nie muszę się czaić w ciemnych zaułkach ani szukać odludnych miejsc, czekając, aż jakieś niebezpieczeństwo wciągnie mnie do gry. - Zerknęła na ścieżkę, którą oboje dotarli do ławki. - Co za różnica, czy szuka się ofiary, czy się ją udaje, w nadziei, że trafi się jakiś drapieznik?

- Ogromna.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnowała. To był temat na inną rozmowę.

- Jak długo zostaniesz w mieście? - spytała w końcu.

- To zależy - odparł. - A ty jak długo tu będziesz?

Mimowolnie się roześmiała.

- Chyba żartujesz. Logan ci płaci, czy co?

- Nie wygłupiaj się. Nikt mi nie płaci.

- No to o co chodzi?

Na jego twarzy pojawił się cień przygnębienia.

- Naprawdę nie rozumiesz?

Głośno i powoli wypuściła powietrze, po czym popatrzyła w niebo.

- Wybacz - powiedziała. - Wiem, że jesteś tu ze względu na mnie, i zdaję sobie sprawę, ile cię to kosztuje. - Spojrzała na niego, a potem znowu zapatrzyła się w mrok. - Naprawdę to doceniam... bardziej niż jesteś w stanie zrozumieć... Tylko nie sądzę, by z tego mogło wyniknąć coś dobrego.

- Może tak, może nie - stwierdził, a po pauzie dodał: - Wiesz, że cię szanuję?

Kiwnęła głową.

- To dobrze. Bo muszę ci powiedzieć, że jesteś szalona. Nosisz przy sobie noże, będąc w takim stanie. Celowo się otępiasz, próbujesz nie brać zbyt często, ale to tak, jak z jazdą po pijaku. Wydaje ci się, że masz wszystko pod kontrolą, choć w rzeczywistości tak nie jest. Michael, jesteś wystarczająco niebezpieczna na trzeźwo i bez broni.

- Przecież się nie szlajam uwalona do nieprzytomności - zaprotestowała.

- Rozumiem, ale oboje wiemy, że nie nosisz przy sobie noży dla obrony. Nie potrzebujesz ich. Jeśli zabijesz kogoś gołymi rękami, masz szansę uniknąć dożywocia. Jeśli użyjesz noża, masz przesrane, i chyba nie muszę ci tego tłumaczyć. Po co ryzykujesz?

Ryzyko. Słowo tak często używane przez ludzi, którzy nie mają pojęcia, co ono naprawdę oznacza. Gdyby usłyszała je od kogoś innego, łatwo zbyłaby to jako banał i szybko puściła w niepamięć, ale Miles uratował jej życie i dobrze wiedział, jak to jest, gdy na szalę rzuca się wszystko. On znał najprawdziwszy sens ryzyka.

Po kolejnej chwili milczenia wyciągnęła trzy ukryte pod ubraniami noże i po prostu położyła je Bradfordowi na kolanach.

Zważył je w rękach.

- Zgodziłabyś się oddać także leki? - spytał.

- Tylko jeżeli razem z nimi zabierzesz koszmary.

Nie odpowiedział, a ona pozwoliła mu milczeć. Miała nadzieję, że z czasem on zrozumie. Obróciła głowę w kierunku wschodu, gdzie niebo stawało się coraz czerwieńsze. Podniosła się z ławki.

- Muszę wracać do hotelu - powiedziała. - Zabierzesz się ze mną? Jeśli chcesz, możesz się zatrzymać w apartamencie... tam będzie ci wygodniej mnie pilnować niż na ulicach.

- Dużo was jest? - spytał.

- Miejsca nie brakuje - odparła - ale ty i tak zatrzymałbyś się u mnie.

Zmarszczył czoło. Po chwili Munroe pojęła przyczynę jego niepewności. Wzięła go pod ramię i pociągnęła za sobą.

- Ja naprawdę się staram, Miles - powiedziała. - Bardzo. Je-

zeli chcesz mi pomóc, a jestem gotowa się na to zgodzić, zrobimy wszystko jak trzeba. Bądź przy mnie.

Słońce zdążyło się wyłonić zza horyzontu, zanim dotarli do hotelu. Munroe otworzyła drzwi akurat w chwili, gdy szedł ku nim Logan. Na jego twarzy lęk mieszał się z ulgą, tak jakby wcześniej krążył po apartamencie, myśląc, że ona już nie wróci. Dopiero po chwili zauważył Milesa. Zbladł i stanął jak wryty. Zdumienie wyparło wszystkie inne uczucia.

Miles kiwnął do niego głową. Logan jeszcze przez pół sekundy trwał w bezruchu, po czym obrócił się bez słowa do telewizora, a potem zerknął na Munroe, jeszcze raz na telewizor i znowu na nią.

Znużona jego niezdecydowaniem, spytała w końcu:

- O co chodzi, Logan?

Bezładnie wskazał na telewizor. Dźwięk był wyciszony, ale na ekranie migwały nagłówki lokalnych wiadomości.

- Funkcjonariusz nowojorskiej policji został zamordowany przedwczoraj w nocy - powiedział. - Dziś rano ktoś wyciągnął jego ciało ze śmietnika. - Wlepił wzrok w ręce Munroe, już dawno wymyte do czysta, i wyszeptał: - To twoja sprawka?

Sprzeczne myśli w głowie. Nie potrafiła skojarzyć tego, co usłyszała od Logana, z tym, co zapamiętała. *Funkcjonariusz policji*. Bez słowa odwróciła się do przyjaciela plecami. Świat poruszał się klatka za klatką, w zwolnionym tempie. Stała obok Milesa przed telewizorem.

Dźwięk wciąż był wyłączony, ale pasek z najnowszymi wiadomościami przesuwiał się w dole ekranu. Po raz kolejny pokazywano krótką relację z miejsca zbrodni. Patrzyła w milczeniu. Po chwili Logan ponowił pytanie, tym razem oskarżycielskim sykiem. Munroe odwróciła się od telewizora, spojrzała mu prosto w twarz, po czym bez słowa zniknęła w sypialni, zamykając za sobą drzwi. Patrzył za nią zdumiony i wystraszony.

Stała przy oknie. Światło poranka padało na jej ręce. Przesunęła wzrokiem po niewidzialnych plamach śmierci, które je znaczyły. Usłyszała ciche pukanie i drzwi się uchyliły. Bradford

wetknął do środka głowę, a potem, nie czekając na zaproszenie, wszedł do pokoju. Zamknął drzwi, podszedł do niej i spojrzał przez okno na miasto.

- Zostawiłaś jakieś ślady, które mogliby wykorzystać jako dowody przeciwko tobie? - spytał.

Powoli przeniosła na niego wzrok.

- Nie wydaje mi się.

Bradford dotknął kciukiem jej podbródka.

- Chyba powinnaś przyjąć to zlecenie - stwierdził.

Oparła czoło o jego dłoń.

- Jeżeli ci mężczyźni naprawdę byli z policji, rozpęta się burza, a ja nie zamierzam uciekać od popełnionych błędów.

- Potraktuj to jako premię - stwierdził. - Bóg jeden wie, jak bardzo potrzebowałaś odpoczynku. Na pewno nie narzekasz na nudę, ale nie przyszło ci do głowy, że ten dłuższy okres prze-stoju jest częścią problemu?

Ponownie odwróciła się do okna, do ludzkich mrówek i samochodzików-zabawek poruszających się ulicami. Zdawała sobie sprawę, że potrzebuje zajęcia. Od Mongomo upłynęło już niemal osiem miesięcy i wewnętrzne napięcie stale w niej rosło. Mogła się go pozbyć, jedynie skupiając się na kolejnym zadaniu. Ale propozycja Logana? To była forma szaleństwa.

- Śmierć mnie prześladowuje - stwierdziła. - Mogę wydobyć stamtąd dziewczynkę, ale nie zagwarantuję, że inni przeżyją, a przecież w jakiś sposób oni wszyscy są powiązani z Loga- nem.

- Raz jeszcze spojrzała na miasto. - Pragnienie odzyskania małej zaślepia go tak bardzo, że w ogóle nie dopuszcza do siebie innych możliwości, ignoruje ryzyko... - odszukała oczy Bradforda - ...ryzyko brutalnego zakończenia. Wiem, że coś przede mną ukrywa. Sprawa nie może być tak prosta, jak ją przedstawił. Za bardzo mu na tym zależy.

- I mimo to zamierzasz jechać?

Przytaknęła.

- Już zaczęłam przygotowywać się mentalnie do zadania i jego następstw.

Zza drzwi dobiegły przytłumione odgłosy śmiechu. Oboje odwrócili się w tamtą stronę.

- Pozostali już się obudzili - stwierdziła Munroe. - Czas na grę.

Ściągnęła z wieszaka w szafie sukienkę do kostek.

- Wybacz mi na moment - powiedziała, po czym zdjęła ubranie, nie przejmując się tym, czy Bradford zechce na nią patrzeć, czy odwróci wzrok. Wiedziała, że wolałby to pierwsze, ale wybierze drugie.

Strząsnąwszy z siebie nocne zmęczenie, znowu stała się niewinna i skromna. Położyła dłoń na klamce.

- Idziesz ze mną? - spytała.

Na widok jej stroju Bradford uniósł brwi. Ona w odpowiedzi posłała mu uśmiech, a potem na ułamek chwili zamknęła oczy, aby przestawić się na inny tryb. Kiedy uniosła powieki, już była dziewczyną, która mogła wyjść z sypialni.

Czwórka, która została na noc, dołączyła do Logana w salonie. Ze strzępów wypowiedzi, które do niej docierały, Munroe zorientowała się, że ożywiona rozmowa dotyczy śniadaniowych zwyczajów z przeszłości. Telewizor był wyłączony. Logan rzadko się odzywał i dobrze ukrywał stres, którego oznaki jeszcze niedawno wyraźnie zdradzała jego twarz.

Munroe i Bradford weszli do pokoju i tak jak poprzedniego dnia rozmowa się urwała, gdy do towarzystwa dołączył obcy. Przyczyną nie była bynajmniej niedostępność grupy, obawiano się raczej, że nowo przybyły może źle coś zrozumieć.

Uśmiechając się figlarnie, Munroe przedstawiła Bradforda:

- Przywitajcie wojownika fortuny, najemnika, a czasami mojego goryla.

Po wymianie uścisków dłoni i kilku frazesów Gideon zwrócił się do niej:

- Z tego, co słyszeliśmy od Logana, nie potrzebujesz obstawy.

Choć powiedział to lekko, w jego słowach krył się cień wyzwania. Munroe nie widziała powodu, aby się bronić lub tłumaczyć. Odwróciła się do niego plecami i sięgnęła po telefon, aby zamówić dla całej grupy posiłek do pokoju. Gideon jednak ją

powstrzymał, kładąc jej dłoń na ramieniu.

Miał trzydzieści pięć lat i nosił się z pewnością mężczyzny, który wie, co to prawdziwa walka, i niejedno w życiu przetrwał. Przy wzroście metr dziewięćdziesiąt i stu trzynastu kilogramach wagi miał nad nią przewagę piętnastu centymetrów i niemal pięćdziesięciu kilogramów. Sądząc po jego zachowaniu, uważał, że łatwo da nauczkę dwudziestokilkuletniej, lekkiej, szczupłej i niewinnej dziewczynie.

Znieruchomiała. W pokoju zapadła cisza. W jednej chwili świat przybrał barwy szarości. Munroe w myślach błyskawicznie przeprowadziła serię kalkulacji. Zawieszona w czasie, zapragnęła katharsis i euforii przelanej krwi. Chciała się pozbyć bolesnego napięcia.

Logan powinien był ostrzec Gideona; powinien był to przewidzieć.

Stawała już do walki z większymi od niego i robiła to bez cienia strachu. Atakowała instynktownie, jakby to była jej druga natura. Potrafiła poruszać się z druzgocącą prędkością, pchana przerażającym szaleństwem, które graniczyło z prawdziwym obłędem. Zamiast taktyki „zaskocz i przestrasz” stosowała inną: „zaskocz i zabij”. Pragnienie mordu wryto w jej psychice po wielokroć, okrutnymi cięciami noża.

Wyprostowała się wciąż odwrócona do niego plecami i niskim głosem, na jednym tonie, powiedziała:

- Zabierz rękę.

W drobiazgowych kalkulacjach, które jej mózg rejestrował jak akustyczny obraz z echolokacji, dokładnie ustaliła miejsce każdej osoby w pokoju i przygotowała się na to, co miało się wydarzyć. Bradford podniósł się z kanapy, ale nie podszedł bliżej. Logan nawet nie wstał. Żaden nie śmiał się ruszyć z obawy, że wywoła tym jej gwałtowną reakcję. Pozostali tkwili na miejscach. Dłoń Gideona nadal leżała na ramieniu Munroe.

- Nie chcę ci zrobić krzywdy - ostrzegła, wciąż odwrócona do niego plecami, próbując zapanować nad chęcią ataku.

Palce Gideona się zacisnęły. Szarpnął ją.

- Hej, coś do ciebie powiedziałem - rzucił.

Ogarnął ją mrok. Czas przestał istnieć. Granice ruchów się

zatarły. Liczył się tylko instynkt, bez myśli. Po chwili Gideon klęczał, obejmując dłońmi gardło i z trudem chwytał powietrze, a ona stała nad nim gotowa do następnego ciosu.

Zerknęła na Logana i zamiast przerażenia, którego się spodziewała, zobaczyła uśmiezek. Pojęła, że to wszystko przez niego i te jego głupie, niebezpieczne gierki, którymi niepotrzebnie próbował coś udowodnić. Wyprostowała się, wyciągnęła do Gideona rękę i pomogła mu wstać, a potem lekko klepnęła go w ramię.

- Spokojnie oddychaj - powiedziała. - Nic ci nie będzie.

Pozostali wrócili do przerwanej rozmowy, tak jakby nic się nie wydarzyło. Kiedy przyniesiono śniadanie, dyskusja znowu zeszła na temat ściągnięcia Hanny do domu. Logan prawie się nie odzywał, a wzrokiem często szukał Munroe, tak jakby prosił, aby się tego podjęła. Ona w odpowiedzi się uśmiechała, ale zważywszy na okoliczności, ten uśmiech wywoływał w nim jeszcze większą niepewność.

Historie dzieci Wybranych i dotkliwość ich cierpienia uświadamiały jej, jakim szaleństwem byłoby przyjęcie tego zlecenia oraz dlaczego zamierzała to zrobić. Nie stała za tym żadna logika, żadna lista za i przeciw. Robiła to wbrew wszelkim kalkulacjom i skrupulatnej dokładności, jaką dotychczas kierowała się w pracy. Chęć przyjęcia zadania wypływała z głębi niej. Była jak pragnienie niewinnego dziecka sprzed lat, jak modlitwa o ratunek, która nigdy nie doczekała się odpowiedzi.

Tym razem to Bradford zadawał pytania, a pozostali na nie odpowiadali. Munroe w milczeniu obserwowała mowę ciała i miny obecnych. Tak jak poprzedniego dnia rozmowie towarzyszyła atmosfera zbiorowego niedowierzania. I nie bez przyczyny.

Tu nie chodziło o zlecenie typowych klientów ubranych w drogie garnitury, którzy podejmowali decyzje z chłodnym wyrachowaniem biznesmenów, dysponowali milionami dolarów, knuli plany w tajemnicy przed zarządami spółek i znali Munroe jedynie ze słyszenia. To zadanie miało skromny budżet i dotyczyło ogromnie osobistej sprawy. Wszystko, co ci ludzie mieli, zależało teraz od zaangażowania i zdolności obcej im

osoby.

Rozmowa stawała się coraz głośniejsza i Munroe z rozbawieniem patrzyła, jak z wymiany zdań wyłaniają się opinie i strategię. Bradford zadawał pytania wprost, mniej skupiając się na sentymentach i uczuciach, a bardziej na logistyce. Jako żołnierz odsuwał emocje na dalszy plan, aby ocenić ryzyko. Jego chłód nie był osobisty, tego wymagało od niego wojenne rzemiosło. Z obecnych tylko Gideon i Logan - obaj byli żołnierze - potrafili to zrozumieć.

Munroe wstała. Zrobiła to świadomym, powolnym ruchem, odsuwając najpierw krzesło daleko od stołu. Rozmowa urwała się gwałtownie. Michael pochyliła się do przodu i oparła dłoń o blat.

- Jestem gotowa - oznajmiła.

Rozdział 7

Buenos Aires, Argentyna

Hanna cichutko zeszła po schodach i na palcach ruszyła w kierunku kuchni. Opuszczenie łóżka o tak późnej porze było okropnym nieposłuszeństwem, ale musiała coś sprawdzić. Ciekawość nie dawała jej zasnąć, a ponieważ ostatnio niczym się nie naraziła opiekunom, miała nadzieję, że nawet jeśli zostanie przyłapana, nie spotka jej zbyt surowa kara.

W porównaniu z jej salą, zatłoczoną i niemal stale wypełnioną gwarem, dom wydawał się mroczny i okropnie pusty. Tablica z rozkładem dnia z daleka przypominała niewyraźną, jaśniejszą plamę na ścianie korytarza. Hanna zatrzymała się przed nią i wyteżyła wzrok, szukając zapisanego flamastrem własnego imienia. W końcu dojrzała je pod załogą kuchenną.

Jęknęła. Zwykle lubiła pracę w kuchni. Była o wiele przyjemniejsza niż wędrowanie ulicami miasta i prośenie o datki w biurach i sklepach, a już na pewno lepsza od mycia podłóg i sprzątnięcia ubikacji. Ale wiedziała, że podczas dyżuru w kuchni bardzo trudno jej będzie złapać Rachelę samą, bo w przeciwieństwie do Hanny, której przydzielano różne obowiązki, Rachelę zawsze miała to samo zajęcie. Była o rok starsza i opiekowała się grupką młodszych dzieci przez całe dni, a także noce. Miała wolną tylko część niedzieli.

Pracując w kuchni, Hanna potrzebowała naprawdę dobrej wymówki, aby pójść do sali maluchów i pogadać z Rachelą, dlatego wołałaby, aby akurat tego dnia przydzielono ją do sprzątnięcia toalet.

Opowiadanie o tym, co się stało, byłoby nieposłuszeństwem, ale Sunshine nie ostrzegała, że nie wolno również pytać. A jeżeli to, co spotkało wczoraj Hanne, przydarzyło się również Racheli, nie było mowy o żadnym opowiadaniu, bo obie już

wszystko wiedziały, więc przewinienie nie byłoby takie oczywiste. Chyba. Jediną osobą, do której Hanna mogła się zwrócić - jedyną, która mogła ją zrozumieć - była właśnie Rachela.

Postanowiła spróbować, bo czasami, kiedy nie dało się o czymś zapomnieć, jedynym sposobem na to, by się lepiej poczuć, była rozmowa z kimś, kto wiedział, o jaką złą rzecz chodzi.

Poprzedniego dnia minęły aż trzy godziny, nim wróciła Sunshine. Im więcej czasu upływało, tym bardziej nieprzyjemny stawał się tamten mężczyzna i tym trudniej było pozostać w kryjówce w głębi duszy i hamować łzy. Ale zdołała wytrzymać.

Pan Carean chyba dokładnie wiedział, kiedy wróci Sunshine, bo pozwolił Hannie się ubrać, a potem wysłał ją samą do recepcji dosłownie chwilę przed tym, jak jej opiekunka stanęła w drzwiach.

Sunshine zabrała Hannę z powrotem do furgonetki, w której czekał Sadok. Żadne się nie odzywało. Zwykle jeśli któremuś z podopiecznych przypadkiem zdarzyło się samotnie natknąć na kogoś z Pustkowie, dorośli chcieli wiedzieć wszystko, usłyszeć każde słowo, aby zyskać pewność, że dziecko nie zostało duchowo zatrute ani nie wyjawilo żadnej Tajemnicy niewłaściwej osobie. Ale tym razem sprawiali wrażenie, jakby ich to nie interesowało, i może tak było lepiej, bo Hanna czuła ogromny wstyd i naprawdę bardzo, ale to bardzo nie chciała z nimi o tym rozmawiać. Wolala zapomniec.

Sunshine uprzedzila Hanne, ze to Tajemnica, i mowiac o tym, zlamalaby zakaz, ale w ogole nie musiala tego tlumaczyc. Hanna nigdy nie zamierzala rozmawiac na ten temat z nikim doroslym, nawet gdyby opiekunka jej nie ostrzegla. Byla na to za madra. Wolala, zeby nie dowiedzial sie o tym zaden z pelnomocnikow Proroka, bo wina spadlaby na Hanne, tak jak rok wczesniej w Chile, kiedy powiedziala innym o wuju Gabrielu, a oni stwierdzili, ze skusila go ona i demony, ktore w nia wstapily. Upokorzono ja wtedy przed cala Przystania i potem dlugo karano.

Odwrócila sie od tablicy, na paluszkach pokonala korytarz,

cicho wspięła się po schodach i wślizgnęła do łóżka. Przez cały czas się zastanawiała, jak znaleźć okazję do rozmowy z Rachelą, z którą jeszcze nie tak dawno łączyła ją przyjaźń na tyle bliska, że opiekunowie z Przystani zakazali im kontaktów.

Tak to się tutaj odbywało - można było się kolegować, ale nie na tyle, by zostać najlepszymi przyjaciółmi, bo istniało ryzyko, że dla najlepszych przyjaciół, tak jak dla małżonków, drugi człowiek stanie się ważniejszy niż Pan, Prorok lub Przystań. Taka ważna osoba mogłaby ją nakłonić do zachowania sekretów. Nawet jeśli dziewczynki łączyło tylko koleżeństwo, opiekunowie czasami uznawali, że to prawdziwa przyjaźń, a ponieważ nie dało się udowodnić, że jest inaczej, trzeba było bardzo uważać. Ona i Rachelę okazały się nieostrożne.

Teraz sprawy układały się trochę lepiej. Przynajmniej pozwalano im ze sobą rozmawiać, ale opiekunowie i tak ciągle mieli je na oku. Dlatego Rachelę przeniesiono do sali maluchów i przydzielono jej stałe obowiązki, aby nie dać koleżankom zbyt wielu okazji do spotkań.

Podczas porannych modlitw Hanna starała się siedzieć jak najspokojniej i patrzeć w książkę, choć wcale nie czytała. Czuła się winna, ale już nawet nie próbowała skupiać się na tekście, bo choćby starała się nie wiadomo jak bardzo, to dźwięki i tak wchodziły jednym uchem, a wychodziły drugim, i dopiero kilka stron dalej uświadamiała sobie, że nie przeczytała ani jednego słowa.

Nauki - słowa Proroka - miały ogromne znaczenie dla jej duchowego zdrowia i były absolutnie niezbędne, aby mogła się ustrzec przed diabłem i jego demonami. Mimo to nie dała rady skupić myśli. Starła się nie wiercić i nie spoglądać wciąż na zegar. W końcu dwie godziny dobiegły końca i sala opustoszała.

Kilkanaście osób - grupka dorosłych, ale w większości młodzież, która tak jak Hanna pracowała w charakterze zamienników - ruszyło do tablicy z rozkładem, aby sprawdzić, jakie obowiązki przydzielono im na dany dzień. Hanna już to wiedziała, ale i tak poszła za resztą i po odpowiednio długim studiowaniu

planu skierowała się do kuchni, gdzie wkrótce miały się rozpocząć gorączkowe przygotowania do obiadu.

Dopiero późnym popołudniem kierujący kuchnią Ezechiasz dał jej piętnastominutową przerwę, po której miała przystąpić do szykowania kolacji. Lubiła wuja Eza, bo nie wymagał absolutnego przestrzegania zasad i nie był surowy, inaczej niż większość dorosłych. Wystarczyło u niego sumiennie pracować i nie okazywać braku szacunku. Więcej nie żądał, a czasami nawet stroił sobie żarty.

Hanna знаła rozkład dnia i wiedziała, że Rachela będzie ze swoją grupą na dworze. Wolałaby zastać ich w sali maluchów, bo tamtędy nikt nie chodził i nie mógł zobaczyć, jak rozmawiają, ale na to nie miała co liczyć. Gdyby ich rozmowa nie zwróciła niczyjej uwagi i ani ona, ani Rachela nie wspomniałyby o niczym opiekunom, mogłyby uniknąć problemów.

Rachela siedziała na prowizorycznej ławeczce, a nieopodal sześcioro maluchów bawiło się pod baczным okiem jedenastoletniej Mercy, która pomagała starszej koleżance.

Kiedy Hanna podeszła bliżej, Rachela przesunęła się nieco, robiąc jej miejsce, ale nic nie powiedziała. Tak to już było z dziewczynkami, które podpadły przełożonym i zostały rozdzielone. Nie wiedziały, jak zacząć od nowa.

Hanna usiadła, ale Rachela wciąż milczała, więc Hanna zaczęła się przyglądać, jak Mercy zabawia dwoje z grupki podopiecznych. Ci z grona dziesięcio-, dwunastolatków mieli o wiele łatwiej niż trzynastolatki i starsi. Pracowali tylko pół dnia i po kolacji spotykali się z rodzicami, a co najlepsze, nadal przez kilka godzin dziennie mieli lekcje. Hanna najbardziej tęskniła właśnie za szkołą i żałowała, że nigdy nie miała okazji nauczyć się działań na ułamkach.

Mercy podeszła bliżej. Po jej minie Hanna poznała, że ciekawi ją powód tej wizyty. Choć Hanna zamierzała bardzo ostrożnie dobierać słowa i tak nie chciała, aby Mercy znalazła się za blisko i usłyszała rozmowę, dlatego szybko i jak najciszej spytała Rachelę:

- Ciebie też skrzywdził?

Rachela nie podniosła wzroku, ale po chwili skinęła głową.

Najlepsze było to, że nie łamiąc żadnej zasady, Hanna się czegoś dowiedziała, i że bez wyjawiania szczegółów obie wiedziały, o czym rozmawiają.

Powiedzenie czegoś więcej byłoby jednak zbyt ryzykowne, jeśli Rachelą nie zamierzała się odezwać. Hanna czekała, ale koleżanka milczała, a chwilę później Mercy stała tuż obok ławki, niczym wścibska podsłuchiawczka, która koniecznie chciała wszystko wiedzieć.

Hannie kończył się czas i w zasadzie nie dowiedziała się niczego ponad to, że nie była jedyna. Milczenie Racheli obudziło jej niepokój. Obawiała się trochę, że może napomknąć o spotkaniu opiekunom. Ze ściśniętym żołądkiem wróciła do kuchni. Ponieważ jej ręce potrafiły pracować niezależnie od tego, o czym myślała, i ponieważ wiedziała, że Ez jej nie upomni, jeśli tylko dotrzyma kroku reszcie, do końca popołudnia pozwoliła swoim myślom wędrować.

Kiedy wuj Eliaz po nią przyszedł, był już późny wieczór. Zajrzał do sali dziewcząt i poprosił, aby na chwilę wyszła. Wyjaśnił, że musi z nią porozmawiać, i to wystarczyło, aby Hannie zebrało się na wymioty. Z takich rozmów nigdy nie wynikało nic dobrego.

Tak bardzo uważała, żeby nie złamać żadnej zasady, ale to i tak nie miało znaczenia, bo chyba Rachelą na nią doniosła, a Hanna nie miała jak się dowiedzieć, czy koleżanka powiedziała prawdę.

Eliaz zabrał Hannę do niewielkiego pokoju, który służył mu za biuro. Zaczepił zawieszki na klamce i zamknął drzwi. Było jeszcze gorzej, niż myślała. Jeśli Eliaz, główny przełożony Przystani, zabraniał innym wchodzić, nikt nie wchodził, a to oznaczało, że wszystko mogło się wydarzyć.

Kazał jej usiąść na jednym z rozkładanych krzeseł. Gdy go posłuchała, zajął miejsce naprzeciwko. Przez minutę milczał, wpatrując się w nią intensywnie. Nawet gdyby chciała odwzajemnić jego spojrzenie, nie dałaby rady. Cała dygotała w środku i na zewnątrz. Na razie jeszcze powstrzymywała łzy, które napływały zawsze, gdy się bała.

- Pan pokazał mi, że byłaś nieposłuszna - powiedział Eliaz -

a tego nie możemy tolerować. Takim postępowaniem wpuszczasz w nasze szeregi diabła.

Nie powiedział jej, czym się naraziła, dorośli nigdy tego nie mówili, a Hanna bała się zapytać, bo mogła tylko pogorszyć sprawę, wyjawiając coś, o czym przełożony jeszcze nie wiedział. Nawet gdyby nie zrobiła tego dnia nic niewłaściwego, i tak nie mogłaby się wytłumaczyć i musiała przyjąć wyznaczoną jej karę.

To było takie frustrujące, że nigdy nie dało się nic wyjaśnić ani nikt nie dawał szansy na poprawę. Trzeba było po prostu przelknąć karę.

Oczy ją zapiekły.

- Przez dwa tygodnie będziesz pod specjalnym nadzorem - powiedział Eliasz. - Poprosiłem Morningstar, żeby przez ten czas pełniła rolę twojej strażniczki. Poza tym obowiązuje cię nakaz milczenia, dopóki nie uznam, że w twoim sercu na powrót zagościł Pan.

Hanna skinęła głową. Choć bardzo się starała, nie zdołała powstrzymać cisnących się do oczu łez. Ciągły lęk, okropne rzeczy, które spotkały ją podczas ostatniego pobytu w mieście, donos Racheli i ta kara - tak wiele spadło na nią tak szybko, jedno po drugim, bez przerwy, która pozwoliłaby emocjom opaść i dałaby jej czas na przetrawienie uczuć i na upchnięcie ich głęboko.

Jednocześnie poczuła też ulgę. Dwa tygodnie stałej kurateli Morningstar i zakaz rozmawiania z kimkolwiek nie były takie złe w porównaniu na przykład z publiczną karą bicia, która polegała na tym, że winowajcę okładano kijem w obecności wszystkich mieszkańców Przystani, dopóki nie zaczął błagać o litość.

Mimo to nie mogła powstrzymać łez, a gdy już zaczęły płynąć, nie chciały przestać. Kilka by nie zaszkodziło. Dowiodłaby tym, że żałuje swoich czynów. Jednak zbyt wiele łez mogło na nią sięgnąć nowe kłopoty, ale i tak nie potrafiła ich zatrzymać, Wstrząsał nią przejmujący szloch i w końcu Eliasz wziął ją za rękę, przyciągnął do siebie i posadził sobie na kolanach.

- Może okazałem ci zbytnią surowość - powiedział. - Prorok

naucza, że kara bez miłości jest wbrew boskiemu prawu, a ogromnie ważne jest, abyś wiedziała, jak bardzo Pan cię kocha.

Dłonie Eliasza powędrowały pod jej koszulę nocną i spoczęły na nagich udach. Jego dotyk krępował ją i sprawiał, że poczuła się jeszcze gorzej niż w chwili, gdy wchodziła do tego pokoju ze świadomością, że czeka ją coś niedobrego.

- Może problemem... - ciągnął Eliasz - ...może powodem twojego nieposłuszeństwa jest, kochanie, to, że nie otrzymywałaś dość miłości Pana.

Hanna próbowała przestać płakać. Wiedziała, do czego zmierza opiekun, i chciała uciec. Ale dopóki łzy płynęły, nie miała wymówki. Eliasz trzymał ją na kolanach i nie mogła tak po prostu wstać, nie prowokując tym nowych problemów.

- Poprzez kary Pan okazuje ci swoją miłość, dziecino. Czasami Bóg musi cię skrzywdzić, abyś mogła się nauczyć odpowiednio postępować. No ale może okazuję ci zbyt wielką surowość w chwili, gdy ty potrzebujesz łagodności.

Hanna pragnęła uciec z kolan Eliasza, nawet gdyby miała rozgniewać tym Jezusa. Takiej miłości nie chciała. Próbowała zdusić płacz. Walczyła ze sobą, bo łzy nie przestawały płynąć. Teraz mogła już tylko schować się w to inne miejsce, pozwolić myślom odpłynąć daleko, jak najdalej od tego pokoju i tego mężczyzny, jak najdalej od wszystkiego, co miało związek z błogosławieństwem miłości.

Rozdział 8

Międzynarodowe lotnisko imienia Johna F. Kennedy'ego, Nowy Jork

Wbrew wszelkim zasadom, jakie dotąd pomagały jej przetrwać w pracy i w życiu, Munroe weszła na pokład samolotu do Buenos Aires w towarzystwie trzech osób. Nie prosiła Logana i jego przyjaciół, aby z nią lecieli, ale i nie próbowała ich zniechęcać, gdy nalegali, żeby jej towarzyszyć. Wiedziała, że w odpowiednim momencie dopnie swego.

Zawsze pracowała sama. Zbieranie informacji było zajęciem, które najlepiej się wykonywało w pojedynkę. Stawała się cieniem, duchem, wtapiała się w tło i przyjmowała role konieczne do wypełnienia zadania. Nie znosiła partnerów ani „doczepek”, żadnych kolegów, którzy by mogli coś spaprać. Polegała wyłącznie na sobie i nie martwiła się o nikogo i o nic, oprócz siebie. Taka taktyka pozwalała jej nie zwracać na siebie uwagi i pomagała przetrwać.

Poza wyprawą do Afryki, gdzie towarzyszył jej Miles Bradford, najczęściej pomagał jej właśnie Logan. Ubezpieczał ją z daleka. Jeżeli potrzebowała pomocy, zajmował się zleceniami od strony organizacyjnej. Był źródłem zaopatrzenia, człowiekiem, na którym mogła polegać, i tym, który podawał jej tlen, gdy schodziła pod ziemię. Teraz jednak z pomocnika stawał się ciężarem.

Miała nadzieję, że kiedy przyjmie zadanie, Logan się uspokoi, że znając ją dobrze, sam się wycofa i zostawi sprawę profesjonalistce, aby spokojnie mogła robić to, co umiała najlepiej. Tymczasem on wciąż jej nie odstępował, wtrącał się w każdy drobiazg i - jak zawsze uparty - obsesyjnie wypytywał o najświeższe informacje i opinie.

Znalazł się w trójce, która zażądała przyłączenia do tego cyrku, i teraz Munroe szła za nim w głąb napompowanego

przesuszonym powietrzem wnętrza samolotu, przez klasę ekonomiczną, przyglądając się po drodze twarzom tych, którzy już zajęli miejsca, i swoim zwyczajem dotykając foteli w niemym odliczaniu rzędów dzielących ją od najbliższego wyjścia ewakuacyjnego. Za nią ciągnęła się Heidi, a dalej Gideon. Dreptali jak pisklęta za kwoką.

Lecieli z Nowego Jorku do Buenos Aires bez międzylądowania, a to oznaczało jedenaście godzin w samolocie. Bilety kupili ze zbyt małym wyprzedzeniem i dostali jedynie po dwa miejsca obok siebie, i to oddzielone czternastoma rzędami.

W połowie kabiny Logan się zatrzymał i zaczął pakować bagaż podręczny do schowka nad głową, ale Munroe go powstrzymała i wyjęła mu z dłoni jego kartę pokładową. Dostatecznie długo ustępowała mu i tolerowała jego nieustanne pytania i wścibstwo. Gdyby musiała przez całą noc siedzieć obok niego, najprawdopodobniej rano znaleziono by go martwego.

- Usiądę obok Heidi - oznajmiła.

Zdziwiona Heidi niepewnie zerknęła na Logana. Zawahał się, ale po chwili kiwnął głową, mocno zaciskając usta. Żeby go udobruchać, Munroe żartobliwie szturchnęła go w ramię, a on odwzajemnił się jej spojrzeniem, w którym zobaczyła wdzięczność.

Odsunęła się na bok, przepuszczając Heidi na fotel przy oknie, a potem usunęła się z przejścia, aby Gideon mógł ją minąć. Gdy mężczyźni ruszyli na tył samolotu, Munroe obejrzała się za nimi. Wcześniejsze podejrzenie, że Logan coś ukrywa, zamieniło się w pewność.

Schowała bagaż podręczny i rzuciła na otwarty stolik grubą szarą teczkę. Z tym wszystkim musiała się zapoznać podczas nocnego przelotu.

- Niewiele sypiasz, co? - zagadnęła ją Heidi.

Munroe otworzyła teczkę z dokumentami, którą Logan dał jej na krótko przed wejściem na pokład.

- To aż takie oczywiste?

Heidi uśmiechnęła się ciepło.

- Trudno byłoby nie zauważyć. Zawsze tak jakoś wychodzi, że błyskotliwość i bezsenność idą w parze. Jako osoba, która

potrzebuje ośmiu godzin snu, zazdrozczę ci tych kilku dodatkowych godzin życia.

Heidi była brunetką z niebieskimi oczami. Przy wzroście stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów miała lekką nadwagę, a jej magnetyczna osobowość sprawiała, że nie wyglądała na swoje trzydzieści sześć lat. Potrafiła wyrażać skomplikowane idee ze zwięzłą prostotą, co z pewnością czyniło z niej świetnego menedżera. Dla Munroe ta umiejętność była źródłem, które zamierzała wykorzystać - tymczasowym oknem, pozwalającym zajrzeć do życia jednego z dzieci Wybranych.

Zastanowił ją zawołany komplement Heidi. Próbowwała się w nim dopatrzeć pochlebstwa, ale wyczuła jedynie szczerłość.

- Nie ma czego zazdrościć - odparła. - Czasami nie jest to warte ceny, jaką trzeba płacić.

Heidi wyciągnęła z torebki książkę i ją otworzyła.

- Logan mówił, że wychowałeś się na misji, to trochę tak jak my.

Munroe przytaknęła.

- Urodziłam się w Kamerunie. W zachodniej Afryce.

- I dlatego nosisz męskie imię?

- W pewnym sensie - przyznała Munroe. - Kiedy miałam siedemnaście lat, dzięki łapówce wkupiłam się na pokład frachtowca, który płynął do Europy. Nie chciałam ściągać na siebie kłopotów kobiecym wyglądem, dlatego ogoliłam głowę, owinęłam bandażem piersi i ubrałam się jak chłopak. Potrzebowałam imienia, które pasowałoby do przebrania, i stąd się wzięło Michael.

-I pomogło ci?

- Imię?

- Przebranie.

Munroe spojrzała z ukosa na towarzyszkę.

- Gdybym dziś tak się ubrała, wzięłabyś mnie za mężczyznę.

Heidi z powątpiewaniem uniosła brwi. Munroe nie miała jej tego za złe. Trzeba to zobaczyć, żeby uwierzyć.

- Dlaczego wybrałaś właśnie to imię? - spytała Heidi.

- Wydawało mi się odpowiednie. Miałam żonę króla Da-

wida w Biblii. Nie mogła mieć dzieci.

Heidi uśmiechnęła się. Biblia była dla niej znajomą działką.

- Jej imię miało inną pisownię - zauważyła.

- No i nosiła kobiece stroje - dorzuciła Michael.

- Tak jak i ty - stwierdziła Heidi. - Dlaczego więc posługujesz się męskim imieniem?

- Rzadko noszę babskie ciuchy - przyznała Munroe. - Zawód wymaga ode mnie podróżowania w niebezpieczne miejsca, i tak jak na tamtym frachtowcu, w męskim przebraniu przeważnie jest mi łatwiej zdobyć to, czego potrzebuję. Poza tym moi klienci nie mają pojęcia, że jestem kobietą. Takie imię mi pasuje, więc zostało.

- A jakie jest twoje prawdziwe imię?

- Vanessa - odparła Munroe, uśmiechając się przeciągle.

Heidi pochyliła się ku niej, tak jakby zamierzała powierzyć jej sekret.

- Ja naprawdę mam na imię Batszeba - wyszeptwała. - Nie-nawidziałam go tak bardzo, że zmieniłam je, gdy odeszłam od Wybranych. Teraz używam mojego drugiego imienia.

- Mikal i Batszeba - powtórzyła Munroe. - Powinniśmy znaleźć sobie jakiegoś Dawida.

Heidi zaśmiała się i wróciła do książki, a Munroe przeniosła wzrok na plik dokumentów. Usunęła spinacz, przerzuciła kilka kartek i przełączyła się na inny tryb pracy.

W świecie informacji dokładność decydowała o życiu lub śmierci. Domysły i zbytnia zażyłość mogły się stać pułapką. Patrzyła na wszystko z zupełnie innej perspektywy teraz, gdy stała na krawędzi infiltracji i porwania, niż w chwilach, gdy udawało jej się dostrzec migawki z życia Logana, przy wspólnej grze w bilard i piwie.

Trudność tego zadania polegała na tym, że wymagało ono pełnego zanurzenia. Musiała odrzucić wszelkie uprzedzenia, zapomnieć o wszystkim, co sądziła, że wie, i zastąpić to tym, co musiała wiedzieć. Teczka z dokumentami zawierała informacje na temat Proroka i Wybranych, które miały jej pomóc w zrozumieniu sprawy.

Siedziała z zakreślaczem w dłoni i notatnikiem w gotowości.

Kołowanie przed startem i przypomnienie o obowiązku ustawienia oparć w pozycji pionowej zarejestrowała jako niewyraźny sygnał na peryferiach świadomości. Upłynęły całe godziny, zanim wyprostowała plecy i się przeciągnęła. Poczowała na sobie uważny wzrok Heidi.

Ignorując nieskrywaną ciekawość towarzyszki, dokończyła zakreslanie i robienie adnotacji. Kiedy wreszcie odłożyła długopis, usłyszała głos Heidi:

- Jest tego sporo... szybko czytasz.

- To dopiero pierwszy raz - odparła Munroe. - Na początek określam główne wątki, tworzę szkielet. Robienie tego w drodze, w pośpiechu, sprawia, że łatwo mogę przeoczyć ważne elementy. Dlatego wołałam, żebyś to ty przy mnie usiadła. Wiesz o wielu sprawach, które w ogóle się nie pojawiają w tych materiałach.

Tak jak przypuszczała, jej wyjaśnienie uspokoiło Heidi.

- W twoim przypadku edukacja też się zakończyła na poziomie piątej-szóstej klasy? - spytała.

- Zgadza się.

- Sprawiasz wrażenie bardzo dobrze wykształconej - zauważyła Munroe. - Jak udało ci się zejść tak daleko, choć otrzymałaś tak niewiele?

- Wykształcenie to nie to samo, co inteligencja i zapał - odparła Heidi i ponownie się uśmiechnęła. Miała w sobie słodki czar, tak subtelny, że większość osób tego nie zauważała. Możliwe, że sama nie była go świadoma. Stanowił część jej naturalnego uroku i w tym była bardzo podobna do Logana. - Wtedy część z nas tak bardzo pragnęła wiedzy, że przemycaliśmy różne materiały do czytania. Słowniki. Niekiedy jakiś tom encyklopedii... czasami były w naszych Przystaniach, tylko nie mieliśmy do nich swobodnego dostępu. Dlatego je wykradaliśmy.

- Przyłapano cię kiedyś na tym?

Heidi westchnęła niemal z nostalgią.

- Tak. Raz zostałam zamknięta w szafie na trzy dni bez jedzenia, a pozostali modlili się za mnie i próbowali odpędzić demony, które opętały mnie pragnieniem wiedzy rodem z Pust-

kowia. - Roześmiała się. - Nie na wiele się to zdało.

Munroe przełożyła kilka ostatnich kartek, odwróciła cały plik, zajrzała do notatek i ponownie wróciła do dokumentacji, szukając odpowiedzi na pytanie, które dopiero się w niej rodziło. Pośpiech, z jakim realizowano przedsięwzięcie, oznaczał, że musiała polegać na materiałach przygotowanych przez Logana, i choć nic nie mogło dorównać jakości jej pracy, on dobrze wiedział, jakiego rodzaju informacje będą jej potrzebne, dlatego przygotował gruby plik kserokopii, wewnętrznych dokumentów, wycinków z gazet, fragmentów książek i wydruków stron internetowych. To powinno na początek wystarczyć, a jednak utknęła w martwym punkcie.

Odwróciła się do Heidi.

- W tych materiałach nie znalazłam nic, co tłumaczyłoby, dlaczego Prorok musi ciągle żyć w ukryciu i przenosić się z miejsca na miejsce ani dlaczego jest poszukiwany przez Interpol. Nikt nie aresztuje ludzi za odmiennność, chyba że z odmiennością wiąże się łamanie prawa.

Heidi zmarszczyła nos. Przekrzywiła głowę, tak jakby ją również to dziwiło, a po chwili wycelowała palcem w dokumenty.

- Mogę do nich zajrzeć?

Munroe podała jej plik i Heidi przejrzała go pobieżnie.

- Wielu rzeczy tutaj nie ma - stwierdziła.

- Dlaczego?

Heidi wzruszyła ramionami.

- Musisz zapytać o to Logana, bo nie są to sprawy, które łatwo się zapomina - przyznała i od razu zmieniła temat, pośpiesznie wyrzucając z siebie pytanie, które niewątpliwie dręczyło ją przez ostatnie dni: - Dlaczego to robisz? - Na moment umilkła, po czym zaczęła od nowa, tym razem powoli, tak jakby ważyła każde słowo, w obawie, że może zostać źle zrozumiane. - Dlaczego zgodziłaś się przyjąć to zlecenie? Na pewno nie dla pieniędzy, no i nie dla sprawy. Więc dlaczego? Dlatego, że przyjaźnisz się z Loganem? Czy to dostateczny powód?

Munroe usiadła wygodniej, chwilowo odsuwając na dalszy

plan pytanie o brakujące dokumenty. Jak miała wyjaśnić coś, co sama ledwie rozumiała.

- Mam wyjątkowe umiejętności, Heidi - odparła w końcu. - I robię to dlatego, że potrafię.

Za rozsuwanymi drzwiami czekał na nich zaskakująco chłodny świat i Munroe w ślad za resztą opuściła terminal Buenos Aires-Ezeiza, największego portu lotniczego w Argentynie, wychodząc prosto pod zachmurzone niebo.

Jedenastogodzinny lot przeniósł ich z wilgotnego, nowojorskiego upału w sam środek zimy Buenos Aires. Munroe głęboko wciągnęła powietrze, wdychając mieszankę spalin i zimnej mżawki - esencję lotniska, miksturę woni, która poprzedzała każde zlecenie, zapach nowej misji i skupienia.

W trakcie lotu Logan z Gideonem sporządzili plan i gdy tylko wszyscy znaleźli się na ziemi, wspólnie objęli dowodzenie niewielką grupką. Heidi nie miała nic przeciwko temu, więc Munroe kiwnęła głową w milczącym przyzwoleniu.

Nie rozumiała, jak Logan mógł uznać, że najlepiej wykorzysta jej umiejętności, każąc jej słuchać poleceń kogoś, kto nie miał nawet ułamka jej wiedzy i doświadczenia. Rola pionka i marsz w tempie narzucanym przez kogoś innego w ogóle nie wchodziły w grę. Zgodziła się na udział w przedsięwzięciu, którego celem było sprowadzenie do domu dziewczynki. Zwerbowano ją dla umiejętności, dzięki którym mogła wykonać zadanie dla innych niewykonalne. Podporządkowanie się było tymczasowe i pozorne.

Jej towarzysze wrzucili torby do bagażnika taksówki. Gideon, z racji swoich rozmiarów, zajął miejsce obok kierowcy, a pozostała trójka usadowiła się na tylnej kanapie.

W przeciwieństwie do reszty, która spakowała się odpowiednio do takiej podróży, Munroe zabrała tylko ubranie na zmianę i kurtkę niemal zbyt cienką, by mogła chronić ją przed przenikliwym chłodem. Wszystko zmieściła w niewielkim plecaku, który trzymała teraz przy sobie.

Po tylu latach podróżowanie bez ciężkich bagaży weszło jej w

krę. Rzeczy trzeba było nosić, pilnować ich i o nie dbać, a ponieważ tylko ją spowalniały, zwykle i tak gdzieś je zostawiała. Po drodze zdobywała nowe i potem pozbywała się ich, zatrzymując jedynie te niezbędne do wykonania zadania.

Taksówka ruszyła i łukiem wyjechała prosto na ruchliwą drogę. Kierowca wcisnął pedał gazu i z agresją kamikadze włączył się w strumień pojazdów zmierzających od lotniska ku autostradzie, którą mieli dotrzeć do serca stolicy tego kraju.

Munroe patrzyła przez szybę. Miejski krajobraz przesuwał się za oknem szybkimi błyskami. Bloki mieszkalne i dzielnice willowe ustąpiły strefom handlowym i reklamom wysokim na kilka pięter, a potem sceneria znowu się zmieniła. W samym sercu miasta znajdowało się czterdzieści osiem dzielnic zamieszkałych przez trzy miliony ludzi, ale w rzeczywistości metropolia rozpościerała się dalej, na przedmieścia, ogarniając swoimi mackami kolejne dziesięć milionów.

Połowa ludności Argentyny żyła w tym wielkim, miejskim skupisku. Buenos Aires było jedną z największych metropolii w Ameryce Południowej, ba, na świecie. Właśnie tu mieli szukać igły w stogu siana. Gdzieś wśród tych milionów znajdowała się Hanna. W jednym z niezliczonych budynków i wysokich apartamentowców mieściła się Przystań, w której ją ukryto.

W centrum miasta sceneria zmieniła się po raz kolejny. Nie bez powodu Buenos Aires nazywano Paryżem Ameryki Południowej. Architektura inspirowana Starym Światem, wysadzone drzewami aleje i jasne, nowoczesne formy świadczyły nie tylko o wyrafinowaniu miasta, ale także o kulturze nasączonej europejską historią.

Rozdział 9

San Telmo, Buenos Aires

Ich hotel bardziej przypominał pensjonat albo schronisko młodzieżowe - niewielki, jednopiętrowy, z kilkuosobowymi i prywatnymi pokojami, wspólną kuchnią i niewielką strefą dziennego pobytu. Znajdował się na południe od centrum, w najstarszej części miasta. W okolicy dominowały domy w stylu kolonialnym, brukowane ulice, kafejki i milongi. Wszystko dosłownie wibrowało żywymi barwami. Tutaj mieli mieszkać tak długo, aż Munroe rozezna się w zadaniu i określi, ile czasu ono zajmie.

Tak jak ona, Logan zamierzał zostać do końca, ale Gideon miał tylko dwa tygodnie, a Heidi trzy. Potem musieli wracać. Bez porozumienia z Munroe, każdy we własnym zakresie oszacował, jak szybko powinien postępować projekt, a ona, tak jak we wszystkim, co dotyczyło zaangażowania towarzyszy, ignorowała ich samych oraz ich oczekiwania.

Zajęli dwa sąsiadujące ze sobą pokoje. Narzucony przez mężczyzn plan oraz minimalny budżet wymagały, by Munroe zamieszkała z Heidi. Ściany były cienkie, ale na szczęście oddzielały ją tak samo jak czternaście rzędów foteli w samolocie. Taki układ odpowiadał jej bardziej, niż gdyby musiała dzielić pokój z Gideonem lub Loganem, ale jednocześnie desperacko pragnęła samotności.

Potrzebowała snu, i to bardzo. Wprawdzie obiecała Bradfordowi, że spróbuje zasypiać bez znieczulania się, ale nie mogła tego zrobić, dzieląc przestrzeń z drugą osobą.

Gideon zdecydował, że kilka godzin powinno im wystarczyć na doprowadzenie się do porządku po podróży i odpoczynek. Mieli się ponownie zejść późnym popołudniem. Munroe się położyła i walcząc z sennością, zaczęła, aż Heidi zupełnie odplynie. Dopiero gdy usłyszała spokojny i rytmiczny oddech

współlokatorce, cicho zsunęła się z łóżka i wyszła z pokoju.

Była w połowie korytarza, który prowadził do wyjścia na ulicę, kiedy usłyszała za sobą kroki. Spodziewała się ich i powitała z zadowoleniem, mimo to nie przystanąła.

- Michael, poczekaj na mnie - usłyszała za sobą sceniczny szept Logana, graniczący z sykiem.

Zwolniła i pozwoliła mu się dogonić, po czym wyszła na wąską uliczkę od frontu pensjonatu i znowu przyspieszyła kroku. Logan nic nie mówił, ale szedł tak blisko, że miała ochotę go odepchnąć.

Dochodziła czternasta, pora, kiedy miasto robiło sobie przerwę na lunch, więc zaczęła się rozglądać za kafejką, jakimś ruchliwym, gwarnym miejscem, gdzie mogłaby słuchać i chłonąć. Chciała się zanurzyć w lokalny dialekt, poznać tutejszy akcent, intonację i *lunfardo*, gwara, którą posługiwali się *porteños* - mieszkańcy portu - jak nazwano ludność Buenos Aires.

Pięć minut od pensjonatu, przy ruchliwym deptaku, znalazła to, czego szukała. Kafejka była dostatecznie tłoczna i gwarna, ale jednocześnie dość mała, by Munroe mogła bez przeszkód podsłuchiwać toczące się wokół rozmowy.

Usiadła nad kubkiem parującej kawy, naprzeciwko Logana, i zanurzyła się w atmosferze tego miejsca. Dźwięki tutejszej mowy opływały ją i przenikały. Krótkimi migawkami chłoneła duszę miejscowej kultury. Od dzieciństwa posiadała niewytłumaczalny dar przyswajania i rozumienia języków - dar zatruty, bo jednakowo kreował i niszczył. Ta umiejętność pozwalała jej wtopić się w tło i stać dla otoczenia, kim tylko chciała.

Rozmowa z Loganem toczyła się powoli i była pełna przestanków. Kontynuowali ją, dopóki kafejka stopniowo nie opustoszała. Dopiero wtedy Munroe całą uwagę skupiła na towarzyszu.

- Według Heidi - powiedziała - w teczce z materiałami brakuje kilku rzeczy.

Logan udał zdziwionego, a potem zachichotał - zawsze tak reagował, gdy temat był mu nie w smak.

- Mam w bagażu dodatkowe dokumenty - przyznał. - Dam ci je, gdy tylko wrócimy do pokoju.

- Dlaczego je zatrzymałeś?

Wzruszył ramionami.

- Chciałem, żebyś najpierw przeczytała pozostałe.

Munroe długo milczała, czując narastające rozdrażnienie.

Naprawdę nie potrzebowała uników ani wypaczonych prawd ze strony jedyne go człowieka, na którego powinna liczyć. W końcu pochyliła się do przodu i zaczęła stukać palcem w stół - nadając morsem do swoich myśli.

- Co jeszcze przede mną ukrywasz? - spytała.

Pokręcił głową, patrząc jej w oczy. Ten powolny gest miał oznaczać, że nic.

- Chyba zapomniałeś, kim jestem - powiedziała na jednym tonie, przyciszonym głosem - i czym się zajmuję. Myślisz, że stałam się ślepa i głucha. - Odchyliła się na oparcie krzesła i skrzyżowała przed sobą ręce. Patrzyła na niego nie ze złością ani jadem, ale z obojętnością analityka. - Zgodziłam się przyjąć to zlecenie ze względu na ciebie, Logan, bo od lat łączy nas przyjaźń... Przyjaźń oparta na szczerości i zaufaniu. - Zrobiła pauzę, czekając na efekt swoich słów. - Bez szczerości nie ma zaufania, a bez zaufania nie ma mowy o przyjaźni. Ukrywasz coś przede mną i jeśli wszystkiego nie wyjawisz, wstanę od sto-
lika i wyjdę stąd, a wiesz równie dobrze jak ja, że nie znajdziesz mnie, jeśli nie będę tego chciała - oznajmiła. - Chcę usłyszeć prawdę - dorzuciła po kolejnej pauzie.

Zapadło między nimi milczenie, przedłużający się bezruch, który zredukował otaczający ich gwar do jednostajnego szumu.

Logan wpatrywał się w blat. Munroe czekała, aż zacznie mówić. Nie zamierzała - nie mogła - odezwać się pierwsza. Nie dla miłości, nie dla przyjaźni ani dla żadnych innych więzi; nie przy takim scenariuszu wydarzeń. Była gotowa dalej działać, tylko jeżeli wzajemne zaufanie i przyjaźń nadal liczyły się bardziej niż chęć dochowania jakiejś tajemnicy.

Cisza przeciągała się coraz bardziej. Uznając, że on już podjął decyzję, Munroe podniosła się z miejsca. Logan wyciągnął ku niej ręce, jeszcze zanim zdążyła się wyprostować. Niemal z desperacją chwycił ją za dłoń.

- Proszę, nie odchodź.

- Nie zostawiasz mi wyboru.

- Wszystko ci opowiem. Daj mi tylko chwilę na zebranie myśli, dobrze?

Ponownie usiadła i w milczeniu czekała.

Kiedy wreszcie się odezwał, jego głos brzmiał jak zachrypnięty, urywany szept.

- Hanna jest moją córką.

Munroe знаła Logana przez niemal całe swoje dorosłe życie. Wiedziała o nim więcej niż jego przyjaciele z dzieciństwa. I przez ten cały czas nie pojawiła się żadna aluzja, żaden gest, które mogłyby potwierdzić to, co właśnie usłyszała.

Może pozostała ślepa i głucha na taką możliwość z powodu chłopaków, którzy pojawiali się w życiu Logana, aby zaraz potem zniknąć. A może uznała, że on i ona powiedzieli sobie już wszystko, i po prostu nie spodziewała się takiej tajemnicy, bo mu ufała. Tak czy inaczej, niczego się nie domyśliła, choć powinna.

Wyznanie Logana wydawało się zupełnie nierealne, ale znaczenie jego słów, o dziwo, sprawiło, że wszystko nabrało sensu. Teraz już rozumiała jego determinację w poszukiwaniach Hanny i jego więź z Charity, sięgającą głębiej niż wszyscy sądzili, ale przede wszystkim pojmowała, dlaczego z tak ślepą desperacją próbował nakłonić ją, aby się podjęła uwolnienia dziewczynki.

Sto myśli przemknęło przez jej głowę, uruchamiając synapsy, porządkując szczegóły, a następnie przegrupowując je pospiesznie i nadając wydarzeniom z przeszłości nowe znaczenie. Tylko jednego elementu nie potrafiła nigdzie dopasować.

- Logan, przecież jesteś gejem.

- Geje też mogą być ojcami - odparł. - To się często zdarza. Mężczyźni, którzy ukrywają swoją seksualność, zawierają małżeństwa i zostają rodzicami, aby przed światem stwarzać pozory heteroseksualności. - Z portfela wyjął zdjęcie, które zawsze nosił przy sobie. - Spójrz na nią. Przyjrzyj się jej uważnie.

Przytrzymał fotografię obok swojej twarzy. Podobieństwo było wyraźne. Munroe nie miała pojęcia, dlaczego nie dostrzegła go od razu w Tangerze.

- To był dla mnie trudny okres. Miałem zaledwie dwadzieścia

lat. Z homofobicznej sekty trafiłem do homofobicznego wojska. Dopiero zaczynałem odkrywać, kim jestem i czego chcę od życia. Akurat wróciłem z krwawej misji... - Logan westchnął. - Jedno wielkie bagno. Wszędzie wkoło śmierć. Pragnąłem ulgi, normalności. Wątpiłem we wszystko, dlatego wróciłem do tego, co znałem najlepiej. Moja rodzina przeniosła się do Meksyku, więc pojechałem odwiedzić ich Przystań. Nie miałem pojęcia, czy przełożeni pozwolą mi się zobaczyć z moimi. Obawiałem się, że nie zostanę do nich dopuszczony, ponieważ zasymilowałem się z Pustkowiec, dlatego przywiozłem ze sobą pięćmiesięczny zarobek jako zadośćuczynienie, które miało dowieść mojej skruchy. Pozwolili mi zostać trzy dni. Tam ponownie spotkałem Charity. Przez wiele lat łączyła nas bliska przyjaźń. Jeśli można w ogóle mówić, że jakaś kobieta pociągała mnie fizycznie, była to właśnie ona. Kochałem ją. Co do tego miałem pewność. Być może pomyliłem miłość duchową i fizyczną, sam nie wiem. No i stało się, zaszła w ciążę. Gdyby ktoś się dowiedział, że to przeze mnie - outsidera, złoczyńcę, niewiernego - poniosłaby potworne konsekwencje. Dlatego nikt nie wiedział i nikt nie mógł się dowiedzieć. Nawet ja poznałem prawdę dopiero po narodzinach Hanny. Charity nie mogła mnie zawiadomić, bo czytano jej listy i podsłuchiowano rozmowy telefoniczne. Dopiero podczas kolejnej wizyty o wszystkim mi powiedziała.

Odwiedzałem je obie tak często, jak mogłem - mówił. - Niemal każdego zarobionego dolara przekazywałem Przystani i choć to było wbrew zasadom, przemyśliłem też trochę pieniędzy dla Charity, aby mogła kupić coś dziecku i lepiej się odżywiać. Stworzyłem fasadę człowieka, który żałuje błędów przeszłości, a służba w wojsku dawała mi dobrą wymówkę, bo nie mogłem wrócić z Pustkowiec na stałe. Udawałem nawróconego i płaciłem im tyle, że starsi Przystani przymykali oko na wiele reguł. Przejście z sekty do armii nie było trudne, sama rozumiesz. Umiałem wykonywać polecenia, trzymać język za zębami i być niewidzialny. Maszerowałem tak, jak mi zagrali.

I tak ciągnąłem to życie na dwa fronty - w wojsku i w Przystani - równoważąc oba światy, aby wykorzystać do maksimum

status żołnierza i jakoś przetrwać. Kiedy mój kontrakt dobiegł końca, musiałem zaprzestać wizyt. Właśnie wtedy zacząłem planować, jak wydostać Charity z sekty. Byłaś wtedy ze mną, więc tę część opowieści już znasz. Do tamtego momentu musieliśmy trzymać w tajemnicy to, kim jestem dla Hanny, aby chronić Charity. Kiedy wreszcie znalazła się w Dallas, towarzyszył jej David, a Hanna traktowała go jak ojca, więc woleliśmy się nie spieszyć z poruszaniem tego tematu. No a potem David ją porwał. Nim się zorientowaliśmy, już jej nie było.

Logan zdławił szloch. Z trudem odzyskał panowanie nad sobą.

- Wiedzieliśmy, że zabrał ją z powrotem - podjął opowieść, z trudem dobywając z siebie głos - a ponieważ wcześniej tak dobrze mi poszło z wkupieniem się w łaski przełożonych Przytani, pomyślałem, że najlepiej będzie, jeżeli to pociągnę. Charity wzięła na siebie kolejne rozprawy sądowe i media, kierując uwagę publiki na sektę tak skutecznie, że stała się dla nich obiektem nienawiści, tymczasem ja poszedłem w przeciwnym kierunku, podtrzymując kontakty i próbując zdobyć jak najwięcej informacji z wewnątrz. Nikt nie miał pojęcia o więzi, jaka łączyła mnie z Charity, ani o moich prawdziwych uczuciach... Rozumiesz teraz, dlaczego nie mogłem nic zdradzić? Dlaczego to było taką tajemnicą? Przez osiem lat ci dranie trzymali moją córkę w ukryciu i chronili tego jebanego kryminalistę, byłego chłopaka Charity. Przerzucali ich z kraju do kraju. Stale wyprzedzali nas o krok, ale teraz wreszcie wiem, gdzie ona jest. Dlatego proszę... - Spojrzał na Munroe błagalnie. - Michael, jesteś mi potrzebna.

Skinęła głową i ścisnęła jego dłoń w geście pocieszenia i otuchy, dokładając tym kolejny kamień do brzemienia, które już dźwigała. Od początku wiedziała, że w tym przypadku nie mogło być mowy o niepowodzeniu. Teraz zyskała pewność, że cena klęski byłaby najwyższa. Rozumiała udrękę Logana. Pojmowała, dlaczego ta niema, głęboko skrywana obsesja napędzała go przez tyle lat, i czuła, że w pewnym sensie ciężar spadł teraz na jej barki. Ze zdjęcia już nie patrzyła na nią obca dziewczynka, tylko sens życia Logana.

Odsunęła się z krzesłem od stołu i wstała.

- Musimy iść - powiedziała. - Tamci już się pewnie obudzili i czekają na nas.

Logan kiwnął głową i również podniósł się z miejsca. Ramię w ramię, w milczeniu wrócili do pensjonatu.

Munroe zatrzymała się dopiero przed drzwiami pokoju.

- Zaczekaj sekundę - poprosił ją Logan.

Zniknął w swojej sypialni i po chwili wrócił z drugą teczką.

- Nie dałem ci tego od razu - powiedział, nie spuszczać wzroku z teczki i ściskając ją w palcach - bo zwykle jeśli ktoś to przeczyta, wszystko inne przestaje się liczyć... Miałaś rację - dodał po krótkiej pauzie - rzeczywiście zapomniałem, kim naprawdę jesteś. A raczej nie zapomniałem, tylko dałem się ponieść pragnieniu odzyskania Hanny, poddałem się lękom, niechęci i frustracji, które nie dają mi spokoju od ponad dziesięciu lat. - Kiwnięciem głowy wskazał teczkę. - Zatrzymałem te informacje, bo dotychczas zdołały jedynie zmienić nasze cierpienie w medialny cyrk. Tak naprawdę nikogo to nie obchodzi. Zostaliśmy wykorzystani przez Wybranych, a potem przez media. Zawiedliśmy się na policji, a sąd okazał się farsą. Bałem się - przyznał - że może z tobą będzie tak samo. - Oderwał wzrok od teczki i spojrzał Munroe w oczy. Powstrzymując łzy, podał jej materiały. - Wybacz mi - poprosił.

Munroe objęła go i mocno przytuliła.

- Wydostanę ją stamtąd, Logan. Nawet jeśli miałyby to być ostatnia rzecz, jaką zrobię. Sprowadzę ją z powrotem. Masz moje słowo.

Informacje o miejscu pobytu Hanny pochodziły od siostry Charity, Maggie. Przekazując im wiadomość, wylała się z szeregów, ale nie zdecydowała się opuścić Wybranych. Ograniczyła się tylko do wskazania miasta i nie zdradziła żadnych szczegółów, które mogły ich zaprowadzić pod sam próg Przystani, gdzie ukrywano dziewczynkę.

Igła w stogu siana. Mogli jej szukać na cztery sposoby: licząc na łut szczęścia, rozbierając stóg żdźbło po żdźble, używając

magnesu lub wszystko pałac. W tym przypadku lut szczęścia nie wchodził w grę, czas był na wagę złota, a zniszczenia w ogóle nie brano pod uwagę.

Munroe zamierzała wykorzystać Gideona i Heidi jako magnes. Oboje kiedyś mieszkali w Przystaniach w samym Buenos Aires lub w jego pobliżu. Ale nawet gdyby któreś dokładnie pamiętało miejsce lub miało adres, informacja byłaby bezużyteczna.

Prorok uważał, że posiadanie nieruchomości wiąże Wybranych z Pustkowiec, i dlatego Przystanie często przenoszono z miejsca na miejsce, wynajmując budynki od właścicieli, nieświadomych, że para, z którą podpisują umowę najmu, już następnego dnia zmieni to miejsce w komunę. Kiedy pobyt gdzieś się przedłużał i sąsiedzi zaczęli narzekać albo duża liczba domowników zaczynała przyciągać nadmierną uwagę, siedzibę likwidowano, a Wybrani się rozpraszali.

Przystanie różniły się liczbą Wybranych - niektóre miały zaledwie trzydziestu, inne nawet dwustu - ale jednym stałym elementem była konieczność ubrania i nakarmienia wszystkich, a do tego potrzebowano pieniędzy.

Ponieważ Prorok wierzył, że praca zarobkowa w Pustkowiec jest jednoznaczna ze służeniem szatanowi, Wybrani odmawiali podejmowania się zajęć, które uczyniłyby z nich niewolników świata. Cate dochody Przystani pozyskiwano nie dzięki zatrudnieniu w firmach produkcyjnych czy organizacjach, które służyły społeczeństwu, lecz przez żebranie lub sprzedawanie błyskotek ludziom o dobrych sercach, pod przykrywką sponsorowania humanitarnych przedsięwzięć.

Niestety, żebractwo, choć czasochłonne, przynosiło niewielkie zyski, a środki potrzebne do nakarmienia i zapewnienia dachu nad głową tak wielu osobom znacznie przekraczały wpływy. Rozwiązaniem, które pomagało zaradzić tej dysproporcji, były podarowane przez innych ubrania, buty i produkty spożywcze - zwykle łatwo psujące się lub zbyt nieświeże, żeby ktoś chciał je jeszcze kupić, a także konserwy bliskie końca terminu przydatności do spożycia albo nawet przeterminowane. Granica między śmieciami a tym, co nadawało się do jedzenia,

była cienka i Wybrani doskonale potrafili to wykorzystać.

Gdy Przystań znalazła sobie jakiegoś dobroczyńcę, wkładano wiele wysiłku w podtrzymanie pozytywnych relacji, aby jak najdłużej otrzymywać pomoc. Zwykle ofiarodawcy niewiele wiedzieli o Wybranych. Często nie mieli nawet pojęcia, że właśnie tej grupie pomagają, znali za to uśmiechnięte twarze, które witały ich każdego tygodnia, i dzieci, które od czasu do czasu odwiedzały ich, aby zaśpiewać im coś w podzięce. Ci ludzie naprawdę wierzyli, że swoją pomocą w niewielkim chociaż stopniu zmieniają świat na lepszy.

Wizyta u dobroczyńcy była dla dzieciaków wyjątkowym wydarzeniem. Mogły wtedy zobaczyć życie poza Przystanią. Takie szczególne okazje mocno zapisywały się w ich pamięci.

Gideon podejrzewał, że przynajmniej część osób, które wspomagały Wybranych w czasach, gdy on mieszkał w Buenos Aires, nadal to robi, a Munroe liczyła na to, że za pośrednictwem tych ofiarodawców zdołają odkryć, gdzie znajduje się Przystań - tak miał zadziałać ich magnes.

Zamiast samochodu wynajęli taksówkę, dzięki czemu mieli własnego szofera. Dodatkową korzyścią było to, że kierowca znał ulice i charakterystyczne punkty na tyle dobrze, by nawet bez konkretnych adresów i dokładnych wskazówek domyślić się, dokąd chcą jechać dzieci Wybranych.

Przemierzali kolejne dzielnice miasta, oceniając odległość od znajomych miejsc i porównując spostrzeżenia. Nawet po zmierzchu kontynuowali żmudnie poszukiwania. Tym sposobem trafili na supermarket, potem piekarnię, a w końcu średniej wielkości delikatesy. Taksówkarz czekał na dalsze polecenia, nie wyłączając silnika, a tymczasem Gideon opowiedział pozostałym to, co pamiętał o właścicielu tego ostatniego miejsca. Kiedy skończył, sięgnął do klamki, aby wysiąść z auta.

Munroe go powstrzymała.

- Wolałabym unikać bezpośredniego kontaktu - powiedziała.

- Ale ja go pamiętam - odparł Gideon. - Może on mnie nie rozpozna, ale z pewnością będzie wiedział, czy oni wciąż się tu zjawiają. Jeśli go nie zastaniemy, wypytamy pracowników.

- Na pewno masz rację - przytaknęła - ale tym razem się

powstrzymajmy. Spojrzał na nią z powątpiewaniem, dlatego dodała: - Wynajęliście mnie do konkretnego zadania i musicie pozwolić mi je wykonać.

Za odpowiedź musiało jej wystarczyć ledwo widoczne skinięcie głowy. Gideon zdjął dłoń z klamki i za to Munroe była mu wdzięczna. Gdyby bezpośrednia konfrontacja miała sens i pomogła ustalić, jak się sprawy mają, na pewno by się na nią zdecydowała. Na tym etapie jednak, ujawniając się, zmarnowałyby czas i energię.

Miała już to, o co jej chodziło.

Rozdział 10

Doki opustoszały. Munroe pod osłoną nocy przekradła się obok punktów kontrolnych i ukryła za budynkiem, który obecnie służył jej za mieszkanie.

Ciężka maszyna i taśmociągi do przenoszenia ładunków niczym gigantyczne macki wyciągały się ku trzem statkom cumującym w porcie. Potężne reflektory oświetlały nabrzeże, wydłużając cienie rzucane przez dwu- i trzypiętrowe budynki na wprost przed nią.

Nóż wysunął się w jej stronę z mroku bez ostrzeżenia, tak jakby mężczyzna, który go trzymał, cierpliwie czekał na okazję do zadania ciosu, wiedząc, że ona musi w końcu tędy przejść.

Przeciwnik był silny. Zaatakował zza pleców. Szarpnął jej głowę do tyłu i powalił ją na ziemię. Światło na moment wyłowiło z mroku jego twarz. Widziała go wcześniej w stoczni. Miał szorstką, pokrytą bliznami skórę, przez co wydawał się stary, choć wiedziała, że nie jest. Umięśnioną sylwetkę zawdzięczał codziennej fizycznej pracy.

Zacisnął palce na jej karku i przytknął nóż do gardła. Wystarczyły mikrosekundy kalkulacji. Wszystko wokół spowić szarość. Popłynęła adrenalina i ostre krawędzie znajomego pragnienia podkradły się bliżej jej duszy.

Z ukrytej kieszeni w rękawie nóż wpadł prosto w jej dłoń. Uśmiechnęła się i rozluźniła mięśnie. Mężczyzna odruchowo zwolnił nieco uchwyt i to był jego błąd, bo w tej samej sekundzie rozplątała mu nadgarstek. Wrzasnął coś obelżywego, puścił ją i cofnął się, wtapiając w mrok.

Munroe zamknęła oczy. Inne zmysły miały poprowadzić ją tam, gdzie wzrok zawodził.

Ciche szurnięcie. Ruch powietrza. Mężczyzna zaatakował gwałtownie.

Usunęła się w bok i jego ostrze zupełnie minęło się z celem.
Wydostała drugi nóż, ukryty na plecach pod koszulą, i błyskawicznym ruchem go otworzyła.

Przeciwnik ciężko oddychał. Podążyła za tym odgłosem, trzymając w każdej ręce ostrze i ostrożnie lawirując. Czowała, jak żądza krwi ją wypełnia, jak rośnie z każdym uderzeniem jej serca - nieodparte pragnienie, by zabić.

Zdusiła je.

Nie chciała być zabójcą, zwierzęciem, drapieżnikiem, już kiedyś uciekła, aby się od tego uwolnić, zostawić to za sobą.

- Nie musimy tego robić - powiedziała w mrok. - Odlóż nóż, a ja odłożę moje i oboje odejdziemy stąd żywi.

Napastnik obrzucił ją obelgami i zrozumiała, jak bardzo pragnie jej ciała. Zamierzał je zdobyć, nawet gdyby musiał ją zabić. Wraz z jego szyderczym tonem opłynęła ją ciemność. Dotarł do niej odór jego potu, usłyszała szorstką pogardę w głosie, wyczuła lęk przed nożem. Jej serce przyspieszyło, mięśnie się naprężyły i całkowicie poddała się instynktowi.

Przetrwąć.

Zabić.

Światło odbiło się od ostrza.

Przetoczyła się w prawo.

Instynkt.

Prędkość.

Obróciła się. Zaatakowała od dołu. Dźgnęła w górę, natrafiła na jego brodę i wbiła nóż głęboko. Ogarnęła ją euforia.

Napastnik osunął się na kolana. Wytrzeszczył oczy.

Zielone oczy.

Jej żołądek zareagował gwałtownie.

Jego twarz. Delikatna. Znajoma. Przebiegł ją dreszcz. Znała go.

Zabrakło jej tchu. Padła na kolana, zadarła głowę i z potwornym, narastającym krzykiem wściekłości i bólu otworzyła oczy.

Zamiast nocnego nieba miała nad sobą pusty sufit w kolorze złamanej bieli.

Z walącym sercem zsunęła stopy na podłogę i dźwignęła się z

łóżka, oceniając szkody, jakie wyrządziła przez sen. Pościel i ubranie były mokre od potu. Z poduszki obok zostały strzępy. Zetknęła palce dłoni i poczuła lekki ból w miejscu, gdzie od tarcia przypiekła skórę. I po to pozwoliła sobie na trzy godziny snu, po nieprzespanych dwóch dobach. Nawet tak krótki odpoczynek źle się kończył. Teraz, wzburzona, nie miała szans zapaść w sen, którego tak bardzo potrzebowała.

Przez chwilę grzebała w torbie. W końcu wyciągnęła butelczkę i wlała jej zawartość prosto w usta.

Dochodziła dziewiąta. Logan znajdował się w tym samym miejscu, do którego dotarł poprzedniego dnia za Munroe. W kafejce panował poranny ruch. Siedział w głębi pomieszczenia, plecami odwrócony do ściany, wsłuchując się w mowę, którą tylko trochę rozumiał. Obserwował tłoczne wnętrza i przez szybę przyglądał się przechodniom. Naprzeciwko miał nieprzytomnego i zaspanego Gideona. Aromat kawy mieszał się ze słodkim zapachem ciasta, który wypełniał dzielącą ich przestrzeń.

Mało się odzywali i raczej tylko po to, by wypełnić ciszę. Obaj byli zmęczeni. Zbyt wiele czasu poświęcili w nocy na planowanie i przerabianie różnych opcji. Gdyby nie umówili się z Munroe i Heidi na śniadanie, Logan najchętniej spędziłby jeszcze godzinę albo dwie w łóżku.

Któryś raz z kolei zerknął na zegarek i upił łyk kawy. Dziewczyny spóźniały się już dziesięć minut. Nie znał zwyczajów Heidi na tyle, by wiedzieć, co uważała za spóźnienie, ale znał Munroe. Była niezależna i działała według własnego planu, ale jeśli mówiła, że gdzieś przyjdzie o konkretnej porze, to się zjawiała - zawsze - na czas.

Ponownie łyknął kawy i jeszcze raz zerknął na zegarek. Gideon zauważył to i zachichotał. Logan zignorował go. Spojrzał przez okno i na zewnątrz zobaczył Heidi. Weszła do kafejki, omiotła wzrokiem wnętrza, dostrzegła towarzyszy i podeszła do ich stolika.

- Gdzie Michael? - spytał Logan.

Heidi przekrzywiła głowę jak zdziwiony szczeniak.

- Myślałam, że jest z wami - odparła, a na widok śmiertelnie poważnej miny Logana dodała: - Zaspałam... nie słyszałam budzika... uznałam, że wyszła beze mnie.

Logan zbladł. Serce zaczęło mu walić tak mocno, że nie był w stanie się odezwać. Dla pozostałych nieobecność Munroe niewiele znaczyła - mogła przecież pójść na spacer po okolicy lub postanowić zbadać jakiś nowy trop w sprawie - zakładali, że w swoim czasie wróci. On jednak znał prawdę.

W pamięci przywołał jej obietnicę odzyskania Hanny - mantrę, która uspokajała go w chwilach paniki. Munroe dała mu słowo, *swoje słowo*. Ale może w jej obecnym stanie, skoro znowu zaczęła brać, to słowo niewiele znaczyło.

- Heidi, daj mi klucz do waszego pokoju - poprosił.

Spojrzała na niego zdziwiona, ale on w milczeniu czekał z wyciągniętą ręką, więc po chwili wyjęła klucz z torebki i wręczyła go Loganowi.

- Zaczekajcie tu na mnie - poprosił. - Wrócę za pół godziny.

Drogę do pensjonatu pokonał niemal biegiem.

Pokój wyglądał tak, jak się tego spodziewał, po jednej stronie znajdowały się rzeczy Heidi, a po drugiej większość skromnego bagażu Munroe. Na nocnym stoliku leżał równy stosik dokumentów, które jej przekazał. Zobaczywszy wszystko w takim porządku, przestał się dziwić, dlaczego Heidi uznała, że Munroe poszła na spotkanie bez niej.

Z mocno bijącym sercem przejrzał materiały. Gdy dotarł do końca, zorientował się, że brakuje tych, które dał jej poprzedniego dnia. To obudziło w nim nadzieję.

Sfrustrowany i potwornie zdenerwowany wyszedł z pokoju i ruszył na poszukiwania budki telefonicznej. Nie miał pojęcia, czego może się spodziewać, nie wiedział nawet, co da mu ten telefon, ale czuł, że musi go wykonać. Jeśli ktoś w ogóle wiedział, co knuje Munroe, był to Miles Bradford. Wsunął do aparatu kartę telefoniczną i wybrał numer Capstone Consulting.

Wyjaśnił, że chce rozmawiać z Bradfordem, i recepcjonistka poprosiła go o chwilę cierpliwości. Niemal natychmiast usłyszał w słuchawce głos Milesa. Bez przełączania. Bez czekania. Bez

automatycznej informacji, że nie ma go w kraju, i bez prośby o zostawienie wiadomości. Bradford we własnej osobie. Cierpliwie słuchał, jak Logan nerwowo tłumaczy, dlaczego dzwoni.

Gdy Logan wreszcie wyrzucił z siebie wszystko, poczuł się emocjonalnie wypompowany. Umilkł, ale w słuchawce usłyszał tylko ciszę. Niepewny, czy połączenie nie zostało przerwane, właśnie zamierzał znowu się odezwać, kiedy Bradford przerwał milczenie.

- Michael zostawiła dla ciebie wiadomość.

Zdumiony nic nie odpowiedział. Munroe wiedziała, że zwróci się do Bradforda - przygotowała się na to. Po chwili do Logana dotarło, że rozmówca czeka na jakiś sygnał z jego strony, więc powiedział:

- Słucham.

- Obiecała ci coś — podjął Bradford - i zamierza dotrzymać obietnicy. Nie może jednak pracować, gdy wisicie nad nią we troje. Musicie dać jej przestrzeń, nie wchodzić w drogę i uwierzyć, że ona wie, co robi.

- Tylko tyle? - spytał Logan po dłuższej chwili milczenia.

- Chce, żebyś został w Buenos Aires - powiedział Bradford. - Niewykluźnione, że w którymś momencie będziesz jej potrzebny, więc siedź tam, gdzie cię bez trudu znajdzie. Tylko trzymaj się z daleka od wszystkiego, co ma związek z przedsięwzięciem, rozumiesz? - Bradford zrobił celową pauzę. - Ona nie żartuje, Logan. Naprawdę masz się w nic nie mieszać.

Logan kiwnął głową, choć rozmówca nie mógł go zobaczyć.

- W porządku - odparł. - Jeśli tego właśnie chce.

Dzięki zawartości buteleczki Munroe udało się zasnąć. W tym śnie odnalazła spokój, odpoczynek od żywych i martwych. Od wschodu słońca, przez cały dzień i część nocy, aż do trzeciej nad ranem, trwała zanurzona w słodką nicość. Kiedy się obudziła, sprawdziła godzinę i datę, żeby wiedzieć, ile czasu upłynęło, po czym nastawiła budzenie na ósmą.

Gdy po kilku godzinach rozległ się dźwięk budzika, jej stopy znalazły się na podłodze, jeszcze zanim ręka odnalazła odpo-

wiedni przycisk. Leki spełniły swoje zadanie, a dzwonek podziałał na nią tak, jak na kierowcę wyścigowego machnięcie biało-czarnej chorągiewki. Tego dnia zamierzała rozpocząć mozolne przygotowania, dzięki którym Hanna miała wrócić do domu.

Wzięła prysznic i ruszyła na poszukiwanie czynnego zakładu fryzjerskiego. Tak jak przy każdym zleceniu, musiała odegrać pewną rolę, a w przypadku każdej roli ogromne znaczenie miała iluzja. Ludzie nie zwracali uwagi na to, co było dla nich zwyczajne i znajome, dlatego nawet najdrobniejszy i pozornie mało znaczący błąd mógł wywołać zakłócenie w ich rzeczywistości i przesądzić o niepowodzeniu aktorskiej kreacji.

Do tego, by stać się kimś innym, wtopić w jakieś środowisko, nie wystarczała sama znajomość miejscowego dialektu, kopiowanie zwyczajów, zachowania i strojów. Potrzebna była absolutna synteza, a stworzenie takiej iluzji wymagało, by wszystko - od fryzury po buty, nawet te z importu - zostało załatwione na miejscu.

Z włosami przyciętymi do długości, w której byłoby dobrze i kobiecie, i mężczyźnie, Munroe taksówką pojechała do Paseo Alcorta, jednego z wielu ekskluzywnych centrów handlowych w Buenos. Miała w tym doświadczenie. Szybko znalazła w sklepach i butikach to, czego potrzebowała. Moda na style, kolory, grubość i faktury materiałów była różna w różnych krajach, ale zasady wtapiania się w tło pozostawały takie same. Walizka, ubrania, buty, plecaki, kurtki, kilka neutralnych zestawów odpowiednich dla kobiety i mężczyzny. Wszystko za własne pieniądze.

Środki, które zebrali Logan i jego znajomi, w ich pojęciu stanowiły kolosalną sumę, ale nie mogły nawet pokryć kosztów takiego przedsięwzięcia. Tamci nigdy nie mieli się dowiedzieć, że aby zrealizować projekt, dokładała do niego więcej niż oni wszyscy razem wzięci.

Po zakupach wróciła do hotelu tylko po to, by pozbyć się zgromadzonych tego dnia łupów, po czym taksówką pojechała na lotnisko. Kazała kierowcy zaczekać, a sama poszła do hali przylotów po Milesa Bradforda, który powinien był już przejść

przez kontrolę paszportową.

Zauważyła go w głębi hali. Stał plecami do ściany, dodatkowo podpierając się o nią zgiętą w kolanie nogą. Ręce skrzyżował na piersi, jak ktoś, kto ma masę czasu na odkrywanie świata i żadnych chęci, aby to robić. Obok niego, na wózku bagażowym tkwiły dwie wielkie metalowe skrzynie, sporych rozmiarów bagaż podręczny i torba z laptopem. Bradford wodził wzrokiem po hali z obojętną miną, która doskonale ukrywała skupienie, z jakim wszystko rejestrował.

W końcu ich oczy się spotkały i piękny uśmiech odmienił jego twarz. Na przywitanie uściskał ją i pocałował w czubek głowy.

- Wszystko w porządku? - spytał.

Na to pytanie - tak zwyczajne w formie i tak mocne w szczerości - składało się wiele złożonych aspektów, więc Munroe tylko przytaknęła i odwzajemniła jego uśmiech.

- Jak podróż? - zapytała. - Jesteś zmęczony?

- Spałem - odparł. — Możemy od razu zaczynać.

- Dostałeś wszystko z listy?

- To, czego nie mogłem przywieźć, załatwię na miejscu. Mam tu swoje kontakty. Niektórzy mają wobec mnie dług wdzięczności i już im o tym przypominałem.

Munroe pokiwała głową. Wsunęła mu dłoń pod ramię i ruszyli do wyjścia, gdzie na jałowym biegu czekała taksówka. Trochę dziwnie się czuła z tym, że mają razem pracować, ale jednocześnie uspokajała ją świadomość, że może na niego liczyć.

W taksówce Bradford pokrótce opisał rozmowę z Loganem, a ona streściła mu to, czego ostatnio dowiedziała się na temat Przystani. Nie wspomnieli za to nic o jej kłopotach ze snem.

Bradford z torby z laptopem wyciągnął kopertę i podał ją Munroe.

- To wszystko, co mam w sprawie Nowego Jorku - wyjaśnił. - Na razie niedużo, ale próbuję wyczuć, co w trawie piszczy, i w końcu dowiem się prawdy.

Munroe zapatrzyła się na drogę. Cienką kopertę odłożyła na kolana.

Bradford przykrył jej dłoń swoją. Jego gest był ostrożny, łagodny.

- Zabiłaś, bo musiałaś - powiedział. - To było jedyne wyjście. Opuść sobie.

To była rozmowa na inną porę. Munroe oparła głowę o zagłówek i obróciła ją nieznacznie w bok, tak że pole widzenia wypełnił jej profil Bradforda. Studiowała jego twarz, podczas gdy on obserwował ruch uliczny. Bardzo rzadko słyszała ton, w którym troska przeplatała się z szacunkiem, a miłość z poczuciem, że są sobie równi. Mógł tak do niej mówić tylko ktoś, kto całkowicie ją akceptował i miał świadomość, kim naprawdę jest.

Z lotniska taksówka zawiozła ich do tętniącego życiem Palermo w północno-wschodniej części miasta, niedaleko ekskluzywnej dzielnicy Recoleta. Munroe początkowo wybrała to miejsce tylko po to, by znaleźć się jak najdalej od Logana i ograniczyć ryzyko przypadkowego spotkania, ale jednocześnie hotel, duży jak na tę okolicę, z niemal trzydziestoma pokojami rozmieszczonymi na dziewięciu piętrach, restauracją i bezprzewodowym Internetem, miał wszystko, czego potrzebowało centrum dowodzenia operacją ratunkową... bądź porwaniem, zależnie od punktu widzenia.

Jej pokój znajdował się na czwartym piętrze. Razem wtaszczyli skrzynie do środka. Tutejszy wystrój - prosty i modułowy, jaki Munroe widywała w Europie - nadawał nieco indywidualny charakter pomieszczeniu, które w przeciwnym razie wyglądałoby jak zwyczajny pokój hotelowy: dwa łóżka, łazienka, balkonowe okna, fotele w kącie, telewizor i biurko przy ścianie.

Przez szyby wpadało do środka popołudniowe słońce, a grzejnik przeganiał chłód z powietrza. Munroe i Bradford poprzesuwali meble i do ściany przykleili taśmą duży arkusz papieru, który miał im zastąpić tablicę.

W niemal zupełnym milczeniu przygotowywali stanowisko pracy. Tylko z rzadka padało jakieś pytanie, westchnienie lub krótka uwaga. Stopniowo wydobywali spośród ubrań kolejne elementy sprzętu i wkrótce niewielkie biurko zapełniła aparatura, której kable wielką masą spływały na podłogę.

Munroe w końcu uznała, że na nic więcej się nie przyda. Na tym etapie z pomocnika mogła się zmienić w zawadę, więc

zostawiła Bradforda samego.

- Wróćę przed zmrokiem - rzuciła.

Tak jak on wołała pracować sama. Zlecenia rzadko wymagały dużej pomocy drugiej osoby, ale zwykle miała to, czego teraz tak bardzo jej brakowało - czas. Wiadomość o miejscu pobytu Hanny pochodziła sprzed ponad dwóch tygodni, a ponieważ Wybrani - a zwłaszcza Hanna - często się przynosili, Munroe wołała nie ryzykować, że dziewczynka znowu zniknie, zanim do niej dotrą.

Musiała jak najszybciej zebrać mnóstwo informacji, nie ściągając przy tym na siebie uwagi Wybranych. Nawet w tak dużym mieście jak Buenos Aires mogła to osiągnąć tylko dzięki zdobyczom techniki i sile portfela.

Zawiesiła na klamce na zewnątrz znak Nie przeszkadzać i zawiadomiła recepcję, że obsługa hotelowa nie będzie im potrzebna. Wołała uniknąć wścibskich oczu i niepożądanych gości, których mógł zainteresować rozstawiony w pokoju sprzęt.

Godziny upływały szybko. Munroe wróciła do Nueva Pompeya, okolicy w południowej części miasta, gdzie znajdowały się delikatesy, z których właścicielem tak bardzo chciał porozmawiać Gideon.

Mieściły się przy wąskiej uliczce, wtopione w szereg mniejszych sklepików. Po drugiej stronie biegł taki sam ciąg butików, więc lokalizacja była idealna. Munroe wysiadła z taksówki u wylotu ulicy, w sporej odległości od celu. Zapięła zamek kurtki dla ochrony przed zimnem i ruszyła w stronę delikatesów. Po drodze rozglądała się po okolicy i utwierdziła się w tym, co zauważyła przy poprzedniej, przelotnej wizycie.

Część witryn widziała już w tle dwóch niewyraźnych fotografii dołączonych do dokumentów, które dostała od Logana.

Gideon chyba się nie mylił, sądząc, że dawny właściciel sklepu, bliski przyjaciel Wybranych, nadal tu jest, nie miał jednak racji, chcąc się udać prosto do źródła. Niedoświadczonym takie posunięcie wydawało się logiczne, ale tak naprawdę mogło wszystko zaprzepaścić.

Ze zdjęć wiedziała, kogo powinna unikać.

Nie chciała za bardzo się zbliżyć, z obawy, że Wybrani zwie-

trzą podstęp i się rozproszą. Mogłaby się zdecydować na takie posunięcie, tylko mając pewność, że zdoła dotrzeć do Hanny szybciej niż obiekt jej inwigilacji - a to oznaczało, że najpierw musi dokładnie ustalić, gdzie jest dziewczynka.

Wcisnęła ręce w kieszenie, przeszła przez ulicę i wstąpiła do sklepiku z obuwem, którego wejście znajdowało się naprzeciwko rozsuwanych drzwi delikatesów. Z zewnątrz wydawał się miejscem, jakiego szukała, ale już wstępne oględziny pokazały, że się myliła. Skinieniem głowy pożegnała właściciela i wyszła z powrotem na ulicę, by po chwili wejść do sąsiedniego butiku.

W środku zastała jedynie dziewczynę za kontuarem. Sądząc po towarze, rzadko ktoś tu zaglądał. Sprzedawczyni była młoda, najwyżej dwudziestoletnia, i wyraźnie znudzona. Nie odrywała wzroku od rąk. Munroe podejrzewała, że trzyma w nich telefon komórkowy. Z miejsca za ladą miała doskonały widok przez okno na delikatesy po drugiej stronie.

Munroe rozejrzała się uważnie po pomieszczeniu i raz jeszcze zerknęła na sprzedawczynię. Pewnie mogłaby załatwić wszystko jako kobieta, ale podejrzewała, że dziewczyna chętniej pomoże mężczyźnie. Z doświadczenia wiedziała, że jeśli w takiej wersji - bez makijażu, z neutralną fryzurą i strojem - sama nie przyjmowała wyraźnie roli kobiety lub mężczyzny, inni zwykle widzieli w niej osobę tej płci, z którą czuli się swobodniej. Większość nie miała pojęcia, że męskość bądź kobiecość zależą w mniejszym stopniu od wyglądu, a w znacznie większym od sposobu bycia. Umiejętność odgrywania odpowiednich ról, przechodzenia od jednej płci do drugiej, była zawodowym narzędziem, z którego Munroe korzystała od tak dawna, że stało się dla niej niemal tak naturalne jak mruganie.

Powoli, od niechcienia przeglądała sklepowe półki, raz po raz podnosząc jakąś rzecz. Sprawiała wrażenie kogoś, kto zupełnie nie ma pojęcia, co wybrać. Ociągała się jeszcze chwilę - dokładnie tyle, ile powinna - przytrzymała dwie bluzki koszulowe jedną obok drugiej, po czym o oktawę niższym głosem poprosiła sprzedawczynię o radę.

- *Che, ¿te gusta esta remera para mi hermano?* — spytała dziewczynę, która dotychczas prawie nie zwracała na nią uwa-

gi. - Muszę kupić dla niej prezent urodzinowy i zupełnie nie wiem, od czego zacząć.

Sprzedawczyni odłożyła komórkę na blat i wysunęła się zza szklanego kontuaru. Munroe uśmiechnęła się z zakłopotaniem i dziewczyna odwzajemniła jej uśmiech.

- Mam na imię Michael - powiedziała Munroe. - I z góry dziękuję za pomoc.

- Bianca - przedstawiła się dziewczyna. - Ile lat ma twoja siostra?

Od tego momentu rozmowa potoczyła się swobodnie. Żartobliwy spór o wybór odpowiedniego podarunku przeszedł w zwierzenia, które już tylko krok dzielił od flirtu. W końcu Munroe podjęła decyzję, stanęła przy kontuarze i spojrzała przez szybę na zewnątrz. Stwierdziła niby mimochodem, że patrzenie przez cały dzień na ulicę musi być strasznie nudne.

Bianca westchnęła i przytaknęła.

- Pewnie zwróciłaś uwagę na furgonetkę - rzuciła Munroe - tę, która wozi dzieci?

- One rzadko tu przyjeżdżają - odparła dziewczyna.

- Ale furgonetka zjawia się co tydzień - zauważyła Munroe, po czym przechyliła się przez kontuar i zniżyła głos do szeptu - zawsze tego samego dnia.

Ze zdjęć w materiałach Logana wiedziała, że Wybrani mają upodobanie do wieloosobowych pojazdów, ale poza tym opierała się wyłącznie na domysłach. Zgadywała trafnie lub nie - nie miało to znaczenia, bo liczyła, że Bianca sprostuje pomyłki i dopowie brakujące szczegóły. Taka już jest ludzka natura.

Tak jak się spodziewała, dziewczyna dodała:

- I zawsze o tej samej porze.

- Furgonetka jest chyba szarawa?

- Biała - poprawiła ją Bianca.

- Rzeczywiście, biała. - Munroe uśmiechnęła się uwodzicielsko. - Wierz mi, nie jestem daltonistą.

Bianca się zarumieniła. Zawstydzona okazanym jej zainteresowaniem, pragnąc zatrzymać adoratora trochę dłużej, kontynuowała rozmowę. Lubiła plotkować i Munroe chętnie to wykorzystywała, przeplatając pytania komplementami i nieśmiały

uśmiechami.

Furgonetka zjawiała się w każdy wtorek późnym rankiem i niemal zawsze prowadził ją ten sam mężczyzna. Razem z towarzyszącą mu osobą - zwykle kobietą - znikali w delikatesach na dwadzieścia-trzydzieści minut i wracali z pełnymi po brzegi skrzyniami. Bianca trajkotała jak nakręcona, wyjawiając dalsze szczegóły, ale w tej chwili były one nieistotne. Munroe z westchnieniem spojrzała na zegarek i pomachała dziewczynie na pożegnanie, po czym ruszyła z powrotem do hotelu.

Wystarczyło zlokalizować jedną Przystań. Potem trzeba było tylko trochę czasu i cierpliwości, aby odnaleźć pozostałe dwie, które podobno znajdowały się w samym Buenos Aires lub jego okolicy. Wiedziała, że następnego dnia będzie gotowa. Magnes spełnił swoje zadanie. Już wkrótce miała znaleźć igłę.

Rozdział 11

Munroe siedziała obok łóżka, plecami oparta o ścianę. Przed sobą, na podłodze miała dwa pliki dokumentów. Minęła północ. Bradford wyciągnął się już na łóżku bliżej okna. Łagodne pochrapywanie mówiło jej, że albo śpi, albo doskonale udaje.

Nie chciała, żeby przeszkadzało mu światło, więc przestawiła lampę z biurka na podłogę i usadowiła się między ścianą a łóżkiem. Został jej jeszcze do przejrzenia ostatni plik dokumentów od Logana. Czekają obok koperty z informacjami na temat zabójstwa w Nowym Jorku.

Munroe raz po raz przesuwała między nimi palcem, prowadząc w duchu debatę. W końcu dokumenty od koperty dzieliła równa linia podłogowych płytek. Powolnym ruchem odwróciła dłoń wewnątrz do siebie i wlepiła wzrok w niewidzialne plamy krwi, które je znaczyły. Tak bardzo pragnęła, żeby zniknęły, ale wiedziała, że nie zdoła ich usunąć.

Była drapieżnikiem, łowcą. Nienawidziła żądz krwi, która stale czaiła się tuż pod jej skórą. Brzydziła ją łatwość, z jaką zabijała, i zadowolenie, jakie ją potem ogarniało.

Czy naprawdę miało znaczenie to, że zabijała w obronie własnej albo że jej ofiary były złoczyńcami? Każdy zabity był czyimś synem lub bratem, ojcem lub kochankiem. Śmierć to śmierć, mord to mord. Żądza krwi i przyjemność zabijania dorównywały siłą najgorszemu uzależnieniu. Właśnie dlatego Munroe nie skarżyła się na koszmary senne ani poczucie winy, jakie w sobie nosiła. Stały się one swoistym dowodem na to, że pomimo euforii towarzyszącej mordowaniu wciąż ma sumienie, jest człowiekiem i żyje.

Na szczęście obawa, że zlecenie Logana dopisze do jej konta nowe ofiary, znacznie zmalała, gdy w miarę analizy materiałów Munroe uświadomiła sobie, że Wybrani na ogół są pacyfistami. W przeciwieństwie do sekty z Jonestown nie uznawali ma-

sowych samobójstw ani nie gromadzili broni tak jak członkowie Gałęzi Dawidowej, przygotowujący się na nadejście końca świata - choć wierzyli, że gdy on nastanie, zostaną obdarzeni supermocami, tak jak bohaterowie komiksów.

Fizycznym zagrożeniem nie byli sami Wybrani, lecz ich sponsorzy - ustosunkowani ludzie, o których opiekę i finansową pomoc zabiegali członkowie sekty - wojskowi, policjanci i członkowie wpływowych rodzin. Poszczególne kraje i miasta, a nawet Przystanie w obrębie jednego miasta radziły sobie z tym trochę inaczej, ale dopóki nie orientowała się lepiej w lokalnej sytuacji, nie musiała sobie tym zaprzętać głowy.

Najbardziej obawiała się nie samej przemocy, lecz tego, że zostanie zdemaskowana i będzie musiała bezsilnie patrzeć, jak Wybrani się rozpraszają, a Hanna znowu się ulatnia niczym kamfora.

Munroe odsunęła na bok kopertę z informacjami na temat Nowego Jorku. Miles miał rację. To było jedyne wyjście. Roztrząsanie tego teraz mogło tylko przeszkodzić w sprowadzeniu do domu córki Logana. Tutaj, w Buenos Aires, sprawy mogły się potoczyć po ich myśli, jeśli będzie musiała radzić sobie z przemocą wyłącznie we własnych koszmarach.

Wzięła do ręki teczkę Logana i zaczęła czytać. Im bardziej zagłębiała się w dokumenty, tym większy czuła gniew. Był jak ogień, który można ugasić jedynie przelaną krwią.

Jej furię potęgowały nie tylko zawarte w materiałach idee, ale także bezkarność, z jaką je propagowano i dokumentowano. Prorok, dostąpiwszy boskiego objawienia, ogłosił wolność od zasad narzuconych przez Biblię. Oznajmił, że dla czystego wszystko jest czyste, a Wybranych obowiązuje tylko jedno prawo: każdy czyn jest dozwolony, jeśli wypływa z miłości. Podkreślał wielokrotnie, że to właśnie ona jest decydującym kryterium - nie wiek, nie więzy rodzinne ani nawet nie stan cywilny. Zniesiono wszelkie tabu i usunięto zakazy moralne. Zaczęto deptać niewinność dusz i ciał dzieci, a każdy z tych aktów gwałtu szczegółowo opisano.

Prorok przyjął za doktrynę „Kochaj i czyń, co chcesz” świętego Augustyna; „Czynienie według własnej woli będzie całym

Prawem” Aleistera Crowleya oraz „Wszystko mi wolno” świętego Pawła. Uważał, że nic nie stoi na przeszkodzie temu, by uważać dzieci za w pełni rozwinięte seksualnie, skoro motywacją jest miłość.

Dzieci nie krzyczały ani nie protestowały. Nauczono je uległości, posłuszeństwa i niezadawania pytań. Były bezsilne, mogły jedynie słuchać innych. U kogo miały szukać schronienia, kiedy zgłaszali się po nie pedofile? Rodzice, którzy powinni bronić dzieci przed złem i nie dopuścić, aby stała im się krzywda, zrzekli się tego obowiązku, aby trwać przy Proroku i pozostać wśród Wybranych. Wszelkie czyny przeciwko niewinnym, nawet te najgorsze, wypływały przecież z miłości.

Dopiero w połowie pliku Munroe przerwała lekturę i odłożyła teczkę. Musiała przestać, odetchnąć, świadomie wymusić u siebie stan równowagi i spokoju. Dalsze przedzieranie się przez szczegóły nie miało sensu. Wiedziała już, w czym rzecz. Emocje, jakie budziła w niej lektura, przywoływały bolesne migawki z przeszłości, z którymi zmagająca się przez ostatnie lata.

Już rozumiała, dlaczego Heidi powiedziała, że o brakujących elementach trudno zapomnieć, i co Logan miał na myśli, mówiąc, że z ich cierpienia robi się medialny cyrk. Miał rację. Po lekturze tych materiałów łatwo można było odsunąć wszystko, co przeczytała wcześniej, zapomnieć o tym, że ból sięgał o wiele dalej i głębiej, że całe życie tych dzieci stawało się parodią sprawiedliwości i klęską ludzi, którzy powinni cenić, chronić i szanować niewinność dzieciństwa.

Nie musiała czytać reszty. Miała już pełen obraz na podstawie tego, co usłyszała od Logana i jego przyjaciół w Nowym Jorku. Opowieści o nadużyciach w końcu zaczęły wychodzić na jaw, władze wszczynały dochodzenia, a doktryny, jakim Wybrani wcześniej pozostawali jawnie wierni, teraz coraz częściej spowijała tajemnica. Prorok i jego przedstawiciele na nowo pisali historię, palili Nauki, publicznie i przed sądami odpierali zarzuty, wszystkiemu zaprzeczali, a we własnym gronie bronili świętości swoich przekonań. Dopiero przytłoczeni rosnącą liczbą dowodów, rzecznicy Proroka niechętnie przyznali, że część historii była prawdziwa,

zaprzeczając przy tym roli swojego przywódcy i jego doktryny. Zrzucali odpowiedzialność na samowolę wyznawców i zapewniali, że wszystko wygląda teraz inaczej.

Munroe długo siedziała pogrążona w myślach. Przeniknięcie do sekty i asymilacja wymagały uwolnienia się od wszelkich opinii i interpretacji, ale ze względu na kontekst zlecenia zachowanie obiektywizmu stawało się coraz trudniejsze.

Gdy fala gniewu opadła i wściekłość chwilowo ustąpiła, wstała z podłogi. Powoli i ostrożnie, aby przypadkowym hałasem nie obudzić Bradforda, przemierzyła pokój, wzięła laptop z biurka i wróciła do swojego kąta między ścianą a łóżkiem. Włączyła komputer i zgasila lampę.

Do rana miała czas, aby wgryźć się w żyły informacji, przysaść do nich i wyciągnąć jak najwięcej życiodajnej krwi. Teczki Logana już przestudiowała. Dzięki nim poznała tło: historię, fakty i realia. Teraz chciała wnikać w umysły osób, które w tym tkwiły, zrozumieć sposób rozumowania Wybranych, zwłaszcza tych w Argentynie - o ile było to możliwe. Zamierzała poznać ich marzenia i aspiracje, ich lęki i motywy działania, a to mogła znaleźć nie w historii i danych, ale w blogach, opowieściach i komentarzach krążących po przepastnym Internecie.

To zadanie pochłonęło ją tak, że nawet nie zauważyła, kiedy Bradford się obudził. Zorientowała się dopiero, gdy przeszedł pół pokoju. Przerwała w pół zdania, kiwnęła do niego głową i ponownie przeniosła wzrok na ekran.

- Hej. - Bradford usiadł na brzegu łóżka i pochylił się, tak że jego twarz znalazła się na poziomie jej wzroku. - Nie zamierzasz spać?

- To raczej nie jest dobry pomysł - odparła, nie podnosząc oczu.

- Co? - spytał prowokacyjnie. - Myślisz, że z zamkniętymi oczami nie dałbym sobie rady z twoim lunatykowaniem?

Zachichotała.

- Mogłoby się to skończyć niezłym bałaganem.

- Jak będziesz potrzebowała odpoczynku, daj mi znać. Popilnuję cię. - Z jego tonu zniknęła żartobliwa nuta, a głos za-

brzmiał cicho i poważnie.

Munroe podniosła głowę i spojrzała w oczy, które dzieliło od niej zaledwie kilka cali.

- Dziękuję ci - powiedziała szczerze. - Być może skorzystam z propozycji, ale dziś muszę się zająć zbieraniem informacji. - Zerknęła na zegarek. Czwarta rano. - A jak ty się czujesz? - spytała.

- To zależy - odparł. - Siódma wciąż jest aktualna?

Przytaknęła.

- W takim razie chętnie się prześpię jeszcze trzy godziny - stwierdził, przerzucając nogi na drugą stronę łóżka i puszczając do niej oko w sposób, który zupełnie ją rozbijał.

Prostując plecy, powiodła za nim wzrokiem. Miał na sobie ściągane sznurkiem w pasie luźne spodnie. W ciemnym pokoju jego muskularny tors wyglądał, jakby namalowano go dwoma odcieniami. Bradford wiedział, że mu się przygląda. Obrócił się, żeby ją na tym przyłapać, a wtedy Munroe o mało nie wybuchnęła śmiechem. Śledziła go wzrokiem, dopóki się nie położył.

Wzajemna sympatia, która narodziła się między nimi w Afryce, nie znikła z czasem, ale tylko od Munroe zależało, czy iskra przerodzi się w większy płomień. Przeszkodą nie był bynajmniej brak zainteresowania ze strony Bradforda. Od dawna wiedziała, że jej pragnie, ale za bardzo szanował wyznaczone przez nią granice i to, co razem przeszli.

Przez jej myśli przetoczyły się wspomnienia o Noahu i poczuła kłujący ból, który ostatnio często im towarzyszył. Odsunęła je od siebie i ponownie spojrzała na monitor komputera. Wyświetlał kolejną serię linków do blogów. Po chwili dopisała jeszcze jedną uwagę w notesie, który był już niemal całkiem wypełniony.

Wyszli z hotelu o siódmej trzydzieści. Bradford towarzyszył Munroe jako obserwator - dodatkowa para oczu. Zakładała, że furgonetka zjawi się pod delikatesami między dziesiątą a jedenastą od strony ulicy, która zapewniała najłatwiejszy dojazd.

Wolała jednak nie marnować kolejnego tygodnia na czekanie, gdyby jej założenia okazały się błędne, dlatego starała się zabezpieczyć na każdą ewentualność.

O ósmej miasto dopiero się budziło i w tej okolicy ruch był niewielki. Mimo to Bradford wysiadł z taksówki kilkadziesiąt metrów od delikatesów i wszedł do narożnej kafejki, gdzie zajął miejsce przy oknie, aby stamtąd obserwować całą ulicę.

Mikrosłuchawka w uchu Munroe zaświergotała. Bradford sprawdzał siłę sygnału. Uśmiechnęła się, podsłuchując, jak rozmawia z kelnerką w niezbyt dobrze mu znanym języku. Uznawszy, że Miles już zajął pozycję, odjechała kawalek dalej i zatrzymała taksówkę nieopodal miejsca, w którym spodziewała się zobaczyć furgonetkę.

Pożyczyła nie tylko wóz, ale też ubranie taksówkarza Raula. Przez kilka dni dawała mu wystarczające napiwki, aby nabrać pewności, że tego dnia chętnie na kilka godzin odda jej czarno-zółty samochód, a sam zaczeka za rogiem.

Zaparkowała przy krawężniku, zdecydowana czekać do skutku. Kilku osobom, które machały, aby podjechała, albo próbowały wsiąść do środka, tłumaczyła, że czeka na pasażera. Dłużące się godziny umilała sobie rozmową z Bradfordem. Ich konwersacja była abstrakcyjna, z rodzaju tych, które służą zabijaniu czasu. Ot takie rozważania, które pogłębiają więź między partnerami. Rozśmieszał ją dowcipnymi ripostami. Niemal dorównywał jej bystrością umysłu. Przeskakiwał z tematu na temat - od niedorzecznych po dziwaczne - aż do chwili, gdy furgonetka Przystani skręciła w ich ulicę.

Munroe zauważyła ją we wstecznym lusterku niemal w tej samej chwili, gdy Bradford poinformował ją o zbliżającym się celu. Przez przednią szybę wyraźnie widziała parę dorosłych, mężczyznę i kobietę, a za nimi kilka mniejszych twarzątek na tylnych fotelach.

Cierpliwie czekała, licząc samochody i oceniając prędkość. Na sygnał Bradforda wrzuciła bieg, oderwała się od krawężnika i włączyła do ruchu, zostawiając puste miejsce furgonetce.

Za rogiem zostawiła wóz Raulowi, zamieniła się z nim kurtkami i uzupełniła strój kapeluszem oraz okularami przeciwślo-

niecznymi. Nie chciała zostać rozpoznana przez Biancę, sprzedawczynię ze sklepu naprzeciwko. Woliała uniknąć sceny, jaka mogłaby się w związku z tym odegrać.

Pieszko skręciła w ulicę, z której chwilę wcześniej wyjechała. Przez cały czas miała w uchu głos Bradforda, który odmierzał minuty i informował ją o ruchach celu. Wyszedł już z kafejki i powoli zmierzał w stronę delikatesów, tak na wszelki wypadek, gdyby jej misja się nie powiodła.

Munroe przeszła obok furgonetki, upewniając się, że w środku nikogo nie ma. Gdy znalazła się przy tyle pojazdu, przykłękała, żeby zawiązać sznurowadło. Na sygnał Bradforda wsunęła rękę pod podwozie płynnym, błyskawicznym ruchem i przyczepiła tam magnetyczny dysk. Klęczała jeszcze przez chwilę, pracując nad sznurówką, dopóki Bradford ponownie nie dał jej sygnału, że wszystko jest w porządku.

Okrażyła furgonetkę, starając się trzymać tyłem do butiku, wsunęła klin między szybę a blachę i pewnym ruchem otworzyła drzwi od strony kierowcy. Nawet najbystrzejszy obserwator wziąłby ją za prawowitego właściciela, który wrócił po jakiś zapomniany przedmiot. Wystarczyła chwila, aby do bagażanu między fotelami dorzucić długopis i wsunąć pod deskę rozdzielczą wzmacniacz. Następnie wcisnęła blokadę zamka i zatrzasnęła drzwi.

Bateria podsłuchu miała ograniczoną żywotność. Mogli liczyć na jakieś dwanaście, najwyżej czternaście godzin, ale urządzenie naprowadzające miało działać, dopóki sami go nie wyłączą.

Munroe zwolniła kroku, aby Bradford mógł zmniejszyć dystans między nimi. Kilka przecnic dalej przeszła przez ulicę na jego stronę. Razem skręcili za róg, kiwnęli głowami do Raula, który tam na nich czekał, i wsiedli do taksówki.

Zadanie zostało wykonane. Zamiast jeździć za furgonetką po mieście, zostawili zadanie śledzenia GPS-owi. Każda ulica, każdy zakręt i przystanek były rejestrowane i analizowane przez specjalny sprzęt w ich centrum dowodzenia.

Jeśli Gideon i Heidi nie mylili się co do objazdów furgonetki, jeszcze przed końcem dnia powinni znać lokalizację wszystkich

trzech Przystani. Jeżeli nie, potrzebowali więcej czasu, aby odkryć pozostałe siedziby, a tego akurat brakowało im najbardziej.

Munroe podejrzewała, że objechanie zwykłej trasy zajmie furgonetce przynajmniej trzy godziny, więc wrócili do hotelu. Bradford zasiadł przed komputerem i zajął się nanoszeniem informacji z lokalizatora GPS na plan miasta i okolic. Ona mogła jedynie beczynnie czekać, więc się położyła. Zmęczenie zrobiło swoje, powieki opadły i choć obawiała się kolejnego koszmaru oraz spustoszenia, jakie mógł przynieść, już po chwili stała się zakładniczką snu.

Stała na pustej drodze, przy bezużytecznym ducati i patrzyła, jak jakiś dobry samarytanin zatrzymuje się obok.

Wylonił się zza swojego cadillaca escalate z zapasowym kanistrem paliwa.

Wokół rozciągały się bezkresne obszary zachodniego Teksasu, jałowe i płaskie aż po horyzont. Munroe na chybił trafił wybierała kierunek i gnała motorem z samobójczą prędkością, na pełnym gazie i z wyjąłym silnikiem. Źle oceniła odległość do następnej miejscowości, gdy w jednej zastała zamkniętą stację benzynową, i nieoczekiwanie utknęła na pustkowiu.

Samarytanin zbliżył się i podniósł dłoń w geście pozdrowienia. Skinęła głową. Wyjaśniła mu, co się stało, i odkręciła korek zbiornika paliwa.

On podał jej kanister.

Miał dziwny uśmiech i coś w jego postawie ją zaniepokoiło.

Zawahała się.

Niecałe pięć litrów pozwoliłoby jej dotrzeć do jakiejś cywilizacji. Bardzo potrzebowała tego paliwa. Przymus wziął górę nad instynktem. Wyciągnęła rękę po kanister.

Jej dłoń zamknęła się na uchwycie i w tej samej chwili zobaczyła lufę wycelowaną prosto w swoją twarz.

Zastygła w bezruchu, podniosła wzrok i odszukała jego oczy.

Jego uśmiech znikł. Już nie musiał się maskować. Kiwnął głową w stronę swojego wozu.

Westchnęła. Gówniany los.

Z rezygnacją skuliła ramiona. Zrobiła to, co jej kazał.

Pchnął ją w stronę tylnych drzwi samochodu i ruszył za nią.

Gdyby chciał ją zabić, już by to zrobił, więc szła spokojnie, pewna, że on nie strzeli, dopóki nie dostanie tego, po co się zatrzymał.

Zaczekała, aż znajdą się przy cadillacu, i dopiero tam, obserwując jego odbicie w przyciemnionych szybach, zaatakowała. Błyskawicznie wytrąciła broń z ręki przeciwnika.

Pięść w twarz, kolano w krocze. Niespodziewanie odpowiedział na jej atak. Cios za cios, blok za blok, niewytlumaczalnie parował jej uderzenia, równie szybko jak ona. Wbrew wszelkiej logice znalazła się na piecach, z rękami przyciśniętymi do piersi, nie mogąc się poruszyć.

Zawrzała gniewem, jej frustracja przelala się przez brzegi, mimo to nie mogła zyskać nad nim przewagi. Mężczyzna uniósł pięść i uderzył ją w twarz. Mocno. Od ciosu zakręciło się jej w głowie. Przekręciła się, aby spojrzeć mu prosto w twarz, i łypnęła na niego groźnie.

Miles Bradford wpatrywał się w nią intensywnie.

Z walącym sercem i buzującą czaszką z trudem chwyciła oddech, przygnieciona przez niego.

- W porządku - wykrztusiła. - Nic mi nie jest. Złaż ze mnie.

Bradford zareagował błyskawicznie. Puścił ją i się odsunął.

Usiadła i podciągnęła kolana do piersi, obejmując je rękami. Świadomymi, powolnymi oddechami zmusiła serce, aby zwolniło do rozsądnego rytmu.

Bradford wciąż klęczał i przyglądał się jej w milczeniu.

- Przepraszam, że cię uderzyłem - powiedział w końcu.

Raz jeszcze powoli nabrała powietrza i pokręciła głową. Nie miał za co przeproszać. Ten cios sprawił, że nie musiała przeżywać kolejnego zabójstwa.

Pochyliła się do przodu i skuliła w pozycji embrionalnej, kładąc mu głowę na kolanach. Przeczesał palcami jej włosy, prze-

śledził kształt jej podbródka.

- Jak długo spałam? - spytała.

- Jakieś pięć godzin.

Jego dotyk uspokajał ją i wyciszał. Nie ruszała się z miejsca tylko po to, by wciąż go czuć.

- Furgonetka skończyła już objazd?

- Mniej więcej pół godziny temu.

- Co mamy?

- Wygląda na to, że co najmniej dwie potencjalne Przystanie. Bazę i jeszcze jedną siedzibę... tylko nie mam pewności, czy jesteś gotowa na kolejną fazę.

Munroe usiadła i spojrzała mu prosto w twarz.

- Spróbuj mnie powstrzymać - oznajmiła po długiej pauzie.

Rozdział 12

Munroe dźwignęła się z łóżka i poszła do łazienki. Miała nadzieję, że prysznic pomoże jej oczyścić myśli i usunąć emocje, jakie zaserwował jej ostatni sen. Pod gorącym strumieniem straciła poczucie czasu, niemal parząca woda zabierała ze sobą wspomnienia - przynajmniej na jakiś czas. Długo patrzyła, jak ucieka przez odpływ. W końcu zakręciła kran. Miała wrażenie, że spędziła pod prysznicem wieczność.

Umyta i przytomna dołączyła do siedzącego za biurkiem Bradforda.

Gdy usłyszał, że się zbliża, zrobił jej miejsce. Zachowywał się tak, jakby nic się między nimi nie wydarzyło. Nawet jeśli bardzo chciał ją o to wypytać i zrozumieć - a miała pewność, że tak jest - niczego po sobie nie pokazał. Dobrze ją znał i wiedział, że jeśli cierpliwie zaczeka i da jej spokój, w końcu wszystkiego się dowie.

Z półśmiechem podał Munroe słuchawki i usunął się z drogi, aby mogła wysłuchać nagrania z zainstalowanej w furgonetce pluskwy.

Urządzenie uruchamiał detektor dźwięku, dzięki czemu baterie starczały na dłużej. W ciągu pięciu godzin, które Munroe przespala, zarejestrowało sześćdziesiąt kilka minut nagrania. Przez ostatnią godzinę nie transmitowało nic, i to, w połączeniu z miejscem, w którym znajdowała się obecnie furgonetka, kazało im przypuszczać, że więcej przekazów z odbiornika w długopisie nie będzie.

Munroe słuchała, od czasu do czasu coś notując. W końcu zdjęła słuchawki i odłożyła je na stół. Większa część zarejestrowanej rozmowy była bezużyteczna. Gestem poprosiła Bradforda, by do niej dołączył.

Przerwał pisanie, odłożył notatnik i usiadł obok niej, tak blisko, że poczuła na skórze jego ciepło. Usunęła z myśli głód jego

uspokajającego dotyku i skupiła się na informacjach, jakie już udało się zgromadzić. Wspólnie przestudowali dane z lokalizatora.

Furgonetka nakreśliła krętą trasę przez miasto. Bradford już zdążył zaznaczyć dwie najbardziej prawdopodobne lokalizacje Przystani - obie w dzielnicach mieszkalnych, raczej na uboczu. Budynek, przy którym pojazd ostatecznie się zatrzymał, był mniejszym z dwóch domów i znajdował się bliżej sąsiadów niż druga siedziba.

Zdjęcia satelitarne pokazywały dość szczegółów, aby mogli się zorientować w okolicy. Munroe nakreśliła drogi dojazdowe i wyjazdowe z obu Przystani. Gdy skończyła, wstała i się przeciągnęła, rozprostowując ramiona.

- Zrobię próbny przejazd - oznajmiła. - Wybierzesz się ze mną?

Bradford podniósł się z miejsca i sięgnął po kurtkę.

Zaproponowała mu wspólną jazdę nie dlatego, że potrzebowała jego pomocy, ale ze względu na spokój, jaki czuła w jego obecności. Poza tym, choć wiedział, że potrafi sama o siebie zadbać, nie mógł poradzić na to, że się denerwował, gdy nie miał absolutnej pewności, że Munroe jest bezpieczna. Trzymanie się razem wychodziło na dobre im obojgu.

Na zewnątrz powoli zapadał zmierzch. Munroe wezwała taksówkę. Dzięki wskazówkom z nawigacji satelitarnej podała kierowcy cel podróży i szczegóły trasy, których nie znał.

Najpierw udali się na przeciwległy kraniec miasta, opuszczając eleganckie dzielnice domów w stylu kolonialnym i wysadzanych drzewami bulwarów. Poza miastem wciąż jeżdżono szutrowymi drogami, a budynki wyglądały prosto i skromnie. Choć nie był to ostateczny cel furgonetki, jedynym powodem czterdziestopięciominutowego postoju w tak odległej od centrum okolicy mogły być tylko odwiedziny w siostrzanej Przystani.

Posiadłość przypominała ranczo. Składał się na nią duży, dwupiętrowy budynek, jednopiętrowy aneks i coś, co przypominało stodołę lub dużą szopę. Zabudowania znajdowały się dość daleko od głównej drogi, z którą łączyła je żwirowa dojazd-

dówka. Przystanek nie wchodził w grę, bo ściągnęliby na siebie uwagę, więc tylko dwukrotnie przejechali obok i w gęstniejącym zmierzchu obfotografowali wszystko, co się dało, po czym ruszyli do następnego miejsca.

Furgonetka na stałe garażowała na przedmieściach, w okolicy, gdzie domy otaczano wysokimi murami, a wstępu na podwórza broniły pełne, metalowe bramy. Gdzieniedzie widać było sklepiki i miniwarsztaty. Pierwszy przejazd potwierdził to, co widzieli na zdjęciach satelitarnych: budynek miał trzy piętra i tylną przybudówkę, która pierwotnie miała służyć jako kwatery służących. Odległość od zewnętrznego muru sugerowała, że na tyłach znajduje się spory ogród.

Gdy dotarli do końca ulicy, Munroe zapłaciła taksówkarzowi i razem z Bradfordem dołączyli do ulicznych przechodniów. W przeciwieństwie do pierwszej siedziby, co do której od razu zorientowali się, że jest niedostępna, tutaj Munroe miała nadzieję zobaczyć, czy domu strzegą psy lub wartownicy, i sprawdzić, w którym miejscu najłatwiej będzie pokonać ogrodzenie.

Spacerując pod rękę, obeszlą całą strefę i w końcu uznała, że ma już to, czego potrzebowała.

- Jak sądzisz, ile sypialni? - spytała.

Bradford obejrzał się przez ramię na budynek, po czym ponownie przeniósł wzrok na chodnik.

- Trudno ocenić. Może pięć albo sześć.

Przytaknęła mu.

- Też tak myślę. Zaryzykuję i powiem, że mieszka tam co najmniej czterdzieści pięć osób.

- Zgadujesz? - spytał. - Skąd możesz to wiedzieć?

- Tak wynika z materiałów, które przeczytałam, i z tego, co przez lata opowiadał mi Logan. Przynajmniej dwie trzecie to dzieci - dorzuciła.

Bradford przez chwilę milczał. Wiedziała, że w myślach wszystko kalkuluje. W końcu kiwnął głową w stronę domu.

- Myślisz, że tam jest trzydziestka dzieciaków?

- Co najmniej. A podejrzewam, że nawet więcej.

Odczekał moment, a potem ze śmiertelnie poważną miną

oznajmił:

- To kupa prania.

O pierwszej w nocy serce Buenos Aires dopiero zaczynało żywiej bić. Ci, którzy szukali miejskich rozrywek, rzadko mogli znaleźć coś przed północą, a zabawa trwała w najlepsze do trzeciej czy czwartej rano. Na przedmieściach wyglądało to inaczej. Prócz sporadycznych rozmów późnych przechodniów na ulicach panował spokój. Tylko od czasu do czasu ciszę mącił jakiś samochód, szczekanie psa lub miauczenie kotki w rui.

Munroe stała plecami do muru, od niechcienia opierając o niego ugiętą w kolanie nogę. W milczeniu obserwowała ulicę i czekała na właściwy moment. Podeszła do budynku od tyłu, boczną uliczką, u której wylotu wysiadła z taksówki Raula. Gdy odjechał, zdjęła wierzchnią koszulę, zwinęła ją ciasno i wepchnęła do bocznej kieszeni kamizelki. Na głowę wciągnęła kominiarkę i cała w czerni, czując zew nocy, zaczęła przemykać od zasłony do zasłony, jak duch w mroku, aż dotarła do najbliższej części muru okalającego Przystań.

Przerzuciła rozkładany hak z doczepioną do niego linką na drugą stronę i wciągnęła się na górę. Za ogrodzeniem teren wokół domu był dobrze oświetlony i choć Munroe jeszcze ich nie widziała, to podczas wcześniejszego zwiadu zorientowała się, że posesji strzeże kilka psów.

Przywarła płasko do szczytu muru, lewą nogę dla równowagi zwieszając na zewnątrz. Z kieszeni kamizelki wyciągnęła szczelnie zamkniętą paczkę z mięsem i wyćwiczonym gwizdem przywołała psy. Korzystała ze starej i wypróbowanej metody. Rzuciła kilka zaprawionych kawałków na ziemię, aby zwierzaki same się uspiły, i zaczęła wyciągać z kieszeni części urządzeń.

Najpierw złożyła i zamontowała kamerę monitorującą, do której po chwili dołączyła bezprzewodowy nadajnik dalekiego zasięgu. Zakładała, że w takim miejscu nie odkryją sprzętu przez dłuższy czas, a może nawet nigdy. Według wskazówek, które Bradford podawał jej wprost do ucha, powoli dostrajała kamerę, aż jej towarzysz potwierdził dobry odbiór obrazu.

Potem powtórzyła wszystkie kroki od początku, montując laserowy celownik tak, by odbijał się od szyb największego okna na dole.

Psy już zapadły w drzemkę i choć nie zostały głęboko uspio-
ne, nie były w stanie podnieść alarmu. Munroe zaczęła w kucki przesuwać się wzdłuż górnej krawędzi muru jak po równoważni. Zatrzymała się w punkcie, w którym odczyt z celownika wskazywał kąt prosty. Zainstalowanie laserowego mikrofonu wymagało odrobiny zręczności, a miała tylko jedną szansę, by zrobić to prawidłowo.

Przekreśliła nakrętkę motylkową, przechyliła odbiornik jeszcze o pół stopnia w stronę lasera i Bradford potwierdził odbiór dźwięku.

Z nasłuchu wynikało, że w domu nie śpią jeszcze cztery osoby. Weryfikacja głosowa - nieoczekiwana premia - była jedyną pozytywną stroną tego, że w Przystani, która powinna o tej porze trwać pogrążona we śnie, nadal ktoś czuwał.

Sprzęt audiowizualny został bezpiecznie zamontowany i doświadczenie podpowiadało jej, że skoro załatwiła to, po co tu przyszła, powinna się zbierać. Tylko że w odległości jakichś dwudziestu metrów od jej grzędy na murze, po drugiej stronie dobrze oświetlonego trawnika, znajdował się otwarty garaż z trzema samochodami.

Zawahała się.

Sprzęt nastawiony na okno jednego pomieszczenia musiał im coś dać, pytanie tylko, jak wiele działa się w tym akurat pokoju - nawet jeśli był największy. Munroe chciała się dowiedzieć jak najwięcej. Sama możliwość obserwacji codziennego życia w Przystani pewnie nie wywabiłaby jej z kryjówki, ale nie mogła się oprzeć pokusie założenia lokalizatora na jeszcze jeden samochód.

Zerknęła na zegarek. Nie planowała zabawić tu długo i zaprawiła mięso niewielką ilością środka uspokajającego. Nie chciała przypadkiem podać psom zbyt silnej dawki i wzbudzić tym podejrzeń. Zostało jej niewiele czasu. Wiedziała, że wkrótce cała zgraja znowu zacznie pilnować terenu. Przyjrzała się oknom budynku, gotowa zareagować na najdrobniejszy nawet

ruch. Nic nie zobaczyła, więc ściągnęła kominiarkę.

Zsunęła się po wewnętrznej stronie muru i zeskoczyła na podwórze. Usłyszała gwałtowny wdech Bradforda i domyśliła się, że weszła w zasięg obiektywu kamery. Zignorowała cichy protest towarzysza, wyprostowała się i swobodnym krokiem przemierzyła podwórze, tak jakby była mieszkańcem domu, który postanowił na chwilę wyjść, aby pooddychać nocnym powietrzem.

W uchu ponownie usłyszała głos Bradforda, niski i rzeczowy. Osoba, którą wyłapywał mikrofon, opuściła pokój i szła teraz przez dom. Munroe dotarła do garażu. Tutaj cienie pozwalały jej na nowo wtopić się w mrok. Przez chwilę nasłuchiwała, a potem weszła do środka.

Trzy pojazdy zaparkowano w dwóch rzędach. W miejscu, gdzie powinien się znajdować czwarty, stało kilka lodówek, zamrażarka skrzyniowa i - sądząc po zwiniętych węzach i ka blach elektrycznych - dwie zepsute pralki. Munroe oceniła usytuowanie drzwi i uznała, że z kąta za ostatnią lodówką widok będzie najlepszy.

Wśliznęła się między samochody, przyklękała i zaczęła pod podwoziem jednego z nich lokalizator, po czym wdrapała się na pralkę, a stamtąd na upatrzoną lodówkę. Po ciemku złożyła drugą kamerę i wzmacniacz sygnału. Specjalnym klejem przy-mocowała je w upatrzonym miejscu. Włączyła urządzenie i po chwili Bradford potwierdził odbiór obrazu. Według jego wska-zówek odpowiednio nakierowała sprzęt.

Opuszkami palców delikatnie ustawiła kamerę w ostatecznej pozycji i zamarła. W jej uchu zabrzmiał ostrzegawczy syk Bradforda, który również zauważył strumień światła wylewają-cy się z domu na zewnątrz. Chwilę później otworzyły się drzwi do garażu i stanął w nich mniej więcej szesnastoletni chłopak.

Światło padające z wnętrza budynku wydawało się ośle-piająco jasne. Munroe, wcześniej tak doskonale wtapiająca się w mrok, teraz wyglądała pewnie jak skulony, demoniczny cień nad nastolatkiem. Gdyby zadarł głowę do góry, spojrzalby jej prosto w oczy.

Na szczęście tego nie zrobił. Nieświadomy obecności intruza,

zaczął czegoś szukać. Po chwili znalazł to, zawrócił do domu i zamknął drzwi. Garaż ponownie spowity ciemnością.

Rozległ się dźwięk przekręcanego w zamku klucza i Munroe potraktowała to jako sygnał, że droga znowu jest wolna. Zsunęła się z lodówki i powoli wycofała tą samą ścieżką, którą przyszła.

Dwadzieścia metrów trawnika dzieliło ją od zewnętrznego muru, przy którym psy, choć wciąż ospałe, zaczynały się już ruszać. Sądziła, że starczy jej czasu, ale się przeliczyła. Czworonogi jeszcze się chwialiły, ale im dłużej zwlekała, tym bardziej niebezpieczne się stawały. Myślała już tylko o tym, by dotrzeć do muru. Na jedno uderzenie serca zamarła, naprężyła mięśnie i pomknęła sprintem.

Rozdział 13

Przewodnik sfory odwrócił się w jej stronę. Zaskomlał, kilka razy potknął się o własne łapy i wreszcie ruszył w pogoń. Pozostałe trzymały się tuż za nim. Wszystkie cztery coraz szybciej sadyli susami przez trawnik. Munroe pędziła w stronę muru pod lekkim kątem. Przewodnik już ją doganiał. W biegu chwyciła linkę haka. Impet poniósł ją w górę szybciej, niż gdyby wspinała się normalnie. Podciągnęła się i zaskrobała butami o mur. Za sobą usłyszała kłapanie psich zębów.

Wdrapała się na sam szczyt, błyskawicznie zlurowała hak i pociągnęła go za sobą, zsuwając się po zewnętrznej stronie muru. Opadła trzy metry w dół do przysiadu. Z dłońmi na kolanach, dla równowagi opierając się plecami o mur, wciągała do płuc jeden piekący oddech za drugim. Po chwili się podniosła i zakłęła, gdy poczuła ostry ból w nodze. Sztynnym krokiem ruszyła do wylotu ulicy, gdzie wcześniej wysadził ją Raúl.

Bradford znowu zaczął mówić jej do ucha. Jego spokojny głos nie zdradzał paniki, którą czuł.

- Nic mi nie jest - powiedziała. - Skręciłam tylko kostkę przy zeskoku. Zadzwoń po Raula. Będę na niego czekać w tym samym miejscu, do którego mnie podwiózł.

Musiała pieszo pokonać pół mili. Trochę to trwało i pojawiła się pokusa przywołania taksówki bliżej, ale odsunęła od siebie tę myśl. Nie mogła narażać całej operacji, ryzykując, że nadgorliwy pomocnik zgłosi się do mieszkańców domu z nadzieją, że uda mu się zarobić dwa razy więcej. Im mniej Raúl wiedział, tym lepiej. Tak jak za każdym razem kiedy był potrzebny, teraz również zamierzała trzymać go na dystans.

Z kieszeni wyjęła cienką koszulę, rozwinęła ją i wciągnęła przez głowę.

Taksówkarz podwiózł Munroe pod wejście do hotelu. Wjechała na górę windą. Drzwi do pokoju otworzyły się z rozmachem, jeszcze zanim ich dotknęła, i stanął w nich Bradford. Na jego twarzy malował się spokój, tylko w kącikach oczu pojawiły się drobne zmarszczki, których znaczenia nie umiała odgadnąć. Cofnął się, żeby mogła wejść do środka. Gdy go minęła, podążył za nią wzrokiem, ale nie ruszył się z miejsca.

Obejrzała się na niego i przewróciła oczami.

- Daj spokój - powiedziała - to tylko lekkie zwichnięcie.

Kiwnął głową, zamknął drzwi i oparł się o nie, emanując najnaturalniejszym spokojem, który tak sprytnie maskował jego prawdziwe myśli.

Munroe nie musiała się odwracać, i tak wiedziała, że ją obserwuje. Powoli i ostentacyjnie zdejmowała ekwipunek, który tej nocy miała na sobie. Kiedy już odpięła rzepy kamizelki i opróżniła wszystkie kieszenie, usypując na łóżku mały stosik, obejrzała się przez ramię.

Stał z założonymi rękami, opierał głowę o drzwi i wodził za nią wzrokiem. Spojrzała mu prosto w oczy, usiadła, rozsznurowała buty i ściągnęła je z taką samą ostentacją.

Bradford nic nie powiedział. Ciężkie milczenie wypełniło pokój jak dobywający się spod podłogi dym. W końcu Miles bez słowa nacisnął klamkę i wyszedł.

Echo trzaśnięcia umilkło po chwili, a wraz z nim znikło napięcie. Munroe westchnęła. Szydziła z obaw Bradforda i prowokowała go. Posunęła się za daleko. Wstała i w drodze pod prysznic zrzuciła ubranie. Wraz z pierwszymi gorącymi kroplami dopadły ją wyrzuty sumienia. Pod parzącymi strugami wody zupełnie straciła rachubę czasu. Pewnie czułaby się inaczej, gdyby jej postępowanie wobec Bradforda miało jakiś cel, ale tak nie było. Zachowała się okrutnie bez powodu.

Kiedy wróciła do sypialni, leżał na łóżku z rękami pod głową, wpatrzony w sufit. Nie odwrócił się do niej ani w żaden inny sposób nie zareagował na jej obecność, więc wzięła ostatnią teczkę Logana, usiadła ze skrzyżowanymi nogami na swoim

łóżku i rozłożyła przed sobą dokumenty.

- Wszystko w porządku? - spytała.

Bradford przewrócił się na bok, przodem do niej, i podparł głowę ręką.

- Opowiedz mi o Noahu - poprosił.

Spojrzała mu w oczy.

- Co chcesz wiedzieć?

- Dlaczego od niego odeszłaś? Tylko nie mów, że zrobiłaś to ze względu na Logana i to zlecenie albo z powodu koszmarów. To jedno z wielu przyczyn, ale nie *główny* powód.

Munroe przez chwilę milczała.

- On mnie nie znał - wyszeptwała w końcu. - Nie mógł mnie znać...

Zamilkła, ale Bradford cierpliwie czekał.

- Przez jakiś czas pasowałam do obrazu, jaki sobie stworzył - przyznała w końcu - i dopóki to, co mówiłam i robiłam, zgadzało się z jego wyobrażeniami o mnie, był szczęśliwy. - Pokręciła głową ze smutkiem. - Ale nawet kiedy się staram i bardzo pragnę zdusić moją prawdziwą naturę, ona i tak wyłazi na wierzch. Jestem, kim jestem, Miles. Fragmenty, które przed nim ujawniłam, klóciły się z tym, jak chciał mnie widzieć. I nie jest ważne, jak sobie to tłumaczy ani jak bardzo się stara zaakceptować prawdziwą mnie, nie uda mu się to, a ja nie mogę się do niego dostosować. Dlatego tak jest lepiej. - Zapatrzyła się przed siebie. - I tak przysparzam temu światu dość cierpień. Naprawdę nie chciałam go tym obciążać. Przez jakiś czas było nam ze sobą dobrze, wiesz? Kochałam go... kocham... zawsze będę. - Palcami kreśliła przypadkowe wzory na teczce. - Ale czasami sama miłość musi nam wystarczyć. Próby zamienienia jej w coś więcej sprawiają, że powoli ją zabijamy.

- Mogłabyś do niego wrócić, kiedy to się skończy - stwierdził Bradford.

- Mogłabym - przyznała. - Tylko że Noah wyraźnie dał mi do zrozumienia, że nie chce mnie więcej widzieć, i w zasadzie mu się nie dziwię. Powód mojego wyjazdu nie ma tu żadnego znaczenia... męska duma nie wszystko zniesie. - Na moment

umilkła, a potem dodała: - Prawdę mówiąc, zastanawiałam się nad tym, wiesz? Myślałam, jak wyglądałby taki powrót, nawet gdybym nie była mile widziana.

- Ale nie wrócisz?

- Nie. - Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. - Powody, dla których odeszłam, są wciąż aktualne. Mogę mu zadać tylko jeszcze więcej bólu. Niech mnie nienawidzi... niech mną gardzi, jeśli tego chce. Ja wolę cenić uczucie, które nas łączyło, bez względu na to, jaki był koniec. - Umilkła i jeszcze raz popatrzyła prosto w oczy Bradforda. - Dlatego moja odpowiedź brzmi: Tak. To już koniec. Bo chyba to chciałeś wiedzieć, prawda?

Dochodziła dziewiąta rano. Munroe stała w hotelowym holu, czekając na Raula. W pokoju przykleiła do telewizora wiadomość, żeby Bradford nie wpadł w panikę. Wiedziała, że zerwie się na równe nogi, gdy tylko ona wymknie się z pokoju. Naprędce nakreślona notatka miała go uspokoić i dać kilka dodatkowych godzin odpoczynku.

Następną fazę przedsięwzięcia zaplanowali na popołudnie, a ponieważ Bradford zasnął dopiero po piątej, podejrzewała, że może spać aż do jej powrotu.

Jej pierwszym przystankiem był pensjonat Logana. Opłacone z góry na dwa tygodnie pokoje gwarantowały, że pozostała trójka będzie tam na nią czekała. Wcześniej zadzwoniła i od właścicielki dowiedziała się, że chłopcy wyszli. Nie miała pojęcia, na jak długo.

Zostawiła instrukcje Raulowi i wąską alejką wijącą się wokół budynku dotarła do kwatery Gideona i Logana. Tam, upewniwszy się po raz kolejny, że pokój jest pusty, otworzyła zamek uniwersalnym kluczem i dostała się do środka. Ryzyko, że Logan przyłapie ją na tym, jak zakrada się do jego prywatnej przestrzeni, zajmowało daleką pozycję na liście potencjalnych katastrof, ale i tak wolała się na niego nie natknąć, dlatego chciała szybko opuścić pokój.

Odsunęła nocną szafkę między łózkami i zdjęła panel gniazda elektrycznego w ścianie za nią. Zręcznymi palcami szybko

zainstalowała pluskwę. Chwilę później to samo zrobiła z gniazdem po przeciwnej stronie pokoju. Nie chodziło o to, że nie ufała Loganowi - co innego Gideon - po prostu musiała grać mądrze. Logan dobrze ją znał i właśnie tego od niej oczekiwał.

Po wykonaniu zadania wycofała się tą samą drogą. Na moment musiała się ukryć za załomem ściany przed Heidi, która akurat tamtędy przechodziła. Chłopcy pewnie mieli się też zaraz zjawić, więc błyskawicznie wróciła na alejkę od frontu. Zjawiła się tam dosłownie pół minuty przed taksówką. Wsunęła się na tylną kanapę i zerknęła na zegarek. Miała dwie godziny, żeby się przygotować do następnego etapu.

Wróciła do Paseo Alcorta na zakupy. Tym razem skupiła się na kobiecych fataląszkach z drogich butików i markowych sklepów. Wypad do centrum handlowego traktowała jak misję, której celem było nabycie rzeczy niezbędnych do przeprowadzenia operacji. W innych okolicznościach takie sprawunki dałyby jej o wiele więcej przyjemności i trwały znacznie dłużej. Tego dnia miała mało czasu.

Kiedy wróciła do pokoju, Bradford wciąż spał z twarzą ukrytą w poduszce. Nawet się nie poruszył, gdy zamknęła drzwi. Grał idealnie. Znakomicie ukrywał troskę i udawał pogrążonego w głębokim śnie. Rozbawiona rzuciła torby na łóżko i usiadła przed komputerem.

Zaczęła przewijać na podglądzie materiał zarejestrowany przez kamery, które założyła w Przystani, i wtedy się odezwał:

- Która godzina?
- Prawie pierwsza - odparła, nie odwracając się od monitora.
- Widziałeś to już? - spytała.

Bradford zsunął stopy na podłogę i dźwignął się z łóżka.

- Tylko nagrania z nocy - powiedział, kierując się do łazienki.
- Za to jeden z lokalizatorów zaczął się przemieszczać zaraz po dziesiątej.

Munroe, przyklejona do monitora, przewijała materiał. Gdy na ekranie mignęły twarze kilkorga dzieci, włączyła normalne odtwarzanie. Wyszły na podwórze po dwunastej, a zamontowana na murze kamera ujęcie za ujęciem rejestrowała ich zabawę. Program umożliwiał przybliżanie wybranych fragmen-

tów pola widzenia obiektywu i cyfrową obróbkę obrazu. Zanim Bradford wyszedł spod prysznica, miała już zbliżenia wszystkich twarzy.

- Znalazłaś coś? - spytał.

- Jeszcze nie. Te dzieciaki wyglądają na dziewięcio-, dziesięciolatki. Starsze jeszcze się nie pokazały.

- A druga kamera?

- Dwie furgonetki wyjechały. Sami dorośli, żaden nie przypomina Davida Lawa.

- Chcesz się przespać?

Munroe przerwała oglądanie nagrań, odwróciła się od komputera i bez słowa spojrzała na Bradforda.

- Przydałby ci się odpoczynek - stwierdził. - Jeśli ograniczymy go do godziny, może nie zdążysz zapaść w głęboki sen, ale trochę się zregenerujesz.

Nie odpowiedziała.

Bradford wzruszył ramionami.

- Twój wybór - dodał. - Jeżeli potrzebujesz przerwy, mogę cię zastąpić.

Odsunęła się od komputera.

- Na godzinę - powiedziała.

Dłuższy odpoczynek nie tylko mógł wywołać kolejny koszmar, ale też opóźnić plan na popołudnie.

Odsunęła się, robiąc Milesowi miejsce przed monitorem, zerknęła na niego przez ramię i się położyła. Bradford wygodnie rozsiadł się na krześle i zaczął demonstracyjnie się jej przyglądać. Uśmiechnęła się, zamknęła oczy i odpłynęła w niebyt.

Obudził ją dotyk Bradforda. Gładził ją palcem po policzku. Spojrzała na niego zdezorientowana.

- Hej - wyszeptał, siląc się na uśmiech. - Jakies potwory?

- Nie - odparła. - Żadnych. Jak długo spałam?

Bradford zerknął na zegarek.

- Godzinę i trzy minuty. Jak się czujesz?

- Trochę mi się kręci w głowie - przyznała i usiadła, zsuwając stopy na podłogę. - Co masz z lokalizatora?

Uśmiechnął się przesadnie.

- Chyba znaleźliśmy naszą trzecią Przystań.

Próbowała odwzajemnić jego uśmiech. Podniosła kciuk na znak, że to dobra wiadomość, po czym ruszyła pod prysznic z nadzieją, że woda błyskawicznie ją otrzeźwi. Za niecałą godzinę musiała działać na pełnych obrotach. Nie miała pewności, czy sześćdziesiąt trzy minuty snu warte były wrażenia, że jej myśli toną w mleku mgły.

Zanim się wykapała, Bradford wyszedł. Ubrała się i specjalnie mocno się umalowała, aby wyglądać bardziej kobieco. Gdy skończyła, jego wciąż nie było, więc ponownie usiadła przed monitorem.

Według danych z GPS-u, odkąd wróciła z wyprawy do centrum handlowego, furgonetka zrobiła tylko jeden przystanek. Gdy zobaczyła lokalizację na mapie Bradforda, domyśliła się powodów jego zadowolenia. Trzecia Przystań znajdowała się niecałe dziesięć minut od ich bazy. Uznała, że tym razem zrezygnuje z kursu zwiadowczego i jeszcze tej nocy zainstaluje sprzęt monitorujący.

Poszczególne elementy układanki zaczynały trafiać na właściwe miejsca.

Jeśli informatorzy Logana się nie mylili i Hanna rzeczywiście mieszkała w jednej z trzech Przystani w Buenos Aires, wkrótce mieli ją znaleźć.

Munroe przejrzała wideo z kamery w garażu, zwracając uwagę na godzinę wyjazdu furgonetki. Zatrzymała kadr, który pokazywał wszystkich wyjeżdżających, i upewniła się, że nie ma na nim ani Hanny, ani Davida Lawa. Następnie zajęła się przesłuchiowaniem nagrań z laserowego mikrofonu. Zdążyła przerobić zaledwie pierwsze pięć minut, gdy zadzwonił Miles.

Odłożyła słuchawki, wzięła pojemną torebkę na ramię i wyszła. Bradford czekał na nią w hotelowym holu. Uśmiechnął się na jej widok i obrzucił pełnym podziwu spojrzeniem. Potem podał jej ramię i poprowadził do najnowszego modelu czterodrzwiowego peugeot. Munroe uważnie obejrzała wóz i kiwnęła głową z aprobatą. Załatwił go dzięki miejscowy kontaktom. Samochód był o wiele lepszy, niż się spodziewała.

- Czysty? - spytała.

- Po papierach dotrą tylko do Recolety.

Była to dzielnica luksusowych apartamentowców i wielkich posiadłości, skupiająca najbogatszych mieszkańców Buenos Aires.

Ulicami Palermo dotarli na drogę imienia Pascuala Palazzo, a z niej na autostradę, która wiodła poza miasto. Poprzedniej nocy Raúl jechał inną trasą, ale cel był ten sam.

Po raz pierwszy od początku ich znajomości Munroe pozwoliła Bradfordowi usiąść za kierownicą. Zerknęła teraz na niego. Elegancko ubrany, prowadził tak, jakby cała droga należała do niego. Zamiast gościa w dżinsach i bawełnianej koszulce miała przy sobie wytwornego faceta. Przyszło jej do głowy, że właśnie czegoś takiego doświadczają osoby z jej otoczenia, gdy przeistaczała się z jednej roli w inną. Czuła się lekko zbita z tropu, ale wrażenie było pozytywne.

Jechali ponad godzinę, przy coraz mniejszym ruchu, aż w końcu znaleźli się za miastem, na drodze, która prowadziła na ranczo Przystani. Bradford skręcił w zwirowy podjazd. Zwolnił. Celowo opóźniał dotarcie do celu.

- Jesteś gotowa? - spytał.

Przytaknęła.

- Po to się urodziłam.

Zatrzymał samochód i został w ciepłym wnętrzu, a Munroe wysiadła. Przez chwilę stała pod bramą, z rękami w kieszeniach, szukając jakiegoś dzwonka - czegokolwiek, co obwieściłoby mieszkańcom, że przed wejściem czeka gość. Do ogrodzenia podbiegło kilka psów. Ich ujadanie, z braku lepszego alarmu, musiało wystarczyć, aby zwrócić uwagę gospodarzy. Chwilę później dostrzegła guzik na słupku po prawej stronie bramy. Wcisnęła go kilka razy kciukiem, po czym wróciła do samochodu.

- Nadal jesteś pewna, że nas wpuszczą? - spytał Bradford.

- Prawie - przyznała. - Muszą tylko sprzątnąć czterdzieści par butów z korytarza.

Jak na zawołanie ktoś wyszedł frontowymi drzwiami i ruszył w ich stronę długą ścieżką. Znoszone okrycie i buty, ciemne,

kręcone włosy. Wyglądał na dwudziestokilkulatka. Z opowieści, które słyszała od Logana, a później także od Heidi, domyślała się, że w przeciwieństwie do większości mieszkańców tego rancza mężczyzna był Argentyńczykiem.

Gdy podszedł bliżej, spojrzała na Bradforda.

- No to zaczynamy - oznajmiła.

Z promiennym uśmiechem wysiadła z samochodu i podeszła do bramy.

Rozdział 14

Wiatr gnał polami, zmieniając zwykły zimowy chłód w kęsające zimno i malując zasłane liśćmi połacie ponurymi barwami. Munroe mocniej otuliła szyję kołnierzem ze sztucznego futerka. Dotarła do bramy dokładnie w tym samym momencie co idący z naprzeciwka mężczyzna.

Na jej twarzy niepewność mieszała się z niewinną ciekawością.

- *¿Se encuentra el dueño de casa?* - spytała. - Zostałam właściciela?

- *Le puedo ayudar si quieres* - odparł. - A o co chodzi?

Munroe przestąpiła z nogi na nogę, nerwowo zerknęła przez ramię na Bradforda, który czekał za kierownicą, po czym ponownie spojrzała na mężczyznę.

- Szukam ludzi Boga - wyjaśniła i po króciutkiej pauzie szybko dorzuciła: - Wiem, że to dziwnie brzmi. Panu pewnie się to wyda jeszcze bardziej zwariowane niż mi, ale wczoraj w nocy Bóg odpowiedział na moje modlitwy. Kazał mi tu przyjechać i spytać o Jego wiernych... obiecał, że u nich znajdę odpowiedzi na moje pytania i że potrzebują oni mojej pomocy. - Na moment umilkła, po czym spytała: - Czy trafiłam we właściwe miejsce?

Mężczyzna się zawahał. Ze wszystkich scenariuszy, jakie mogły się rozegrać pod bramą, ten był chyba najmniej prawdopodobny. Munroe uważnie studiowała mimikę jego twarzy i mowę ciała, szukając wskazówek. Uznała, że nic więcej nie powinna mówić. On nie był tu głównym autorytetem.

Oderwał od niej wzrok i przeniósł go na samochód i na Bradforda za szybą.

- Może we właściwe - powiedział w końcu.

Doskonale. Tak było o wiele lepiej, niż gdyby zatrzasnął im drzwi przed nosem - oczywiście w przenośni. Specjalnie ze

względu na widza uśmiechnęła się z wyraźną ulgą. Aby zmienić jego wahanie w przychylność, z kieszeni płaszcza wyjęła kopertę i podała ją mężczyźnie.

- Bóg wyjawiał mi, że Jego wierni potrzebują właśnie tego. Jeżeli jesteście ludźmi z mojego objawienia, tymi, którzy mają dla mnie odpowiedzi, chcę, żebyście to przyjęli.

Mężczyzna wyciągnął rękę po kopertę, ale zanim ją wziął, spytał:

- O jakie odpowiedzi chodzi?

- Chciałabym wiedzieć, jak mam odnaleźć spokój, jaki jest sens życia i co czeka nas po śmierci - oznajmiła i zaczęła szybko wyjaśniać. W powodzi słów, które powielaly te same pojęcia, egzaltowanym szczebiotem, długo wszystko tłumaczyła, jednocześnie nie mówiąc nic ważnego.

W końcu mężczyzna przerwał jej, biorąc kopertę.

- Proszę zaczekać kilka minut - poprosił.

- Oczywiście, oczywiście - odparła.

Odwrócił się do niej plecami i tym razem pokonał drogę do domu znacznie szybciej.

Gdy był w połowie, Munroe wróciła do ciepłego samochodu.

- Kupił to? - spytał Bradford.

- Przypuszczam, że za dziesięć minut będziemy w środku.

- Co mu dałaś?

- Tysiąc dolarów amerykańskich w nowiutkich setkach.

- Tania randka, he?

- Odpowiedź na ich modlitwy.

- Na tym polega twój sekret zbierania informacji? Pełna koperta?

Uśmiechem skwitowała jego uszczypliwość. Bradford równie dobrze jak ona wiedział, że Logan nie zwrócił się do niej o pomoc, bo była przyjaciółką, która przy okazji umiała nieźle skopać komuś tyłek i wręczać łapówki. Zależało mu, żeby przeniknęła do środka. Wybrał ją z tych samych powodów, które sprowadzały do niej największych i najhajniejszych graczy: umiała przejrzeć każdego na wylot i odpowiednio się zmienić, przyjmując role, dzięki którym inni wierzyli, że jest osobą, jaką chcieli w niej widzieć.

To, co czekało na nich za bramą, miało jej powiedzieć, czy zdoła się wkupić do grona Wybranych. Położyła złączone ręce na kolanach i odwróciła się do Bradforda ze znaczącym uśmiechem.

- Jeśli dobrze wszystko oceniłam, przyjmą nas z otwartymi ramionami.

- A jeżeli się przeliczyłaś?

Spojrzała na niego z ukosa.

- Zaufaj mi.

Pomyliła się tylko o dwie minuty. Według zegarka Bradforda, mężczyzna - później się dowiedzieli, że ma na imię Esteban - wrócił po ośmiu. Wsunął klucz w dużą kłódkę łańcucha, który spinał dwa skrzydła bramy, otworzył ją mocnym pociągnięciem i gestem zaprosił ich do środka. Choć posiadłość okalały drzewa, i tak sprawiała wrażenie nagiej i posępnej. Może wydawała się taka przez pogodę, a może powód był zupełnie inny.

Bradford pojechał w kierunku wskazanym zamaszystym ruchem ręki Estebana i dotarł na niewielki plac obok głównego budynku. Stały tam dwie furgonetki, ale miejsca starczyłoby dla czterech lub pięciu. Pojazdy były w dobrym stanie. Wyglądały na o wiele nowsze od wysłużonych i zdezelowanych wozów, które Munroe widziała na zdjęciach dołączonych do dokumentów oraz w pierwszej Przystani.

Psy otoczyły peugeota, obwąchując opony. Bradford wyłączył silnik.

- Jeżeli z jakiegoś powodu będziesz musiał mi coś powiedzieć, mów po arabsku - powiedziała Munroe, zerkając w boczne lusterko - to jedyny język znany nam obojgu, którego oni nie rozumieją.

- Po arabsku? - zdziwił się. - Nie wzbudzi to podejrzeń?

- Innych możliwości nie mamy, chyba że będziesz udawał głuchoniemego - stwierdziła, a po namyśle dodała: - Wiem, że jesteś zawodowcem, ale mnie nie wsyp. Kiedy usłyszysz angielski, nie daj po sobie poznać, że rozumiesz, co mówią, jasne?

- *Lakad fahimt* - oznajmił, wywołując tą odpowiedzią jej uśmiech. Miał niemal tak świetny akcent jak ona.

Esteban wreszcie do nich dotarł i oboje wysiedli z samochodu. Bradford początkowo trzymał się na dystans, a tymczasem Munroe zagaiła rozmowę. Gdy zdołała nadtopić, jeśli nie przełamać pierwsze lody, dała Milesowi znak, żeby się zbliżył, i przedstawiła go jako swojego chłopaka. Miała nadzieję, że przez superczujność i słabą znajomość hiszpańskiego Bradford nie do końca pojmie znaczenie tego, co powiedziała.

Starala się sprawiać wrażenie skromnej i niepewnej, ale zarazem hojnej. Rozwiała ewentualne podejrzenia co do pełnego rezerwy zachowania Bradforda, mówiąc prawdę: nie pochodzi stąd i słabo zna język.

Esteban zabrał ich do głównego budynku. W środku szeroki przedsionek prowadził do jeszcze bardziej obszernego holu, w którego głębi widniały schody, a za nimi węższy korytarz wiodący do tylnych drzwi. Na prawo mieli duży pokój dzienny, umeblowany sprzętami nowszymi i w lepszym stanie, niż się spodziewała. Rozmiary domu sugerowały, że na parterze znajduje się znacznie więcej pomieszczeń, jednak ich układ sprawiał, że z holu nie były widoczne.

Wszędzie za to dostrzegali oznaki dużej liczby domowników: szafki stały w końcu holu w kolumnach po pięć, stanowczo zbyt wiele kanap upchnięto w pokoju dziennym i choć podłogi były zamiecione, a okna czyste, na ścianach widniały ślady mnóstwa rąk.

Mimo to w domu panowała niesamowita cisza. Nie słyhać było dziecięcego śmiechu ani tupotu małych nóżek. Docierały do nich jedynie przyciszone głosy. Tak właśnie Logan opisywał Przystanie, które okrywała „tajemnica”, gdy zjawiali się w nich obcy goście.

Esteban zaprowadził ich do niewielkiego pomieszczenia, które przylegało do pokoju dziennego. Korzystano z niego nieczęsto - na co wskazywała czystość ścian i minimalistyczny wystrój - a na pewno o wiele rzadziej niż z reszty domu. Kiedy usiedli, Munroe próbowała zagaić rozmowę, ale choć Esteban odpowiadał przyjaźnie, jego zachowanie świadczyło o coraz

większym skrępowaniu. Gdy po chwili dołączył do nich drugi mężczyzna i się przedstawił, zrozumiała dlaczego.

Nowo przybyły miał na imię Eliasz i był łysiejącym pięćdziesięciokilkulatkiem. Już po pierwszych słowach Munroe domyśliła się, że pochodzi z Zachodniego Wybrzeża USA. Początkowo powitał gości po angielsku, ale przeszedł na hiszpański, kiedy pokręciła głową na znak, że nie może się od wzajemnić tym samym. Znał miejscowy język w dostatecznym stopniu, ale nie biegle, a jego akcent i słownictwo wskazywały na to, że uczył się go w innym hiszpańskojęzycznym kraju.

Eliasz podziękował jej wylewnie za datek, a potem, prosząc raz po raz Estebana o pomoc w tłumaczeniu, zaczął ją wypytywać, co ją tu sprowadziło i skąd się o nich dowiedziała.

Dzieciństwo spędzone na misji w sercu Afryki raczej nie wydawało się logicznym początkiem życiorysu międzynarodowego szpiega i zabójcy, ale tym razem pasowało idealnie. Munroe wiedziała, co odpowie, jeszcze zanim padły pytania, a potem uzupełniła wyjaśnienia o to, co wspomniała już przy bramie.

Jak najmniej mówiła o szczegółach, a jak najwięcej o emocjach, opisując pogoń za szczęściem, która pchnęła ją w świat, pozwoliła osiągnąć sukces w pracy i pieniądze, a w końcu wpędziła w narkotyki i rozpacz. Opowiedziała, że planowała ze sobą skończyć, ale wtedy doznała objawienia, w którym zobaczyła ścieżkę do Przystani.

Od początku tego zadania największy niepokój budziła w niej konieczność kłamania. Przy poprzednich zleceniach przemierzyła pięć kontynentów. Gromadząc informacje, wcielała się w mnóstwo ról i opowiadała wiele historii. Każda kolejna spływała po jej sumieniu, zostawiając mniej śladów niż poprzednia. Nigdy wcześniej jednak nie zerowała na wierze drugiego człowieka.

To, że tak łatwo się dostała do tego azylu, było jak pogwałcenie świętości. Dlatego myślami cofnęła się do dokumentów Logana, do opisów prawdziwych gwałtów, do kradzionej niewinności i do porwanej od rodziców córki. Potworny gniew, który zawładnął nią podczas lektury tamtych materiałów, zatlił się na

nowo, sprowadzając ją z powrotem do teraźniejszości.

Każdy udany podstęp opierał się na jednej fundamentalnej zasadzie: by ofiara zapragnęła uwierzyć w pozory, a w tej sferze Eliazsz wykazał się ogromną gorliwością. Jeśli miał jakieś wątpliwości, niewinna mina Munroe i tysiąc dolarowa przepustka przy bramie wyraźnie je osłabiły. Rozmawiał z nią tak, jakby wreszcie znalazł szczerą wyznawczynię. Odpowiadał na każde jej pytanie, pomagał rozwiać niepewność i uczył podstaw swojej wiary.

Za oknami niebo z szarości przeszło w czerń. Esteban czasami podpowiadał tłumaczenie jakiegoś angielskiego słowa na hiszpański. Tyle samo razy się mylił, ile znajdował właściwy odpowiednik. Bradford długo milczał, aż w końcu, w połowie kolejnej gorącej wymiany zdań, przerwał im i scenicznym szeptem zadał Munroe pytanie. Przetłumaczyła je z arabskiego na hiszpański. Chciał wiedzieć, gdzie jest łazienka.

Na moment zapadła cisza. Mina Eliasza zdradzała, że znalazł się w kłopotliwym położeniu. Albo musiał pozwolić obcemu wędrować po domu bez nadzoru, albo nalegać, by ktoś mu towarzyszył, i tym samym odstraszyć potencjalną młodą neofitkę, która z taką gotowością pragnęła oddać Bogu siebie i swoją fortunę. W końcu, po chwili niezręcznego milczenia, opisał gościowi, dokąd ma się udać. Munroe, pewna, że ani Eliazsz, ani Esteban nie zrozumieli zadanego po arabsku pytania, przetłumaczyła Bradfordowi wskazówki i dorzuciła kilka słów od siebie.

- Spróbuj się nie zgubić - poprosiła. - Oboje wiemy, jak czasami błędzisz w nowych miejscach.

- Postaram się - obiecał.

Gdy tylko wyszedł, Munroe natychmiast wróciła do rozmowy z Eliaszem. Chciała w ten sposób odwrócić jego uwagę od nieobecnego Bradforda. Niestety, jej plan się nie powiódł. Gospodarz przez jakiś czas milczał, aż w końcu spytał:

- Znasz arabski?

- Owszem - odparła - i jeszcze kilka innych języków. Tak to już bywa z przybłędami bez korzeni, które mają krewnych rozrzuconych po całym świecie.

- A twój chłopak?

Roześmiała się, tak jakby uznała jego pytanie za żart. Skoro chcieli się dowiedzieć, z jakiej części globu pochodził mówiący po arabsku obcy o szarzielonych oczach i włosach koloru brudnego blondu, musieli trochę pogłównkować. Zrobiła poważną minę. Na twarzy Eliasza widziała wyraźne oznaki niepewności i wewnętrznych zmagania, dlatego zadała mu pytanie, którego nie mógł zignorować.

Bradford wrócił po długich dziesięciu minutach, a po kolejnych piętnastu Munroe przeprosiła gospodarza i wyjaśniła, że ma umówione spotkanie. Eliasz błagał, żeby została jeszcze kilka minut, i choć już wstała z miejsca, zawołał swoją żonę, która zjawiała się w towarzystwie kilkorga uśmiechniętych dzieci.

Munroe czuła się jak oszustka. Tak wiele wiedziała o nich i o tym, co chcieli zyskać na tym spotkaniu, z kolei oni nie wiedzieli o niej nic. Nie zamierzała jednak niczym się zdradzić i serdecznie odpowiadała na uściski dzieci. Obiecała wrócić jak najszybciej - już nazajutrz, jeśli tylko będzie mogła.

Opuścili Przyszań po niemal czterech godzinach. Tyle czasu kosztowało ich dziesięć minut pracy Bradforda, no ale musieli tak długo czekać, zanim mógł swobodnie opuścić towarzystwo, nie budząc podejrzeń.

- Cztery pluskwy - oznajmił, gdy wrócili do samochodu. - Jedna w kuchni, jedna pod schodami, jedna w głównym pokoju... - wzruszył ramionami - ...i jedna w łazience.

Munroe udała zgorzzenie, więc dodał:

- Hej, nie ma się co obruszać. Może najwięcej dowiemy się z łazienkowych rozmów nastoletnich chłopców.

Zachichotała.

- A kamery? - spytała.

- Nie było jak - przyznał.

Kiwnęła głową i spoważniała.

- Podejrzewam... a nawet jestem prawie pewna, że dziewczynka nie używa już imienia Hanna. Wybrani często zmieniają imiona, nawet jeśli się nie ukrywają. Przypuszczam, że ona miała już ich sporo.

Przytaknęła i oboje na jakiś czas zamilkli, pograżając się w

myślach. Dopiero w połowie powrotnej drogi Miles spytał ją:

- A tak przy okazji, od jak dawna jestem twoim chłopakiem?

Wyszczerzyła zęby.

- Odkąd ludzie zamieszkali na Marsie - odparła.

Uśmiechnął się znacząco.

- Tak właśnie myślałem, choć gdy tam byliśmy, przez chwilę wydawało mi się, że to prawda.

Munroe nie odpowiedziała, ale uśmiech nie zniknął z jej twarzy. Trzymała głowę odwróconą do okna. Kiedy spojrzała w końcu na niego, zobaczyła, że się jej przygląda. Tym razem to ona puściła do niego oko.

Światło sygnalizatora zmieniło się na zielone. Bradford ponownie przeniósł wzrok na drogę, ale nie przestał się uśmiechać.

- Chyba ze mną nie flirtujesz, co?

Odwróciła się znowu do okna.

- Może - odparła. - Sam sobie na to odpowiedz.

W hotelu z bliskich przyjaciół ponownie przeistoczyli się w zawodowych partnerów. Musieli odpowiednio się przygotować przed wypadem do trzeciej Przystani.

Podczas niemal sześciogodzinnej nieobecności zebrano się sporo nagrań wideo i audio. Bradford usiadł na łóżku i przy akompaniamencie cichych trzasków zaczął z tajemniczych elementów składać urządzenia, które mieli zainstalować nocą. Tymczasem Munroe zajęła się zarejestrowanym materiałem, przeglądając, słuchając i niezmiennie poszukując śladów Hanny.

Bradford dokończył przygotowywanie sprzętu, wyciągnął się na łóżku i zwyczajem zaprawionych w boju żołnierzy, nuczonych odpoczywać, gdy tylko mają okazję, od razu zasnął.

Munroe analizowała nagrania, dopóki nie dojrnęła do końca. Nie wiedziała, ile czasu spędziła przy biurku, czuła tylko przykurcz mięśni i miała świadomość, że w pokoju zrobiło się zupełnie cicho.

W informacjach, jakie zebrali, nie znalazła nic, co wskazy-

wałoby na to, że Hanna mieszka w jednej z Przystani, które już spenetrowali. Sfrustrowana wstała i trochę za mocno rzuciła słuchawki na biurko. Stuknęły o blat i Bradford, wciąż leżąc z rękami pod głową i zamkniętymi oczami, spytał:

- Nadal nic?

- Chyba widziałam już każde dziecko z pierwszej Przystani - przyznała. - Jeżeli Hanna nie ma zakazu wychodzenia na zewnątrz albo nie leży chora w łóżku, to jej tam nie ma. Co do rancza, na nagraniach słychać wszystko bez zakłóceń, ale jeśli ktoś nie powie czegoś o porwaniu wprost, możemy się opierać jedynie na domysłach.

Bradford usiadł na łóżku, krzyżując nogi.

- Zostaje jeszcze trzecia Przystań - stwierdził.

Przytaknęła.

- Zobaczmy, co przyniesie dzisiejsza noc, ale instynkt podpowiada mi, że jeśli ona jest gdzieś w Buenos Aires, to trzymają ją na ranczo.

Uniósł brwi w niemej prośbie, aby uzasadniła, dlaczego tak uważa.

- To spora posiadłość - wyjaśniła - na pewno jest tam najwięcej dzieciaków. Poza tym w pierwszej Przystani nie widziałam żadnego starszego niż dziewięć, dziesięć lat. Jeżeli grupują je według wieku, stawiam na ranczo.

- Zamierzasz tam wrócić?

- Oczywiście. Chciałabym założyć tam kamerę, a poza tym zostałam przecież oficjalnie zaproszona. Przynajmniej nie muszę się bać, że zgraja wyliniałych psów pogryzie mi tyłek. - Na moment umilkła i odwróciła się z powrotem do biurka.

- Zamierzam próbować do skutku, ale nie chcę marnować czasu na pogoń za duchem. Na razie mamy jedynie słowo siostry Charity na to, że Hanna jest w Buenos Aires. Nie chciałabym urazić Logana ani nikogo innego, ale nie mogę się opierać na samym zaufaniu. Najpierw muszę mieć pewność, że dziewczynka rzeczywiście tu jest, zanim zacznę planować, jak ją wydostać.

- Nie podoba mi się pomysł powrotu na ranczo - przyznał Bradford.

Munroe podeszła do łóżka, z szatańskim uśmiechem uklękła na nim, po czym na czworaka zaczęła powoli pełznąć w stronę Bradforda. Zatrzymała się dopiero, gdy znalazła się z nim oko w oko. Poklepała go po policzku. Zrobiła to wystarczająco delikatnie, aby nie mógł tego uznać za uderzenie, ale jednocześnie dość mocno, aby skrzywił się z irytacją.

- Jestem już dużą dziewczynką - powiedziała. - Potrafię o siebie zadbać.

- W porządku, tylko pamiętaj o jednym - odparł. - Jeżeli uznam, że coś ci grozi, że jesteś w jakimkolwiek niebezpieczeństwie, będę miał gdzieś całe to zadanie i dzieciaka. Jeśli okaże się to konieczne, użyję siły.

Zsunęła się tyłem z łóżka, nie przestając się uśmiechać.

- Dlatego to ciebie trzymam w odwodzie - stwierdziła.

Wyprostowała się i cały czas patrząc Bradfordowi w oczy, zaczęła wciągać czarny, neoprenowy kombinezon, podstawę swojego stroju na tę noc.

Rozdział 15

Zaraz po północy Munroe opuściła pokój hotelowy. Bradford, tak jak poprzedniej nocy, odprowadził ją wzrokiem do wyjścia, a potem jeszcze przez jakiś czas wpatrywał się w zamknięte drzwi.

Ze zdjęć satelitarnych wynikało, że budynek, który namierzyli jako Przystań numer trzy, był najmniejszą z trzech siedzib, a po zbadaniu dwóch pierwszych Munroe nie chciała marnować czasu na kurs zwiadowczy.

Bradford otworzył drzwi balkonowe i wyszedł na zewnątrz. Na wszelki wypadek trzymał się z dala od barierki i pola widzenia Munroe. Mogła się przecież odwrócić. Patrzył, jak wsiada do zaparkowanej przy krawężniku taksówki. Instykt podpowiadał mu, że miała rację, rezygnując ze zwiadu. Gdyby zamienili się rolami, podjąłby taką samą decyzję. Rzecz w tym, że praca wyglądała inaczej, kiedy nie brał udziału w bezpośredniej akcji. Był przyzwyczajony do dowodzenia, zawsze w pierwszej linii, oczyszczał drogę swoim ludziom. Kiedy musiał czekać z boku, robił się niespokojny i nie mógł znaleźć sobie miejsca.

Przynajmniej trzecia siedziba znajdowała się na tyle blisko, że w razie potrzeby mógł szybko przyjść Munroe z pomocą.

Taksówka opuściła swój posterunek przy krawężniku i Bradford wrócił do biurka, na którym piętrzyła się aparatura. Na klawiaturze wystukał kod aktywujący jeden z lokalizatorów, które Munroe zabrała ze sobą. Śledzenie trasy na monitorze było mierną namiastką uczestniczenia w akcji, ale zważywszy na okoliczności, na nic więcej nie mógł liczyć. Michael była bystra. Na pewno domyślała się, co on robi i dlaczego. Pewnie zasłużył sobie na jej udawaną reprimendę.

Lokalizator obudził się do życia. Jednym okiem śledząc mi gający punkt, Bradford podniósł słuchawkę. Miał zaledwie

kilka minut, nim Munroe dotrze do celu, ale musiał wykonać ten telefon teraz, dopóki był pewny, że uzyska połączenie.

Od ostatniego kontaktu upłynęły trzy dni i nawet gdyby nie wiedział z podsłuchu, że Logan wrócił już do pensjonatu, wyobrażałby sobie, że on właśnie tak spędza wieczory: siedząc w pokoju, denerwując się i z nadzieją czekając, aż Bradford zadzwoni. Gdyby był na miejscu Logana, takie czekanie doprowadziłoby go do szału. Bez względu na instrukcje, czułby przymus działania. Z doświadczenia wiedział, ile wysiłku kosztuje Logana trzymanie się z boku. Jednocześnie czuł mściwe zadowolenie na myśl o udreće tamtego.

Nie miało znaczenia to, że Munroe sama o sobie decyduje i że nie przyjęłaby zlecenia, gdyby nie chciała. Nie było ważne, że zgodziła się na robotę, doskonale wiedząc, w co się pakuje. Jeszcze mniej liczył się fakt, że właśnie taka praca - z dreszczem wyzwania, wymagająca absolutnej wewnętrznej koncentracji - trzymała ją przy życiu i zdrowych zmysłach. Nic nie mogło usprawiedliwić tego, że Logan wykorzystał przyjaźń z nią, a przy okazji także jej więź z Bradfordem, wciągając oboje w swoje plany. Zasłużył sobie na to, by teraz czekać bez wiadomości i brodzić w nurcie frustracji, podczas gdy gra się toczyła bez jego udziału.

Bradford wybrał numer.

Pensjonat miał tylko jedną główną linię. Musiał chwilę poczekać, aż Logan podejdzie do telefonu. Kiedy wreszcie podniósł słuchawkę i rozpoznał rozmówcę, odetchnął z ulgą.

- Mam mało czasu - poinformował go Bradford. - Michael prosiła, żebym zdał ci raport.

Zrobił pauzę, ale Logan się nie odezwał.

- Na razie zlokalizowaliśmy dwie Przystanie - podjął - i najprawdopodobniej również trzecią. W jednej mamy podgląd, w drugiej tylko podsłuch. I G PS na czterech furgonetkach.

- Wiecie już, gdzie trzymają Hannę? - zapytał Logan. Głos miał spokojny, ale brzmiała w nim nuta stresu wywołanego beczynnym czekaniem.

- Jeszcze nie, ale jeśli twoja córka jest w Buenos Aires, Michael ją znajdzie.

Takie zapewnienie wydawało się niepotrzebne, wręcz protekcyjnalne, zważywszy na to, że Logan zwrócił się do Munroe właśnie ze względu na jej umiejętności.

- Masz dla mnie jeszcze jakieś wieści? - spytał Logan po długiej pauzie.

Bradford się zawahał. Rozmawiał z człowiekiem, do którego Munroe miała bezgraniczne zaufanie, mimo to nie potrafił wyjawić mu szczegółów, które mogłyby narazić ich misję na niepowodzenie.

- Nie - odparł. - Teraz to wszystko. Będę cię informował o postępach. Tymczasem staraj się nie rzucać w oczy, dobra?

- Z tym jest coraz trudniej - przyznał Logan. - Nie chodzi o mnie... choć nie uwierzysz, jak koszmarnie frustrujące jest trzymanie się na dystans. Główny problem to pilnowanie, aby pozostała dwójka nie wzięła spraw w swoje ręce. Zwłaszcza Gideon ciągle rwie się do działania, zarzekając się, że nie przyleciał tu na pieprzone wakacje. Nie mam na niego wpływu, Miles. Nie mogę go do niczego zmusić. Mogę tylko powtarzać, że Charity całkowicie mi w tej sprawie zaufała, a dla Gideona jej prośba jest ważna. Na razie robi to, na czym jej zależy. Tylko nie wiem, jak długo jeszcze dam radę zadowalać ich samymi obietnicami.

- Pogadam z Munroe - obiecał Bradford. - Zobaczymy, co ona na to powie. Pamiętaj, Logan, że to naprędce zorganizowana akcja. Cierpliwość jest tu na wagę złota. Ty i Gideon powinniście to doskonale rozumieć, więc niczego nie próbujcie. Odezwę się, gdy tylko będę mógł.

Odłożył słuchawkę, zerknął na punkt lokalizatora i odchylił się z krzesłem do tyłu. Tym razem chodziło o wyjątkowo osobiste zlecenie, dlatego potrzebna była bariera między Munroe i Loganem. Miles nie miał nic przeciwko temu, że to on musiał ją ustawić. Przeszkadzały mu natomiast bezruch i bezsilność towarzyszące czekaniu w hotelowym pokoju. Musiał się zadowalać tym, że jest jedynie neutralnym głosem w jej mikrosluchawce.

Kciukiem przesunął wzdłuż blizny, która biegła od ucha przez policzek. W jego katalogu obrażeń zaliczała się do tych

starszych, ale wiedział, że upłynie jeszcze sporo czasu, zanim różowa barwa zszarzeje, a jeszcze więcej, nim zasklepią się rany, których nie było widać. W tamtym starciu zginął dobry żołnierz. Od odłamka fugasa jego najlepszy przyjaciel stracił oko, a mało brakowało, by Bradforda spotkało to samo. Niektórzy mówili, że miał szczęście, ale co oni wiedzieli o wojnie i śmierci.

Zauważył, że punkt lokalizatora znalazł się u celu podróży. Wiedział, że Munroe jedzie na rezerwie sił. Jeśli ktoś miał szansę wyjść z tego żywym, to właśnie ona, ale nawet przy swoich umiejętnościach nie mogła funkcjonować bez odpoczynku - przemęczenie prowadziło do błędów. Nawet najsilniejszych spotykały klęski, zwłaszcza gdy czas i szczęście im nie sprzyjały. Niepokoił się, widząc, do czego Michael się zmusza i jak bardzo kusi los.

Dźwięk jej głosu wyrwał go z zamyślenia. Coś się zaczęło dziać i po chwili na ekranie pojawił się obraz. Tak samo jak podczas pierwszego wypadu ciemności były jej sprzymierzeńcem. Poruszała się w nich zupełnie swobodnie. Pracowała szybko i skutecznie. Obserwując ją za pośrednictwem pierwszej zainstalowanej kamery, czuł emocje, jakie towarzyszą oglądaniu mistrzyni przy pracy. Asystował jej, stając się jej przewodnikiem w mroku. Ufał jej, obawiał się tylko kaprysów fortuny.

Na szczęście wszystko biegło gładko, bez błędów. Miał wrażenie, że godzina, która upłynęła im na instalacji i dostrajaniu sprzętu, trwała zaledwie kilka minut. Zgodnie z planem zadzwonił po Raula, oceniwszy, że powrót zajmie Munroe najwyżej piętnaście minut, po czym wyciągnął słuchawkę z ucha i rzucił ją na biurko.

Dziś potrzebowała snu - nawet jeśli musiała się w tym celu znieczulić - bo nazajutrz planowała wrócić za bramy Przystani, i tym razem, mimo jego sprzeciwu, zamierzała się tam udać bez niego.

Kiedy po półgodzinie nie wróciła jeszcze do hotelu, Bradford zaczął krążyć po pokoju. Czterdzieści minut. Przytknął czoło do ściany, całą siłą woli powstrzymując się, by nie walnąć w nią pięścią. Wolał nie zostawiać widocznych śladów na tynku i na

ręce. Pięćdziesiąt minut. Próbował wywołać ją przez komunikator, a kiedy to nie dało rezultatu, wybrał numer awaryjnego telefonu komórkowego, ale od razu włączyła się poczta głosowa.

Jego ruchy stały się nerwowe, w myślach zapanował chaos. Czas i szczęście. Złościł się, że nie pojechał razem z nią.

Jego komórka odezwała się krótkim sygnałem. Rzucił się ku niej.

- Proszę pana, pani nie ma. Nie przyszła - usłyszał głos Raula.

W jego głowie raz po raz dźwięczał alarm strachu: czas i szczęście, czas i szczęście.

Czekał przed komputerem. Był w kropce. Nie miał pojęcia, co powinien teraz zrobić. Nie mógł jej namierzyć, bo podczepiła lokalizatory do samochodów. Na razie mógł jedynie próbować się do niej dodzwonić. Raniąc do krwi kłykcie o ścianę obok biurka, w myślach błagał ją, żeby włączyła telefon.

Munroe zaczekała, aż na ulicy zrobi się pusto, po czym zeskokczyła z murowanego ogrodzenia na chodnik. Okrążyła posesję tą samą drogą, którą przyszła, i dotarła do wąskiej bocznej uliczki, z której z kolei skręciła w nieco szerszą, aby tam zaczekać na Raula.

Znajdowała się w dzielnicy mieszkalnej położonej najbliżej rozrywkowej strefy Palermo. Na czystych i wąskich ulicach dało się słyszeć przytłumione odgłosy śmiechu i muzyki. Woń pieczonego mięsa i tytoniu sączyła się z domów prosto w zimną noc.

Munroe napełniła płuca powietrzem, zadowolona, że robota poszła gładko. Była o krok bliżej od sprowadzenia Hanny do domu. Spokojnym krokiem zmierzała do umówionego punktu, skąd miał ją odebrać Raúl. Właśnie myślała o tym, że Bradford niepotrzebnie się aż tak przejmuje, kiedy kątem oka wyłowiła ruch w jednej z bocznych uliczek.

Jej uwagi nie przyciągnęli zwykli przechodnie, tylko elementy, które nie pasowały do całego obrazu. Mercedes z otwartymi drzwiami czekał przy chodniku z silnikiem pracującym na ja-

lowym biegu. Obok stało dwóch mężczyzn. Domyśliła się, że jeden jest właścicielem wozu, a drugi - domu po prawej stronie. Między nimi, jak przekazywany z rąk do rąk towar, stała dziewięcio-, dziesięcioletnia dziewczynka. Właściciel domu szarpnął ją ku sobie, rozchylił górę jej stroju i najwyraźniej zadowolony, wręczył drugiemu zwitek banknotów.

Munroe przystanąła.

Mężczyzna z samochodu zamknął tylne drzwi.

W jej głowie rozległy się krzyki protestu. Miała zobowiązania wobec Hanny i Logana - powinna się trzymać planu. Mimo to cofnęła się o krok, wciąż ukryta w mroku, i obróciła się w stronę mężczyzn.

Tak jak tamtej nocy w Nowym Jorku - i jak wiele razy wcześniej, zanim zadała komuś śmierć - nawet się nie zdziwiła, że po raz kolejny zło przyciąga ją jak magnes. Ogarnął ją nieoponowany gniew, płynący z głębi duszy, czysta furia wywołana pogwałceniem niewinności. Adrenalina wypełniła jej żyły i zahuczała w uszach, zupełnie zagłuszając śmiech i dźwięki muzyki.

Nocną ciszę wyparł warkot jej wewnętrzznego werbla. Wygrywał rozkaz: „Zabij!” Żar, jaki ją wypełnił, ugasić mogła tylko przelana w imię sprawiedliwości krew.

Czas zwolnił. Coraz więcej okruczeństwa zrozumienia kreśliło w jej myślach strategię: ruch po ruchu, jak na szachownicy z żywymi figurami. Domyślała się, że mężczyźni są uzbrojeni, ale nie bała się ich broni. Nie czuła też strachu przed śmiercią ani bólem. Lękała się tylko jednego - niepowodzenia. Nie mogła przez nieuwagę pozwolić któremuś z tych drani żyć, skoro na to nie zasługiwali.

Prędkość.

Musiała być szybka, żeby dopaść obu, zanim spróbują się rozdzielić i któryś jej umknie; zanim niewinna istota na zawsze zniknie za zamkniętymi drzwiami.

Jak duch przemknęła przez mrok i najpierw dopadła tego z samochodu. Uznawszy transakcję za dokonaną, przeszedł na stronę kierowcy. Właśnie wsuwał nogę do środka, kiedy go dosięgła. Zgiął się, żeby usiąść. Jej dłonie chwyciły go za głowę.

Szarpnęła mocno, gwałtownie. Usłyszała trzask w jego karku i poczuła satysfakcję, tak jakby udało jej się nastawić własny kręgosłup. Opór zelżał w czasie krótszym niż jeden wdech i mężczyzna osunął się na fotel. Munroe pochyliła się w ślad za nim. Instynkt podpowiedział jej, gdzie szukać broni. Wciąż miała na sobie rękawiczki, których wymagał cel jej nocnego wypadu. Wyciągnęła pistolet mężczyzny, sprawdziła bezpiecznik i wsunęła broń pod pasek na plecach. Bezgłośnie okrążyła samochód od tyłu.

Drugi mężczyzna już się odwrócił plecami do wozu i zmierzał w stronę schodków, które prowadziły do frontowych drzwi. Dłoń mocno zaciskał na ramieniu dziewczynki. Prowadził, a raczej popychał opierające się, bosa i niemal nagie dziecko.

Munroe zaczęła, aż mężczyzna przekreśli klucz w zamku, i zaszła go od tyłu. On jej nie usłyszał, ale miała tak. Obróciła się nieznacznie i spojrzała na Munroe pustym wzrokiem.

Mężczyzna przystanął, aby sprawdzić, co przyciągnęło uwagę dziecka. Zanim zdążył to zrobić, Munroe mocno chwyciła jego głowę. Raz jeszcze z taką samą siłą i gwałtownością szarpnęła, usłyszała trzask i poczuła gorączkę, która pompowała w jej żyły chemiczny koktajl euforii. Pozwoliła mężczyźnie osunąć się na ziemię i zaczęła chwilę, aż szczyt ekstazy minie. Musiała się skupić na tym, co dopiero miało się wydarzyć.

Dziewczynka zastygła w bezruchu. Twarz miała lekko opuchniętą od uderzenia i pobrudzoną zaschniętymi łzami. Z wytrzeszczonymi oczami i otwartą buzią przenosiła wzrok z Munroe na mężczyznę i z powrotem na nią, tak jakby dziecięcy umysł nie potrafił podjąć decyzji, czy w takiej sytuacji trzeba krzyczeć, uciekać czy potulnie się poddać zmiennym kolejom losu.

Munroe namacała broń drugiego mężczyzny i również ją wzięła.

Dziewczynka odważyła się poruszyć. Zrobiła niepewny krok w tył.

Munroe przyklękła i jak najdelikatniej ujęła ją za rękę, aby miała przestała się cofać.

- Jestem tu po to, żeby ci pomóc - powiedziała. - Ten zły

człowiek będzie teraz długo spał, więc już nie musisz się go bać. Jest ci zimno?

Dziewczynka kiwnęła głową. Wciąż miała szeroko otwarte oczy, a jej wargi lekko drżały. Nieznacznie opierała się dłoniom Munroe.

- Jesteś głodna?

Mała znowu przytaknęła i przestała się opierać.

- Zabiorę cię w ciepłe i bezpieczne miejsce, gdzie będziesz mogła najeść się do syta, dobrze?

Dziecko raz jeszcze przytaknęło i uspokoiło się zupełnie.

Munroe pochyliła się, objęła dłońmi buzię dziewczynki i pocałowała ją w czoło.

- Nic ci się nie stanie - wyszeptwała. - Obiecuję ci. Tylko teraz przez jakiś czas musisz być bardzo, bardzo cicho. Zrobisz to dla mnie?

Jeszcze jedno kiwnięcie.

Munroe przytknęła palec wskazujący do ust. Pewna, że mała zrozumiała jej gest, wstała i z bronią gotową do strzału uchyliła drzwi.

Zajrzała przez szparę. W budynku panowała cisza. Munroe pchnęła drzwi. Weszła do środka.

Wnętrze zupełnie nie przystawało do takiej okolicy. Korytarz i dwa przylegające do niego pokoje od frontu były nagie i puste. Żadnych mebli, żadnych obrazów na ścianach, nic prócz zasłon, które broniły dostępu wścibskim oczom. Słaba żarówka świeciła pod sufitem w głębi holu, nadając wszystkiemu obrzydliwie żółty odcień.

Munroe gestem dała znak dziewczynce, żeby za nią weszła, i znów podnosząc palec do ust, wskazała kąt wyłożonej kafelkami podłogi, niewidoczny z innych pomieszczeń.

- Zostań tu, dobrze? - wyszeptwała. - Wrócę po ciebie, kiedy sprawdzę, czy nic ci tu nie grozi.

Tak wyjaśniła to dziecku, ale nie dlatego weszła do środka. Oczywiście nie mogła wykluczyć, że dzisiejsza wymiana była jednorazową akcją, ale podejrzewała, że jest inaczej. Musiała dokończyć to, co zaczęła, sprawdzić, czy takich jak ta mała jest więcej.

Dziewczynka kiwnęła głową na znak, że rozumie, a potem niespodziewanie się uśmiechnęła. Jej śliczny uśmiech, promiennie niewinny i ufny, zadziwiająco kontrastował ze śladami łez, brudem i porwanym płaszczem kąpielowym.

Munroe poczuła, jak na moment opuszcza ją gniew i żądza krwi. Ze ściśniętym gardłem próbowała powstrzymać łzy, które napływały jej do oczu, wywołane niezwykle darem dziecięcego uśmiechu.

Odwróciła się i ruszyła w głąb domu, oddalając się od frontowych pokoi. Szła naprzeciw temu, co kryło się dalej, i tym, którzy mogli tam na nią czyhać.

Tylko w kuchni stał stół i krzesła, a w jednej z czterech sypialni pod ścianą leżały dwa materace. Reszta budynku była zupełnie pusta. Z rosnącym niepokojem Munroe przeszła przez dom po raz drugi, przekonana, że w tej osobliwej pustce i absolutnej ciszy czegoś nie dostrzegła, że przeoczyła jakąś ważną wskazówkę.

Rozdział 16

W korytarzu dziwne wibracje, które poczuła za plecami, kazały jej przystanąć. Munroe przyłożyła dłoń płasko do ściany i poczuła je znowu - wyraźne, powtarzające się drgania. Domyśliła się ich źródła. Wycofała się w głąb korytarza i przyklekła. Czekala.

Po półminucie rozległ się zgrzyt drzwi na nieprzejednanych zawiasach. Fragment ściany przesunął się i cofnął, tworząc framugę tam, gdzie chwilę wcześniej jej nie było. Zza niej męski głos zawołał coś nisko. Prawdopodobnie wzywał towarzysza.

Munroe dobyteła broni i się przyczaiła.

Dudnienie powtórzyło się jeszcze raz i drugi. Właściciel głosu pokonał ostatnie dwa schodki.

Wyłonił się z otworu w ścianie. Był duży - raczej pod względem wagi niż wzrostu - swoim brzuszyskiem wypełniłby pół szerokości korytarza, gdyby miał szansę dotrzeć tak daleko. Wyglądał tak, jakby wspinaczka po stopniach kosztowała go wiele wysiłku.

Munroe wycelowała. Padły trzy strzały, jeden po drugim.

Echo huku, który wypełnił korytarz, zagłuszyło krzyk mężczyzny i głuchy odgłos padającego ciała.

Podeszła do miejsca, gdzie upadł. Drapiąc podłogę, próbował się obrócić i sięgnąć po pistolet maszynowy, który - przewieszony przez ramię - utknął pod nim. Zachowywał się tak, jakby strzały tylko go przewróciły, a padając, złamał nogę albo wykrecił kolano. Jego bok krwawił. Ciemna, nasyciona barwa zwiastowała bliską śmierć.

Na szyi miał łańcuch z trzema kluczami. Lewą ręką sięgnął w przestrzeń za niewidocznymi wcześniej drzwiami. Wąskie schodki wiodły do oświetlonej jarzeniówkami piwnicy.

Munroe przycisnęła butem jego broń do podłogi. Przestał się szarpać. Spojrzał na nią z rozdziawioną gębą. Z ogromnym

trudem wyszeptał w ojczystym języku:

- Kim jesteś?

- Twoją karą - odparła również szeptem w mowie, której nauczyła się podczas jakiejś misji przed laty.

Przez chwilę wyteżała zmysły, nasłuchując kroków, próbując dojrzeć czyjś ruch, odkryć coś, co by wskazywało, że mężczyzna nie jest sam. Kiedy nic takiego się nie stało, przytknęła lufę do jego czoła. Pociągnęła za spust. Zerwała łańcuch z jego szyi i ruszyła na dół.

W wąskim korytarzyku dostrzegła trzy małe cele. Betonowa podłoga była wilgotna, jakby niedawno ktoś zmył ją wodą z węża. Zapach środka dezynfekującego był silniejszy od smrodu zgnilizny.

Zaczęła od ostatniej celi, znalazła właściwy klucz, otworzyła drzwi, a potem powtórzyła te same czynności jeszcze dwa razy, dopóki wszystkie metalowe drzwi nie zostały odsunięte na bok. Każda cela została przygotowana tak, by pomieścić kilkoro dzieci, ale Munroe znalazła tylko jedno.

W kącie chowała się dziewczynka, skulony, mały kłębek strachu, oplątany brudnym ubraniem, mokrym od polewania wodą. Munroe pochyliła się, żeby wejść do niskiego pomieszczenia, a potem ruszyła do małej na czworaka.

- Nie zrobię ci krzywdy - powiedziała. - Jestem tu po to, żeby cię uwolnić. Coś cię boli? Możesz wstać?

Dziewczynka nie odpowiedziała, tylko jeszcze bardziej się skuliła. Z bliska wyglądała na jedenaście, może dwanaście lat. Munroe wyciągnęła do niej rękę i w tym momencie mała krzyknęła. Jej głos brzmiał bezsilnie, łkająco, tak jakby błagała, żeby zostawić ją w spokoju. Zwinięta w kłębek, cała się trzęsła.

Munroe, nie podnosząc się z kolan, odsunęła się nieco, aby dziewczynka nie traktowała jej jak zagrożenia.

- Ilu mężczyzn cię tu trzyma? - spytała.

Mała nie wykonała żadnego gestu ani nie podniosła wzroku, tylko wyszeptała:

- Dwóch.

- Jeden gruby, a drugi niski?

Dziewczynka przytaknęła.

- Już ci nic nie zrobią - obiecała jej Munroe. - Chodź, sama się przekonaj. Już ich nie ma.

Wyciągnęła rękę, ale dziewczynka się nie poruszyła. Munroe ostrożnie i powoli przysunęła się na tyle blisko, by jej dotknąć. Mała się skrzywiła, ale nie krzyknęła. Munroe jak najdelikatniej pomogła jej wstać i pociągnęła za sobą, w górę po schodkach, nad ciałem, które rozlało się czerwienią na boki. Wbrew temu, czego można się było spodziewać, dziewczynka przestała się trząść na widok trupa, który na zawsze miał zostać w koszmarach Munroe.

Pierwsza ocalona czekała tam, gdzie ją zostawiła. Munroe zaprowadziła obydwie do kuchni.

- Zjedzcie coś - powiedziała. - Muszę załatwić parę spraw. Wróć jak najszybciej.

Zerknęła na zegarek. Miała wrażenie, że minęły co najmniej trzy godziny, tymczasem upłynęło niecałe dziesięć minut. Przed domem wciąż stał wóz z pracującym silnikiem, a w środku siedział kierowca. Jego głowa bezwładnie opadła na oparcie. Muzyka i śmiech nadal rozbrzmiewały w zimowym powietrzu. Życie toczyło się dalej, nie zwracając uwagi na martwych.

Munroe sięgnęła do stacyjki, wyjęła kluczyk, przeszukała kieszenie mężczyzny i wyciągnęła gotówkę, którą dostał za dziecko, po czym przeciągnęła trupa pod schody i posadziła obok drugiego. Wyglądali jak pijani koleżkowie pogrążeni w cichej rozmowie.

W domu przetrząsnęła jedyną używaną sypialnię w poszukiwaniu pieniędzy, które musiały tam być. Znalazła je w małym pudełku ukrytym za poluzowanym kafelkiem. Wróciła do kuchni po dzieci, które zdążyły już pochłonąć jedzenie przygotowane najprawdopodobniej dla ich porywaczy.

Ostrożne pytania pozwoliły jej wyciągnąć od dziewczynek kilka informacji. Starsza została zabrana z rodzinnego domu daleko na północy Boliwii. Młodsza niedawno straciła rodziców, a wuj ją sprzedał.

Na zewnątrz Munroe otworzyła tylne drzwi samochodu i kazała dziewczynkom zająć miejsca. Sama usiadła za kierownicą, uruchomiła silnik i wrzuciła bieg.

Gniew wciąż w niej kipiał, a w żyłach płynęła adrenalina, za to werble śmierci umilkły. Przez jakiś czas majstrowała przy kontrolkach nawigacji, w końcu znalazła najbliższy żeński klasztor i ruszyła. Zamierzała umieścić te córki tam, gdzie mężczyźni nie mieli wstępu. Pieniądzy, za które odebrano im życie, mogła teraz użyć, aby je ocalić.

Do hotelu wróciła spóźniona o dwie godziny. Bradford, który siedział przy biurku wgapiiony w przestrzeń, wstając, niemal przewrócił krzesło, gdy otworzyła drzwi.

Stał potem w drugim końcu pokoju i patrzył na nią w milczeniu. Na jego twarzy panika ustępowała złości zmieszanej z ulgą.

Munroe weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

- Gdzie byłaś?

- Coś mnie zatrzymało.

- Mogłaś chociaż włączyć pierdolony telefon.

Przygryzła dolną wargę. Odczekała chwilę.

- Nie drażnij mnie, Miles - powiedziała w końcu. - To naprawdę nie jest dobra pora.

- Masz pojęcie, jakie myśli przychodziły mi do głowy po tym, jak Raúl mnie zawiadomił, że nie zjawiałaś się w umówionym miejscu? Wyobrażasz sobie, jakim piekłem były dla mnie ostatnie godziny?

- A ty masz pojęcie, przez co ja przeszedłam?! - odparowała.

- Jasne, że nie! Nie odbierałaś cholernego telefonu!

Munroe nie ruszyła się od drzwi. Jej ręce zwisały luźno wzdłuż tułowia, poziom adrenaliny spadał. Brak snu dawał o sobie znać. Udręczone buzie dziewczynek prześladowały ją przez całą drogę powrotną. Targały nią sprzeczne emocje, ścierając się i piętrząc w koszmarniej miksturze. Czara goryczy w końcu się przelała i z oczu popłynęły słone krople uczuć, na które tak rzadko sobie pozwalała.

Bradford, który krążył po pokoju i upominał ją coraz ostrzejszym głosem, stanął jak wryty na widok jej łez. Wyglądał jak porażony. Nie wiedział, co robić. Patrzył na nią tak, jakby się wahał, czy powinien trzymać się na dystans, czy podejść do niej

i próbować ją pocieszyć.

- Boże, Michael - wyszeptał. - Co się tam, do diabła, stało?

- Wszystko ci później opowiem - odparła łamiącym się głosem. - Obiecuje.

Podszedł do niej i przyciągnął ją do siebie. Wtuliła się w niego mocno. Obejmował ją, dopóki łzy nie wyschły. W końcu zdołała odsunąć od siebie nowy koszmar, tak jak wszystko inne.

- Potrzebujesz snu - oznajmił.

Westchnęła.

- Już dawno powinnaś odpocząć - dodał. - Tak wyczerpana nikomu nie pomożesz. Ani Loganowi. Ani Hannie. Ani sobie. A już na pewno nie mi. Tylko popatrz - wskazał palcem na swoją głowę - siwy, siwy, siwy. Jeden siwy włos za każdy dzień, odkąd cię znam.

Jego żart zupełnie ją rozbroił. Zadarła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Jeśli będę miała koszmary, znieczulę się - stwierdziła.

Kiwnął głową i przytulił policzek do jej policzka. Zastanawiał się, czy jego twarz zdradza, jak ponuro się czuje.

- Jeśli będzie trzeba - przytaknął.

Minęła piąta, zanim Munroe w końcu się położyła. Tak jak się spodziewał, zasnęła w kilka sekund. Gonila resztkami sił, nic więc dziwnego, że gdy tylko na to pozwalała, jej organizm zwyczajnie się wyłączał. Bradford wiedział równie dobrze jak ona, że wyczerpanie niczego nie zmieni. Koszmary i tak miały przyjść. To była tylko kwestia czasu.

Sam ją namawiał, żeby przyjęła to zlecenie. Miał nadzieję, że praca uwolni ją od napięcia, uspokoi wewnętrzną burzę i wprowadzi ład do jej świata. Wciąż była na to szansa, ale nie tej nocy. Usiadł na łóżku z notatnikiem na kolanach. Od czasu do czasu podnosił wzrok znad zapisków, którymi wypełniał kolejne strony. Ta noc miała być krótka. Przy odrobinie szczęścia Munroe mogła liczyć na kilka godzin spokojnego snu, nim coś się znowu zacznie.

Tak czy inaczej, na razie spała. Przynajmniej ten problem zdołali tymczasowo rozwiązać. Wiedział, że druga sprawa - jej powrót do Przystani - będzie znacznie trudniejsza.

Znał jej metody. Nie raz widział, jak działa, i wiedział, z jaką łatwością wciela się w różne role, aby skutecznie omamić cel, jednak jej rozmowa z Eliaszem i Estebanem, deklarowany przez nią entuzjazm i podziw dla stylu życia Wybranych oraz afirmacja ich wiary wykraczały daleko poza zwykłą rolę. Niepokoiło go to ogromnie, ale nie mógł głośno mówić o obawie, że tym razem to nie jest wyłącznie gra.

Sam nigdy by nie potrafił zaakceptować tego, że ktoś bierze żonę lub dziecko wyłącznie dla własnej satysfakcji seksualnej, ani nie podporządkowałby się woli kogoś, kto każe mu opuścić jedną rodzinę i dołączyć do innej. Za absurd uważał seks z Jezusem, rozmowy ze zmarłymi i magiczne moce, ale przecież na wezwanie Proroka zjawiały się tysiące wiernych - czego dowodem były rzesze Wybranych.

Bradford potrafił sobie wyobrazić, że niektórym odpowiada rezygnacja z własnej autonomii. Poddanie się czyjejś woli było formą eskapizmu. Wyrzeczenie się niezależności i pójście za Prorokiem oznaczało wolność od odpowiedzialności.

Pomyślał o Munroe i poczuł ciężar walki, jaką toczyła sama ze sobą.

Kolejne godziny upływały w ciszy. Bradford pisał. Spokojny sen Munroe był ledwie zauważalnym tłem, dopóki przypadkiem nie zerknął w jej stronę. Napotkał puste, nieruchome spojrzenie.

Szok chwycił go w kleszcze. Serce zaczęło walić. Znał ten wyraz jej oczu. Pamiętał, jak poprzednim razem jej koszmar przeniósł się w realny świat. Musiał być gotowy.

Rozdział 17

Zastygł w bezruchu i wzrokiem ogarnął sypialnię, sprawdzając po raz kolejny, co może zostać użyte przeciwko niemu jako broń. Zerkał to na Munroe, to na pokój, i jednocześnie powoli, aby zbyt gwałtownym gestem nie wywołać jej reakcji, wsunął długopis pod poduszkę. Zachowywał się jak człowiek, który niespodziewanie znalazł się oko w oko z niebezpieczną, dziką istotą.

Gdyby Munroe była zupełnie rozbudzona i świadoma, walka z nią oznaczałaby samobójstwo. Na szczęście w somnambulicznym stanie poruszała się nieco wolniej, działała mniej intuicyjnie i Bradford miał niewielką szansę uzyskać nad nią przewagę, tak jak poprzednim razem. Nie lunatykowała - przynajmniej nie w sensie klinicznym. Ludzie, którzy zabijali przez sen, nie robili tego, śniąc. Ale jakie znaczenie miały teraz medyczne wyjaśnienia? To działa się naprawdę, a ona była śmiertelnie niebezpieczna.

Skupiła na nim wzrok. Cokolwiek działało się w jej głowie, cokolwiek widziała i przeżywała, wiedział, że z jej skłonnością do przemocy nie zatrzyma się, dopóki się nie obudzi lub go nie zabije.

Usiadła i spuściła nogi na podłogę. Ani na chwilę nie odrywała wzroku od Bradforda. Naprężyła ramiona i zacisnęła dłonie, ustawiając je tak, jakby trzymała w nich noże.

Czas i świadomość działały na jego korzyść. Trwał w bezruchu, spięty i gotowy. Wiedział, że jeśli dobrze to rozegra, zdoła jednym posunięciem zakończyć walkę, ale aby tego dokonać, musiał powalić ją na plecy i przygnieść swoim ciężarem.

Miała osobliwy wyraz oczu. Szkliste i nieruchome spojrzenie niezmiennie skupiało się na nim. Wstała i zrobiła krok w jego stronę. Jeszcze jeden i zaatakowała. Ukośne cięcie w kierunku jego szczęki byłoby zabójcze, gdyby naprawdę miała w dłoni

nóż. Zdołał się odchylić i nieznacznie chybiła.

Wykręcił tułów, podążając za jej ruchem. Chciał ją przewrócić, ale dostał łokciem w bok głowy. Cios padł tak szybko, że nie zdążył się zasłonić. Zatoczył się od wstrząsu wewnątrz czaszki.

Zmienił pozycję, gotowy zablokować kolejne uderzenie, ale nie padło.

Munroe stała w lekkim rozkroku i przyglądała mu się zdumiona. Po chwili powoli przeniosła wzrok na swoje dłonie i z wysiłkiem rozwarła pięści.

Żadne nie ruszyło się z miejsca - on przyglądał się jej podejrzliwie, ona utkwiała wzrok w bliżej nieokreślonym punkcie na wysokości jego kolan i mrugała raz po raz, tak jakby usiłowała coś sobie przypomnieć.

W końcu odnalazła jego oczy.

- Zraniłam cię? - spytała cicho.

Objął ją w pasie powolnym, łagodnym ruchem.

- Nie - wyszeptał. - Nic mi nie jest.

Nie zareagowała na jego dotyk, tylko jej oczy śledziły jego gest.

- Jak długo spałam? - spytała.

Pchnął ją w stronę łóżka. Nie stawiała oporu, tylko rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Jakies pięć godzin - odparł.

Posłuszna mu usiadła, a potem położyła się z rękami pod głową.

- Zupełnie przyzwoicie - stwierdziła.

Bradford przysiadł obok niej, oparł łokcie na kolanach i przez chwilę przyglądał się uważnie jej twarzy. Dopiero gdy był już pewien, że jest zupełnie przytomna, zaproponował:

- Jeśli chcesz dłużej pospać, przyniosę ci butelkę.

Pokręciła głową.

- Pięć godzin to dla mnie sporo - powiedziała. - Z butelki skorzystam, kiedy naprawdę będzie mi potrzebna.

Przewróciła się na bok i wyciągnęła ku niemu rękę. Palcami delikatnie przesunęła po boku jego twarzy. Bradford skrzywił się, gdy dotknęła bolącego policzka. Lekko obróciła jego głowę,

aby obejrzyć go w świetle lampki.

- Wybacz mi – poprosiła.

Uśmiechnął się do niej.

- Wiedziałem, w co się pakuję.

Munroe odwzajemniła mu się nikłym uśmiechem i usiadła.

- No dobra - odezwała się po chwili zupełnie innym tonem, tak jakby za sprawą jakiegoś magicznego pstryczka zmienił się jej nastrój - chodźmy poszukać Logana. - Uśmiechnęła się szerzej. - Jeśli wszystko pójdzie dobrze, może uda mi się nawet trzasnąć Gideona.

Bradford zaśmiał się z jej żartu, ale w pełni rozumiał, dlaczego tak powiedziała.

Spotkanie z tamtą trójką było złem koniecznym. Munroe wolałaby je odłożyć, dopóki się nie upewni, czy Hanna rzeczywiście jest w mieście. Niestety, konfrontacja nie mogła dłużej czekać. Dobrze знаła Logana i wiedziała, że nie wspomniaby Bradfordowi o zachowaniu Gideona, gdyby nie czuł, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli. Dlatego zebranie było nie tyle ukłonem w stronę Logana, ile strzałem ostrzegawczym - przestrogą, aby nie robili nic głupiego.

Wybrani przez całe lata przerzucali Hannę z miejsca na miejsce i jeśli dziewczynka znajdowała się w Buenos Aires, wystarczył najmniejszy błąd, żeby ich wystraszyć i zmusić do kolejnego ruchu. Wszystkie elementy trafiły już na swoje miejsce, dane płynęły szerokim strumieniem. Munroe nie chciała, aby Gideon lub Heidi wszystko zaprzepaścili, próbując realizować własne cele.

Umówili się w południe, w kafejce blisko pensjonatu. Logan i pozostali mogli tam szybko dotrzeć, a Munroe miała dość czasu, aby otrząsnąć się z resztek snu.

Ona i Bradford większą część trasy pokonali miejskim autobusem, a resztę pieszo. Munroe zawsze wolała podróżować w ten sposób, gdy pracowała nad jakimś zleceniem. Zanurzenie się w rytm życia ludzi pozwalało jej chłonąć esencję miejsca, było jak haust powietrza po wypłynięciu na powierzchnię. Wo-

łała to od ciasnego wnętrza taksówki. Wokół rozmowy zaczynały się i milkły, głośno grało radio, a znaki drogowe umykały do tyłu i znikwały. Chaos woni miasta opanował jej zmysły. Wtapiała się w bezład wrażeń.

Dotarli do kafejki pięć minut przed umówioną porą. Logan już czekał przy stoliku niedaleko okna. Wstał, gdy do niego podeszli. Pod oczami miał cienie - dowód nieprzespanych nocy. Kiedy Munroe go ścisnęła, odniosła wrażenie, że jego ciało się rozluźnia, tak jakby opadło z niego napięcie.

Kładąc dłonie na jego ramionach, cofnęła się o krok i uważnie na niego spojrzała.

- Trzymasz się jakoś? - spytała.

Kiwnął głową, ale minę miał niewyraźną. Usiedli przy akompaniamencie szurania krzesel przysuwanych do stolika.

- A gdzie są Gideon i Heidi? - zapytała Munroe.

- Poprosiłem, żeby dali nam kilka minut - odparł i spojrzał na Bradforda, tak jakby chciał u niego wyjednać to samo.

Miles nie ruszył się z miejsca. Siedział z nieprzeniknioną miną i założonymi rękami. Munroe wiedziała, co znaczy ta postawa. Zostawiłby ich, gdyby go o to poprosiła, ale nie zamierzała tego robić. Decyzja, że chce go mieć przy sobie, nie wynikała z powodów osobistych, tylko strategicznych. Choć w przeszłości Logan często ją ubezpieczał, tym razem nie mógł jej pomóc. W przedsięwzięciu, do którego się przygotowywała, potrzebowała pełnej współpracy Bradforda.

Położyła dłoń na kolanie Logana i jak najłagodniejszym tonem wyjaśniła:

- Naprawdę nie możemy zdradzić nic, czego nie moglibyśmy wyjawić w obecności tamtych dwojga.

- Miałem nadzieję, że macie coś więcej - odparł. - Trudno tak tkwić poza nawiasem.

- Działamy najszybciej, jak się da - zapewniła. - Sam dobrze wiesz, że ustalenie trzech lokalizacji i założenie kamer w tak krótkim czasie jest sporym osiągnięciem.

- Doceniam to. Nie myśl, że jest inaczej.

- Daj tamtym sygnał - powiedziała. - Wiem, że nas obserwują.

Logan nie musiał dłużej udawać. Odwrócony plecami do

okna, wstał, zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Ponownie usiadł i się uśmiechnął.

- Aż tak łatwo można mnie przejrzeć? - spytał.

- Ciebie nie, ale Gideona tak - przyznała i z demonstracyjną swobodą przywołała kelnerkę. Zamówiła kawę i ciastka.

Gideon i Heidi zjawili się w kawiarni zaledwie po minucie. Gideon szedł przodem. Na widok Bradforda zwolnił. Munroe wzięła to ledwie zauważalne wahanie za dobrą monetę. Fakt, że tamta dwójka aż do tej chwili nie miała pojęcia o udziale

Milesa, świadczył o tym, że Logan naprawdę bardzo się starał postępować zgodnie z jej życzeniami.

Aby formalności stało się zadość, przedstawiła Bradfordowi całą grupkę, choć wiedział już o Gideonie i o Heidi więcej, niż oboje przypuszczali. Wymianę uprzejmości ograniczyła do minimum. Nie zamierzała się bawić we wstępy i konwenanse.

Główny cel jej obecności był prosty: zdać raport z postępów, uzmysłwić pozostałym, jak łatwo mogą zniweczyć to, co już udało się osiągnąć, i wbić im do głowy, że mają się trzymać z daleka i pozwolić jej działać. Tak jak wcześniej Bradford, ograniczyła informacje do tego, co bezpiecznie mogła im przekazać. Nie wyjawiała lokalizacji ani nie wspomniała o tym, że odwiedziła ranczo.

W przeciwieństwie do Logana i Heidi, którzy spokojnie wysłuchali jej relacji, Gideon emanował agresją. W pewnym momencie rozplótł ręce i pochylił się do przodu.

- Macie pewność, że miejsca, które obserwujecie, to naprawdę Przystanie? - spytał.

- Stuprocentową - przytaknęła Munroe.

- Powinniście nas w to włączyć. W końcu do nich należeliśmy. Jesteśmy w stanie zweryfikować to, czego wy się jedynie domyślacie, i potwierdzić, czy jesteście na właściwym tropie. Znamy ich, wiemy, jak prowadzą rozmowy i kim są. Ogromnie ryzykujecie, wyłączając nas.

- Jestem gotowa podjąć takie ryzyko - przyznała.

- Nie ty o tym decydujesz - rzucił Gideon. Jego głos brzmiał spokojnie, ale postawa zdradzała gotujący się w nim gniew. - To nasz projekt. Pracujesz dla nas, a nie my dla ciebie. Zwer-

bowaliśmy cię do tego zadania i płacimy ci za jego wykonanie.

- Nie - zaprzeczyła. - Nie pracuję dla was, nie zwerbowałam was, nie płacicie. - Dla większego wrażenia zrobiła pauzę i zanim Gideon zdążył powiedzieć coś więcej, dodała: - Jestem tu z powodu Logana. Koniec i kropka. Nie macie pojęcia, czego wymaga taka robota. Ja to wiem. Z tego żyję. Jeśli mi nie wierzycie, spytajcie Logana. Po pierwsze, włożyłam w to więcej pieniędzy niż wy wszyscy razem, a po drugie, jeśli coś pójdzie nie tak, to ja nadstawiam karku. Pokrywacie koszty co najwyżej mojego ubezpieczyciela. - Kiwnęła głową w stronę Bradforda. - Jeśli chcecie, to proszę bardzo, spróbujcie przekonać go, że pracuje dla was. Zdałam wam już ogólny raport.

Zamierzam mówić wam tylko to, co powinniście wiedzieć, a prawdę mówiąc, nie musicie wiedzieć nic.

Gideon poczerwieniał, ale nic nie powiedział. Munroe przyjrzała mu się uważnie. Ta prowokacja nie miała za zadanie pokazać pozostałym, gdzie jest ich miejsce ani czyje zdanie liczy się najbardziej - nie musiała marnować słów, aby tego dowiedzieć. Chciała jedynie uzmysłwić Loganowi to, co wcześniej zauważyła.

Gideon nie przybył tu ze względu na Hannę. Nawet jeśli zapewniał, że tak jest, poszukiwania dziewczynki były dla niego jedynie przykrywką. Oczywiście uwolnienie jej potraktowałby jako sukces, lecz zależało mu na czymś więcej i dlatego chciał znać lokalizację Przystani. Munroe domyślała się, o co mu naprawdę chodzi. Podobnie jak Logan i Heidi - choć ona może w mniejszym stopniu - Gideon wykorzystywał pozostałych dla własnych celów.

Później, już po wszystkim, będzie mogła do woli roztrząsać każdy aspekt, na razie jednak Gideon był jak zapalka przy benzynie, jak iskra, która mogła wywołać pożar. Zagrażał przedsięwzięciu, a to oznaczało, że zagrażał również jej.

Munroe położyła obie dłonie na stole i nachyliła się ku obecnym.

- Wszyscy jesteśmy tutaj po to, aby dziewczynka mogła wrócić do mamy - powiedziała niemal szeptem. - Zgadza się?

Przytaknęła, choć z ociąganiem.

- Moje zadanie polega na odnalezieniu Hanny - podjęła. - To *jedyny* powód, dla którego tu jestem. - Sięgnęła pod krzesło do torby i wyjęła niewielką kopertę. Przesunęła ją po stole w stronę Gideona. - To jestem ja - powiedziała - moje życie zawodowe, fakty, których nie znajdziecie w sieci. Zajmuję się zbieraniem informacji. Jestem w tym ekspertem. Dysponuję też odpowiednim zapleczem, żeby wydostać stąd Hannę, gdy już ją odnajdziemy. - Zrobiła pauzę i posłała Gideonowi nieprzejednane spojrzenie. - Jeśli dziewczynka znowu gdzieś nie zniknie.

Gideon wziął kopertę i schował ją do kieszeni. Wstał z miejsca.

- Przejrzę to, jak znajdę czas - oznajmił - a teraz nic tu po mnie, chyba że masz coś jeszcze do dodania.

Munroe ponownie położyła dłonie na stole i splotła palce.

- To już wszystko - odparła.

Gideon wstał od stolika i minął Munroe tak blisko, że się o nią otarł. Za blisko. Zareagowała po nanosekundowej kalkulacji. Instynkt był szybszy od myśli. On nie zdążył jeszcze zrobić kroku, nim chwyciła go za nadgarstek i wykręciła mu rękę, zmuszając go, aby przygiął tułów. Szarpnęła mocno mały palec jego dłoni, niemal go łamiąc. Zrobiła to tak błyskawicznie, że Heidi aż podskoczyła.

Cicho, aby słyszeli ją tylko zebrani przy stoliku, powiedziała:

- Naprawdę nie masz najmniejszego pojęcia, na co się, kurwa, porywasz?

Rozdział 18

Wargi Gideona ułożyły się w literę O. Zgiął się jeszcze bardziej, żeby zmniejszyć ból. Pochyliła się za nim. Trzymając usta tuż przy jego uchu, szeptała tak cicho, że tylko on mógł ją słyszeć.

- Nie chcę cię zabić - zapewniła. - I nie zrobię tego, ale jeśli mi, kurwa, przeszkodzisz, to pożałujesz, że żyjesz.

Jej szacunek dla niego odrobinę wzrósł, kiedy zdała sobie sprawę, co próbował jej podłożyć. Był szybki i sprytny. Gdyby na jej miejscu znajdował się ktoś inny, Gideon pewnie osiągnąłby cel. No ale zawodowy szacunek nie mógł jej powstrzymać przed manifestacją dominacji. Musiała użyć języka siły, Gideon nie mógł zapomnieć, gdzie jest jego miejsce.

Logan i Bradford siedzieli bez ruchu, wybałuszając ze zdziwienia oczy. Dopiero gdy wyrwała z dłoni Gideona urządzenie naprowadzające i plasnęła nim o stół, do pozostałych dotarło, co zaszło w ciągu tych kilku sekund.

Gideon zrobił się czerwony jak burak i zacisnął zęby. Munroe spodziewała się odwetu, ale on tylko odwrócił się na pięcie i wyszedł z kafejki.

Pozostali w milczeniu odprowadzili go wzrokiem.

- Wielu z nas nie potrafi zaakceptować żadnej formy kontroli narzuconej przez innych - odezwała się Heidi. - Nasze życie było podporządkowane totalitarnej dyktaturze i teraz reagujemy alergicznie, gdy ktoś nam mówi, co mamy robić. - Zawałała się. - On jest dobrym człowiekiem - dodała - myślę, że powinnaś o tym wiedzieć.

- Nie zamierzam nikogo osądzać - stwierdziła Munroe. - Gdyby okoliczności były inne, pewnie świetnie byśmy się rozumieli, teraz jednak skupiam się wyłącznie na dotarciu do Hanny i tylko to się dla mnie liczy. Dążę do celu wszelkimi drogami i nie dopuszczę, by coś zagroziło przedsięwzięciu.

Heidi powoli skinęła głową. Wahala się. Miała minę, jakby chciała powiedzieć coś jeszcze, tylko się bała.

Munroe musiała wiedzieć, jakie myśli krążą po głowie Heidi, i to szybko, bo czas był na wagę złota. Błyskawicznie zmieniła nastawienie, przygarbiła ramiona, stała się wyraźnie mniejsza, a dla jeszcze lepszego efektu rozluźniła mięśnie twarzy, wieńcząc przejście do nowej roli smutnym uśmiechem.

Reakcja była taka, jakiej się spodziewała. Heidi w odpowiedzi również się rozluźniła, a wraz z ustępującym napięciem znikło jej wahanie.

- Tak sobie myślałam - zaczęła - że może w swoich poszukiwaniach natknęliście się na pewnego mężczyznę. Nazywa się Malachiasz. Choć możliwe, że używa imienia Eliasza.

- Kto to taki? - spytała Munroe.

Heidi z torebki wyciągnęła starą fotografię. Przesunęła ją po stole.

- Tak wyglądał - powiedziała. - Nie mam pewności, jak każe się do siebie zwracać obecnie. Ostatnim razem, gdy go widziałam, właśnie zmienił imię na Eliasza.

Ze zdjęcia patrzyła na Munroe jasnowłosa, wąsata, znacznie młodsza i grająca na gitarze wersja tego samego Eliasza, z którym rozmawiała poprzedniego dnia na ranczu. Przyjrzała się fotografii i po chwili odsunęła ją.

- Wciąż napływają do nas informacje - odparła. - Jeszcze nie zdążyłam przeanalizować wszystkich zarejestrowanych materiałów.

Powiedziała prawdę, choć nie udzieliła odpowiedzi na pytanie.

Heidi schowała zdjęcie i pokiwała głową. Na jej twarzy malowało się rozczarowanie.

- To mój tato - wyjaśniła. - Od sześciu lat nie mam od niego żadnej wiadomości. Kiedyś byliśmy sobie bliscy. W całym tym obłędzie, nawet wtedy, gdy nas rozdzielano, zawsze znajdował sposób na to, by mnie zapewnić, że mogę na niego liczyć. Był dobrym ojcem. Najbardziej boli mnie w tym wszystkim właśnie brak kontaktu z rodziną. Nie tylko z tatą, sami rozumiecie. Kiedyś opiekowałam się braćmi i siostrami... a w zasadzie

przyrodnim rodzeństwem. W pewnym sensie matkowałam im bardziej niż moja macocha. - Heidi umilkła i wlepiła wzrok w stół. - Chyba miałam nadzieję - powiedziała, zniżając głos - że może przy okazji ktoś go zauważy, że się dowiem, czy on nadal jest w Argentynie. Bardzo chciałabym odnowić z nim kontakt, zobaczyć moich braci i siostry.

- A co się stało z twoją mamą? - spytała Munroe.

Heidi wzruszyła ramionami.

- Z nią było inaczej.

Munroe знаła ból rozłąki.

- Jeśli tu są, dam ci znać, kiedy już wszystko załatwimy - powiedziała ze szczerym współczuciem.

W odpowiedzi Heidi uśmiechnęła się ciepło i ufnie, z niemal dziecięcą prostotą, która kontrastowała z jej niezwykłą inteligencją, mimo to była jak najbardziej autentyczna. Nie dało się jej nie lubić. Świadomość, że przy okazji poszukiwań Hanny mogą spełnić tak proste życzenie, poprawiała Munroe samopoczucie.

- Przyjmą cię? - spytała.

- Może - odparła Heidi. - Na pewno warto spróbować.

Munroe spojrzała na Logana.

- Chodź ze mną, dobrze? To zajmie tylko chwilę - poprosiła.

Logan wstał i zdjął kurtkę z krzesła.

- Wracam za dziesięć minut - rzuciła do Bradforda.

Na zewnątrz niebo przesłaniały chmury, a wilgotny chłód wczorajszego dnia ustąpił miejsca mżawce, która, choć nie wymagała chowania się pod parasolem, sprawiała, że wszystko pokrywała warstwa deszczowych łez.

Munroe wzięła Logana pod rękę i odprowadziła kawałek dalej. Gdy zniknęli towarzyszom z oczu, zatrzymała się pod markizą jakiegoś sklepiku i z westchnieniem oparła o ścianę. Logan poszedł za jej przykładem i przez jakiś czas w milczeniu obserwowali przechodniów.

- Myślisz, że Gideon jest tu, żeby pomóc w odnalezieniu Hanny? - spytała w końcu.

- Gdyby tylko o to mu chodziło, pozwoliliby ci działać - odparł - zwłaszcza teraz, gdy już wie, na co cię stać.

- Według mnie, on chce się dostać do środka. Zaryzykuje nawet stwierdzenie, że przed samodzielną próbą odnalezienia Przystani powstrzymuje go jedynie obawa, że zniweczy próbę wydostania Hanny i zawiedzie Charity. Bardzo mu na tym zależy, Logan. - Przez chwilę patrzyła w dal, zanim ponownie spojrzała na towarzysza. - Co łączy Gideona z Charity?

- Od lat się w niej kocha.

- Są ze sobą? Tworzą parę?

- Gdyby to od niego zależało, byliby razem, ale Charity nie odwzajemnia jego uczucia.

- Jesteś pewien, że on nie wie, co cię z nią łączy?

- Nikt nie wie - odparł Logan - poza mną, Charity, tobą i... - zrobił pauzę - ...i teraz także Milesem.

Kiwnęła głową.

- Miles mnie ubezpiecza, Logan, przecież znasz zasady.

- Jasne. Wiem, jak to jest.

Munroe spojrzała w kierunku, w którym oddalił się Gideon.

- Logan, musisz zrozumieć, w jakiej jesteś sytuacji. Od tego momentu Gideon jest dla nas największym zagrożeniem. Musimy go powstrzymać, jeśli mamy odzyskać twoją córkę. Przybył tu z jakiegoś konkretnego powodu i ma niewiele czasu, a nie zamierza wracać z pustymi rękami. Jeśli zrobi coś, co spłoszy tamtych, Hanna znowu zniknie. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

Logan przytaknął. Dla równowagi oparł o mur zgiętą w kolanie nogę.

- Rozumiem, że wszyscy uważacie, że Charity nie należy w to mieszać - stwierdziła - ale jeśli naprawdę zależy ci na powodzeniu naszego planu, musisz zyskać dla mnie trochę czasu. Skoro Gideon gotowy jest zrobić to, czego pragnie Charity, musisz ją w to wciągnąć.

- Z tym nie będzie problemu. Rozmawiam z nią przynajmniej raz dziennie. Denerwuje się jeszcze bardziej niż ja.

- Opowiedz mi o Gideonie. Jaka jest jego historia?

- Mniej więcej taka jak moja. Wybrani wyrzucili go, kiedy miał piętnaście lat. Nigdy wcześniej nie był w Stanach ani nie widział swoich dziadków, więc wyobraź sobie, co czuł, gdy

któregoś dnia, tak po prostu, wysadzono go pod ich domem. Próbował chodzić do szkoły, ale miał za duże zaległości w stosunku do rówieśników. Nie potrafił się przystosować, nie umiał się z nikim dogadać, wpadał w tarapaty. Po jakimś czasie dziadkowie mieli dość i wyrzucili go z domu.

Logan przerwał, ale Munroe dała mu znak, by mówił dalej.

- Trafił na ulicę. Przypomina ci to kogoś? - spytał i zachichotał.

Uśmiechnęła się do niego, a on w odpowiedzi wyszczerzył zęby.

- Ja miałem szczęście - stwierdził. - Ojciec Erica wziął mnie pod swoje skrzydła i dał mi dach nad głową. Może to niewiele, ale Gideon nie miał nawet tego. Ciągłe ściągał na siebie kłopoty. Dwa razy niemal trafił do poprawczaka. Liczył, że wojsko pomoże mu wyjść na prostą, i kiedy miał siedemnaście lat, próbował się zaciągnąć do armii. Nie mógł jednak zrobić tego bez zgody pełnoletniego opiekuna. Dziadkowie się go wyrzekli, a dla rodziców był wyrzutkiem, więc mu odmówili. Nie ma jak rodzicielska miłość, he? Woleli, żeby ich syn żył na ulicy, bo bali się sprzeciwić antyrządowym poglądom Proroka. Jakoś dawał sobie radę, chwytając się różnych drobnych zajęć, aż w końcu dostał się do piechoty morskiej, odsłużył swoje i dalej jakoś już poszło. Ot i cały Gideon.

- A jak wyglądało jego życie z Wybranymi?

- Nie wiem - przyznał Logan. - Znałem go tylko jako siedmio-, ośmiolatka. Potem, kiedy mieliśmy po naście lat, już z nim nie mieszkałem. Sam dziś niewiele o tym mówi. Niektórzy z nas w taki sposób sobie radzą, wiesz? Udadają, że to się nigdy nie wydarzyło.

- Jest ktoś, na kim chciałby się zemścić?

Logan się zamyślił i po chwili spojrzał prosto na nią.

- Myślisz, że właśnie dlatego chce przeniknąć do środka?

- Wyraźnie ma do kogoś żal. Chce coś komuś udowodnić, a nie wygląda mi na takiego, który ogranicza się do samych słów... podejrzewam, że posunie się dalej.

- Popytam - obiecał Logan. - Może się czegoś dowiem.

Wrócili do kafejki i zastali Bradforda i Heidi pochłoniętych

rozmową. Otaczała ich aura intymności. Pochylali się ku sobie i nie odrywali od siebie wzroku. Heidi miała na twarzy rumieńce, których Munroe nie zauważyła, wychodząc.

Trudno nie lubić Heidi.

Zwolniła kroku. Poczowała, że pali ją twarz. Kafejka zeszła na dalszy plan. Ta chwilowa reakcja ją zaskoczyła. W półsekundowych kadrach przyglądała się Bradfordowi. Potem Heidi. A potem skupiła się na sobie.

Zbędne emocje podczas misji mogły się okazać zabójcze. Odsunęła je od siebie. Każdy kolejny krok w stronę stolika był świadomym zaprzeczeniem intensywności uczucia, od którego żywiej biło jej serce, każdy kolejny krok pomagał się skupić na zadaniu, które miała wykonać. Zanim ona i Logan dołączyli do tamtych dwojga, było tak, jakby ten krótki epizod w ogóle się nie zdarzył.

Po zdawkowych pożegnaniach i powściągliwych obietnicach w milczeniu wróciła z Bradfordem do hotelu.

Dla Munroe droga była czasem przemiany, fazą pośrednią przy przejściu z jednej roli w inną. Bradford znał jej zwyczaje i zapewniał potrzebną przestrzeń.

Na rancho dotarła dopiero późnym popołudniem. Niebo zdążyło się rozchmurzyć i rozproszone promienie słońca stwarzały iluzję ciepła. Podjechała peugeotem do bramy, wysiadła, żeby nacisnąć dzwonek, po czym wróciła do samochodu. Liczyła, że tym razem wpuszczą ją bez problemów.

Długi odcinek od domu do bramy pokonał nie Esteban, lecz nastoletni chłopiec. Na oko mógł mieć piętnaście, szesnaście lat i wciąż jeszcze trwał w tym dziwnym stadium między dzieciństwem a męskością, o czym świadczyły za długie kończyny i przyszcze tam, gdzie nie powinno ich być.

Kiedy szeroko otworzył skrzydła bramy, Munroe opuściła szybę i podjechała dwa metry.

- Mam na imię Miki - przedstawiła się.

Nie odpowiedział, tylko kiwnął głową i nieśmiało odwzajemnił jej spojrzenie.

- Mogę cię podrzucić z powrotem - zaproponowała. - Nie będziesz musiał marznąć.

Pokręcił głową.

- Nic mi nie będzie - odparł.

Jego reakcja była dla niej doskonałą wskazówką. Ufali jej na tyle, by wysłać do bramy nastolatka, ale nie dość, by pozwolić mu się z nią zabrać.

Munroe zatrzymała się w tym samym miejscu co Bradford podczas poprzedniej wizyty, tyle że tego dnia parking był pusty. Wsiadła z wozu i zaczęła, a kiedy chłopak podszedł, wyciągnęła do niego rękę.

- Wybacz, nie dosłyszałam, jak masz na imię - powiedziała.

Zawahał się, ale po chwili uściśnął jej dłoń. Jego powściągliwość świadczyła o tym, że takie gesty nie były tu na porządku dziennym.

- Mówią na mnie Dust - odparł.

Rozmawiali po hiszpańsku i angielskie słowo zabrzmiało w jego ustach dziwnie obco.

Czy Dust było skrótem od imienia Dustin, czy może chodziło po prostu o „proch”? Zważywszy na inne imiona Wybranych, Munroe domyślała się, że rację to drugie wyjaśnienie jest prawdziwe.

- Zastałam Estebana? - spytała.

Dust pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Munroe nie chciała, by czuł się przy niej jeszcze bardziej skrępowany, więc w milczeniu ruszyła za nim do pokoju, w którym siedziała poprzedniego dnia.

- Eliasz prosił, abym przekazał, że przyjdzie za minutę - poinformował chłopak.

Było to najdłuższe zdanie, jakie przy niej wypowiedział. Sądząc po jego skandynawskiej urodzie, nie pochodził stąd, ale mówił z lokalnym akcentem. Zapewne od dawna mieszkał w Argentynie.

Właśnie ta niejednorodność najlepiej definiowała Wybranych. Nie Argentyńczycy i niezupełnie Amerykanie - cała grupa stanowiła mieszankę ras i kultur utartą w jedną kulturę Proroka. Od Rumunii po Zimbabwe, od Chile po Finlandię,

Wybrani mieli różne twarze i różne Przystanie. Działali pod niezliczonymi nazwami, ale za zamkniętymi drzwiami ich styl życia wyglądał tak samo, wyznaczany nakazami Proroka.

Dust wyszedł z pokoju, zostawiając ją samą. Zwykle uznałaby to za doskonałą okazję, aby rozejrzeć się po domu, ale instynkt kazał jej się wstrzymać. Siedziała więc cierpliwie, a z minuty zrobiło się pięć. W końcu Elias zjawił się z miną kucharza, który musi harować przy garach w świąteczny poranek.

Munroe wstała, żeby się z nim przywitać, a on otoczył ją rękami i serdecznie uściskał.

Jej reakcja na niepożądany dotyk była natychmiastowa - odruch tak intensywny, że potrzebowała każdej, nawet najmniejszej drzazgi koncentracji, aby nad sobą zapanować. Gwałtowne dudnienie zagrało jej w piersi, mimo to wytrzymała, zwalczając w sobie chęć, by zniszczyć tego człowieka, by roztrzaskać jego głowę o ścianę. W jej żyłach zapłonął ogień, ale zmusiła się do odwzajemnienia gestu Eliasza.

Każdy członek tej komuny traktował bliski kontakt fizyczny jako zwykłą część codziennego życia. Dla niej było to jednak jak balansowanie na skraju przepaści. Jej gniew nie miał nic wspólnego z Loganem, jego córką ani nawet z Eliaszem. Wypływał z przeszłości, z doświadczeń, przez które już nigdy nie miała dopuścić do siebie nikogo spoza garstki ludzi - a Elias z pewnością się do nich nie zaliczał. Zdawała sobie sprawę, że nie od razu ochłonie. Zdołała wytrzymać bliskość gospodarza tylko dzięki doskonale wyćwiczonej samokontroli.

- Brakuje nam dzisiaj rąk do pracy - oznajmił Elias, zupełnie nieświadomy tego, jak niewiele dzieliło go od wizyty w szpitalu.
- Może przejdiesz ze mną do jadalni? Tam będę mógł rozmawiać i jednocześnie nadzorować porządki.

Munroe jeszcze się nie pozbyła wewnętrznego napięcia i obawiała się, że głos może ją zdradzić, dlatego tylko skinęła głową i ruszyła za nim. W jego profilu i sposobie poruszania się widziała teraz podobieństwo do Heidi. Wyrzucała sobie, że wcześniej nie zwróciła na to uwagi.

Opuścili niewielki wykusz, przeszli przez pokój dzienny, minęli schody i wyszli tylnymi drzwiami na ścieżkę, która prowa-

dziła do aneksu. Eliasz odsunął skrzydło przeszkłonych drzwi, ale zamiast się cofnąć i przepuścić gościa przodem, jak nakazywała zwyczajna uprzejmość, wszedł do środka pierwszy.

Drzwi prowadziły bezpośrednio do pomieszczenia, które, sądząc po rozmiarach, zajmowało połowę budynku. Całe było wyłożone białymi kafelkami i oświetlone lampami jarzeniowymi. W jednej połowie stały rzędy stołów i ław zbitych z drewnianych desek. Drugą zajmował szeroki, metalowy kontuar, wielkie sagany, z których serwowano posiłki, oraz ciąg stanowisk zmywalni.

Prócz nich w sali znajdowało się tylko ośmioro dzieci w wieku od dziesięciu do dwunastu lat. Po cichu sprzątały ze stołów i zamiatały podłogę. Munroe próbowała dojrzeć coś ponad ramieniem Eliasza. Przyglądała się twarzom, szukając blond włosów, zielonych oczu, czegokolwiek, co świadczyłoby, że znalazła się we właściwym miejscu. Nie miała jednak czasu rozejrzeć się uważniej.

Eliasz zaprowadził ją do stolika, na którym piętrzyły się teczki i dokumenty - wszystkie odwrócone niezadrukowaną stroną do góry. Wbrew temu, na co liczyła, sam usiadł przodem do sali, a jej wskazał krzesło odwrócone tyłem.

Każda obserwacja zapisywała się w jej pamięci. Munroe gromadziła kolejne migawki z życia komuny. Domyśliła się, że tym razem trafiła tu po bardzo późnym obiedzie lub wczesnej kolacji. Większość domowników już opuściła jadalnię. Została tylko grupka dzieci odpowiedzialnych za porządki. Eliasz tego dnia miał na głowie zbyt wiele obowiązków. Starał się zapanować nad papierami i jednocześnie przypilnować sprzątających, w zastępstwie ich zwykłego opiekuna, który przebywał poza ranczem. Nawet nie przyszło mu do głowy, że taka scena może się wydać dziwna komuś, kto nie zna tutejszych zwyczajów. Niezrażony kontynuował rozmowę.

Munroe słuchała go i odpowiadała na pytania. Jej umysł pracował na zwiększonych obrotach. Za wszelką cenę musiała się trzymać teraźniejszości, choć myśli tłukły się jej po głowie jak kule flippera. Świadomość, że być może Hanna znajduje się wśród dzieci na sali, ale ona nie może jej zobaczyć, bo siedzi

plecami do nich, sprawiała, że ledwo potrafiła się skupić na słowach Eliasza.

Musiała być cierpliwa. Kiedy po odgłosach i krótkich wymianach zdań zorientowała się, że sprzątanie dobiegło końca, spytała o toaletę - tak jak poprzedniego dnia Bradford.

Eliasz przywołał do siebie jedną z dziewczynek i po angielsku poprosił ją, aby wskazała Munroe, gdzie są łazienki. Tylko tyle. Nie nakazał podopiecznej mieć gościa na oku, nie ostrzegł, by nic nie mówiła, ani nie polecił zaczekać i wrócić razem z nieznaną. Może podobne zachowanie zostało dzieciom tak dobrze wpojone, że przypomnienia nie były konieczne.

Munroe wstała i dyskretnie rozejrzała się po sali, błędząc wzrokiem po twarzach. Żadne z obecnych dzieci nie przypominało Charity ani Logana.

Jej przewodniczka wyprowadziła ją na korytarz. Minęły trzy mniejsze pokoje pełne piętrowych, trypoziomowych łóżek. Żaden nie miał drzwi.

Łazienka była prowizorycznie urządzona i ciasna. Wąskie kabiny ze sklejki zamontowano na betonowym podwyższeniu, naprzeciwko pojedynczego zlewu. Wyglądało to tak, jakby wcześniejszą ubikację wybebeszono i zastąpiono kilkoma sedesami, podłączonymi do instalacji kanalizacyjnej przewidzianej dla jednej toalety.

Munroe nie miała tu czego szukać. Nie znalazła odpowiedniego miejsca, aby zainstalować podsłuch lub kamerę. Głównym celem tej wyprawy było obejrzenie twarzy dzieci obecnych w jadalni.

Gdy wyszła z łazienki, mała przewodniczka wciąż na nią czekała, więc zajrzenie do sypialni nie wchodziło w grę. W milczeniu wróciły do jadalni. Dziewczynka nie zagaiła rozmowy, a Munroe z kolei wahała się, czyjej motywy nie zostaną niewłaściwie zrozumiane, jeśli to ona odezwie się pierwsza.

Na sali pozostałe dzieci siedziały cicho przy stole, ze skupieniem studiując niewielkie karty. Dziewczynka dołączyła do reszty, a Eliasz podniósł się z miejsca i gestem poprosił Munroe do siebie.

Podał jej książkę.

- Chciałbym, żebyś to przeczytała - powiedział. - Muszę dopilnować jeszcze kilku spraw. Szybko się z nimi uporam.

Wskazał dwunastoletniego chłopca.

- Nataniel zaprowadzi cię z powrotem - poinformował.

Munroe pamiętała drogę i nie potrzebowała przewodnika ani strażnika - nawet tak młodego - żeby przejść z jednego budynku do drugiego. Oczywiście Eliazs doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że gość wie, jak trafić z powrotem. Jej instynkt się buntował, lecz gospodarz oczekiwał od niej posłuchu. Nie miała pojęcia, czy to test, czy też takie są zwyczaje Wybranych. Na wszelki wypadek wolała trzymać się roli.

Z wdzięcznością spojrzała na Eliasza i wyszła za Natanielem.

Chłopiec nie odzywał się do niej, więc w milczeniu dotarli do wykuszu pokoju dziennego, gdzie Nataniel zostawił ją samą.

Rozejrzała się po pomieszczeniu i usiadła, gotowa czekać do skutku. Sądząc po liczbie stron, jakie polecono jej przeczytać, mogło to trwać całe godziny. Otworzyła książkę i zgodnie z poleceniem Eliasza - jej nowego przewodnika duchowego - zapiła się w lekturze.

Rozdział 19

Miles Bradford naciągnął kurtkę. Z wahaniem obejrzał się na biurko z aparaturą i plątaniną kabli - synonim jego niepewnej więzi z Munroe - po czym wyszedł z pokoju.

Nie miał pojęcia, kiedy się do niego odezwie ani o której się zjawi - jeśli w ogóle wróci. Czekał najdłużej, jak mógł, na jakiś sygnał od niej. Pluskwa pod schodami zarejestrowała jedynie moment, kiedy Michael przybyła na ranczo.

Wychodząc tak zupełnie w ciemno, podejmował ryzyko. Z dala od biurka nie mógł śledzić rozwoju wydarzeń. Gdyby stało się coś ważnego, dowiedziałby się o tym za późno, ale bardzo chciał zobaczyć Heidi, musiał się z nią spotkać, a szansa na to malała z każdą chwilą.

Umówili się w tajemnicy przed pozostałymi. Ustalili czas i miejsce, tylko że on się ociągał z opuszczeniem posterunku. Za długo zwlekał i był mocno spóźniony. Miał jedynie nadzieję, że Heidi zaczeka, bo bardzo potrzebował tego spotkania. Dzisiaj. Nie kiedyś. Niestety, nie miał możliwości skontaktowania się z nią i zawiadomienia, że jest w drodze.

Przed hotelem wezwał taksówkę. Kiedy dotarł do Cementerio de la Recoleta i zobaczył Heidi przy bramie, poczuł wielką ulgę. Stała oparta o mur, z nosem w książce, oświetlona skąpymi promieniami słońca. Gdy go dostrzegła, jej twarz rozjaśnił uśmiech, który mógłby stopić lód.

Mimo pośpiechu, z jakim tu jechał, i niepokoju, który go tu sprowadził, Bradford odwzajemnił się jej tym samym.

Heidi uściskała go na przywitanie.

- No to słucham, Panie Tajemniczy - powiedziała, cofając się o krok - czego aż tak bardzo potrzebujesz, że musimy się spotykać w takich okolicznościach?

Bradford ponownie się uśmiechnął. Kąciki jego ust uniosły się do góry, ale oczy powędrowały ku alejkom, w poszukiwaniu

znajomych sylwetek i nerwowych ruchów. Wprawdzie prosił ją, aby uważała, i podkreślał, że ma przyjść sama, ale Logan i Gideon potrafili niezauważeni podążać za celem, a gdyby teraz spytał ją, czy ma pewność, że nikt jej nie śledził, tylko by ją uraził.

- Dziękuję, że przyszłaś - powiedział.

Skinęła głową. Wziął ją pod rękę i skierował w alejkę, przy której biegły rzędy grobowców. Tutaj się nie wyróżniali. Byli jedną z wielu par, które postanowiły tego popołudnia pospacerować po cmentarzu. Bradford wybrał to miejsce, ponieważ znajdowało się niedaleko od hotelu i było turystyczną atrakcją, dzięki czemu łatwo mogli tu trafić, nie gubiąc się po drodze.

Kilkakrotnie przystawał, niby podziwiając kształty grobowców, marmur i kunsztowne wykonanie, ale w rzeczywistości nie patrzył na martwe pomniki, tylko przyglądał się żywym ludziom, którzy je mijali. Jak dotąd nie zauważył Gideona, a co ważniejsze, nie pokazał się też Logan, choć Bradford nie miał absolutnej pewności, że ich tu nie ma.

Za każdym razem, gdy się zatrzymywał, Heidi spoglądała na niego z coraz większym zdziwieniem, ale powstrzymała się od pytań. W końcu Bradford wypatrzył odosobnioną niszę w murze i skierował się w tamtą stronę. Prowadziła do niej tylko jedna ścieżka. Każdy tajniak uznałby to za samobójcze posunięcie, ale zważywszy na okoliczności, miejsce było idealne. Jeszcze raz zerknął w stronę, skąd przyszli, i wreszcie powiedział:

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Tego się już domyśliłam - odparła.

- Musisz utrzymać to w tajemnicy, dobrze? Logan nie może się dowiedzieć, Gideon też, ale przede wszystkim nie możemy nic wspomnieć Munroe.

Heidi skinęła głową, a Bradford na moment umilkł.

- Ona ma o tobie bardzo wysokie mniemanie - oznajmił w końcu. - Twierdzi, że doskonale potrafisz wyjaśnić sposób myślenia Wybranych, dlatego mam nadzieję, że mi pomożesz.

Ponownie się zawahał, a Heidi uśmiechnęła się promiennie, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że nigdzie się nie spieszy. Patrząc na nią, mógł pomyśleć, że zamiast zimowego nieba ma-

ją nad głowami wiosenne, ukwiecone gałęzie drzew.

- Nie zbadalem sprawy tak wnikliwie jak Michael - przyznał - i nie mam przyjaciela, który przez lata by mi o tym opowiadał. Moja wiedza na temat grup takich jak Wybrani opiera się na relacjach mediów i doświadczeniach z ugrupowaniami ekstremistów z Bliskiego Wschodu. W pamięci mam obrazy z Jonestown, Davida Koresha, Bramę Niebios, japońską Najwyższą Prawdę i terroryzm - masowe samobójstwa i mordy - dlatego wybacż, jeśli źle coś powiem, dobrze?

Heidi jeszcze raz skinęła głową, zachęcając go, by kontynuował. On jednak znowu umilkł. Marnował cenny czas. Powinien jak najszybciej wyjaśnić, z czym przyszedł, i wrócić do hotelu, ale myśli, które wydawały się takie sensowne, gdy Munroe oświadczyła mu, że zamierza sama wrócić na ranczo, teraz coraz bardziej przypominały abstrakcje.

Westchnął i przecesał palcami włosy. Miał ochotę znów ruszyć, ale zdołał się powstrzymać.

- Teoretycznie - zaczął - jeśli wykluczmy możliwość uwolnienia Hanny w bezpośredniej akcji porwania, Michael będzie musiała przeniknąć do Przystani. Dlatego zwerbowaliście właśnie ją, mam rację? Na razie wszystko wskazuje na to, że właśnie takie rozwiązanie będzie konieczne. Ale co z praniem mózgu? Jeśli ona dostanie się do sekty, jakie są szanse, że wyjdzie z niej jako ta sama osoba... o ile w ogóle zdoła się wydostać?

Heidi rozluźniła ramiona i z uśmiechem, w którym czaił się cień ironii, oparła się o chłodny, kamienny mur.

- No tak - powiedziała - to dość powszechne nieporozumienie.

Dłuższą chwilę milczała, wlepiając wzrok w ziemię, a potem zapatrzyła się przed siebie. Bradford wiedział, co znaczy takie spojrzenie. Szukała właściwych słów, więc jej nie ponaglał, choć mijały kolejne minuty i coraz trudniej było mu opanować chęć przypomnienia jej, że czas ich goni.

- Jak rozumiesz pojęcie „prania mózgu”? - spytała wreszcie.

Wzruszył ramionami.

- Chyba jako bezmyślność, która jest rezultatem ciągłych

manipulacji i nacisków. Na przykład wtedy, gdy rozsądna osoba zaczyna robić coś irracjonalnego, bo ktoś jej tak kazał... coś, czego wcześniej by nie zrobiła.

- Czyli, według ciebie, oznacza to niszczenie wolnej woli człowieka i zmienianie go w kogoś zupełnie innego, mam rację?

Przytaknęła.

- To by oznaczało - ciągnęła Heidi - że osoba poddana praniu mózgu traci zdolność samodzielnego myślenia i podejmowania decyzji niezgodnych z tymi, do jakich została zaprogramowana, i gdyby jej kazano, potrafiłaby zabić lub popełnić samobójstwo, nawet wbrew własnej woli. To taki rodzaj bezmyślnego posłuszeństwa, zgadza się?

- Tak myślę - odparł.

W oczach Heidi pojawił się cień smutku. Ponownie spojrzała w dal.

- Równie dobrze można powiedzieć, że kogoś „opętał diabeł” Bradforda zastanowiło jej porównanie.

- Uważasz więc, że czegoś takiego nie ma? - spytał.

Heidi przeniosła na niego wzrok.

- Nie twierdę, że pranie mózgu nie istnieje - stwierdziła. - Osobiście w to nie wierzę, ale nie jestem ekspertem. Nie wychowywała mnie żadna z grup, o których wcześniej wspominałeś. Mogę mówić tylko o Wybranych, o moim dzieciństwie i o doświadczeniach moich przyjaciół.

- Mam rozumieć, że wśród Wybranych nie ma prania mózgu? Że oni robią to wszystko, co się o nich mówi, bo chcą... z własnej i nieprzymuszonej woli?

Wzruszyła ramionami.

- I tak, i nie. To zależy, jak definiujesz pranie mózgu. Możemy mówić o intensywnej indoktrynacji, ścisłej kontroli oraz presji, by się podporządkować nowym zasadom i nakazom Proroka. Wiele osób uznałoby takie manipulacje za pranie mózgu... ale to nie oznacza ubezwłasnowolnienia. Wszyscy nadal mają wolną wolę. Każda dorosła osoba może powiedzieć „nie”.

- Na pewno? - spytał. - Jeśli rzeczywiście tak jest, to czemu ludzie godzą się na takie rzeczy? Dlaczego nie odchodzą?

Heidi ponownie wzruszyła ramionami.

- Czasami nie buntują się z obawy przed karą boską, jaka ma spotkać tych, którzy się wyłamia, lub z powodu szczerej wiary, że Bóg tego właśnie od nich oczekuje. Nikt nie jest bezwolnym zombi ani robotem - przyznała i umilkła, tak jakby nużyło ją to, że Bradford nie potrafi pojąć czegoś, co jej wydawało się zupełnie oczywiste. - Popatrz na to z innej strony, Miles - powiedziała w końcu. - Wśród Wybranych są dwa typy ludzi. Ci, którzy postanowili dołączyć do grupy już jako dorośli lub niemal dorośli, i tacy jak ja, Logan i Gideon - dzieci, które nie znają innego życia, nie mają wyboru, nie otrzymują wykształcenia, nie oglądają telewizji ani nie czytają książek. Ich więzi z krewnymi spoza wspólnoty są ograniczone lub żadne.

Przeraża je to, co się z nimi stanie, jeśli postanowią odejść. Jeżeli można mówić o praniu mózgu, to tylko w odniesieniu do drugiego pokolenia - do nas. A skoro byliśmy tak zupełnie odcięci od świata, indoktrynowani i ubezwłasnowolnieni, to dlaczego tak wielu z nas zostawiło wszystko, co dotąd znało, i odeszło, czasami w środku nocy, zabierając jedynie to, co mieliśmy na sobie? Jeżeli my, znający tylko tamten świat, potrafiliśmy się od niego odwrócić, to jak osoby, którym doświadczenie powinno umożliwić dokonanie właściwego wyboru, mogą tłumaczyć swoje czyny praniem mózgu?

- Więc kłamią ci, którzy w telewizji opowiadają, że dołączyli do kultu, bo zostali poddani praniu mózgu, i że wbrew własnej woli, zmuszani przez przywódców, dopuszczali się okropnych rzeczy, a nawet przestępstw? - spytał Bradford.

- Wszyscy ulegamy wpływom w mniejszym lub większym stopniu - odparła. - Niektórzy, jak widać, są na to bardziej podatni, ale to nie oznacza, że taki ktoś nie potrafi samodzielnie myśleć. Jeśli ktoś uprawia seks z nieletnimi, nie ma tu mowy o praniu mózgu. Nie może się nawet tłumaczyć tym, że został do tego zmuszony. Nikt przecież nie groził, że połamie mu nogi, jeżeli tego nie zrobi. Tak samo jest z tymi, którzy biją dzieci, głodzą je, trzymają pod kluczem lub uznają za *opętane przez demony*. To nie wynik prania mózgu. Nikt *nie* każe im tak postępować. Wiesz, jaka jest największa kara Wybranych?

- Chyba nie.

- Ekskomunika.

- Czyli?

- Przypuśćmy, że jakiś członek Wybranych zostaje przyłapany na molestowaniu chłopców, niedopuszczalnym według zasad grupy, która potępia homoseksualizm. Choć taki czyn jest przestępstwem, pozostałym członkom Wybranych, a nawet rodzicom dziecka *nie wolno* zgłosić tego policji. Ekskomunika, która czasem obowiązuje zaledwie kilka miesięcy, to dla nich tak poważna sprawa, że uważają ją za wystarczającą karę. W ich pojęciu zesłanie takiego kryminalisty na Pustkowie jest najgorszym, co może go spotkać. Ekskomunika jest jak bat, który powstrzymuje ludzi przed przekraczaniem granic. Członkowie Wybranych zrobią niemal wszystko, byle jej uniknąć. Tylko po co w ogóle bat, jeżeli pranie mózgu rzeczywiście jest tak skuteczne, jak mówisz? Czy wszyscy nie powinni po prostu bezwolnie przestrzegać zasad? Tłumaczenie praniem mózgu tego, co nam robiono, jest bolesną zniewagą dla tych z nas, którzy przeszli gehennę. Sprawcy ich cierpienia słuchali Proroka, który mówił, że takie postępowanie jest słuszne w oczach Boga. Ważniejsza dla nich była jakaś popaprana ideologia niż chronienie praw dzieci. Ale nie robili tego bezmyślnie i bezwolnie.

- Czyli że osoba taka jak Michael mogłaby się zmienić lub utknąć w sekcie, tylko gdyby taki styl życia do niej przemawiał? - spytał Bradford.

- Właśnie tak - potwierdziła Heidi.

- I tak samo będzie w przypadku kogoś, kto... hm... - Bradford przez chwilę się wahał - kto przechodzi emocjonalną burzę? Czy wtedy sytuacja nie będzie inna?

- Mówisz o niej?

Wzruszył ramionami.

- Każdy ma jakąś historię, jakieś blizny, czasami nie tylko te widoczne - stwierdził. - Praca Michael wymaga wyjątkowych umiejętności, których nie można się nauczyć w szkole. To, co uczyniło z niej osobę, jaką jest, zostawiło w niej trwałe ślad. Tak samo jest z tobą, Loganem i Gideonem.

Heidi pokiwała głową.

- Jeśli Michael da się nabrać na to, co tam usłyszy, uznam, że

nawet w połowie nie jest kobietą, za jaką ją uważam - przyznała - a podejrzewam, że widziałam zaledwie ułamek jej zdolności.

Wnikliwość Heidi była godna podziwu. Bradford spojrzął na nią z uznaniem, po czym wyprostował się i wyjął ręce z kieszeni kurtki.

- Dziękuję ci - powiedział.

- Lżej ci teraz? - spytała.

- Tak. O wiele.

Jego wewnętrzny zegar niezmiennie odliczał minuty. Rosła świadomość, że powinien wracać do hotelu, ale kiedy ponownie spojrzął na Heidi, która wciąż stała obok niego, oparta o mur, odsunął od siebie myśl o pośpiechu. Jej słowa nie dawały mu spokoju.

- Jak sobie poradziłaś, kiedy w końcu odeszłaś? - spytał. - Bez wykształcenia i znajomości. Od czego zaczęłaś?

- Czułam się jak emigrant, który schodzi z pokładu statku na obcą ziemię i wkracza do wielkiego miasta, nie mając nic, prócz ubrania na sobie - odparła. - Od czego w takiej sytuacji można zacząć? Ja miałam szczęście. Moja młodsza siostra odeszła wcześniej, więc przynajmniej miałam dach nad głową. Na początku obie byłyśmy naiwne. Ludziom nasze zachowanie wydawało się dziwne. Wykorzystywali nas, dopóki nie nauczyłyśmy się zasad rządzących tym światem. Przynajmniej mogłyśmy liczyć na siebie nawzajem. Niektórym z moich przyjaciół było łatwiej. Mieli dziadków, ciotki lub wujów, którzy nigdy nie porzucili nadziei, że zdołają sprowadzić ich do domu. Bliscy pomogli im stanąć na nogi. Najgorsze były przypadki takich jak Logan czy Gideon. Dosłownie podrzuceni pod drzwi krewnych, którzy nie chcieli ich u siebie widzieć, kończyli na ulicy i musieli radzić sobie sami.

- Możecie w jakiś sposób rozliczyć się z przeszłością? - spytał Bradford. - Zastanawiałaś się, czy nie szukać sprawiedliwości za pośrednictwem sądów?

- Pewnie - przyznała. - Wielu z nas próbowało.

- I?

- Przedawnione sprawy. Różne okręgi jurysdykcji. Brak dowodów. To wszystko jest dość złożone. - Pokręciła głową. -

Prawo nie oferuje nam żadnej drogi - dodała. - Kryminaliści zadbali o oczyszczenie swojego wizerunku i teraz to my, opowiadając o tym, co się działo, jesteśmy tymi złymi. - Westchnęła. - Ale co zrobić? Każdy radzi sobie, jak umie. Po co tracić czas na tych, którzy nas skrzywdzili. Staram się czerpać z tamtych doświadczeń siłę i powtarzam sobie, że oni nie zasługują na moją przyszłość, bo odebrali mi przeszłość.

- O tak wiele chciałbym cię jeszcze zapytać - przyznał Bradford. - Niestety, już i tak za długo tu jestem. Muszę iść.

- Możemy jeszcze kiedyś do tego wrócić. - Heidi na pożegnanie uściskała go serdecznie.

Ruszył ścieżką w stronę alejki, upewniwszy się raz jeszcze, że ani Logan, ani Gideon nie czają się w pobliżu. Po chwili wmięszął się w tłum. Jeszcze raz obejrzał się za siebie. Heidi wciąż stała pod murem i patrzyła za nim. W jej oczach dostrzegł ból.

Rozdział 20

W drzwiach jednego z budynków po drugiej stronie ulicy, która biegła przy cmentarzu, stał Logan. Od czterdziestu minut obserwował okolicę i czekał. W końcu jego cierpliwość została nagrodzona. Bradford niczym się nie wyróżniał z tłumu przechodniów. W bramie Cementerio de la Recoleta dyskretnie zerknął w prawo, a potem w lewo. Wyglądało to zupełnie naturalnie i większość ludzi nie zwróciłaby uwagi na taki gest, ale Logan znał jego cel. Bradford nie chciał zostać zauważony, obawiał się, że ktoś go śledzi.

Logana nawet kusilo, żeby pójść za nim i zobaczyć, gdzie się zaszyla Munroe. Ale to by nie miało sensu. Chodził za Heidi nie po to, żeby dotrzeć do Munroe.

Nie spodziewał się zobaczyć tu Bradforda, ale jego obecność w pewnym stopniu tłumaczyła dziwne zachowanie Heidi, która po drodze nieustannie się rozglądała i sprawdzała, czy nikt za nią nie idzie. Oczywiście próby zgubienia niewidzialnego anioła stróża były niezdarne i nie przyniosły efektu.

Logan nie przewidział takiego obrotu spraw. Nie rozumiał, dlaczego Bradford się tu zjawił. Musiał się porozumieć z Heidi w tajemnicy, działając na własny rachunek lub na polecenie Munroe. Na razie jednak te pytania musiały poczekać. Gdyby poszedł za Bradfordem, aby znaleźć na nie odpowiedź, niepotrzebnie zmarnowałby energię i czas, których potrzebował na ważniejsze sprawy, jak choćby na przypilnowanie Heidi.

Bradford skręcił z bramy w prawo i ruszył wzdłuż zbrązowiałego zimowego trawnika w kierunku parkingu, który latem tonął w cieniu. Niemal zniknął w strumieniu przechodniów, ale chwilę później wyłonił się znowu, aby złapać taksówkę. Pojazd szybko włączył się do ruchu. Miles odjechał.

Logan zmienił pozycję, żeby uwolnić się od kurczów, na które zapracował sobie, stojąc przez pół godziny bez ruchu. Cier-

pliwie obserwował bramę cmentarza, pewien, że wkrótce zobaczy Heidi. Odliczył dziesięć minut i zjawiała się jak na zawołanie.

Od czterech dni jak cień krążył za nią po mieście. Podążał jej śladem, ponieważ jej nie ufał. Sprawiała wrażenie niewinnej i uśmiechała się jak anioł, ale po cichu coś knuła. W przeciwieństwie do Gideona, który nie krył swoich zamiarów, Heidi działała tak subtelnie, że Logan dopiero po kilku dniach odkrył jej metody: a to zakupy w jednym miejscu, a to lunch w innym. Zawsze miała jakiś powód, aby gdzieś się wybrać. Początkowo nie zwracał uwagi na jej nieobecność, zwłaszcza że zrobił się z niej prawdziwy ranny ptaszek. On z Gideonem zwykle późno się kładli i późno wstawali.

Logan instynktownie wyczuwał zamiary Heidi, choć nie miał dowodów na poparcie swoich podejrzeń. Wierzył jednak w ich słuszność - dość, by zacząć ją śledzić, ale nie na tyle, by podzielić się swoimi obawami z Munroe, tak jak zrobił to w przypadku Gideona. Zresztą tym razem nie potrzebował pomocy. Z Heidi mógł sobie poradzić sam.

Jego największym problemem było zmęczenie. Starał się mieć na oku i Gideona, i Heidi. Pilnował dwóch bardzo rozbieżnych rozkładów dnia, co sprawiało, że się spalał.

Miał nadzieję, że interwencja Munroe, jej raport z postępów i ostrzeżenie, aby nie próbowali się w nic mieszać, jakoś wpłynie na Heidi - nakłoni ją do wyhamowania własnych planów. Ale nic z tego. Dlatego musiał się tym zająć, nim sytuacja wymknie się spod kontroli, nim stanie się coś, co potem będzie nawiedzało go w koszmarach. Najpierw musiał nabrać pewności i obawiał się tylko, że granica między szansą zdobycia dowodów a katastrofą może się okazać zbyt cienka.

Wyszedł z kryjówki na chodnik. Nie spuszczał celu z oczu, ruszył swoją stroną do skrzyżowania, przy którym czekała jego taksówka. Dotarł do niej niemal w tym samym momencie, gdy Heidi złapała inną. Rozpoczął się kolejny etap łowów.

Pilnowanie jej dzień po dniu zaczynało przypominać kino akcji. Czuł się jak w scenie pogoni, gdy bohater wskakuje do taksówki i woła: „Za tamtym wozem! Szybko!”. Nie zamierzał

jednak obracać tego w żart. Miła i delikatna Heidi mogła zaprzepaścić całe przedsięwzięcie tak jak Gideon. Nie mógł do tego dopuścić. Tak niewiele dzieliło ich od znalezienia Hanny.

Taksówka Heidi zawróciła do centrum. Logan domyślił się, dokąd jedzie. Bynajmniej nie miał zdolności jasnowidzenia, po prostu był to już czwarty w tym tygodniu wypad na Calle Florida.

Deptak był rajem dla amatorów zakupów i koszmarem dla śledzącego. Między licznymi sklepami, kafejkami, restauracjami, bulwarowymi artystami, sprzedawcami i rozpychającymi się tłumami łatwo można było stracić kogoś z oczu. Wiedział, dlaczego Heidi ciągle tu wraca. Miejsca pełne turystów, takie jak Calle Florida, najchętniej obierali sobie za cel Wybrani. Przychodzili tu, aby rozdawać ulotki i żebrać.

Taksówkarz podwiózł Heidi pod Plaza San Martin. Ostatni odcinek pokonała pieszo. Logan trzymał się na tyle daleko, by wędrując zmiennym rytmem i przystając od czasu do czasu przed wystawami, nie mogła go zobaczyć. Tak jak poprzednio, bez trudu podążał jej śladem, trzymając się bocznych uliczek, które w porównaniu z głównym traktem sprawiały wrażenie pustych. Kiedy jednak skręciła w pasaż, gdzie tłum to nieprzewidzianie rzedł, to znów błyskawicznie gęstniał, musiał zmienić taktykę.

Trzymał się teraz bliżej, wdzięczny za zieleni płaszcz Heidi, dzięki której mógł ją łatwo odszukać, nawet gdy tracił ją z oczu na dłużej, niż powinien. Kiedy przyjechała tu pierwszy raz, tylko przeszła całym pasażem, a potem złapała taksówkę i wróciła do pensjonatu. Podczas drugiej i trzeciej wizyty zaglądała także w boczne alejki i podejrzewał, że dziś będzie podobnie. Dlatego właśnie musiał się trzymać blisko.

W pewnym momencie zniknęła. Tak po prostu. Strumień ludzi się rozstąpił, a potem napłynął nową falą, zasłaniając mu widok zaledwie na moment. A gdy go odzyskał... już jej nie było.

Przyspieszył kroku, szybko przepychając się przez ciżbę. Odbił w prawo, później w lewo, ale nigdzie nie widział Heidi. Powoli zatoczył krąg, czując skurcze paniki. Próbował odgad-

nać, dokąd poszła. Zaczął się zastanawiać, czy przez cały czas wiedziała o jego obecności i teraz postanowiła mu umknąć. Może celowo ściągnęła go właśnie na tę ulicę, żeby się go pozbyć. Rój ludzki się rozproszył. To była zaledwie sekunda, ale zdążył ją zobaczyć. Kilka metrów dalej. Stała jak skamieniała, zaciskając pięści. Wpatrywała się w coś intensywnie.

Spojrzał w tym samym kierunku co ona i stanął jak wryty. Miał wrażenie, że betonowa płyta rąbnęła go w pierś. Nogi odmówiły posłuszeństwa. Każdy mięsień, każdy nerw kazały mu robić to, co Heidi - stać i gapić się na grupkę dziewcząt z torbami i plikami broszur. Chciał przypatrzeć się twarzom i potem rozejrzeć za Hanną, bo instynkt podpowiadał mu, że skoro *one* tutaj są, to jego córka może być gdzieś w pobliżu.

Ale co by zrobił, gdyby ją zobaczył? Porwał ją i uciekł? Dokąd?

Michael już pracowała nad tym, by przeniknąć do Przystani. Była bliska sukcesu. Tylko ona mogła dokonać rzeczy niemożliwej dla nikogo innego: bezpiecznie wywieźć Hannę z tego kraju.

Wbrew wszystkiemu, co w tej chwili czuł, na przekór instynktowi i rozpaczliwej tęsknocie, postawił wszystko na wiarę w Munroe. Odwrócił się do Heidi. Na niej skupił całą frustrację, a gdy mgła emocji zaczęła opadać, jej miejsce zajął gniew. Właśnie teraz, właśnie tutaj, Heidi mogła wszystko zaprzepaścić.

Wreszcie do głosu doszedł rozsądek. Logan szybkim krokiem ruszył w stronę przyjaciółki. Pokonał dzielącą ich odległość w kilka sekund i syknął jej prosto do ucha:

- Co ty, do diabła, wyprawiasz?

Drgnęła i odwróciła się gwałtownie. Jej twarz pobladła. Szok był podwójny. Najpierw tamte dziewczynki, a teraz on, tutaj, o krok od niej. Przyłapał ją na gorącym uczynku. Jej usta się poruszyły, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Wyglądała idiotycznie, jak ryba.

Odwróciła głowę z powrotem w stronę Wybranych. Logan chwycił ją za ramię, ręką mocno objął w talii, aby nie zwracać uwagi innych przechodniów, i okręcił ją tak, że znalazła się ple-

cami do grupki dziewcząt.

Patrzył teraz prosto w jej oczy. Cała wściekłość, jaką czuł, była chyba widoczna na jego twarzy, bo Heidi zupełnie nie stawiała oporu.

Poprowadził ją deptakiem jak najdalej od dziewczynek rozdających broszury i opowiadających smutne historie - prosto przez tłum obcych twarzy, noga za nogą. Ledwie panował nad własnymi myślami. Wezwał taksówkę i razem z Heidi wrócił do pensjonatu.

Przez całą drogę się nie odzywała. On również milczał. W myślach opracowywał scenariusz. Planował, co powie, gdy emocje już opadną. Zastanawiał się, jakimi słowami zdoła na dobre wybić jej z głowy ryzykowne wypadki.

Dobrze wiedział, kogo Heidi zobaczyła na tamtej ulicy - nawet półgłówki od razu by dostrzegł podobieństwo. Wyobrażał sobie, jakim szokiem musiał dla niej być widok siostry. Napewno się tego nie spodziewała. Nie miał pojęcia, jak by się zachował na jej miejscu. Co by zrobił, gdyby zobaczył na ulicy swoją córkę? Myśl, że ona gdzieś tam jest, wypalała jego umysł. A jeszcze bardziej piekła go świadomość, że gdyby Hanna rzeczywiście tam była i ktoś z Wybranych rozpoznałby Heidi, jego córka znowu by przepadła. Tym razem na zawsze.

Istne piekło.

Przez całą drogę dusił to w sobie. Pozwolił Heidi zagubić się w myślach.

Taksówka zatrzymała się pod pensjonatem i Logan zapłacił. Odprowadził Heidi do pokoju, a kiedy próbowała zamknąć przed nim drzwi, zablokował je butem. Westchnęła, tak jakby wiedziała, że łatwo się go nie pozbędzie.

Nadal kipiał gniewem, ale podczas jazdy zdążył trochę ochłonąć. Gdy wreszcie się odezwał, jego głos brzmiał spokojnie.

- Zrobiłaś straszną rzecz. Masz pojęcie, co by się stało, gdyby cię zauważyły?

- Ale mnie nie widziały - odparła jak automat, a jej oczy zdawały się pytać: *Jak mnie, do diabła, znalazłeś?*

- Wiesz, na czym polega problem z takimi mądralami jak ty?

- Logan wycelował w nią palcem. - Myślicie, że inni za wami nie nadążają. Ale wiesz co? Tym razem masz do czynienia ze sprytniejszymi od siebie.

Skinęła głową. Minę miała ponurą.

- Przykro mi - przyznała.

- Doprawdy? To właśnie powiedziałybyś Charity, mi i Munroe, gdyby Wybrani zebrali manatki i znowu wywieźli gdzieś Hannę? *Przykro ci?* No to wszystko jest w porządku.

- Nie widziały mnie - powtórzyła Heidi.

- Co ci, kurwa, przyszło do głowy?

- Naprawdę nie sądziłam, że się na nie natknę. Po prostu musiałam coś zrobić dla zabicia czasu.

- Koniec z tym — oznajmił. - Koniec z włóczęństwem się po mieście, odwiedzaniem miejsc, w których zebrzą, szukaniem ich sekretnych skrytek, i w ogóle z całym tym bagnem. Masz się stąd nie ruszać. Trzymać się od nich z daleka. O to zostaliśmy poproszeni.

Heidi usiadła na łóżku i splotła ręce. Milczała. Logan wiedział dlaczego. Jej spojrzenie, jej mina mówiły mu, że popełnił błąd, sądząc, iż sam sobie z nią poradzi. Stał po kruchym lodzie, próbując narzucić jej własną wolę, decydując, co jej wolno, a czego nie. Chłopaka albo szefa pewnie by posłuchała. Obcego może też. Ale zważywszy na ich wspólną historię i na sposób, w jaki zostali wychowani, nie mógł oczekiwać, że da sobą dyrygować jemu lub komukolwiek, kto dawniej należał do Wybranych. Prawdę mówiąc, nie dziwił się jej. Gdyby role się odwróciły, on by postąpił tak samo.

W tej chwili od pochopnych działań powstrzymywało ją jedynie oddanie dla sprawy ważnej dla nich wszystkich. Pragnęła znaleźć sposób, aby udowodnić całemu światu - a przynajmniej tym, którzy chcieli słuchać - że Wybrani i ich Prorok są degeneratami. Uwolnienie Hanny mogło w tym ogromnie pomóc.

Ich rozmowa utknęła w martwym punkcie. Długą chwilę milczenia przerwał Logan.

- No dobra. Przepraszam. Nie mam prawa mówić ci, co powinnaś robić, i nie mogę cię do niczego zmuszać.

Heidi skinęła głową i rozplotła ręce.

- Ale muszę cię ostrzec - dodał. - Znam Munroe i potrafię przewidzieć jej reakcje. Zważywszy na jej zaangażowanie w sprawę i na to, że już raz cię ostrzegła przed mieszaniem się w jej plany, zapewniam cię, że jeżeli zrobisz coś, co przeszkodzi jej w dotarciu do Hanny, potraktuje to osobiście. Będziesz musiała jej za to zapłacić.

-Jak?

Logan wzruszył ramionami.

- W twoim przypadku naprawdę nie mam pojęcia. Będzie to coś, co ona uzna za sprawiedliwy rewanż. Wrobi cię w jakieś przestępstwo i będzie patrzyła, jak brniesz przez argentyńskie sądy. Może nawet skończy się to dla ciebie więzieniem. Tak czy inaczej, nie chciałbym być na miejscu tego, kto stanie na drodze Munroe - oznajmił i umilkł, bo po ponurej minie Heidi poznał, że wreszcie dotarło do niej znaczenie jego słów.

Rozdział 21

Eliasz wciąż nie wracał. W przeciągającej się ciszy Munroe czekała z cierpliwością polującego drapieżnika. Świat informacji, infiltracji, inwigilacji oraz kupowania i sprzedawania tajemnic wymagał ciągłego czekania, wymuszonej bezczynności i ogromnej samokontroli, a do tego wyczucia, które podpowiadało, kiedy trzeba ruszyć, kiedy stanąć i jak trwać w oczekiwaniu przez długi czas.

Teraz właśnie trwała w oczekiwaniu.

Poprzedniego dnia cztery godziny spędzone w tym pokoju były ceną za dziesięć minut rekonesansu Bradforda i pozwoliły założyć podsłuch. Wiedziała, że i tym razem cierpliwością osiągnie cel. Gdyby nie wręczono jej książki i nie poproszono, aby zaczęła, sama upomniałaby się o coś - cokolwiek - co pozwoliłoby przeciągnąć wizytę do chwili, gdy wróćą furgonetki i dom się znowu zapełni. Na szczęście Eliasz chciał, by do nich dołączyła, i rozwiązał za nią ten problem.

Gdy o tym rozmyślała, usłyszała zbliżającą się od frontu budynku falę dźwięków - kroków i głosów.

Zgasiła światło i po ciemku przeszła przez pokój. Wybrała krzesło najbliżej wejścia. Stało oparciem do frontu, zasłonięte od korytarza krótką ścianką działową. Ze swojego ciemnego kąta mogła zobaczyć profil i plecy każdego, kto by tędy przechodził. Wprawdzie nie mogła się przyjrzeć twarzom, ale ten jeden minus wynagradzała jej świadomość, że jeśli nikt się nie odwróci, aby zajrzeć do pokoju dziennego, pozostanie niezauważona.

Domownicy z ciężkim tupotem wsypali się przez drzwi frontowe. Większość stanowili nastolatki zmęczeni po całym dniu pracy. Jeżeli wróciła dopiero jedna furgonetka, to zabrała do miasta więcej pasażerów, niż miała pasów bezpieczeństwa.

Młodzi rozmawiali i bez troski się rozpychali, nieświadomi,

ile robią hałasu. Munroe pomyślała, że poziom natężenia dźwięku powoli zaczął się zbliżać do tego, który w tym domu musiał być normalny.

Mijali ją dwu-, trzyosobowymi grupkami, obładowani kurtkami i ciężkimi torbami. Gdyby nie informacje, z którymi wcześniej się zapoznała, uznałaby, że ma przed sobą uczniów wracających ze szkoły, a nie z ulic, na których zebrali - bo na to poświęcali większość każdego dnia.

Zza otwartych frontowych drzwi dobiegł kobiecy głos. Opiekunka zawołała kilka osób z grupy. Trójka, która chwilę wcześniej przestąpiła próg, zawróciła. Znajdowali się niecałe dwa metry od Munroe. Na ich twarze padł blask lampy w holu.

Czas stanął w miejscu.

Munroe liczyła uderzenia serca, które próbowało się wyrwać z jej piersi.

Niewiele ponad metr od siebie zobaczyła młodszą, dziewczęcą wersję Logana.

Zduśliła w sobie gwałtowną chęć, by chwycić dziewczynkę i uciec. Błyskawicznie podjęła decyzję, że powinna poczekać. Jej umysł w ułamku sekundy zarejestrował wszystkie dane, kreśląc w wyobraźni mapę: usytuowanie drzwi, liczba osób w pobliżu, czas potrzebny na dotarcie do samochodu, a do tego - jeśli oczywiście zdołałaby ogłuszyć Hannę - konieczność wydostania się na zewnątrz z dodatkowymi pięćdziesięcioma kilogramami.

Dlatego tylko patrzyła, poruszona widokiem jasnowłosej i zielonookiej miniatury Logana. Powoli wracała neutralna, chłodna koncentracja na zadaniu. Uwięziona w tej dziwnej stop-klatce, prawie nie zwróciła uwagi na sens słowa, jakim dziewczynka odpowiedziała tamtemu kobiecemu głosowi.

Mamo.

Dziecko, które prawdziwi rodzice od ośmiu lat próbowali odszukać, nazywało matką inną kobietę.

Munroe w napięciu czekała, aż właścicielka głosu pojawi się w korytarzu. Miała nadzieję, że ją rozpozna, że się domyśli, kim jest ta osoba, ale gdy ostatni pasażerowie furgonetki weszli do budynku, zobaczyła tylko nieznajomą, której nie rozpoznałaby w tłumie.

Hol opustoszał, ale Munroe wciąż tkwiła w swoim ciemnym kącie, próbując się pozbyć nieznośnego, palącego uczucia, które nie opuszczało jej przez cały dzień. Analizowała to, co się stało, i w myślach opracowywała scenariusze.

Gdyby uderzyła za wcześniej, nie zebrawszy potrzebnych informacji, ryzykowałaby, że popełni błąd. Z kolei czekając za długo, mogła wzbudzić ciekawość i podejrzenia, a tego wołała uniknąć. Wszystkie figury zajęły już swoje miejsca na szachownicy. Teraz wystarczyło zaplanować kolejne ruchy, przejść od strategii do prawdopodobieństwa, oceniając szanse w oparciu o to, co już wiedziała. Jednocześnie w myślach odliczała czas i czekała, aż następna grupa wejdzie do domu.

Jeszcze dziesięć minut i przez korytarz przewinęła się druga gromada. Tym razem zjawily się głównie jedenasto- i dwunastolatki, a w grupie było tyle samo dzieci, co dorosłych. Zaraz po nich przybyli kolejni i znów na moment wypełnili hol. Część ruszyła po schodach na górę, a pozostali udali się do tylnego wyjścia i stamtąd do aneksu.

Z każdą grupą dom wypełniał się coraz bardziej. Na klatce schodowej panował ruch jak w ulu, tylne drzwi nieustannie otwierały się i zamykały, a główny budynek to się wypełniał domownikami, to znów pustoszał.

Jeśli się nie myliła w kalkulacjach, brakowało jeszcze dwóch furgonetek, ale uznała, że nie ma sensu na nie czekać. Zobaczyła już to, co chciała, zebrała potrzebne informacje i spektrum celów zawężiło się do dwóch: musiała dobrze poznać rozkład pomieszczeń w budynku i dowiedzieć się, gdzie śpi Hanna.

Tylne drzwi ponownie się otworzyły, ale tym razem nie była to żadna grupa. Pojedyncze człapanie zmierzało w stronę pokoju dziennego. Munroe szybko się przeniosła do wykuszu i zapaliła lampę. Gdy Eliasz stanął na progu, zobaczył ją pochyloną nad książką.

Jego wargi ułożyły się w uśmiech, ale w oczach czaiła się zgryzota. Wcześniej zagoniony, teraz sprawiał wrażenie człowieka u kresu sił. Coś nie dawało mu spokoju, martwiło go ogromnie. Wyglądał jak kierownik, który przed chwilą usłyszał na zebraniu zarządu złe wieści.

- Jak tam lektura? - zagał.

Munroe sprawiała wrażenie zupełnie odprężonej. Spojrzała na gospodarza z absolutnym spokojem.

- Cudowna - odparła, a potem zdziwiona rozejrzała się wokół.

- Która to godzina?

Eliasz nerwowym gestem zerknął na zegarek, raczej z przyzwyczajenia niż z konieczności, bo była pewna, że doskonale zdawał sobie sprawę z pory. Podał jej czas, a ona udąla niewinne zaskoczenie.

- Tak szybko to zleciało - przyznała.

Chwilę stał niepewnie, ale w końcu opadło z niego napięcie, tak jakby od obowiązków przeszedł do przyjemności. Usiadł obok niej, tak blisko, że niemal jej dotykał. Zupełnie nie zważał na dyskomfort, jaki mogło u gościa wywołać tak jawne naruszenie przestrzeni osobistej. Nie przyszło mu do głowy, że taka poufałość może być przez kogoś źle przyjęta, i w ogóle nie zauważył wysiłku, z jakim zdusiła gniew, który natychmiast się pojawił.

Zapytał ją o przeczytany materiał. Badał głębie zrozumienia sensu, szukał emocjonalnej więzi. Munroe zaczęła mówić. Jej odpowiedzi były jak ostrożna gra w ciuciubabkę. Robiła krok do przodu, aby za chwilę się cofnąć. Bawiła się nim tak jak wytrawny gracz, który próbuje podtrzymać świeżość miłosnej fascynacji.

- Może zjesz z nami kolację? - zaproponował w końcu Eliasz, kładąc dłoń na jej kolanie.

Jego dotyk sprawił, że wszystko wokół przybrało szarą barwę. W mikrosekundowych interwałach zdusiła gwałtowną chęć połamania mu palców. Z przyklejonym do twarzy uśmiechem, po pauzie, którą można było zinterpretować tylko jako wyraz szacunku dla gospodarza, odparła:

- Dziękuję, bardzo chętnie.

Jego dłoń przepalała jej duszę na wylot. Jeszcze przez chwilę nie ruszał się z miejsca, a potem nagle wstał.

- Znakomicie - skwitował.

Gdy cofnął rękę, jej ciało zareagowało tak, jakby dopiero teraz włożyła maskę tlenową w pomieszczeniu pełnym trujących

gazów. Chciała mu oddać książkę, ale pokręcił głową.

- Zatrzymaj ją. Zostało jeszcze wiele stron do przeczytania. Kiedy skończysz, możemy o tym porozmawiać.

- Dziękuję - powiedziała.

Przy akompaniamencie kroków pasażerów kolejnej furgonetki przycisnęła słowa Proroka do piersi, a potem ruszyła za Eliaszem do aneksu.

W głównym budynku panował spokój, za to jadalnia stanowiła jego całkowite przeciwieństwo. Wcześniej pusta sala zatętniła życiem. Przy stołach zasiadało coraz więcej domowników. Przez rozsuwane drzwi po prawej stronie trzynasto-, a może czternastoletnia dziewczynka weszła z grupką sześciorga maluchów. Po kolei doprowadziła każdego do odpowiedniego stołu, a sama zajęła miejsce przy tym, który stał niemal pośrodku.

Scena przypominała kolację w rodzinnych grupach, choć różne rysy twarzy i kolor skóry przeczyły pokrewieństwu. Munroe rozejrzała się wokół, szukając Hanny. Dostrzegła ją kilka stołów dalej, obok kobiety, którą wcześniej nazwała matką, i trójki młodszych dzieci. Kobieta w niczym jej nie przypominała. Miała bardzo jasne, zielone tęczówki, ciemną oprawę oczu i czarne włosy, a przy tym cerę koloru idealnej opalenizny. Davida Lawa nigdzie nie było. Być może znajdował się w jednej z furgonetek, które jeszcze nie wróciły.

Eliasz zabrał swojego gościa do tego samego stolika, przy którym siedzieli wcześniej, tyle że teraz czekała tam na nich jego rodzina, którą Munroe poznała poprzedniego dnia. Towarzyszyły im trzy nastolatki i para z malutkim dzieckiem. Eliasz po angielsku wyjaśnił pozostałym powód jej obecności i przedstawił jej parę z dzieckiem jako syna, synową i wnuka.

Najbliższa rodzina Heidi. Chłopak i dwie nastolatki byli jej biologicznym rodzeństwem. Pozostałe dzieci, choć spokrewnione tylko ze strony ojca i podobne do swojej filipińskiej matki, także łączyło z nią rodzinne podobieństwo. Nastolatki płynnie posługiwały się hiszpańskim, ale matka i młodsze dzieci mówiły tylko po angielsku.

Munroe posadzono w miejscu, z którego miała dobry widok na całą salę. Skwapliwie rejestrowała każdy szczegół, pozornie

pochłonięta rozmową. Z wielkich saganów ustawionych na kontuarach trzy nastolatki nakładały porcje czekającym w ogonku, zupełnie jak w stołówce. Jedna z córek Eliasza przyniosła kolację dla gościa i Munroe podziękowała jej, pochylając głowę nad talerzem trudnej do nazwania potrawy podobnej do zupy.

W końcu wszyscy zajęli miejsca. Munroe oszacowała, że jadalnia pomieściła sto pięćdziesiąt osób, głównie maluchy i nastolatki. Wodziła wzrokiem po twarzach dzieci, młodych, niewinnych i doskonałych. Jedne rywalizowały o względy dorosłych, którzy musieli dzielić uwagę między wielu podopiecznych, inne natomiast, tak jak dzieci Eliasza, odnosiły się do rodziców obojętnie. Taki widok sprawiał jej ból, ale nie mogła odwrócić wzroku.

Z ulgą stwierdziła, że Wybrani nie noszą broni. W przeciwnym razie, gdyby przy próbie wydostania stąd Hanny coś poszło nie tak, mogłoby zginąć zbyt wiele postronnych osób, a do tego nie chciała dopuścić. Po chwili wzrok Munroe padł na młodego, dwudziestokilkuletniego mężczyznę z zawieszoną na pasku gitarą. Bez żadnej tremy wstał, zagrał akord i zaczął śpiewać.

Obecni przerwali jedzenie i rozmowy i zaraz do grajka dołączył stugłosowy chór. Gdy jedna pieśń się kończyła, zaczynało następną. Składanka śpiewnych podziękowań za strawę i pochwał życia w tak wielkiej rodzinie wiernych trwała niemal dziesięć minut.

W końcu muzyka umilkła, a młody mężczyzna w kilku słowach wyraził wdzięczność Panu i prośbę o to, by posiłek, który mieli spożyć, był czysty. Kiedy w końcu usiadł przy stole, salę znów wypełniła kakofonia dźwięków. Munroe zarejestrowała, że mężczyzna mówił po angielsku, oddzielając słowa w sposób, który przypominał jej wypowiedzi Logana. Miał wyraźnie amerykański akcent, ale brzmiały w nim także nuty zachodniej Europy oraz tony Ameryki Łacińskiej. Niemal wszyscy tutaj mówili podobnie.

Munroe przyłączyła się do rozmowy, przez cały czas dyskretnie obserwując obecnych. Nikt nowy już się nie zjawiał.

Skończono także ze śpiewami. Przy stole Hanny wciąż nie było Davida Lawa.

Munroe dziwiła jego nieobecność. W końcu to on porwał dziewczynkę i ściągnął ją z powrotem do sekty. Był niemal jak jej ojciec - innego nie znała. W pewnym sensie zastępował jej prawdziwą rodzinę. Informacja o tym, gdzie Law się teraz znajduje, nie była jej potrzebna do wykonania zadania, ale wołałaby mieć go na oku, tak jak osę, która przypadkiem wleciała do mieszkania.

Posiłek dobiegał końca. Rodziny po kolei opuszczały salę, ale bliscy Eliasza nie ruszyli się od stołu, więc ona czekała razem z nimi. Czuła, jak rośnie w niej napięcie, i starała się skupić na tym, co się wokół niej działo.

Chciała dotrzeć do Hanny. Rozejrzeć się. Zrobić rekonesans. Tymczasem musiała tkwić za stołem i przekonująco udawać, że chętnie zostałaby jedną z nich. Udając zainteresowanie ich wiarą, prowadziła niewinną rozmowę i odpowiadała na pytania. W końcu grupa młodzieży, która została, aby sprzątnąć po kolacji, skończyła swoje zadanie, a Eliasz wraz z rodziną poprosił Munroe, aby przeszła z nimi do głównego budynku.

W dziennym pokoju, na wszystkich kanapach i całej podłodze, rozsiadło się te same sto pięćdziesiąt osób, które wcześniej widziała w jadalni. Zaczęła się godzina dla Proroka. Śpiewali razem pieśni i czytali wybrane fragmenty pisma. Munroe przypuszczała, że wiele osób robi to, co ona. Radziła sobie z nudą, pozwalając myślom błądzić i zastanawiając się, czy naprawdę są aż tak naiwni, aby nie dostrzegać jaskrawo oczywistej prawdy. Przecież nawet najbardziej łatwowierny gość by się domyślił, że całe wieczorne przedstawienie zorganizowano specjalnie dla niej.

Rozdział 22

Porę, o której Munroe opuściła ranczo, nocny marek uznałby za wczesną, choć w Przystani panowały już ciemności i cisza. W przeciwieństwie do reszty miasta Wybrani wcześniej się kładli spać i wcześniej wstawali.

Eliasz i Esteban odprowadzili ją do samochodu. Niezdarnie przeciągali pożegnania, szurając stopami i niezbyt subtelnie tym razem sugerując złożenie ofiary dla Boga. Munroe nie zamierzała nic im dawać, a oni nie prosili o to wprost. Zwodziła ich jeszcze trochę, bawiła się jak kot z myszą, zastanawiając się, czy zaproponują jej nocleg. Zaproszenie padło dokładnie wtedy, kiedy się go spodziewała. Eliasz zasugerował, że może zostać na noc u nich, zamiast wracać do domu.

Udała, że się zastanawia, a potem obiecała, że chętnie skorzysta z propozycji innym razem. Wyjaśniła, że wcześniej umówiła się z rodziną i nie może już tego odwołać, ale następny dzień miała wolny i obiecała wrócić.

Nazajutrz zamierzała zabrać stąd Hanę.

Drogę do hotelu знаła już na pamięć: znaki drogowe, rozjazdy i karkołomne połączenia pasów ruchu. Pokonywała trasę jak automat, zaprawiona latami doświadczeń w krajach Trzeciego Świata. Jej umysł pracował na zwiększonych obrotach, przetrawiając wybuchową mieszankę emocji, które dusiła w sobie przez cały wieczór. Musiała zaplanować wszystko krok po kroku, aby bezpiecznie wydostać Hanę z Przystani.

Kiedy stanęła w drzwiach hotelowego pokoju, Bradford podniósł się zza biurka. Na jego twarzy malowała się autentyczna radość z jej powrotu. To powitanie sprawiło, że poczuła się lepiej, ale tylko do momentu, gdy otworzyła drzwi szafy i po-

czuła na jego kurtce delikatny zapach perfum Heidi.

Znieruchomiała porażona odkryciem. Potrzebowała chwili, żeby powstrzymać syk złości, która nią zawładnęła. Kiwnięciem głowy odwzajemniła pozdrowienie, tak jak on się uśmiechnęła, i ubrana położyła się na łóżku. Czowała się zmęczona i spięta.

- Mogę się do ciebie przyłączyć? - poprosił.

Z rękami pod głową i wzrokiem wlepionym w sufit odsunęła się nieznacznie, zostawiając mu tylko tyle miejsca, by mógł usiąść. Przycupnął na brzegu łóżka, a potem pochylił się ku niej z zatroskaną miną.

- Jadłaś coś? - spytał.

- Jeśli to można nazwać jedzeniem - odparła i po sekundzie się poderwała. - Chodźmy gdzieś - rzuciła. - Siedziałeś tu cały dzień, a ja czuję, że muszę się uwolnić od natłoku myśli i przeanalizować kupę informacji. Chcę z tobą pogadać. Wiem, że jesteś ciekawy, co się wydarzyło.

- Nie zaprzeczę - przyznał.

Munroe zrzuciła ubranie i włożyła coś bardziej odpowiedniego na wieczór. Nieopodal hotelu natrafili na milongę, jedną z wielu sal tanecznych, w których gromadzą się miłośnicy tanga. Dochodziła północ - wczesna pora według zwyczajów tego miasta. Klub jeszcze się nie zappełnił i bez trudu znaleźli wolny stolik w zewnętrznym rzędzie. Wokół siedziały same pary. W mrocznej, zadymionej i wypełnionej muzyką sali mogli swobodnie porozmawiać, obserwując popisy tancerzy, demonstrujących swoje umiejętności na dużym parkiecie pośrodku.

Przy drinkach i lekkich przekąskach Munroe zdała Bradfordowi relację z wydarzeń, dokładnie opisując porządek dnia Przystani i to, czego dotąd zdołała się dowiedzieć na temat układu pomieszczeń w budynkach. Potem przeszli do omawiania strategii. Zastanawiali się, czy lepsza będzie nocna akcja, czy śledzenie furgonetki i zdjęcie Hanny z ulicy po tym, jak Wybrani rozwiozą swoich członków po mieście. Każda opcja niosła pewne niewiadome i wiązała się z komplikacjami. Przygotowywali się na obie ewentualności.

Bradford miał zabezpieczyć stronę techniczną, bazując na wywiadzie Munroe, na tym polegało jego zadanie. Pokrótce

streścił, jakie procedury umożliwią im bezpieczne wywiezienie dziewczynki za granicę, gdy już ją przejmą.

- Zastanawiam się, czy nie powinniśmy zawiadomić Logana - stwierdziła Munroe. - Przynajmniej o tym, że ustaliliśmy, gdzie ona jest.

- Jeszcze jeden wtajemniczony w plan to nowa pula potencjalnych problemów.

Kiwnęła głową na znak, że rozumie jego obawy, ale nie zamierzała ustąpić.

- Skoro mowa o Loganie - podjął wątek Bradford - rozmawiałem z nim dziś, zanim wróciłaś. Chce pogadać z tobą o Gideonie.

Z Gideonem wiązały się nowe komplikacje. Byli już tak blisko Hanny. Woleli nie mieć na głowie kogoś, kto mógł w każdej chwili położyć cały projekt, dlatego wszelkie informacje od Logana mogły mieć ogromne znaczenie.

Munroe spojrzała na zegarek.

- Jakiego Logana ma teraz zwyczaj? Myślisz, że już śpi?

- Nawet jeśli tak, to możemy do niego zadzwonić. Dałem mu komórkę.

Obrysowała palcem brzeg szklanki z wodą.

- W takim razie zaprosz go do nas, dobrze?

Kiwnął głową i wstał.

- Znajdę tylko jakieś spokojniejsze miejsce - powiedział. - Szybko to załatwię.

Chwilę później był z powrotem.

- Już jest w drodze - poinformował. - Powinien tu dotrzeć za jakieś pół godziny.

Munroe w końcu nie wytrzymała i wyszczerzyła zęby. Powstrzymywała się już pół godziny.

- Tamte dziewczyny robią do ciebie słodkie oczy - powiedziała. - Może zatańczysz? - dodała trochę prowokacyjnie.

Bradford przez chwilę patrzył na nią niepewnie, po czym spojrzał tam, gdzie ona, na trzy kobiety przy stoliku. Wyraz jego twarzy powoli się zmienił. Pojawił się na niej uśmiešek. Rzucił Munroe zaczepne spojrzenie.

- Może zatańczę - odparł.

Nie przypuszczała, że przyjmie wyzwanie, tymczasem on od razu obrał sobie za cel długowłosą brunetkę, utkwił w niej wzrok i szybkim ruchem wyprostował głowę w tanecznym zaproszeniu, tak jak mieli w zwyczaju miejscowi. Gdy jego wybranka uśmiechnęła się i odkloniła, wstał i ruszył ku niej.

Munroe obserwowała ją, odkąd tu przyszli. Podziwiała jej biegiłość w tańcu i domyślała się, że na Bradfordzie również zrobiło to wrażenie. Zastanawiała się, jak jej towarzysz sobie poradzi i ile wstydu z tego wyniknie, ale tok jej myśli urwał się gwałtownie, gdy Bradford znalazł się na parkiecie.

Szczeka jej opadła - wprowadzie tylko odrobinę - kiedy zobaczyła, jak on się rusza. Poezja! Facet naprawdę umiał tańczyć i doskonale oddawał dramatyzm tanga. Nie spodziewała się tego po skromnym i skrytym żołnierzu.

Melodia się skończyła, Bradford zamienił kilka słów z partnerką, żeby nie wyjść na gbura, ale twarze obojga zdradzały, jaką męką były próby porozumienia się mieszkanką wiejskiej hiszpańszczyzny i łamanej angielszczyzny. W końcu zauważył, że Munroe na niego patrzy, i wrócił do stolika uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Ach - oznajmił, rozprostowując ręce i strzelając palcami - czasem dobrze jest tak się rozruszać.

- Nie rozumiem - przyznała - dlaczego w ogóle mnie to dziwi.

- Ja też tego nie rozumiem - odparł i wyciągnął do niej rękę. - Zatańczysz?

Uniosła brwi ze zdziwieniem, ale on nie cofnął dłoni.

- Po takim przedstawieniu? - spytała.

- Ze mną wypadniesz dobrze. Obiecuję - zadeklarował i poruszył palcami, tak jakby mówił: „No chodź”.

Pokręciła głową, nie przestając się uśmiechać.

- Nie wierzę - oznajmił tonem, w którym zachęta mieszała się z wyzwaniem. - Ty, kobieta, która nie lęka się niczego, boisz się ze mną zatańczyć?

- Nie boję się - zaprzeczyła.

- W takim razie zapraszam. - Jego głos zabrzmiał zupełnie poważnie. Ani na chwilę nie oderwał od niej wzroku. Niezrażony stał i czekał.

Podawała mu dłoń, a kiedy ich palce się zetknęły, oboje poczuli niezwykle ciepło i elektryzujący czar chwili.

Wyszli na środek sali i Bradford ją poprowadził, najpierw powoli, jak nauczyciel uczennicę, dopóki nie poczuł, że tango jest jej tak samo bliskie jak jemu. Ruszył dynamiczniej, mocniej. Taniec stał się magią gniewnych kroków, wyprężonych ciał, płynnych i zmysłowych ruchów bioder. Każdy ich gest ożywał, każdy dotyk wyrażał o wiele więcej, niż dało się ująć w słowa. Tańczyli blisko siebie, rozżarzeni i zachłanni, dopóki Munroe nie zauważyła w głębi sali Logana. Czar prysł.

Kiwnęła do niego głową. Bradford spojrział w tę samą stronę, zaczekał, aż muzyka umilknie, i odprowadził Munroe do stolika.

Logan dołączył do nich chwilę później. Przyglądał im się od jakiegoś czasu, o czym wyraźnie świadczyło jego chmurne oblicze. Miał minę, jakby ten jeden swawolny epizod potraktował jako dowód na to, czym Munroe naprawdę się zajmuje w Buenos Aires.

Sięgnęła ku niemu ponad stołem i uszczypnęła go w policzek, tak jak małego chłopca. Jej gest od razu poprawił mu humor. Opędył się od niej. Zaśmiała się, nie zważając na jego nieme wyrzuty. Zaproponowała mu drinka i przystawkę, po czym od razu przeszła do rzeczy.

- Mam informacje o Gideonie, o które prosiłaś - oświadczył Logan. - Być może pomogą wyjaśnić motyw jego przyjazdu.

Munroe przytaknęła i dała mu znak, by mówił dalej.

- Okazuje się, że między czternastym a piętnastym rokiem życia mieszkał w Argentynie. Gdy się tutaj przeniósł, zaraz po czternastych urodzinach, trafił do Przystani, w której mieszkał pewien mężczyzna, Amerykanin. Nie znam jego imienia. - Logan odetchnął i zrobił dłuższą pauzę. - Ten gość go zgwałcił - wyznał w końcu. - I potem robił to regularnie.

W chwili, gdy wypowiedział te słowa, powietrze się rozdarło. Munroe zapomniała o wieczorze, o tańcu z Bradfordem i o muzyce. Stała na krawędzi przepaści, wpatrując się w bulgoczącą otchłań. Jej puls przyspieszył. Zsunęła dłonie ze stolika

na kolana, tam gdzie nikt nie mógł widzieć, jak niebezpieczny gniew zwiiera jej palce w pięści. Logan ciągnął wyjaśnienia i wraz z kolejnymi zdaniami popłynęła przez nią fala ognia. Obrazy. Bezsilność. Przemoc. Nienawiść.

Nie z powodu wydarzeń, o których właśnie się dowiadywała, lecz czegoś, co stało się dawno temu.

- Trwało to mniej więcej rok - dorzucił Logan. - Później Gideona przeniesiono do innej Przystani, a wkrótce potem wykluczono z Wybranych.

- Z jakiego powodu? - spytała. Jej głos brzmiał spokojnie. Głucho. W uszach dzwoniło echo przeszłości.

- Miał problemy emocjonalne. Sprawiał kłopoty swoim zachowaniem. Twierdzili, że opętał go demon.

Munroe przez chwilę milczała, przedzierając się przez gniew aż do spokoju. Rozumiała wściekłość Gideona, furie, która nim kierowała, a także wrogość wobec niej i całego świata. Znała to. Czula. Przeżywała. On i ona byli do siebie podobni bardziej, niż potrafili przyznać.

- Sądziłam, że homoseksualizm jest wśród Wybranych zakazany - powiedziała do Logana. - Mówiłeś, że za to grozi ekskomunika.

- No tak, ale to nie znaczy, że takie przypadki się nie zdarzają - odparł. - Po prostu dzieje się to w ukryciu, w przeciwieństwie do innych form maltretowania.

- I nikomu nie przyszło do głowy, że jego zachowanie mogło być wynikiem traumy?

- Oni w ten sposób nie rozumują. Problemem nigdy nie jest doktryna. Nigdy przywódca. Nigdy Wybrani. Wszystko jedno o co chodzi, źródło problemu nigdy nie jest zewnętrzne, zawsze jesteś nim ty. Więc się ciebie pozbywają.

Munroe kiwnęła głową na znak, że rozumie. W myślach już opracowywała scenariusze. Zastanawiała się, co zrobić, żeby nie ucierpiało na tym ich przedsięwzięcie, i jak zapanować nad emocjami, które gnały na oślep niczym stado spłoszonych koni.

- Dlaczego postanowił szukać właśnie w Argentynie? - spytała. - Przecież minęło... Ile? Siedemnaście lat? Dziewiętnaście? Wybrani tak często przenoszą się z miejsca na miejsce. Jeśli

tamten facet wciąż do nich należy, nie wierzę, że po tylu latach jeszcze tu jest. Gideon na pewno zdaje sobie z tego sprawę.

Logan wzruszył ramionami.

- Może uznał, że od czegoś trzeba zacząć. A może cofnął się w poszukiwaniach do punktu wyjścia. Mam wrażenie, że coś zwietrzył, czegoś się dowiedział i uznał, że warto trochę podrażnić. Może ktoś dał mu cynk, że gość tu wrócił, albo coś w tym rodzaju.

- Od kogo to wiesz? - zapytała Munroe.

- Od Charity.

- Dlaczego wcześniej nic o tym nie wspomniała?

- No... To są osobiste sprawy. Ktoś taki jak Gideon nie zwierza się każdemu. Zdołałem to z niej wyciągnąć, bo powiedziałem, że jeśli mi tego nie zdradzi, prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy córki.

Munroe nie skomentowała tego ani słowem.

- Powiedziałem jej, że jesteś już naprawdę blisko, i ostrzegłem, że jeżeli Gideon się dowie, że grzebiesz w jego przeszłości, to wycofasz się z przedsięwzięcia.

Skinęła głową. Znał to spojrzenie. To nie była wdzięczność, tylko podziw.

- Dobrze to rozegrałeś, Logan - przyznała. Nawet lepiej niż dobrze. Teraz wiedziała już, w jaki sposób zneutralizuje zagrożenie ze strony Gideona. - Bo widzisz... wiemy, gdzie jest Hanna - dorzuciła.

Zamrugął, tak jakby nie miał pewności, czy się nie przesłyszał. Kolejna melodia się skończyła i nagle ich stolik znalazł się w hermetycznej bańce ciszy. Logan tylko otworzył usta. Jego mózg nie potrafił przetworzyć myśli na słowa. Jeszcze przez długą chwilę milczał.

- I co teraz? - spytał w końcu.

- Właśnie nad tym dziś debatowaliśmy - wyjaśniła. - Mam wątpliwości, poważne wątpliwości, czy powinniśmy cię w to wtajemniczać. Nie dam rady pracować, jeśli będziesz mi stał nad głową, a już na pewno nie chcę zaprzętać sobie myśli tym, by przypadkiem cię nie urazić. Uważam jednak, że masz prawo wiedzieć. Ostrzegam jednak, żebyś się nie wtrącał. Masz się

trzymać jak najdalej od tego, rozumiesz?

Logan kiwnął głową.

- I wszystko, co dziś usłyszysz, musi pozostać w naszym gronie, jasne? Jeśli uznam, że trzeba powiadomić Gideona i Heidi, sama to zrobię.

Rozdział 23

Munroe siedziała na podłodze, piecami do ściany, zaciskając w dłoniach dwa noże. Ciemności rozpraszała tylko odrobina światła wpadającego przez szparę pod drzwiami. Po raz trzeci w ciągu kilku minut nałożyły się na nią cienie. Ktoś przeszedł po drugiej stronie.

Wiedziała, że w końcu po nią przyjdą, i była na to gotowa. Nie zdołaliby jej zrobić nic, czego wcześniej nie doświadczyła, a jeśli chcieli ją do czegoś zmusić, mogli próbować, proszę bardzo.

Nie spieszyła się. Prócz czasu nie miała już nic.

Statek unosił się i opadał w spokojnym rytmie fal. Silniki uprawiały kadłub w wibracje, które czuła u podstawy czaszki.

Zobaczyła kolejne mignięcie pod drzwiami i zaraz potem usłyszała szepczące głosy. Oceniała, że mogło być ich czterech lub pięciu. W myślach namawiała ich, by weszli. Perspektywa walki sprawiała, że w dłoniach czuła mrowienie. Poziom adrenaliny powoli rósł, by osiągnąć szczyt w chwili dzikiej euforii, gdy popłynie krew.

Obróciła noże w palcach wprawnym ruchem. Były jej przyjaciółmi, dodawały otuchy i zapewniały ciągłość światu, z którego zostały już tylko strzępy.

Światło za drzwiami zgasło.

Płynnym ruchem oderwała się od ściany i przysunęła do wyjścia. Zastygła w napięciu. Klamka szcęknęła i drzwi nieco się uchylily. Wyczuła jego obecność, jeszcze zanim zobaczyła snop światła malej latarki, szukający w mroku materaca. Przekroczył próg. Naparła całym ciężarem na drzwi, zatrzasnęła je i zablokowała.

Ciemność zmieniła się w zupełną czerni.

Drań był wielki. Śmierdział potem i alkoholem. Instynktow-

nie rzuciła się przed siebie i rąbnęła go w żołądek. Siła i kierunek ataku sprawiły, że stracił równowagę. Głową uderzył w ścianę. Runął na podłogę. Wbiła prawe kolano w sam środek jego tułowia. Usłyszała gwałtowny wydech. Próbował się podnieść, więc z całej siły naparła na jego klatkę piersiową. Jeden nóż przystawiła mu do gardła, a drugi do krocza.

I wtedy zwróciła uwagę na dudnienie, które wcześniej do niej nie docierało. Drzwi ustąpiły z trzaskiem i poleciały do środka. Oślepił ją klujący blask. Zdezorientowana czekała na pierwszy cios.

Brakowało jej tchu, plecy wygięły się w łuk. Gwałtownie wessała powietrze, tak jakby za długo tkwiła pod wodą. Otworzyła oczy. Gdy zobaczyła nad sobą sufit hotelowego pokoju, miała ochotę się roześmiać.

Tym razem replay skończył się wcześniej, zanim pojawiło się poczucie winy i ból, zanim po raz kolejny zobaczyła, że trzyma w ramionach martwego Logana, zanim rozegrał się horror. Bradford przyglądał się jej uważnie. W jego oczach zobaczyła troskę, ale ani śladu paniki, z jaką patrzył na nią przy poprzednich dwóch incydentach.

- Próbowałam cię zabić? - wychrypiała z wysiłkiem i się skrzywiła.

- Nie - odparł. - Nie tym razem.

- Nie obudziłeś mnie.

- Nie chciałem pogorszyć sytuacji. Nikomu nie działa się krzywda.

Skinęła głową i zamknęła oczy. Jej serce wciąż biło dwa razy szybciej niż zwykle. Poza tym musiała zaczekać, aż poziom adrenaliny opadnie.

- Kim oni są? - spytał Bradford. - Kogo widzisz we śnie?

- Ludzi, których zabiłam.

- Przeżywasz wszystko jeszcze raz?

- Wielokrotnie. Ale na koniec zawsze okazuje się, że ofiarą jest ktoś, kogo kocham.

- Od jak dawna to trwa?

Chwilę zwlekała z odpowiedzią.

- Zaczęło się jakieś dwa miesiące temu - przyznała w końcu.
- Dlaczego akurat teraz, po tylu latach?

Wzruszyła ramionami.

- Myślisz, że to przez Afrykę?
- Naprawdę nie wiem - odparła.

- Często masz te koszmary?

- Codziennie. - Umilkła i przekreśliła głowę tak, by go widzieć.

Przyjrzała się jego twarzy. - Co czujesz, kiedy zabijasz? - spytała.

Przez moment nic nie mówił, tylko wpatrywał się w nią, tak jakby próbował odszyfrować prawdziwy sens jej pytania lub odkryć w jej słowach ukryte znaczenie.

- Jestem żołnierzem - stwierdził wreszcie. - Zabijanie to część wojny.

- Ciebie też prześladują ci, których zabiłeś?

- Prześladuje mnie wiele rzeczy - przyznał - okrucieństwo, cierpienie dzieci i kobiet, niewinne ofiary... wszystko, o czym trudno jest mówić... przyjaciele umierają mi na rękach, czuję ich ostatni oddech i zastanawiam się, dlaczego spotkało to ich, a nie mnie. Słyszę zgrzyt maszyn, czuję zapach spalenizny i krwi mieszający się ze smrodem strachu.

- Ale nie widzisz tych, których zabiłeś?

Przeniósł wzrok na ścianę.

- Pamiętam każdą twarz. Możesz uznać, że jestem bezduszny, ale ich nie żałuję - nie byli dobrymi ludźmi. Za to ci, których nie zdołałem ochronić... to o nich nie potrafię zapomnieć. - Spojrzał na Munroe. - Mechanik naprawia samochody, a żołnierz zabija ludzi. Do tego się nas szkoli. I wcale nie jestem przez to gorszym człowiekiem.

Westchnęła i ponownie wlepiła wzrok w sufit.

- Tak trudno zachować człowieczeństwo. Moje zabójstwa mnie zzerają - powiedziała. - Patrzę w oczy moich ofiar, pragnę ich krwi, odbieram im życie i upajam się euforią zwycięstwa.

Oderwała wzrok od sufitu i spojrzała prosto w jego oczy, które wpatrywały się w nią bez wyrzutów, ze zrozumieniem.

- Potem jest po wszystkim i nieuchronnie jak świt pojawia się świadomość, że znowu to zrobiłam. To takie niesprawiedliwe.

Zbyt łatwo potrafię odbierać życie, zbyt szybko... a oni są tacy słabi, jak kruche zabawki. Przewracają się, wykrwawiają i umierają. Jak to możliwe, że tak bardzo nienawidzę zabijać i jednocześnie tak tego pragnę? Dlaczego przychodzi mi to tak naturalnie?

- Odebrałaś kiedyś życie niewinnemu człowiekowi?

- Zabijałam tylko w obronie własnej lub gdy kogoś ochraniałam - przyznała - oprócz pierwszego razu, ale jemu dawno się należało, i tylko to jedno zabójstwo nie budzi we mnie poczucia winy.

- Może właśnie na tym polega twój problem - stwierdził Bradford. - Masz wyrzuty sumienia.

Zaśmiała się ponuro.

- Niezły materiał na komiks, he?

Przewróciła się i usiadła na łóżku ze skrzyżowanymi nogami, przodem do niego.

- Superbohaterowie bronią tego, co dobre, walcząc ze złem - rzuciła. - Wymierzają sprawiedliwość, a świat im przyklaskuje. Żaden nigdy nie mówi o tym, co czuje, kiedy zabija. - Obróciła dłonie wnętrzem do góry i przyjrzała się im. - Nie opowiadają o euforii, o dzikiej ekstazie mordy, o poczuciu satysfakcji, które się pojawia, gdy jest już po wszystkim. - Zerknęła na Bradforda. - Superbohaterowie to wyniesieni na piedestał seryjni zabójcy, Miles. Owszem, mordują tylko złych ludzi, ale jeśli zrezygnujemy z etykiet moralnych, to czy coś ich różni od szaleńców?

- A przyszło ci choć raz do głowy, że zabijanie nie zawsze jest złe? - spytał. - Może niektórzy zasługują na śmierć. Może usuwając ich z tego świata, przerywasz łańcuch bólu i cierpienia.

Spojrzała na niego.

- Tylko że mnie ogarnia jebana euforia, kiedy zabijam! Co mnie różni od takich jak Bundy, Gacy i Dahmer, a nawet Pieter Willem?

Bradford przez pewien czas milczał, tak jakby czuł, że musi ostrożnie dobrać słowa. Domyślała się, że to przez wzmiankę o Pieterze Willemie - jej pierwszej ofierze, psychopatycznym

najemniku, który uczynił z niej osobę, jaką teraz jest. Zabiła go pod wpływem mieszanki grozy i chłodnej kalkulacji.

- To, że nie zobojętniałaś - powiedział w końcu - na tym polega najważniejsza różnica. Nie jesteś Willemem i nigdy się nim nie stajesz. Nie ma znaczenia to, z jakim uporem próbował urobić cię po swojemu. Masz wybór. Albo możesz przez resztę życia uciekać przed jego duchem, bać się, że odkryjesz w sobie cechy, za które najbardziej go nienawidziłaś, i zdręzczać tym, do czego jesteś zdolna, albo w końcu zrozumiesz, czym naprawdę są twoje umiejętności, i zaczniesz z nich korzystać, nie niszcząc przy tym samej siebie.

- Mówisz jak orędownik samozwańczej sprawiedliwości - powiedziała.

Nie było to pytanie ani zarzut, tylko zwykłe stwierdzenie.

- Może i tak - zgodził się. - Widziałem na tym świecie dość zła i wiem, że czasem trzeba wziąć sprawy w swoje ręce, bo to jedyne rozsądne wyjście. Sam fakt, że potrafisz z łatwością zabijać, nie oznacza, że jesteś zła, a to, że twój instynkt daje o sobie znać, nie czyni z ciebie seryjnej zabójczyni. Jesteś jak żołnierz na wojnie. Podczas walki robi się to, co trzeba. - Na moment przerwał, a po chwili dodał już łagodniej: - Masz dar i masz serce. Posługuj się i jednym, i drugim.

Gdy umilkł, pokój wypełniła cisza. Munroe po chwili spojrzała mu w oczy i znalazła w nich głębię zrozumienia i akceptacji. Chętnie by w nich utonęła. Nachyliła się ku niemu, żrenica do żrenicy, tchnienie do tchnienia. Trwali tak bez ruchu, dopóki z transu nie wyrwał ich krótki sygnał komputera na biurku.

- To pewnie Logan - stwierdził Bradford, nie ruszając się z miejsca.

- Czekasz na wiadomość od niego? - zdziwiła się.

- Po wczorajszej nocy skontaktował się ze mną już dwa razy.

Munroe sięgnęła z łóżka po ubranie, które zrzuciła na podłogę, nim się położyła.

- Powinam odszukać Gideona i pogadać z nim, zanim wszystko zepsuje - powiedziała. - Najgorsze, że mamy tak mało czasu. Muszę wracać na ranczo. Nie powinniśmy tracić dnia. Trochę potrwa, nim go znajdę.

- Może krócej, niż myślisz. - Bradford wstał i pochylił się nad komputerem, wystukując na klawiaturze kilka poleceń. Kiedy ekran wyświetlił to, o co mu chodziło, obrócił go w stronę Munroe. W odpowiedzi na jej zdziwioną minę uśmiechnął się szeroko.

- Prezent od Logana - oznajmił. - Jest w podeszwie buta Gideona.

- Sprytnie - pochwaliła, a on niewinnie wzruszył ramionami.

- Dzięki temu zaoszczędzimy sporo czasu.

- Jest jeszcze sprawa kamer w Przystaniach - poinformował. - Skoro już wiemy, gdzie jest Hanna, mam je wyłączyć?

- Przeglądasz zarejestrowany materiał?

- Tak, ale dotychczas nic mi się nie rzuciło w oczy. Inna rzecz, że nawet nie wiem, czego szukać. A z podsłuchu niewiele rozumiem.

- Pojawił się gdzieś David Law?

- Z tego, co wiem, to nie.

- W takim razie niech dane spływają. Może w ogóle z nich nie skorzystamy, ale dopóki nie wydostaniemy Hanny z rancza, chcę zbierać wszystkie dostępne informacje. Myślę, że dziś wieczorem zdołam założyć jeszcze trzy kamery, może nawet więcej. Mamy dość pamięci na to wszystko?

- Jasne. Tego akurat nam nie brakuje.

Munroe wstała i ruszyła do łazienki. Odkręciła gorącą wodę pod prysznicem i na moment wróciła do pokoju. Spojrzała na zegar. Czas szybko płynął.

- Mogę wziąć Gideona na siebie - zaproponował Bradford.

- Nie wątpię - odparła. - I chętnie bym ci tę sprawę zostawiła, ale muszę załatwić to sama.

Rozdział 24

Z pomocą Bradforda odnalazła Gideona w niecałe pół godziny. Chodziła za nim, dopóki nie zatrzymał się na lunch w kafejce przy parku. Wybrał miejsce na zewnątrz, w słońcu. Po raz pierwszy od ich przyjazdu zrobiło się cieplej. Munroe zaczęła, aż usiadł przy stoliku, a potem zaszła go od tyłu, postukała w przeciwległe ramię, a kiedy odwrócił głowę w tamtą stronę, szybko wślizgnęła się na krzesło obok niego.

- Hej - powiedziała.

Drgnął. Zareagował na jej obecność jak na uządlenie pszczoły.

Była na to przygotowana.

- Muszę ci opowiedzieć pewną historię - oznajmiła bez żadnych wstępów. - I proszę jedynie, żebyś jej wysłuchał. Po-tem zadecydujesz, czy jestem czarnym charakterem, czy może - tylko może - osobą, która zdoła ci pomóc w zdobyciu tego, na czym ci zależy.

- Nie masz pojęcia, czego chcę - powiedział. W jego tonie brzmiała złość, ale jednocześnie rozluźnił ramiona i przestał zaciskać pięści.

- Pozwól mi mówić i sam się przekonaj - zaproponowała.

Gideon nic nie odpowiedział. Wiedziała, że jej wysłucha.

Nie potrafił przyznać tego wprost, ale bardzo chciał się przekonąć, co ona wie.

Pochyliła się do przodu, przypatrując się uważnie jego twarzy, i zaczęła:

- Dawno, dawno temu żyła sobie mała dziewczynka. Jej mamę i tatę ogromnie pochłaniała służba Bogu i nie pamiętali, że powinni być rodzicami córki, której nie planowali. - Umilkła tylko na jedno uderzenie serca. - Dla uproszczenia powiedzmy, że ta dziewczynka to ja i że to moi rodzice byli tak zajęci, że mnie odesłali. Kiedy miałam trzynaście lat, uznali, że mogę sa-

ma się o siebie troszczyć. Myśleli, że mieszkam u ich przyjaciół w dużym mieście i chodzę do szkoły. Rzeczywiście przez jakiś czas tak było, ale tego nie sprawdzali, no bo co ich to obchodziło? Miałam czternaście lat, kiedy znalazłam sobie pracę jako tłumaczka u miłego przemysłowca. Zainstalował mnie u siebie w domu. To były dobre czasy. Żyliśmy sobie w afrykańskim buszu. Pewnie pomyślisz, że tam nic nie ma, ale ja byłam szczęśliwa. Nie brakowało wyzwań i akcji, a po skończonej robocie śmiechu. Znalazłam w nim przyjaciela - przyznała. - Był o jedenaście lat starszy ode mnie, ale rozumieliśmy się doskonale. Żyliśmy w symbiozie. On potrzebował mnie, a ja jego. Wydawało mi się, że znalazłam dom. Niestety, półtora roku później dołączyło do nas dwóch najemników i życie zmieniło się w koszmar.

Munroe zaczęła chwilę na reakcję słuchacza. Nachylił się ku niej, nieświadomie powtarzając jej gesty. Z mowy jego ciała wyczytała, że uważnie jej słucha, więc wróciła do opowieści.

- Jednym z nich był niski, żyłasty Południowoafrykańczyk. Czarujący. Gładki w obejściu i ujmujący. Inteligentny, ale na wskroś zły. W rzeczywistości był okrutny i bezwzględny, z rodzaju tych, co w dzieciństwie po kryjomu męczą szczeniaki. Stałam się celem jego sadystycznych zapędów. Codziennie, bez względu na to, co się działo, jednego mogłam być pewna - że w którymś momencie powali mnie na ziemię, przycisnie nóż do gardła i zgwałci. Nauczył mnie walczyć, bo kiedy się opierałam, miał z tego większą frajdę, rozumiesz? Najpierw obywaliśmy się bez broni, ale z czasem, kiedy stałam się szybsza, sprytniejsza i zaczęłam grać nieczysto, wprowadził noże. Walczyliśmy zawsze wręcz. Na serio. On bił się dla dreszczyku emocji, ja - żeby go zabić. Im byłam lepsza, tym brutalniej na mnie napadał. Seks był dla niego tylko dodatkiem, bo najbardziej kręciło go zadawanie mi bólu. Groził, że jeśli ucieknę, to zabije moją rodzinę, i choć nie byli mi bliscy, nie zasługiwali na to, co mógł im zrobić... zwłaszcza że nie miało to z nimi nic wspólnego. Tkwiłam tam jak w pułapce i nie miałam nikogo, kto by mnie obronił. Mogłam tylko się uczyć - szybko i jak najwięcej - i się nie poddawać. Pokażę ci coś.

Wstała i świadoma tego, że znajdują się wśród ludzi, uniosła koszulę tylko trochę, odsłaniając fragment brzucha, aby Gideon mógł zobaczyć blizny.

W jego oczach dostrzegła szok.

- Pamiątki po nim - oznajmiła i ciszej dodała: - Mam takich więcej, ale nie będę się tu rozbierała, żeby ci je pokazać. - Osiągnąwszy cel, ponownie usiadła. - Przez dwa lata nigdzie nie czułam się bezpieczna. Jak gdzieś obozowaliśmy albo wracaliśmy do bazy, zniktałam w dżungli, ale zawsze umiał mnie wytropić. Jeśli trzymałam się innych, cierpliwie czekał. Kilka razy o mało mnie nie zabił naprawdę, ale w myślach umierałam podczas każdej z tych pięciuset nocy.

- Jak to się skończyło? - spytał Gideon.

- Zabiłam go. Poszłam za nim w dżunglę, kiedy się tego nie spodziewał. Użyłam naboju usypiającego, a gdy powieki zaczęły mu opadać, stanęłam nad nim i poderżnęłam mu gardło. Miałam wtedy siedemnaście lat. - Ostatnie zdania wypowiedziała na jednym tonie i zaczęła, aż do Gideona dotrze pełne znaczenie jej słów.

Wyprostował się i cicho zagwizdał.

- No nieźle - skwitował.

Długo milczał. Munroe mogła jedynie zgadywać, co chodzi mu po głowie, ale każdy, kto by go w tej chwili zobaczył, domyśliłby się, że toczy wewnętrzną walkę. W końcu spojrzał jej prosto w oczy.

- Co za bagno - podsumował.

Zignorowała jego słowa, wsłuchując się tylko w ton. Wychwyciła w nim załazek zmian, na jakich jej zależało. Drzwi zostały otwarte. Udowodniła, że potrafi mu dać to, czego szukał, i mogła uzyskać coś w zamian.

- I właśnie dlatego wybrałaś taką profesję? - spytał.

- Po części - odparła. - Kiedy przyjechałam do Stanów, poszłam na studia, zrobiłam dyplom i próbowałam swoich sił w zwykłych zawodach, tylko zupełnie mi nie szło. Wiele osób życzy swoim szefom śmierci, ale nie wyobrażasz sobie, jak trudno jest utrzymać normalną posadę komuś, kto potrafi zabijać tak, by uniknąć podejrzeń, i w dodatku chce to zrobić. -

Uśmiechnęła się i dla efektu przewróciła oczami. - Nie nadaje się do normalnego życia.

Gideon zaśmiał się wbrew sobie, ale szybko spowaźniał.

- Logan wiąże z tobą wielkie nadzieje. Mówi, że jesteś blisko celu.

- To prawda - przyznała.

- Zamierzasz przeniknąć do środka?

- Taki mam plan.

- Ciekawe, czy dużo się tam zmieniło. Słyszałem, że tak. Jeśli to prawda, młodsi mają lepiej, tylko że co mi z tego?

- Pewnie nic - stwierdziła. - Domyślam się, że tobie to nie wystarcza.

Na moment połączyła ich nić porozumienia. Munroe nachyliła się ku niemu i oparła łokcie o stolik.

Przez swoją posturę i wybuchowość Gideon sprawiał wrażenie agresywnego brutala, ale sama siła i przemoc nie pozwoliłyby komuś, kto zaczynał tak jak on, dojść tak wysoko, na sam szczyt dużej firmy komputerowej. Do działania pchało go coś, co tkwiło znacznie głębiej. Munroe wiedziała, że ktoś taki musi znaleźć ujście dla gniewu. Gdyby nie wyrzucił z siebie wszystkiego do końca, nie trafiłaby do niego żadnymi argumentami i nie zdołałaby zmienić jego zamiarów.

Dlatego siedziała w milczeniu i czekała.

Gideon wyprostował się i wyciągnął nogi pod stołem. Jedną rękę przełożył za oparcie krzesła. Długo patrzył bez słowa na swoją towarzyszkę.

- Większość ludzi wie to, o czym mówi się w telewizji - powiedział w końcu. - A tam z wszystkiego próbuje się robić sensacje, serwowane w takiej formie, by zaspokajać najniższe gusta. Widziałaś któryś z programów o Wybranych?

Pokręciła głową.

- Może to i lepiej - skwitował. - Tylko ośmieszają nasze cierpienie, a wszystko w imię oglądalności. Można by pomyśleć, że jak się tak sparzymy kilka razy, w końcu do nas dotrze, że innych gównu to wszystko obchodzi, nie? Za każdym razem wydaje nam się, że trafiliśmy na dziennikarza, który jest do głębi poruszony tym, co nas spotkało, i chce przedstawić

naszą historię zgodnie z prawdą. Potem kończymy z nożem w plecach, bo im zależy tylko na tanich sensacjach. Wiesz, czym naprawdę jesteśmy dla takich ludzi? Szansą na dobry zarobek. Oni kończą z czekiem, a my z ręką w nocniku. Po raz kolejny. Nie zrozum mnie źle - zastrzegł - przypadki molestowania dzieci zdarzały się naprawdę. I to często. Ale były tylko jednym z wielu dań w bufecie mojego dzieciństwa. Jednym z wielu. Nikt jednak nie mówi o fanatycznym pilnowaniu dyscypliny, o oddzielaniu dzieci od rodziców, o braku wykształcenia i opieki medycznej, o wymaganym ślepych posłuszeństwie ani o tym, że najpierw broniono nam dostępu do świata, a potem wydano na jego pastwę i musieliśmy sobie radzić zupełnie sami. No ale to już nie jest materiał, który by w dostatecznym stopniu budził niezdrowe zainteresowanie publiki. Słyszymy więc tylko: „Seks, jakieś tam ple-ple. Ple-ple, seks”. I kończy się tym, że robią z nas dziwadła, pokrzywdzonych biedaków, nad którymi ludzie mogą pokiwać z troską głową, zanim zacznie się następny ekscytujący program. Masz pojęcie, jak to się przekłada na moje codzienne życie?

Pochylił się w jej stronę i wycelował w nią palcem.

- Nie dość, że muszę płacić za błędy moich rodziców, nie dość, że ciągle zmagam się ze sobą i walczę, aby odnaleźć w sobie ludzki potencjał, z którego mnie okradziono, to jeszcze muszę się z tym kryć, tak jakby moja przeszłość była powodem do wstydu i jakbym to ja ponosił odpowiedzialność za to, co mnie spotkało. Bo nikt - ani władze, ani psychologowie, a już na pewno nie zwykli zjadacze chleba - zupełnie nikt nie potrafi ogarnąć tego, co się tam naprawdę działo. Wiesz, jaka jest typowa reakcja, gdy odważę się odsłonić przed kimś choćby niewielki fragment mojego życia? - Gideon przerwał, tak jakby chciał usłyszeć jej odpowiedź.

Munroe się zawahała. Owszem, wiedziała. Znała to z doświadczenia, bo spotykała się z taką samą reakcją, gdy się przed kimś otwierała. Nawet Miles tak zareagował, kiedy opowiedziała mu prawdę o swojej przeszłości. Mimo to pokręciła głową.

- Za każdym razem taka sama - stwierdził. - Przysięgam. Niezmiennie słyszę: „Aż dziw, że jesteś taki normalny”. Bo ni-

by, kurwa, co? Powiniennem być obłąkany, żeby w ogóle mogli uwierzyć w taką przeszłość? Poza tym co to jest „normalność” i dlaczego akurat biali, średniozamożni Amerykanie mają na nią monopol? - Umilkł i skrzyżował przed sobą ręce. Miał minę, jakby żałował, że aż tyle powiedział.

Munroe milczała tak jak on. Miała nadzieję, że Gideon sam podejmie przerwana opowieść, bez zachęty z jej strony. On jednak odchylił się na oparcie krzesła i stanowczo zacisnął usta. Zrozumiała, że nic więcej nie usłyszy, jeśli go nie sprowokuje.

- A nie możesz zapomnieć o tym, co było, i po prostu żyć dalej? - spytała.

Jego twarz sposepniała, a oczy błysnęły w reakcji na jej słowa. Długo milczał, obracając w ustach wykałaczkę.

Użyła sformułowania podobnego do tego, które od lat powtarzał Prorok, a w ślad za nim jego rzecznicy. *Nawet jeśli takie rzeczy naprawdę się zdarzyły, nie ma sensu trwać w rozgoryczeniu. Trzeba wybaczyć i zapomnieć o dawnych urazach.* Co za bezczelność. Ci, którzy krzywdzili innych i nie zrobili potem nic, żeby te krzywdy naprawić, domagali się wybaczenia. Ale cóż, można się było spodziewać takiej mentalności po zwyrodnialcach, którzy winą za swoje czyny obarczali ofiary.

Gideon zdołał się powstrzymać od gwałtownej reakcji na słowny policzek, który mu wymierzyła.

- Przez jakiś czas myślałem, że może kiedy porozmawiam z winnymi i zdołam im uświadomić, jak ciężkie miałem przez nich życie, to wyrażą skruchę. Sam nie wiem, co chciałem w ten sposób osiągnąć. Sądziłem pewnie, że jeśli poproszą mnie o wybaczenie, będzie mi łatwiej nie myśleć o tym bagnie, rozumiesz? Myślałem, że uda mi się zapomnieć o tym, co było, tak jak tego oczekują. Tylko że nikt nie zamierza brać na siebie odpowiedzialności. Moi rodzice potrafią jedynie serwować mi beznadziejne wymówki. Wmawiają mi, że moje życie nie było aż takie złe, jak pamiętam. A skąd oni, kurwa, to wiedzą? - zachnął się. - Przecież nie było ich przy mnie. Nie mają pojęcia, co mnie naprawdę spotkało. A ja... - Urwał i wsunął palce we włosy. - Chryste - jęknął i ponownie umilkł. Na moment spoj-

rzał w niebo, a potem przeniósł wzrok na Munroe. - Przecież nawet ci, którzy sami nigdy nie podnieśli na mnie ręki, wspierali reżim, za sprawą którego to się działo. Biernie na to pozwalali. Odegrali swoją rolę. Wszyscy. Każdy miał w tym swój udział, nieważne, czy krzywdził, czy tylko patrzył w inną stronę. Wykorzystywali nas jako organizacja wierna swojej doktrynie. Wysyłali nas na ulice, żebyśmy zebrali, uniemożliwiali nam naukę, bili nas, głodzili, odprawiali nad nami egzorcyzmy i oddzielali od rodziców. Niszczyli nasze rodziny, użyciali naszych ciał zbrodnicom i okradali nas z przyszłości, a teraz mówią, że mamy tak po prostu przejść nad wszystkim do porządku i nie rozpamiętywać tego, co się działo. Jeżeli wbrew ich prośbom opowiadamy o przeszłości, nazywają nas kłamcami, mówią, że przesadzamy albo wszystko zmyślamy. Po co mielibyśmy to zmyślać? W jakim celu? Żeby nasze życie wydawało się jeszcze gorsze? Nigdy bym nie mógł na ten temat kłamać. Masz pojęcie, jaką wyobraźnię musiałby mieć normalny człowiek, żeby w ogóle pojąć ten koszmar? A jak już któryś przyzna, że w tym, co mówimy, jest ziarno prawdy, to słyszymy jedynie, że zdarzały się błędy. Błędy!

Gideon ponownie pochylił się w stronę stołu, palcem podkreślając w powietrzu słowa.

- Dopuszczali się zbrodni wobec dzieci! Czynów, za które zwyczajni członkowie społeczeństwa trafiają do więzienia. Tymczasem oni publicznie robią to samo, co zawsze, „zaprzeczają, zaprzeczają i jeszcze raz zaprzeczają” a nas spotyka kolejny gwałt, bo najpierw byliśmy ofiarami ich czynów, a teraz musimy słuchać, jak się tego wypierają. Robią z nas odszczepieńców i łgarzy przed ludźmi, którzy i tak mają wszystko gdzieś, a nawet gdyby tak nie było, nie zdołaliby zrozumieć tego, co się działo.

- Ja to rozumiem - powiedziała Munroe i Gideon umilkł.

W oczach miał łzy. Pokręcił głową i odetchnął powoli, żeby się uspokoić.

- Nie mam pojęcia, dlaczego to robisz - stwierdził. W jego słowach czaiły się sarkazm i groźba, ale ton był szczerzy. - Co cię to w ogóle obchodzi? Najpierw myślałem, że jesteś tu dla

pieniędzy, nie rozumiałem twojej relacji z Loganem, ale teraz wiem, że musi chodzić o coś innego.

Munroe przykryła dłonią jego rękę.

- Osoby, które przetrwały dzieciństwo podobne do twojego, łączy szczególna więź. Myślę, że właśnie dlatego potrafisz to pojąć lepiej niż większość ludzi - powiedziała. - Przez wiele lat Logan był jedynym człowiekiem, który naprawdę mnie rozumiał i bezwarunkowo akceptował. Za tę akceptację oddałam mu kawałek serca, fragment życia. Już zawsze będzie mógł na mnie liczyć.

- Czyli że robisz to dla niego? Ze względu na waszą przyjaźń?

- Na początku tak myślałam - przyznała. - Przyjęłam zadanie dla niego, dla Hanny i dlatego, że potrzebowałam zajęcia. - Umilkła na chwilę, a potem dodała: - Bo widzisz, Gideon, tak jak ty muszę radzić sobie z gniewem, który rozsadza mnie od środka. W szybkim tempie zmierzam do autodestrukcji. Jeśli zbyt długo tkwię w jednym miejscu, staję się bardzo niebezpieczna. Dlatego zgodziłam się z myślą o Loganie i o sobie, a także o małej dziewczynce, której los przypomina mi moje dzieciństwo.

Gideon obserwował ją spod przymrużonych powiek, wysuwając zaczepnie szczękę.

- Mówisz, że tak było na początku, a teraz co? Jak to się skończy?

Munroe odchyliła się w tył, ale wciąż patrzyła mu w oczy.

- Nie wiem jak - przyznała. - Ta opowieść jeszcze nie ma zakończenia, dlatego chcę cię prosić, żebyś pomógł mi je napisać. Potrzebuję czasu... tylko trochę. Wiem, że nie przyjechałeś tu wyłącznie ze względu na Hannę. Szukasz czegoś... kogoś... tylko że twoje poszukiwania mogą pokrzyżować nam szyki. Jeśli się wstrzymasz i dasz mi czas, obiecuję, że kiedy odegram już moją rolę w tej historii, przekażę ci wszystko, co mam na temat Przystani, żebyś mógł odnaleźć własną drogę do sprawiedliwości.

- Jak długo mam czekać? - spytał Gideon.

Wzruszyła ramionami.

- Może kilka dni... Jeśli dopisze nam szczęście.

Zapatrzył się w dal, a Munroe ponownie pochyliła się do przodu. Oparła łokcie i przedramiona o blat i splotła dłonie. Cierpliwie czekała.

- Zabijałaś ludzi - powiedział w końcu. Nie zabrzmiało to jak pytanie, tylko stwierdzenie, tak jakby właśnie zdał sobie z tego sprawę.

- Tak trudno w to uwierzyć?

Spojrzał na nią. W milczeniu czekała, podczas gdy on uważnie studiował jej twarz.

- Chyba już rozumiem, dlaczego Logan tak ci ufa - stwierdził.

- Dlatego, że zabijałam?

- Dlatego, że jesteś podobna do nas. Inna. Rozumiesz nasze cierpienie.

- A ty moje.

- Chyba tak - przyznał, ale dopiero po długiej pauzie potwierdził to kiwnięciem głowy. - Dam ci czas - oznajmił. - Nie będę się wtrącał i nie zrobię nic, co mogłoby utrudnić wydostanie Hanny, nawet jeśli przez to będę musiał wyjechać z niczym.

- Kogo chcesz znaleźć? - spytała.

Pokręcił głową.

- To nieważne.

- Rozumiem. Co cię zmusza do powrotu? Praca? Pieniądze?

- I jedno, i drugie - odparł. - Nie mam wiele płatnego urlopu, a bilety do Argentyny nie są tanie.

Munroe skinęła głową.

- W takim razie najpierw dograjmy tę partię do końca i zobaczmy, co z tego wyniknie. Potem się do mnie odezwij, dobrze? Zastanowię się, jak ci pomóc.

- Nie potrzebuję jałmużny.

- Uznajmy, że to rekompensata za zmarnowany czas i koszty podróży.

Kąciki ust Gideona nieśmiało podniosły się do góry. Po raz pierwszy od początku ich znajomości Munroe zobaczyła w jego oczach uśmiech.

Rozdział 25

Duży pokój opustoszał, a hol i schody wypełniły się tupotem kroków i gwarem, tak jak co dzień, gdy po porannych naukach wszyscy udawali się do swoich obowiązków.

Hanna, ze wzrokiem wlepionym w ziemię, poszła za pozostałymi do tablicy z rozkładem dnia. Chciała się stać maleńka, niewidzialna, żeby nikt się do niej nie odzywał, bo podczas kary milczenia nie mogła odpowiadać, i strasznie się tego wstydziła.

Z tablicy wynikało, że znowu przypadł jej dyżur w kuchni. Prawie się uśmiechnęła. Przeważnie, kiedy ktoś odbywał karę, przez całe tygodnie musiał sprzątać ubikacje, szorować podłogi albo wykonywać inne obrzydliwe prace - przynajmniej w te dni, kiedy nie jeździło się zbierać pieniędzy. Odkąd jednak jej strażniczką została Morningstar, która nie zasługiwała na gorsze zajęcia, Hannie również przypadły przyjemniejsze prace, co przyjmowała z ulgą.

Pchnięciem otworzyła drzwi kuchni, spodziewając się zastać tam już starszą koleżankę, ale zobaczyła tylko wujka Eza.

Przywitała go skinieniem głowy. Ez wiedział, że ma nakaz milczenia, więc oddelegował ją do sortowania warzyw w komórce. Sortowanie warzyw było najobrzydliwszym zajęciem w kuchni. Musiała przekopać się przez zgniłe odpadki, często pełne larw i innych robaków, żeby wydobyć to, co jeszcze się nadawało do jedzenia. Nie było to wcale takie oczywiste, bo mnóstwo rzeczy, których ona by nie wzięła do ust, uważano za jeszcze całkiem dobre. Poza tym, jeśli za dużo wyrzucała, Ez się złościł.

Właśnie sortowała skrzynkę pomidorów i miała palce w czerwonej mazi, kiedy stuknęły drzwi z siatką przeciwko owadom i do komórki weszła Morningstar.

- Eliasz chce cię widzieć - poinformowała. - Jest u siebie w pokoju.

Hanna mogła rozmawiać ze swoją strażniczką, więc spytała:

- Mam najpierw dokończyć pracę?

- Nie - usłyszała w odpowiedzi, więc odstawiła wiadro, odkręciła kran na zewnątrz i obmyła ręce.

Przeszła przez kuchnię ze wzrokiem utkwionym w ziemi. Pozostali już zajęci byli pracą. Domyślali się, że Hanna ma kłopoty. Podejrzewała, że wiedzą również o wezwaniu na kolejną rozmowę. Wolą nie widzieć, jak się na nią gapią.

Powoli szła w stronę tylnego wejścia do budynku. Czuła, jak jej żołądek skręca się ze strachu, i miała ochotę wymiotować. Jej serce uderzało bardzo mocno, tak jakby waliło w ścianę i chciało się wydostać na zewnątrz. Jej głowę wypełniało tysiąc myśli, a jedna gonila drugą. Nie miała pojęcia, jakiego przewinienia dopuściła się w ciągu ostatnich dni. Z nikim nie rozmawiała. Była posłuszna. Wykazała się spokojem i pokorą ducha. Spisywała dobre i szczere reakcje na każdą z Nauk, aby dowieść, że naprawdę bierze sobie do serca słowa Proroka. I we wszystkim okazywała ogromną uległość. Ale nawet jeżeli chodziło o jakąś drobnostkę, to z takich rozmów nigdy nie wynikało nic dobrego.

Pokój Eliasza znajdował się w aneksie, niedaleko sali grupy dzieci w wieku od dziesięciu do dwunastu lat. Hanna cicho zapukała do drzwi.

- Proszę - usłyszała i weszła do środka.

W pokoju stało podwójne łóżko, tuż obok niego małe biurko, tak blisko, że niemal nie dało się tamtędy przejść. Eliasz siedział na krześle przy biurku, a na łóżku siedziała ciocia Sunshine. Hanna zdziwiła się na jej widok.

Sunshine poklepała miejsce obok siebie.

- Usiądź tu, kochanie – poprosiła.

Żołądek Hanny wykonał jeszcze jedno salto. Miłe słowa i gesty często nie zwiastowały nic dobrego. Usiadła powoli, położyła złożone dłonie na udach i czekała, aż któregoś z dorosłych zacznie mówić.

- Mam wiadomość od twojego taty - oznajmił Eliasz.

Hanna kiwnęła głową i wzięła kartkę, którą jej podał. Był to wydruk e-maila. Eliasz i Sunshine najwyraźniej znali już jego

treść. Na pewno nie wezwali jej tutaj wyłącznie po to, by przekazać jej list, ale i tak było jej przyjemnie, że tato napisał. Ponieważ opiekunowie nic więcej nie powiedzieli, domyśliła się, że czekają, aż przeczyta wiadomość.

E-mail był krótki, zaledwie dwa akapity, w których pisał, ile ma pracy, jak bardzo za nią tęskni, jaki jest z niej dumny, bo pozwoliła mu wyjechać, aby mógł służyć Bogu, i że sam także powierza ją boskiej opiece i ufa tym, którzy podejmują za nią decyzje. Wierzył, że robią to, co dla niej najlepsze.

Listy od niego zawsze brzmiały podobnie. Nigdy nie pisał nic konkretnego i nawet jeśli bardzo się starała wyczytać coś między wierszami, znajdowała tam jedynie własne wyobrażenia. Ale i tak miło było dostać list od niego, wiedzieć, że o niej pamięta. Ta świadomość sprawiła, że poczuła pieczenie i ucisk w gardle.

Odłożyła list na łóżko, aby pokazać Eliaszkowi i Sunshine, że skończyła.

- Skarbie - od razu zwrócił się do niej Eliasz - będziesz musiała na jakiś czas opuścić Przystań.

Miliony pytań zawirowały w głowie Hanny, ale niewiele z nich mogłaby wypowiedzieć na głos, więc się powstrzymała i wybrała tylko to, które na pewno miało dowieść pokory jej ducha.

- Dlatego, że zgrzeszyłam?

Eliasz uśmiechnął się trochę dziwnie, tak jakby go rozbawiła. Wolą to od jego gniewu.

- Nie, kochanie, nie dlatego - powiedział. - Nasi wrogowie, ci, którzy tak długo próbowali cię od nas wykraść, znowu dali o sobie znać. Przypuszczamy, że wkrótce zaczną nas nawiedzać. Chcemy, abyś była bezpieczna, i dlatego musimy cię stąd zabrać.

Hannie zrobiło się smutno. Ciężar tego żalu był ogromny.

Przystanie i Prorok tyle już przez nią wycierpiały, a wszystkim winna była jej zła matka, która nasyłała na Wybranych policję i szatańskie rządy z Pustkowie. Dlatego Hanna i jej tato musieli tak często się przenosić z miejsca na miejsce, a Przystanie dokładały wszelkich starań, aby ją chronić. Nawet sam Pro-

rok wiedział o jej sytuacji, przez co jej obecne grzechy wydały się jej jeszcze gorsze, bo świadczyły o tym, że nie docenia, ile dla niej poświęcono.

- Czy to znowu wina mojej matki z Pustkowie? - spytała.

- Tym razem nie mamy pewności, kto za tym stoi - przyznał Eliasz - ale nasz Pan oraz Prorok przestrzegają, abyśmy się tego spodziewali, dlatego już rozpoczęliśmy przygotowania,

- Dokąd zostaną wysłana? - chciała wiedzieć Hanna. - Pojadę bez taty?

- Twój ojciec dał swoje błogosławieństwo, ponieważ sam nie może ci towarzyszyć. Ukryjesz się w mieście, ale nie w Przystani. Sunshine będzie z tobą cały czas.

To tłumaczyło obecność opiekunki.

- Mam jechać już teraz?

- Dziś lub jutro zjawią się sponsorzy, którzy zabiorą cię w bezpieczne miejsce.

Pamięć o tym, co spotkało ją poprzednim razem, gdy Sunshine zabrała ją do sponsorów, wciąż była świeża i bolesna. Tamto wspomnienie zacisnęło się wokół jej szyi jak dwie wielkie dłonie, odcinając dopływ powietrza. Miała wrażenie, że zaraz się udusi. Nie powinna zadawać żadnych pytań, ale lęk przed jedną rzeczą przeważał nad strachem przed drugą.

- I znowu będę musiała się dzielić miłością Pana? - wypaliła.

Odpowiedzią na jej pytanie było milczenie.

Twarz Sunshine spochmurniała. Hanna rozpoznała spojrzenie, jakim obrzuciła ją opiekunka - tak robili dorośli, kiedy zastanawiali się, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Za to wyraz twarzy Eliasza naprawdę ją przeraził, bo malowało się na niej absolutne zdumienie, tak jakby nie miał pojęcia, o czym Hanna mówi.

To mogło oznaczać, że Rachelę wcale na nią nie doniosła i być może ukarano Hannę za jakieś inne przewinienie. Ale co gorsza, dowodziło też, że Sunshine, choć mieszkała w Przystani, w hierarchii stała wyżej od Eliasza, a tak mogło być, tylko jeśli podlegała bezpośrednio Prorokowi. W takiej sytuacji, gdyby Hanna opuściła Przystań razem z nią, byłaby całkowicie zdana na łaskę opiekunki, ponieważ nikt nie miał prawa sprzeciwić

się woli kogoś, kto podlegał bezpośrednio Prorokowi.

Hannę ogarnął potworny lęk. Przełknęła łzy. Czuła się zupełnie bezradna. Nie chciała opuszczać Przystani. Nie chciała nigdzie jechać z Sunshine. Wierzyła, że gdyby był tu jej tato, nigdy by do tego nie doszło. Przynajmniej mogłaby go prosić, aby się za nią wstawił. I może to on by jej towarzyszył zamiast Sunshine. Swojej mamy nie mogła o nic błagać, bo usłyszałyby tylko, że ma być uległa i posłuszna.

Wszystkie te myśli pojawiły się w jednej chwili. Hanna gorączkowo starała się znaleźć jakiś sposób na udobruchanie Sunshine. Musiała zdobyć sympatię kobiety, która dziś lub jutro miała przejąć pełną kontrolę nad jej życiem. Zamierzała wycofać swoje pytanie, ale Sunshine odezwała się pierwsza.

- Och, skarbie, nic podobnego się nie stanie. Na kilka tygodni przeniesiemy się po prostu do hotelu, żebyś była bezpieczna, ponieważ nasz Pan i Prorok przestrzegli, że ktoś może próbować cię porwać, to wszystko.

Hanna kiwnęła głową. Bardzo chciała w to wierzyć. Sunshine przecież nie kłamała, prawda? Kłamać mogli tylko obcy z Pustkowie. Wybrani nigdy nie oszukiwali innych Wybranych. Jeśli dorośli nie chcieli, aby dziecko o czymś wiedziało, po prostu ganili je za ciekawość. Ale może tym razem było inaczej. Może Sunshine kłamała, bo słuchał tego Eliasza, a od razu było widać, że on nie powinien o niczym wiedzieć. Czy dorośli kłamałi innym dorosłym?

Eliasz odchrząknął na znak, że według niego temat został zamknięty i że ma inne sprawy na głowie. Hanna zamarła.

- Chyba rozumiesz, kochana, że opuszczenie Przystani niczego nie zmienia, prawda? Musisz pojąć pewne lekcje. Twoje zdrowie duchowe wciąż jest dla nas przedmiotem troski, a z raportów, jakie docierały do nas przez ostatnie dni, wynika, że w twoim życiu nadal gości diabeł.

Nic na to nie odpowiedziała. Nie miała najmniejszego pojęcia, czym zawiniła. Z jej miny Eliasz wyczytał chyba konsternację, a może nawet przekonanie o niewinności, bo dodał:

- Wiele osób zauważyło twoje zaszepienie. Kiedy człowieka przepelnia duch Pana, od razu to widać, a ty nie pozwalałaś, by

płynął przez ciebie blask Jezusa. Powinnaś się częściej uśmiechać, Hanno, i pokazać innym, że Jezus jest w tobie.

Kiwnęła głową. Ostatnio miała mało powodów do radości, ale to nie usprawiedliwiała jej ponurej miny. Nawet jeśli było jej okropnie smutno, nie powinna tego pokazywać. Tym bardziej musiała się uśmiechać i pozwolić, aby zawsze emanowało z niej światło Jezusa. Przez ostatnie dni tyle się działo w jej duszy, że przestała uważać na to, co wyraża jej twarz.

- Możesz się spakować po obiedzie - powiedział Eliasz, a gdy po raz kolejny skinęła głową, dodał: - Teraz chodź i mnie uściskaj. Pokaż mi, że masz Pana w sercu.

Hanna podeszła i objęła opiekuna. Eliasz otoczył ją rękami, a potem ścisnął i poklepał jej pupę w sposób, który zawsze powodował, że czuła się nieswojo.

- Biblia mówi: „Bo kogo miłuje Pan, tego karze” - oznajmił. - Pamiętaj, że karzemy cię, ponieważ cię kochamy i chcemy, abyś służyła Jezusowi najlepiej, jak potrafisz.

Hanna wracała do kuchni jak najwolniej. Tam czekały na nią tylko zgniłe warzywa, więc nie miała się do czego spieszyć. Ez nie mógł się na nią gniewać, bo została wezwana przez samego Eliasza. Liczyła na to, że kucharz potrzebował warzyw od razu i już wysłał kogoś innego do sortowania.

Głowę miała pełną myśli o tym, co usłyszała od Eliasza. Za każdym razem, gdy ją upominano lub gdy się o czymś dowiadywała, próbowała doszukać się w tym czegoś dobrego, a potem trzymać się tego i wmawiać sobie, że wszystko się ułoży. Gdy tylko zaczynała w to wierzyć, okropne uczucie mdłości mniej jej dokuczało.

Wreszcie dotarła do kuchni. Zanim otworzyła drzwi, na moment przystanąła, aby przybrać odpowiednią minę. Półuśmiech był w sam raz. Za szeroki wyglądałby sztucznie i wszyscy zaraz by się domyślili, że ma nowe kłopoty, a tym by sobie narobiła jeszcze gorszego wstydu.

Pchnęła dłońią drzwi. Każdą cząstką swojego jestestwa modliła się do niebios o to, by Sunshine mówiła prawdę.

Rozdział 26

Urobienie Gideona zabrało Munroe dwie godziny. Dopiero około drugiej dotarła wreszcie peugeotem pod ranczo Przystani. Schemat był ten sam co za pierwszym razem: czekanie pod bramą, powolna jazda pod dom i wreszcie oczekiwanie na Eliasza.

Trzeciego dnia jej przyjazd uznano już chyba za zupełnie zwyczajny, bo nastoletni Dust przyjął jej zaproszenie, gdy zaproponowała, że podwiezie go pod drzwi. I nie był już tak powściągliwy jak na początku. Po raz pierwszy znalazła się sam na sam z jednym z młodych mieszkańców Przystani, ale choć kłębiły jej się w głowie dziesiątki pytań, mieli do pokonania za krótki odcinek, by zdążyła je zadać. Wykorzystała więc tę chwilę, by się chłopcu przypochlebić.

- Na pewno jesteś wyjątkowy - powiedziała, nie odwracając wzroku od zwirowej drogi, aby nie przestraszyć pasażera i podtrzymać iluzję niewinnych zamiarów. - Chyba nie każdy może pilnować bramy, mam rację?

Kątem oka zobaczyła, że Dust się uśmiecha.

- Jestem witającym. To nic takiego - stwierdził.

Jego ton zdradzał dumę z pełnionej roli - choć był tylko pomocnikiem, któremu pozwalano wpuszczać do środka zaprzyjaźnione z Przystanią osoby. Nie cieszył się aż takim zaufaniem jak Esteban, który wychodził do obcych.

Munroe zaparkowała wóz obok miejsc, które o tej porze powinny być puste. Zamiast furgonetek na parkingu stały dwa najnowsze modele mercedesów, czarne i lśniące, z szybami przyciemnionymi niemal do koloru karoserii. Takimi pojazdami nie można było dyskretnie wozić po mieście piętnastu pasażerów. Nie mieściły się też na pewno w bardzo skromnym budżecie Przystani.

Wysiadła z wozu, celowo podeszła do mercedesów od tyłu i

przystanąła, przyglądając się im ciekawie. Miała nadzieję, że takim zachowaniem wyciągnie od Dusta wyjaśnienia i nie będzie musiała o nic pytać wprost.

Chłopak zerknął na nią.

- Goście - rzucił tylko i dał Munroe znać, że na nią czeka.

Samochody najprawdopodobniej należały do sponsorów, o których wsparcie finansowe i ochronę zabiegała Przyszań. Nie spodziewała się takiego rozwoju wydarzeń. W zależności od tego, kim byli ci ludzie i jakie mieli koneksje, ich obecność mogła oznaczać sporo komplikacji.

Prócz jednowyrazowego wyjaśnienia nie usłyszała od Dusta nic więcej. Nie chciała go wypytywać, bo w sztuce gromadzenia informacji zawsze lepiej było cierpliwie poczekać na całość niż zaprzepaścić szansę, goniąc za okruchami. Chłopak mógł sobie milczeć; i tak miała się dowiedzieć, kim są goście, musiała tylko przekazać Bradfordowi numery rejestracyjne.

Zostawiła niewielki bagaż na tylnej kanapie peugeota i ruszyła za Dustem do budynku. Zamiast do tego samego pokoju co zawsze, zaprowadził ją na górę, do niewielkiego pomieszczenia tuż obok schodów wydzielonego ścianą ze sklejki. Zastukał, aby dać znać, że już są. Ze środka odezwał się głos Eliasza i chłopak wetknął głowę za drzwi. Potem gestem pokazał Munroe, że ma wejść, a sam okręcił się na pięcie i wrócił do swoich zwykłych zajęć - bo przecież nie czekał przez cały dzień, aż się odezwie dzwonek przy bramie.

Na pierwszy rzut oka było widać, że z niewielkiego pomieszczenia pełnego półek i biurowych sprzętów korzysta wiele osób. Eliasz siedział na rozkładanym, metalowym krześle przy prowizorycznym biurku, na którym stał laptop i piętrzyła się sterta papierów. Kiedy zjawiała się Munroe, wstał, aby ją uściśkać, zastępując jej drogę, zanim zdążyła wejść głębiej do ciasnej dziupli.

Nieproszony kontakt sprawił, że cała się zjeżyła, i tak jak poprzednio musiała zapanować nad chęcią zrobienia mu krzywdy. Zmusiła się do odwzajemnienia jego gestu. Dokładnie za Eliaszem znajdowały się trzy regały, częściowo ukryte za zasłoną. Stały tam tomy Nauk Proroka. To dlatego nie chciał jej

wpuścić dalej.

Miał ten sam zamyślony i umęczony wyraz twarzy co poprzedniego dnia. Wskazał z powrotem na drzwi i oboje wyszli z pomieszczenia.

- Tej nocy znowu miałam sen - oznajmiła Munroe i zanim on zdążył coś powiedzieć, podała mu kopertę. - Bóg powiedział, bym wam to dała.

Eliasz po odpowiedniej chwili wahania przyjął dar. Dostatecznie przeciągłe spojrzenie miało jej uświadomić, jak bardzo jest wdzięczny, ale jednocześnie pomóc uniknąć posądzenia o pazerność. Nie zajął do koperty, tylko podziękował i wskazał schody.

- Pan potrzebuje dziś twojej posługi - powiedział. - Jeśli się zgodzisz, w kuchni brakuje nam rąk do pracy.

- Bardzo chętnie - odparła.

Oczywiście wiedziała, że wśród Wybranych chęci nie mają żadnego znaczenia, bo nie pozostawia im się żadnego wyboru. Jej krótka odpowiedź zawierała jednak więcej prawdy niż wszystko, co dotychczas powiedziała Eliaszowi.

Kuchnia znajdowała się na parterze, za schodami, w tylnej części budynku, oddzielona od korytarza solidnymi drzwiami, które zawsze były zamknięte.

Eliasz otworzył je i weszli do pomieszczenia znacznie cieplejszego niż reszta ledwie ogrzewanego domu. Na ich widok przerwano pracę i w tej niby-ciszy syk wielkich garów na profesjonalnej kuchni gazowej zabrzmiał głośniejszy, niż powinien.

Pośrodku znajdowała się zbita z drewna wyspa, wokół której ledwo dało się przecisnąć. Trzy nastolatki kroili przy niej warzywa. Przed dużymi zlewami z nierdzewnej stali, w końcu pomieszczenia, stał kilkunastoletni chłopak, a obok niego mężczyzna po trzydziestce. Munroe podejrzewała, że to on tu wszystkim dyryguje.

Eliasz po angielsku wyjaśnił obecnym, kim jest gość. Trzydziestokilkulatek przedstawił się jako Ez. Munroe domyśliła się, że to skrót od Ezechiela. Chłopiec - Jotam - odwrócił się tylko na chwilę, jakiej wymagało podanie imienia, po czym znów stanął plecami do reszty i zajął się robotą. Dziewczeta z

nieśmiałyymi uśmiechami ścisnęły się bardziej, robiąc jej miejsce.

Po drugiej stronie wyspy, między córką Eliasza, Morningstar, którą Munroe poznała poprzedniego dnia, i Sarą, którą widziała po raz pierwszy, stała Hanna. Przedstawiła się jako Faith.

Munroe przemknęło przez myśl, że właśnie to powinien być moment ucieczki. W chwilach takich jak ta bohaterowie walczący po stronie dobra dobywali broni i bezpiecznie wyprowadzali zakładnika z niewoli.

Teoretycznie mogłaby to zrobić. Jeden szybki wypad do samochodu, zwolnienie blokady bagażnika i już miałyby broń. Brama wjazdowa w zasadzie nie była przeszkodą, zwłaszcza że przewidziała taką ewentualność i usunęła poduszki powietrzne z peugeota. Gdyby garstka ludzi w kuchni zdecydowała się walczyć, zamiast uciec, Munroe musiałaby sobie z nimi poradzić, jednocześnie trzymając Hannę, ale to było jak najbardziej możliwe.

Nie obyłoby się jednak bez kilku strzałów, a to nie byłoby rozważne, ze względu na obecność sponsorów.

Poza tym to nie był film. Tu chodziło o prawdziwych ludzi i ich życie - o nastolatki, które nie potrzebowały dodatkowej traumy. Taka przemoc mogła wywołać u nich poważny wstrząs. Zwłaszcza w połączeniu z tym, co już w życiu przeszły. Te dzieciaki były siostrami i braćmi, o których tak martwili się Heidi, Logan i Gideon. Skrzywdzenie jednego dziecka po to, by uratować inne, oznaczałoby próbę uzdrawiania przez zadawanie bólu.

Gdyby Hanny nie dało się stąd wydostać inaczej niż siłą, Munroe na pewno by się na to zdecydowała. Na szczęście istniały spokojniejsze rozwiązania. W nocy zamierzała przygotować pole działania i wezwać Bradforda. Razem mieli wydostać stąd śpiącą Hannę i na zawsze zapomnieć o tym miejscu.

Wspólna praca w kuchni stwarzała idealną szansę na nawiązanie bliższej znajomości oraz zdobycie zaufania i sympatii nie tylko Hanny, ale także Morningstar, siostry Heidi. Właśnie za jej pośrednictwem Munroe miała nadzieję wniknąć głębiej w

mentalność tych ludzi i lepiej zrozumieć, jak dalej postępować z Hanną i jaką taktykę obrać, gdy dziewczynka zostanie stąd bezpiecznie zabrana.

Ez łamanym hiszpańskim pokrótce wyjaśnił Munroe, co muszą zrobić w ciągu dwóch godzin. Ulegle przytakiwała, a kiedy skończył, zdjęła płaszcz i zaczęła się rozglądać za miejscem, gdzie mogłaby go odłożyć.

Tak jak miała nadzieję, polecił jej zostawić okrycie w pokoju dziennym. Opuściła kuchnię i dopóki pozostali ją widzieli, szła powoli. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, niemal biegiem pokonała korytarz. Płaszcz rzuciła na jedno krzesło, pod drugim przyczepiła pluskwę, a potem umieściła mikrokamerę dość blisko podłogi, tak że była prawie niewidoczna.

Urządzenie miało ograniczony zasięg i mogło działać tylko do wyczerpania baterii, ale za to odbiornik w jej torebce przejmował nadawany przez nie sygnał i działał jak transponder. Musiała tylko trzymać się w pobliżu. Wycelowała obiektyw mniej więcej w stronę drzwi. Nie miała czasu sprawdzić ustawienia. Później mogła to poprawić. Przykucnęła przy krześle.

- Chcę, żebyś zanotował i sprawdził dwie rejestracje - powiedziała i wyrecytowała z pamięci numery czarnych mercedesów.

Nawet jeśli Bradford nie siedział akurat przy biurku w momencie uaktywnienia nadajnika, wiedziała, że czeka na dane z Przystani i wkrótce odbierze przekaz. Na tym poprzestała. Na razie miał informacje potrzebne, by zacząć działać. Wiedziała, że jeśli odkryje coś ważnego, skorzysta ze specjalnego numeru telefonu komórkowego. Ona, dla zachowania pozorów, wołała do niego nie dzwonić, chyba że w ostateczności.

Wróciła do kuchni i zajęła miejsce obok dziewcząt. Morningstar przesunęła ku niej misę ziemniaków i podała stolnicę oraz nóż.

Z bezgłośnym westchnieniem Munroe popatrzyła na niepojętne i tępe ostrze. Gdyby obecni mieli pojęcie, co drzemiący w niej drapieznik potrafi zrobić z niezgrabnym, kuchennym narzędziem, nie byłiby tak lekkomyślni. Jej palce zamknęły się wokół rękojeści i w tym momencie nóż stał się częścią jej ciała,

przedłużeniem ręki. Instynktownie oceniła jego wagę i środek ciężkości, wzięła z misy ziemniak i zaczęła kroić go w kostkę, tak jak jej pokazano.

Obowiązującym językiem był angielski. Rozmowa toczyła się swobodnie. Momentami nawet sobie żartowano. Z tych przekomarzanek Munroe dowiedziała się o Wybranych więcej niż ze wszystkich konwersacji z Eliaszem. Od czasu do czasu Morningstar przerywała pozostałym i tłumaczyła wybrane zdania na hiszpański, nieświadoma - bo Munroe świetnie udawała - że gość nie tylko wszystko rozumie, ale też nagrywa.

Michael dość szybko się zorientowała, że kiedy mówiono po hiszpańsku, Ez i Jotam niewiele z tego rozumieli i jeszcze mniej się tym zajmowali.

Dynamika relacji w kuchni okazała się lekcją na temat podziału władzy. To było królestwo Eza. Tu musiał dokonywać cudów z produktami, jakie mu dostarczano. Pozostali słuchali go we wszystkim, co dotyczyło przygotowywania posiłków. Za to w innych sprawach prym wiodła Morningstar, siostra Heidi. To jej kazano zaopiekować się Munroe, to przed nią pozostałe dziewczyny skrywały osobiste myśli i uwagi i to na nią się zdały w rozmowie z obcą.

W miarę upływu czasu grupka coraz bardziej oswajała się z jej obecnością. Munroe została włączona do rozmowy. Rozśmieszała dziewczęta dowcipnymi uwagami i czasem o coś pytała. Oczywiście nie o żadne kłopotliwe sprawy, które gdzie indziej były na porządku dziennym. Nic o tym, jak spędzają wolny czas, ani o ulubionych przedmiotach w szkole, a już na pewno ani słowa o planach na przyszłość, studiach czy wymarzonej pracy - bo to nie one miały podjąć te decyzje. Trzymała się bezpiecznej strefy, unikając pułapek i wątków, które dziewczęta wolały omijać, aby zaprezentować gościowi swoje życie w lepszym świetle. Dzięki temu nie musiały stale się pilnować i baczyć na słowa.

Te trzy nastolatki niczym się nie różniły od najbardziej nieprzejednanych agentów, którzy strzeżenie tajemnic traktowali jak swój moralny obowiązek. Wystarczyło takie osoby nakłonić, aby od ofensywy przeszły do defensywy, trafić kilka razy w

czuły punkt i sprawić, że zaczną się bronić przed atakiem - prawdziwym lub tylko wyimaginowanym - a od razu zniknęły hamulce w ujawnianiu informacji.

Munroe dyskretnie skierowała rozmowę na ich kościół - jak go nazywały - na radość służenia Panu i na błogosławieństwo pełnego poświęcenia. Wspomniała o wyrzeczeniach ludzi, którzy zrezygnowali ze wszystkiego, aby służyć Bogu, i wreszcie spytała dziewczyny, jak one - będąc dziećmi, które miały szczęście urodzić się w Przystaniach - mogły pojąć i docenić to, z czego zrezygnowało pierwsze pokolenie.

Przejęcie było tak płynne, że nastolatki w niczym się nie popląły. Morningstar i Sara zaczęły bez zahamowań opowiadać o swoim życiu i o tym, co poświęciły, a Munroe cierpliwie czekała, chłonąc każde słowo. Dziwiło ją tylko milczenie Hanny.

- A ty, Faith? - spytała dziewczynkę wprost.

Hanna ukradkiem zerknęła na Morningstar i dopiero gdy ta niemal niezauważalnie skinęła głową, odważyła się odezwać.

- Ja poświęciłam mego tatę. Służy Panu w szczególny sposób i dlatego nie może być ze mną... nie widziałam go od lat.

Tak jak pierwsze pokolenie, które musiało poświęcić swoje rodziny, ja również to zrobiłam. Wiem, co to znaczy. Jak jest ciężko. Ale Bóg mnie za to pobłogosławił.

Te słowa potwierdziły przypuszczenia Munroe na temat Davida Lawa, a jednocześnie tak odważnie wyjawiona prawda obudziła w niej bolesne wspomnienia. Jej twarz wyrażała taki sam spokój jak miny wszystkich wokół stołu, ale w wewnętrznym kotle znowu zaczęło wrzeć. Hannę uważano za dostatecznie ważną, aby ją porwać - odebrać rodzicom, którzy ją kochali i otworzyliby przed nią cały świat - ale nie liczyła się dość, by zostać kimś więcej niż narzędziem Proroka.

Morningstar rzuciła Hannie miazdzące spojrzenie i dziewczynka umilkła. Munroe zareagowała błyskawicznie, aby nie zaprzepaścić tego, co zdołała już osiągnąć.

- Przynajmniej masz mamę - powiedziała.

Hanna przytaknęła.

- To mama darowana mi przez Pana - wyjaśniła. - Jest moim przybranym rodzicem.

- A twoja prawdziwa mama jest razem z tatą?

Dziewczynka pokręciła głową.

- Nie, ona mieszka na Pustkowie. Jest Wrogiem Boga. Nie wprzegamy się z niewierzącymi w jedno jarzmo.

Munroe znała Pismo Święte i wiedziała, co znaczą te słowa. Właśnie one otworzyły przed nią milion możliwości. Wybrała ścieżkę najmniej naturalną i najbardziej przychylną Wybranym.

- Może to i lepiej - stwierdziła. - Czy to znaczy, że wszystkie macie niewierzących bliskich, którzy żyją z dala od Wybranych? - spytała po chwili wymownego milczenia.

- Nie, nie wszyscy - odparła Hanna - ale Morningstar ma.

Munroe sądziła, że dziewiętnastolatka znowu upomni młodszą koleżankę, ale ona tylko westchnęła i skupiła się na szatkowaniu cebuli. Zapach był tak ostry, że wszystkim zaczęły łzawić oczy.

- Mam na Pustkowie siostry - przyznała po chwili.

- Starsze?

Morningstar kiwnęła głową.

- Nie rozmawiam z nimi, bo nie tylko są niewierzące, ale również kłamią.

- Kłamią?

- Mówią nieprawdę o tym, w co wierzymy, a w co nie... i opowiadają, że w naszym kościele dochodziło do rzeczy, które wcale się nie wydarzyły.

- Do jakich na przykład?

Zwykle starała się unikać bezpośrednich pytań, ale Ez i chłopak w ogóle nie zwracali na nie uwagi, a dziewczyny niczego nie podejrzewały.

- Że dzieci Wybranych są maltretowane, że nie mają wykształcenia i że dorośli wykorzystują je seksualnie - powiedziała. - Przecież wystarczy na mnie spojrzeć i od razu widać, że nikt mnie nie maltretuje. Uważam, że życie, jakie tu wiemy, jest najlepszą nauką dla nastolatka, i żaden dorosły nigdy nie wykorzystał mnie seksualnie.

Stojąca po przeciwnej stronie wyspy Hanna odwróciła wzrok. Munroe zdążyła dostrzec wyraz jej oczu - podobny do tego, jaki

pojawia się u winnego, gdy na chwilę do głosu dochodzi jego podświadomość, nim zagłuszą ją kłamstwo i pozory. To był tylko ułamek sekundy, ale wystarczył, aby wszystkiego się domyśliła. Jej żołądek skurczył się gwałtownie, a puls przyspieszył. Jeden moment. Od spokoju do wściekłości w tempie błyskawicy.

Odłożyła nóż i wsunęła jego ostrze pod stolnicę. Obawiała się, że jeśli tego nie zrobi, nie obejdzie się bez rozlewu krwi.

Rozdział 27

Serce Munroe waliło jak oszalałe. W głowie miała karuzelę. Jej umysł pracował na zdwojonych obrotach, aby zapanować nad nerwami i przetrwać to, czego się właśnie dowiedziała. Jednym uchem słuchała dalszego wyводу Morningstar, a gdy w końcu zapadła cisza, nie zastanawiając się nad tym, jakie następstwa mogą mieć jej słowa, powiedziała:

- Może twoje siostry naprawdę spotkało to, co mówią, nawet jeśli ty tego nie doświadczyłaś.

Morningstar, pochłonięta uzasadnianiem swojej racji, zupełnie nie zauważyła reakcji Munroe ani cienia wyzwania, jakie pojawiło się w jej głosie. Wyglądała w tej chwili jak młodsza, poirytowana wersja Heidi.

- Mam setki przyjaciół - oznajmiła - i żadnemu nic takiego się nie przytrafiło. Gwarantuję, że nikt z nas nie był wykorzystywany. Nie można przecież żyć tak blisko siebie i nie mieć pojęcia o tym, co się między nami dzieje. Ktoś na pewno by mi o czymś takim wspomniał. - Na moment umilkła, tak jakby coś rozważała. - Przykro mi, ale nie mogę uznać tych historii za prawdziwe.

Munroe skinęła głową. Znała obowiązujące tu zasady. Sporo na ich temat czytała. Taka reakcja idealnie wpisywała się w standardowy sposób myślenia Wybranych - doświadczenie jednej osoby wystarczało, aby odrzucić wszystko, co było niezgodne z oficjalną wersją, a określeniu „maltretowanie” łatwo zaprzeczano, ponieważ dla tych dzieci znaczyło ono zupełnie co innego niż dla osób z Pustkowie. To samo słowo, zupełnie inny język. Munroe coraz bardziej kręciło się w głowie.

Niestety „takie historie” mogły się dziać wśród ludzi mieszkających blisko siebie i nigdy nie wyjść na jaw. Dowód stał tu przed nimi: maty, jasnowłose i niewinny. Hanna, ze wzrokiem utkwionym w cukinii, szatkowała zawzięcie i ani słowem nie

sprostowała opinii starszej adeptki Wybranych. A przecież jej prawda była oczywista dla każdego, kto miał oczy i potrafił pa-trzeć - dla każdego, kto miał serce.

Dudnienie w czaszce Munroe stało się nieznośne. Leżący przed nią nóż oferował euforyczną drogę do zbawienia. Zwalczyła w sobie chęć, by po niego sięgnąć. Zdusiła wściekłość. Z całych sił walczyła o to, by nie stracić panowania nad sobą.

- Muszę skorzystać z łazienki - powiedziała.

- Pierwsze drzwi po lewej stronie - poinformowała ją Morningstar.

Munroe skierowała się do drzwi, jeszcze zanim dziewczyna dokończyła zdanie.

W łazience oparła się plecami o ścianę i przez chwilę uderzała w nią głową. Ze wzrokiem wlepionym w sufit oddychała głęboko, lecz nie mogła ugasić płonącego w niej ognia. Odezwała się w niej żądza mordu w najczystszej postaci - pragnienie zemsty, ukarania winnych za zło, które nigdy nie powinno było się wydarzyć. Przyjechała tu z postanowieniem, że nie użyje przemocy, zaczeka na noc i dopiero wtedy zabierze Hannę po cichu. Ale nie mogła... Jej głowa uderzała o mur z głuchym od-głosem. Nie mogła. Nie mogła.

Wreszcie ten straszny, nieokiełznany żywioł ognia opadł i zmienił się w żar intensywnego skupienia. Wyszła z łazienki. Zamierzała pójść po broń, zabrać stąd Hannę i mieć to z głowy. Pięć minut. Reszta mogła sama o siebie zadbać. A co do Heidi, Gideona i Logana - niech ich diabli... zrobiła wszystko, co w jej mocy - mogła ich tylko przeprosić za skutki tego, co za chwilę miało się wydarzyć.

Z determinacją minęła kuchnię i skręciła w korytarz prowadzący przez budynek do holu i przedsionka, ale gdy dotarła do schodów, stanęła jak wryta.

Właśnie schodziła z nich grupa pięciu mężczyzn, którym towarzyszyły trzy kobiety z Wybranych. Nie zatrzymała się by-najmniej z powodu ich liczby ani obawy o swoje szanse. Mogła wydostać stąd Hannę, bez względu na liczbę przeciwników, je-śli oczywiście przestałaby się przejmować tym, że nie uniknie śmierci przypadkowych ofiar. Przystanęła z powodu wyglądu

mężczyzn - właściciele czarnych mercedesów.

Mieli na sobie sztywne na miarę garnitury i drogie buty. Marynarki trzech z nich wybrzuszały się nieznacznie tam, gdzie nie powinny. Trzy kobiety, lepiej ubrane i bardziej zadbane od tych, które Munroe dotychczas spotkała, całą uwagę poświęcały dwóm mężczyznom pośrodku. Mieli najwyżej po czterdzieści kilka lat i wyglądali na braci. Panie uśmiechały się zalotnie, prowadząc z gośćmi niezobowiązującą rozmowę. Nikt z grupy nie zwrócił uwagi na Munroe, dopóki nie dotarli do ostatniego odcinka schodów.

Jak w zatrzymanym kadrze wszystkie elementy trafiły na miejsce i nabrały sensu. Pozy. Gesty. Sposób bycia. To nie byli zwykli biznesmeni. Munroe wystarczająco wiele razy musiała smarować baronom z kularów społeczeństwa. Umiała rozpoznać oznaki korupcji. Wszystko stało się jasne. Miała przed sobą dwóch bonzów z goryłami i kurtyzany sprezentowane im przez Wybranych. Odkryła, skąd się wzięły porządniejsze meble i nowsze furgonetki w tej Przystani.

Cała grupa zeszła już na parter i odgradzała Munroe od wyjścia. Nie spieszyli się. Być może nie mieli w planach nic szczególnego. Zatrzymali się w holu. Korzystając z pauzy w ich rozmowie, Munroe ruszyła do drzwi. Trzymała się jak najbliżej ściany po prawej stronie, aby ich wyminąć. Szła powoli.

Musiała się zatrzymać, gdy jeden z bossów wyciągnął ku niej łapę. Zrobił to niby żartem, ale z miną posiadacza, tak jakby miał prawo jej dotknąć.

- Witaj, ślicznotko - powiedział.

Odrzuciła jego rękę tak błyskawicznym ruchem, że oprócz niego i jednego z goryli nikt nie zauważył, co zaszło.

Zrobiła to bez zastanowienia - rozważę i logikę przesłoniła chmura emocji - ale ten odruch ściągnął ją z powrotem do rzeczywistości. Nim pozostali odwrócili się w jej stronę, aby zobaczyć adresatkę słów bossa, jej ciało zmiękło i w mgnieniu oka przeistoczyła się w zupełnie inną osobę. Wpatrywała się w mężczyznę spod przymrużonych powiek. Pozostali widzieli tylko jej uległą postawę, tymczasem ona spojrzeniem piorunowała śmiałka w niemym ostrzeżeniu.

Odczekała chwilę. Nikt z towarzystwa nie zareagował, więc skierowała się do drzwi. Goryl, który widział, jak się wcześniej zachowała, zastąpił jej drogę.

W innych okolicznościach taki rozwój wydarzeń wywołałby u niej bardziej gwałtowną reakcję. Dziś jednak nie zamierzała dać się sprowokować. Całą uwagę koncentrowała na tym, by wydostać stąd Hannę. I to jak najszybciej. Niestety, na razie musiała zrezygnować z natychmiastowej realizacji planu. Wprawdzie nie obawiała się mężczyzn, ale dopóki tu byli, nie mogła liczyć na szybkie i czyste wyjście. Któryś mógł odpowiedzieć na jej strzały i przypadkiem trafić dziewczynkę.

Boss szepnął coś jednemu ze swoich ludzi, a ten z kolei przekazał to jednej z kobiet Wybranych. Goryl wciąż zastępował drogę Munroe, a jego szef przyglądał się jej, jakby była smakowitym kąskiem.

Twarz kobiety spochmurniała, gdy dotarło do niej, czego chcą mężczyźni. Tą samą drogą przekazała odpowiedź bossowi. Chwilę później goryl się cofnął i pozwolił Munroe przejść.

Dotarła do samochodu i stanęła bez ruchu przy bagażniku. Długo patrzyła przed siebie. Krótkie spięcie w holu wymusiło powrót logiki, a wraz z nią pojawiła się szachownica, strategia, wcześniejszy plan, do którego mogła wrócić, pod warunkiem że zachowa zimną krew i wytrzyma do wieczora.

Zostawiła bagażnik w spokoju, wśliznęła się na miejsce kierowcy i zatrzasnęła drzwi. Z kieszeni wyjęła awaryjną komórkę i wybrała numer.

Bradford odebrał po pierwszym dzwonku.

- Mam tylko minutę - powiedziała. - Sprawdziłeś tablice? Dowiedziałeś się czegoś?

- Tak, dosłownie przed chwilą - odparł. - Samochody należą do Carcanów. To właściciele dużych firm w Buenos Aires, bardzo wpływowi, ustosunkowani, ich nazwiska powiązane są z przestępczością zorganizowaną. Głównie pranie pieniędzy na wielką skalę, choć podejrzewa się ich o znacznie więcej. Nie wiele wiadomo na temat ich operacji. Są wrogo nastawieni do obcych i lepiej ich nie lekceważyć.

W pauzie, jaką zrobił Bradford, kryło się wiele pytań - chciał

wiedzieć, skąd wzięła numery tablic rejestracyjnych i co się, do diabła, dzieje na ranczu - ale żadnego nie zadał.

- Trafiłaś do gniazda żmij - stwierdził tylko. - Proszę cię, bądź ostrożna.

Munroe chwilę milczała, po czym podziękowała mu i wyłączyła telefon.

No to pięknie.

Spojrzała na drzwi budynku.

Spadkobiercy rodu Carcanów jeszcze nie opuścili Przystani, a wolała nie siedzieć w samochodzie, kiedy się zjawią. Wiedziała, że dopóki nie odjadą, wydostanie Hanny nie wchodzi w grę, a jeśli nie chciała zamknąć sobie możliwości nocnej akcji, nie miała wyboru, musiała wrócić do kuchni.

W holu nikogo nie zastała. Z każdym krokiem starała się odzyskać wcześniejszy nastrój, cofnąć do czasu, kiedy jeszcze się nie domyślała, jaką tajemnicę skrywa Hanna.

W kuchni nic się nie zmieniło, robota szła pełną parą. Za kwadrans dania miały trafić do jadalni. Kiedy Munroe wróciła, spytano ją tylko, czy nic jej nie jest, a gdy zaprzeczyła, obecni zajęli się robotą. Wszystko było tak jak przed jej wyjściem.

Działała jak automat. Maską spokoju na twarzy ukrywała burzę, jaka szalała w jej wnętrzu, dlatego cieszyło ją tempo pracy, bo w zasadzie nie było czasu na rozmowy o innych sprawach. W końcu gary i tace wyjechały za drzwi, zabrane przez dyżurnych z jadalni. W kuchni, która jeszcze chwilę wcześniej działała na pełnych obrotach, nagle zrobiło się cicho.

Morningstar westchnęła ostentacyjnie i spojrzała na Munroe.

- Tato wspomniiał, że zostaniesz dziś na noc - powiedziała.

Munroe przytaknęła. Na twarzy wciąż miała namiastkę uśmiechu.

- Mamy dziesięć minut do obiadu. Może pomogę ci przynieść rzeczy i oprowadzę po domu. Pokażę, gdzie będziesz spała - zaproponowała dziewczyna.

Munroe powinna się ucieszyć, bo miała idealną okazję do zapoznania się z rozkładem pomieszczeń w budynku i nawet nie musiała o nic prosić ani uciekać się do żadnych podstępów. Tylko że teraz czuła się emocjonalnie przykuta do Hanny. Oba-

wiała się, że jeśli odejdzie choć na chwilę, nawet po to, by przeprowadzić rozpoznanie, nie zdoła zapanować nad nerwami. Z ociąganiem podniosła torebkę z podłogi i zostawiła sprzętanie nastolatkom.

Morningstar poszła za nią do samochodu, który stał pod ciemniejącym niebem, obok mercedesów. Munroe z tylnej kanapy peugeota wzięła bagaż. Morningstar oglądała walizkę i samochód z dyskretną ciekawością. Jej spojrzenie zastanowiło Munroe. Zamiast czujności strażniczki kryło się w nim zdziwienie, tak jakby dziewczyna po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że peugeot jest własnością gościa, i skojarzyła to z wcześniejszą rozmową o poświęceniu.

Munroe postawiła niewielką walizkę na ziemi i wyciągnęła teleskopową rączkę. Morningstar przyjrzała się bagażowi – ta niewielka rzecz prawdopodobnie kosztowała więcej, niż dziewczyna przez cały miesiąc zdobyła zebraniem.

- Podoba ci się? - spytała Munroe.

Morningstar zaczerwieniła się z zażenowania, bo została przyłapana na ciekawości.

- Jest bardzo ładna - odparła.

- Może być twoja.

Dziewczyna popatrzyła na nią niepewnie.

- Naprawdę? - spytała.

Munroe podsunęła jej rączkę walizki.

- Możesz ją wziąć od razu, jeśli chcesz - powiedziała. - Później zabiorę z niej rzeczy.

Morningstar przez chwilę się wahała, a potem z promiennym uśmiechem, z którym bardzo przypominała Heidi, wzięła walizkę.

To była najłatwiejsza łapówka w dotychczasowej karierze Munroe.

Górne piętro domu podzielono na cztery części. Jedną zajmowali nastoletni chłopcy i młodzi mężczyźni, drugą nastoletnie dziewczęta i samotne kobiety. W trzeciej ulokowano grupę najmłodszych dzieci, bez podziału na płeć, a czwartą -

jak wyjaśniła Morningstar - podzielono na mniejsze pokoje dla par.

Do dyspozycji mieli tylko dwie łazienki, które, podobnie jak toaletę w aneksie, przerobiono tak, aby mogło z nich korzystać więcej osób.

Sala dziewcząt przypominała sypialnię, którą Munroe widziała wcześniej w drugim budynku. Wzdłuż ścian i pośrodku pomieszczenia stały wąskie, trzypiętrowe prycze własnej konstrukcji, między którymi zostawiono tylko ciasne przejścia. Rzeczy trzymano w walizkach pod dolnymi łózkami oraz w szafach, które zajmowały całą wnękę w ścianie. Wszystkie łóżka były równiutko posłane i przykryte takimi samymi, własnoręcznie uszytymi kapami. Nigdzie nie wały się żadne osobiste drobiazgi. Jedynym dodatkowym meblem był wysoki i wąski regał zasłonięty zasłoną, wpasowany między dwie wieże prycz.

Tutaj przestrzeń była na wagę złota. Munroe dopiero teraz w pełni pojęła wartość małej walizki, którą ofiarowała Morningstar. Jeśli liczba miejsc do spania była wskazówką, nieogrzewana sala o powierzchni niecałych czterdziestu metrów kwadratowych miała piętnaście lokatorek.

Morningstar wskazała jedną z górnych prycz.

- To w tej chwili jedyne wolne łóżko - powiedziała. - Crystal na jakiś czas wyjechała. Jeśli obawiasz się wysokości, mogę się z tobą zamienić.

Munroe spojrzała na piętrową konstrukcję i lekko nią poruszyła. Pomimo osobliwej budowy wydawała się dostatecznie stabilna.

- Jakoś dam radę - powiedziała.

Wcale nie zamierzała tu spać, ale obok znajdował się regał, który wydawał się doskonałym miejscem do ulokowania ukrytej kamery.

Opierając stopy na krawędziach łóżek jak na szczeblach drabiny, wdrapała się na górę o wiele wolniej, niżby mogła. W końcu usiadła na pryczy, lekko pochylając głowę, aby nie zawadzać o sufit, i uśmiechnęła się szeroko.

- A ty gdzie śpisz? - spytała.

Morningstar wskazała na środkowe łóżko przy ścianie w głębi

sali.

- A Sara?

Prycza pod Munroe.

- A Faith?

Dziewczyna kiwnęła głową ku środkowemu piętru sąsiedniej konstrukcji.

Całe przedstawienie tylko dla tej jednej wskazówki - aby wiedzieć, gdzie w nocy szukać Hanny. Tak to się właśnie odbywało w świecie gromadzenia informacji. Miała powody do zadowolenia. Za jednym zamachem zdołała ustalić lokalizację celu, poznać rozkład pomieszczeń górnego piętra i zyskać do nich pełen dostęp. A wszystko za jedną małą walizkę.

Podejrzewała, że najtrudniej będzie zejść z łóżka, nie budząc dziewcząt z niższych pryczy. Poruszyła się tak, aby zatrząść całą konstrukcją, czym wywołała śmiech Morningstar.

- Mogłabym się do tego przyzwyczaić - stwierdziła.

- Przepraszam, ale muszę teraz pilnie zająć się jedną sprawą - poinformowała dziewczyna i z uśmiechem wskazała na regał. - Możesz położyć swoje rzeczy na półce Crystal. Rozłokuj się, a ja wrócę dosłownie za pięć minut i pójdziemy razem na kolację.

Munroe skinęła głową, trochę zdziwiona łatwością, z jaką Wybrani wpuścili obcą - która przecież mogła się okazać kryminalistką - do prywatnej strefy domu. Ufali jej już w dostatecznym stopniu, by mogła towarzyszyć ich dzieciom, ale nie dość, by wolno jej było czytać Nauki Proroka. Tak pokręcony system wartości miał sens, jeśli rozumiało się Wybranych.

Gdy Morningstar wyszła, Munroe zaczęła montować kamerę na szczycie regału. Uwinęła się z tym, zanim dziewczyna wróciła.

Kolacja wyglądała tak samo jak poprzedniego wieczoru. Gwar rozmów stu pięćdziesięciu głosów. Śpiewy. Modlitwy. I znów kakofonia dźwięków. Munroe ponownie posadzono z rodziną Eliasza, ale tego wieczoru towarzyszyła im również Hanna, choć jej przybrana matka, Magdalena, siedziała wraz z trójką młodszych dzieci przy stole w głębi jadalni.

Obecność Hanny zastanowiła Munroe i kazała jej na nowo przeanalizować ewentualne scenariusze i środki ostrożności. Musiała nabrać pewności, że nikt nie próbuje jej zrobić, że mieszkańcy nadal nie zdają sobie sprawy, dlaczego tu jest, i nie grają lepiej od niej, że to tylko zwykły zbieg okoliczności.

Eliasz trochę się spóźnił. Kiedy zajmował miejsce naprzeciwko gościa, przecisnął się obok Hanny i otoczył ją ramieniem.

- Wiem, że poznałaś już moją przybraną córkę - powiedział do Munroe.

- Ciągle jeszcze nie mogę się połapać w rodzinnych koligacjach - przyznała.

- Jej ojciec służy Panu w innej Przystani - wyjaśnił gospodarz - a Faith towarzyszy naszej rodzinie kilka dni w tygodniu.

Jego dłoń została na ramieniu dziewczynki trochę dłużej, niż wymagał tego zwykły serdeczny gest. Munroe pewnie złożyłaby to na karb relacji panujących wśród Wybranych, gdyby nie niechęć i napięcie na twarzy Hanny.

Już po raz drugi tego dnia widziała to spojrzenie. Dziewczynka od dziecka przyzwyczajona była do bliskości innych i dotyk nie budził w niej awersji. Teraz jednak jej postawa wyraźnie zdradzała lęk. Nie chciała mieć nic wspólnego z tym mężczyzną. Munroe przeniosła wzrok z Eliasza na Hannę, a potem na Morningstar, która siedziała naprzeciwko koleżanki. Nastolatka, która wcześniej z taką dumą zapewniała, że żadna z jej przyjaciółek nie była wykorzystywana seksualnie, zupełnie nie miała pojęcia, co się dzieje w jej własnej rodzinie i jakich czynów dopuszcza się jej ojciec.

Ugaszony wcześniej żar na nowo wybuchł silnym płomieniem. Pojawiło się uczucie mdłości. Oczy zapiekły od gniewu, a umysł zaczął pracować szybko, analizując i szukając wyjaśnień. Munroe nie miała wątpliwości, że Hanna była molestowana w Przystani. Ale czy robił to Eliasz?

Zdawała sobie sprawę, że nie jest nieomylna. Umiała interpretować mowę ciała, lecz zawsze istniało ryzyko błędu. Nie mogła być absolutnie pewna swoich spostrzeżeń. Zwłaszcza w takiej sytuacji.

Siedziała bez ruchu. Oddychała. Spokojnie. Miarowo.

Wszystko, co działo się wokół, zatrzymywały filtry wewnętrznego dialogu. Czas zwolnił bieg. Rejestrowała interakcję między Hanną i Eliaszem. Analizowała. Obserwowała. Szukała zaprzeczenia, ale wciąż wyraźnie widziała dowody w tym, jak dotykał dziewczynki, jak się do niej zwracał, a także w oczywistej niechęci Hanny do opiekuna i w jej wypełnionych łękiem oczach.

Ten mężczyzna, lider wspólnoty, był dla Hanny przybranym ojcem, autorytetem, nauczycielem, przewodnikiem w służbie Panu... i potworem. Dziewczynka, wykradziona rodzicom, opuszczona przez porywacza i przekazywana z rąk do rąk jak zabawka, ciągle zmieniająca właścicieli, nie miała bezpiecznego miejsca na ziemi. Może nawet nie zdawała sobie sprawy, że to, co ją spotkało, jest przestępstwem.

Wewnętrzny czujnik Munroe był ostrzegawczo. Jej pogwałcone dzieciństwo wracało jak bumerang, burzyło się jak prastara istota długo uspiona pod ziemią.

Nawet gdy Hanna stąd zniknie, koszmar się nie skończy. Jej miejsce zajmie kolejne niewinne dziecko. Munroe mogła jednak położyć temu kres - zabić tego mężczyznę, nim opuści Przyszań, i na zawsze przerwać pasmo cierpień. W ogniu upływających sekund odezwał się w niej konflikt samozwańczej sprawiedliwości. Miała zakończyć jedno cierpienie, aby dać początek drugiemu.

Tu nie chodziło o obcych w ciemnym zaułku. Eliasze był mężem, ojcem i dziadkiem. Ojcem Morningstar, ojcem Heidi, jedynym człowiekiem, który chronił zebrane wokół stołów dzieci przed losem takim jak Hanny. Ich niewinne oczy, spoglądając na nią ciekawie, uświadamiały jej, jak osobiste i ważne będą skutki wyboru, którego dokona.

Musiała nad sobą zapanować. Z wysiłkiem dążyła do utrzymania samokontroli.

Oddychaj. Słuchaj. Odpowiadaj.

Współbiedniacy coś do niej mówili.

Odpowiedz im.

- Nic mi nie jest - zapewniła. - Chyba tylko trochę zakręciło mi się w głowie. W kuchni było tak gorąco.

Rozdział 28

Munroe wytrzymała do końca wieczoru. Widziała wszystko jak przez mgłę, reagowała automatycznie i pod fasadą spokoju ogromnym wysiłkiem woli ukrywała oznaki burzy toczącej się w jej wnętrzu.

Tak jak poprzedniego dnia, po kolacji rozmowy się przeciągnęły. Od stołu odchodzili kolejni domownicy. Munroe niespokojnie obserwowała Hannę. Bała się spuścić ją z oczu nawet na chwilę, choć wiedziała, że nie ma innego wyjścia.

Wszyscy zebrali się raz jeszcze w największym pokoju na wieczór pieśni i inspirujących słów - kolejne przedstawienie Wybranych. To było denerwujące, zwłaszcza po wydarzeniach, jakie przyniósł dzień. Pragnęła, żeby się już skończył. Chciała uciec na swoją pryczę, aby w ciemnościach gapić się w sufit, pozwolić myślom swobodnie płynąć i spokojnie wszystko przeanalizować. Stamtąd mogła obserwować Hannę, dopóki wszyscy nie zasną.

Po ostatniej porcji śpiewów mieszkańcy Przystani rozeszli się w różne strony, a Munroe i Eliasz przeszli do prowizorycznego biura. Tam gospodarz dał jej kolejną książkę. Zasugerował, aby poświęciła się lekturze aż do zgaszenia świateł, a ona chętnie na to przystała. Oczywiście nie kusila jej perspektywa czytania, tylko możliwość ucieczki do sali dziewcząt i zasycia się w azylu górnej pryczy.

Większość łóżek - pustych za dnia - była już zajęta. Dziewczynki pisały coś w dziennikach, czytały lub cicho rozmawiały z koleżankami z sąsiednich łóżek. Swoje miejsca do spania traktowały jak prywatne kapsuły na statku kosmicznym. Gdziekolwiek widać było ślady indywidualności - przypięte nad głową lub na pionowych podporach. Tylko tu każda miała swoją niewielką, prywatną przestrzeń, tak jakby w tym zatłoczonym domu granice ich odrębnych światów pokrywały się z czterema krawędziami każdego łóżka.

Munroe widziała już niektóre twarze podczas poprzednich wizyt w Przystani, ale nie znała imion. Patrzyły na nią życzliwie, a ponieważ żadna nie dziwiła się jej obecności, przypuszczała, że wiedzą, kim jest i dlaczego przyszła do ich sali. W zasadzie powinna zdobyć sympatię ciekawych nastolatek, przedstawić im się i zagaić rozmowę, ale pragnęła tylko ciszy i spokoju, więc od razu ruszyła na przydzielone jej miejsce.

Ani Morningstar, ani Hanny nie było w sali. Kilka pryz wciąż było pustych, więc nie miała powodów przypuszczać, że coś jest nie tak. Mimo to nieobecność obu dziewcząt budziła w niej niepokój.

Wolała mieć Hannę na oku.

Czekała na swoim łóżku, z zamkniętymi oczami i głową pełną chaotycznych myśli. Przede wszystkim liczyła się teraz Hanna, ale nie tylko jej groziło tu niebezpieczeństwo. Ta świadomość i obawa przed karą, jaka mogła dotknąć pozostałe dzieci, ciążyła jej ogromnie. Jakiegokolwiek wyboru miała dokonać tej nocy, nie mogła zupełnie zapobiec cierpieniu. Nawet gdyby nie podjęła żadnej decyzji i zostawiła wszystko losowi, ta opcja, jak każda, wiązała się z konsekwencjami.

Zgodnie z planem, zamierzała zaczekać do pierwszej w nocy i skontaktować się z Bradfordem, żeby przekazać mu ostatnie wskazówki. Wiedziała, że bez trudu poradzi sobie z bramą i psami, a drzwi nikt nie pilnował. Zamykano je tylko na zasuwę. Munroe miała zadbać o to, by wszystkie lokatorki tej sali były nieprzytomne, zanim on się zjawi na ranczu.

Czas mijał, sypialnia się zapełniała. Zjawiała się także Morningstar. Kiedy gaszono światła, Hanny wciąż nie było. Gniew, który przez cały dzień kipiał pod powierzchnią, oraz chęć zemsty, którą dotąd udawało się Munroe dusić w sobie, nieubłaganie szarpały sznury żelaznej woli, jakimi je spętała.

Zeszła z pryczy. Widząc to, Morningstar usiadła na łóżku.

- Zostawiłam telefon w samochodzie - wyjaśniła Munroe. - Moi rodzice mieli dzwonić. Zupełnie wyleciało mi to z głowy... wpadają w panikę, kiedy nie mogą się ze mną skontaktować. Powinnam sprawdzić pocztę.

Morningstar wysunęła się spod przykrycia.

- Pójdę z tobą - zaproponowała.

Munroe skinęła głową. Tego się spodziewała.

Kupiona wcześniej życzliwość dziewczyny jeszcze się nie wyczerpała.

- Myślałam, że wszystkie musicie być w łózkach przed zgaszeniem świateł - powiedziała, siląc się na jak najbardziej obojętny ton.

- Bo tak jest - potwierdziła Morningstar. - Ale nikt nie będzie miał do nas pretensji, jeśli tylko musisz zabrać coś z samochodu.

- Myślałam raczej o Faith - przyznała Munroe. - Jej chyba regulamin nie dotyczy.

- Ach, o nią ci chodzi. - W tych kilku słowach Munroe usłyszała ciemniejszą nutę zazdrości. - Ona tu dziś nie nocuje.

To proste zdanie wszystko odmieniło.

Telefon miał być jedynie pretekstem, żeby wyciągnąć Morningstar z sali. Teraz komórka wypalała dziurę w jej kieszeni, domagając się, by natychmiast jej użyć.

- Dokądś pojechała?

Munroe zadała to pytanie wprost, prawie się nie siląc na niewinny ton. Taka taktyka zwykle zamykała sprawę szybciej niż inne. Skuteczna była głównie podczas przesłuchań.

Morningstar długo milczała.

- Pojechała do przyjaciół - odparła w końcu z wahaniem.

Na zewnątrz pod gwiazdami stało pięć furgonetek. Dwa mercedesy znikły. Munroe otworzyła drzwi peugeota po stronie pasażera i zręcznie udała, że wyjmuje telefon ze schowka. Szybkim ruchem odsunęła klapkę i ciężko westchnęła, czując na sobie baczne spojrzenie Morningstar.

- Boże, tak mi głupio - przyznała. - Tyle nieodebranych połączeń.

Odegrała scenę odsłuchiwania wiadomości, a gdy skończyła, na jej twarzy malował się niepokój.

- Muszę oddzwonić - powiedziała. - To mój chłopak. Chodzi o coś ważnego.

Morningstar nie zawróciła do domu ani nawet się nie od-

sunęła, żeby dać gościowi trochę prywatności. Stała tuż obok, patrząc i słuchając. Munroe musiała zadzwonić do Bradforda przy niej.

- *La jumkinuni an atakallam bi-hurrija* - powiedziała do aparatu. - Mamy problem. Musisz natychmiast zacząć działać. Masz zarejestrowany obraz z kamery przy wejściu?

- Mam - odparł Bradford - ale widać na nim ludzi tylko od pasa w dół.

- Szukam nastolatki, która tamtędy wyszła... podejrzewam, że nie była sama. - Ostatnio widziała Hannę podczas wieczornej modlitwy. - Zaczynj przeglądać materiał od ósmej trzydzieści - poradziła.

Na jakiś czas zapadła cisza, którą przerywały jedynie ledwie słyszalne kliknięcia i piski, towarzyszące przewijaniu zarejestrowanego nagrania.

- Chyba mam - odezwał się w końcu Bradford. — Po ósmej tylko kilka razy ktoś korzystał z tych drzwi, a do tego, co mówisz, pasuje tylko jedno. Na nagraniu widać grupę... dwie pary nóg kobiecych, jedna zdecydowanie należy do dziewczynki... i kilku gości w garniturach.

Munroe zupełnie zatkało. Przez jakiś czas stała osłupiała, a potem zakłęła pod nosem, zupełnie nie przejmując się Morningstar. Źle się stało. Bardzo źle. Megaźle. Jej strategia wzięła w łeb, bo przeoczyła jakiś decydujący element. Nie wszystko jeszcze pojmowała, ale dwie sprawy od razu stały się dla niej jasne. Po pierwsze, nie chodziło o to, by odseparować Hannę od niej, bo nikt jeszcze nie odkrył, kim naprawdę jest. Po drugie, wyjazd dziewczynki nie był ani rutynowym, ani zwyczajnym wydarzeniem.

Carcanowie mieli instynkt posiadaczy, o czym Munroe przekonała się osobiście. Z dokumentów Logana wiedziała, jak łatwo Wybrani oddają swoje kobiety ludziom, którzy mają władzę. Hanna była niewątpliwie śliczna i choć oficjalnie taki proceder nie mógł obejmować nieletnich, zakaz nie oznaczał, że nic takiego się-nie działo. Potwierdzały to doświadczenia Gideona.

Munroe musiała zebrać więcej informacji, ale na razie wi-

działa tylko dwie możliwości: Hanna została przekazana sponsorom w charakterze zabawki bądź Wybrani postanowili ją gdzieś ukryć i dlatego została wywieziona z Przystani. Jeżeli chodziło o tę drugą ewentualność... jeśli to Gideon ich czymś spłoszył, zamierzała złamać kark temu popaprańcowi.

- Wracam do bazy. Tu już nie ma dla nas nic do roboty - powiedziała do Bradforda i się rozłączyła.

- Wzywają mnie pilne sprawy rodzinne - zwróciła się do Morningstar. - Muszę natychmiast wyjechać.

Dziewczyna spojrzała na nią zdziwiona.

- Może najpierw porozmawiajmy z moim tatą - zaproponowała.

Eliasz zareagował tak, jak się tego spodziewała - niepokojem i rozczerwaniem. Prawdę mówiąc, stała tu teraz i wyjaśniała, że jej mamę zabrano do szpitala, tylko po to, aby nie spalić za sobą tego mostu i móc wrócić do Przystani, gdyby pojawiła się taka konieczność.

- Zdrowie twojej matki jest w rękach Pana - powiedział Eliasz. - Teraz najważniejsze jest Jego dzieło i plany, jakie ma wobec ciebie. Zatrzeszczy się o twoją matkę, jeśli postąpisz zgodnie z Jego wolą.

Munroe zacisnęła zęby i z trudem wywołała na twarz najlepszą iluzję spokoju, na jaką było ją w tym momencie stać.

- Moja mama mnie potrzebuje - odparła - a moja rodzina spodziewa się, że przyjadę.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Esteban. Trzech mieszkańców Przystani na nią jedną. Powinna się poczuć niepewnie. Być może próbowali ją w ten sposób zastraszyć, bo widzieli w niej tylko zwyczajną, młodą dziewczynę.

- Pogódź się z wolą Bożą. Tylko wiara pozwoli ci osiągnąć idealny spokój, bez względu na to, co przyniesie dzisiejsza noc - zapewnił Eliasz. - Wszystko dzieje się według boskiego planu. Bóg pragnie, byś tu została. Musisz więc się zastanowić, kim naprawdę jest twoja matka i twój ojciec. Kim są twoi bracia i siostry? Twoją prawdziwą rodziną są ci, którzy wypełniają wolę Boga. My jesteśmy twoją rodziną, Miki. Przy nas jest twoje miejsce.

Ha! Pismo Święte znała na wylot. Głosy z księgi tak trwale

zapisały się w jej świadomości, że jeszcze do niedawna ich szepty nieustannie towarzyszyły jej w codziennym życiu. Wiedziała, na czym Eliaz opiera swoje wartości, dlatego postanowiła spróbować jeszcze jednego wybiegu.

- Ona może dziś umrzeć. Muszę jechać.

Eliaz odpowiedział tonem patriarchy, w którym krył się chłodny wyrzut.

- Jezus stanął kiedyś przed podobnym dylematem - oznajmił.

- Jeden z ludzi, którzy do niego przyszedli i chcieli zostać jego uczniami, tak jak ty, błagał go o trochę czasu, aby najpierw móc pogrzebać ojca, a Jezus odpowiedział na to: „Pójdź za Mną, a zostaw umarłym grzebanie ich umarłych!”. Czy zatem zaliczasz się do martwych duchem, Miki?

- Nie - zaprzeczyła - jestem jak najbardziej żywa, ale muszę jechać.

Zawróciła do wyjścia, zanim zdążył powiedzieć coś więcej. Morningstar patrzyła za nią z rozdziawionymi ustami. Esteban stał tak blisko drzwi, że niemal zagradzał drogę, ale nie czekała, aż się odsunie. Mijając go, musiała się o niego otrzeć.

Dotyknęła drzwi i odwróciła się.

- Gotowa jestem porzucić wszystko, aby poświęcić się dziełu Pana - powiedziała. - Ale jeśli nie pojedę do szpitala, a moja matka umrze, nie będę miała nic do ofiarowania.

Tymi dwoma zdaniem zapewniła sobie ich wybaczenie.

Wróciła do sali dziewcząt tylko po to, by zabrać stamtąd torebkę, po czym ruszyła na dół.

Morningstar pobiegła za nią. W progu Munroe odwróciła się na chwilę i uściskała dziewczynę serdecznie.

- Możesz zatrzymać walizkę... jeśli już nie wrócę, weź sobie także ubrania - powiedziała, a po dłuższej pauzie poprosiła: - Podjedź ze mną do bramy, żeby mi otworzyć, dobrze?

Morningstar przez moment się wahała, a potem wsiadła do samochodu. Odległość kilkuset metrów do granicy rancza pokonała w milczeniu.

Kiedy Munroe stanęła w drzwiach hotelowego pokoju, Brad-

ford się pakował. Przerwał na chwilę, gdy weszła, ale nie ruszył się z miejsca. Wyglądał jak posąg ze śladami wojennych blizn. Twarz miał kamienną. Zawodowiec. Zmiękł dopiero, gdy Munroe rzuciła płaszcz na łóżko i podeszła do biurka.

- Michael, co się dzieje? - spytał.

Pochyliła się nad stołem, włączyła zarejestrowany przez kamerę obraz, usiadła i wpatrzyła się w monitor. Według wyświetlanego w rogu czasu Hanna opuściła rancho wtedy, gdy ona na górze odbierała indoktrynacyjną książkę z rąk Eliasza. Odtworzyła ten fragment raz jeszcze.

W koszmarze, jakim było wywiezienie dziewczynki z Przystani, pojawił się promyk nadziei. Pierwsze obawy Munroe - że dziecko miało się stać zabawką Carcanów - nieco się rozproszyły, w miarę jak śledziła rozwój sytuacji na ekranie.

Bagaż wskazywał na to, że jej wyjazd mógł się przeciągnąć, a wytarte i znoszone ubranie bardzo różniło się od eleganckich strojów, jakie miały na sobie tamte kobiety na schodach. Oczywiście niczego nie mogła być absolutnie pewna, ale wyglądało na to, że Hannę zabierano z Przystani, by gdzieś ją ukryć.

Munroe prześledziła materiał po raz trzeci i wreszcie wstała. Nie patrząc na Bradforda, odpowiedziała na jego wcześniejsze pytanie.

- Nie wiem, co się dzieje - przyznała - ale zamierzam się tego dowiedzieć.

Wskazała na monitor i w powietrzu wykonała gest, tak jakby stuknęła w niego palcem.

- Tamte numery rejestracyjne... one doprowadzą nas do Hanny. Mów wszystko, czego się dowiedziałeś. - Na moment przerwała i spojrzała na towarzysza. - Logan nadal ma przy sobie awaryjny telefon?

Bradford przytaknął.

Przez jakiś czas stała nieruchomo, podczas gdy jej myśli gnały naprzód.

- Zaaranżuj spotkanie - powiedziała w końcu - jak najszybciej. Jeszcze dziś w nocy. Z całą trójką. Któreś z nich coś przede mną zataiło.

Rozdział 29

Bradford stał bez ruchu, dopóki nie dotarł do niego sens słów Munroe. Zamierzała wykorzystać numery rejestracyjne, pójść ich tropem do końca. To było szaleństwo, prosta droga do śmierci. Przysiadł na łóżku, przesunął palcami po włosach, ale nie zrobił nic, aby wykonać telefon, o który prosiła go Munroe.

Po chwili milczenia obróciła krzesło przy biurku w jego stronę i usiadła. Zaczekała, aż Bradford zbierze myśli, jak zwykle kierując się intuicją.

- Posłuchaj - odezwał się w końcu - wyciągnięcie Hanny z uśpionej Przystani lub przejęcie jej na ulicy to jedno. Ale uganianie się za Carcanami? To operacja zupełnie innego kalibru. Rozumiem, że czujesz się w obowiązku dokończyć to, co zaczęłaś. Obiecałaś coś Loganowi. Dałaś mu słowo. Ale to wszystko zmienia. Trzeba od nowa przeprowadzić rozpoznanie. Zmieniają się wszystkie obiekty, mamy do czynienia z zupełnie nowymi zagrożeniami. Musielibyśmy na ślepo przeciwstawić się grupie bezwzględnych ludzi. Na ich terenie. Są uzbrojeni po zęby i mają świetne koneksje. To nie jest robota, jakiej nasza dwójka może się podjąć z dnia na dzień.

Bradford dał upust swoim obawom i czekał na reakcję Munroe, nie sądził jednak, że znajdzie się na jego kolanach.

Przez chwilę siedziała bez ruchu, zamyślona, a potem wstała z krzesła i podeszła do łóżka. Uklękła, obejmując nogami jego uda, ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go w czoło.

- Nie zamierzam się z tobą spierać - powiedziała - bo masz rację.

Na moment zamarła z policzkiem przytulonym do jego włosów. Zamknął oczy i wdychał jej zapach, który przynosił mu ból i jednocześnie sprawiał, że czuł się szczęśliwy. Chciał ją przytulić, zatrzymać, ochronić przed nią samą i przed światem, ale ona nie była jego i wiedział, że nigdy nie będzie.

Puściła go i się cofnęła. Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz.

- Muszę doprowadzić to do końca - oznajmiła. - Załatwię to, tak czy inaczej, i jeśli będę musiała, zrobię to sama. - Odwróciła się plecami do szyby. - Nie grożę ci, Miles, i nie próbuję tobą manipulować. Znam cię. Jeśli ci powiem, że idę, uznasz, że musisz mi towarzyszyć, choćby tylko po to, by mnie ubezpieczać. Ale tego nie chcę. To moja misja - nawet jeśli się okaże samobójcza - nie twoja i w pełni to akceptuję.

- Dlaczego? Na litość boską, dlaczego?

Odpowiedziała mu jego słowami:

- Bo mam dar i z niego korzystam.

Bradford milczał. Tarabany frustracji dudniły coraz głośniejsze. Podjęła taką decyzję przez Logana. Od początku chodziło o niego. Do tego dołączała się jej nieuzasadniona lojalność, ślepy upór i to, że nie wiedziała, kiedy powiedzieć dość, bo życie nie miało dla niej takiej wartości jak dla innych ludzi.

Nie spieszył się z odpowiedzią, ostrożnie ważył słowa.

- Logan bez namysłu wrzuciłby cię pod autobus, gdyby w ten sposób mógł uratować swoją córkę.

- Wiem - odparła. - Ale właśnie w tym rzecz. Hanna jest jego córką. Na kogo ma liczyć dziecko, jeśli nie na rodziców?

- Jasne - Bradford nieznacznie podniósł głos. - Ale jeśli Logan naprawdę jest dla ciebie tym, za kogo go uważasz, powinien cię wspierać, a nie chować się za tobą jak za żywą tarczą. Do tego się wszystko sprowadza. Stałaś się żywą tarczą. Jesteś tego w ogóle świadoma?

Wzruszyła ramionami, tak jakby zastanawianie się nad tym nie miało sensu.

- Potrafię sama o siebie zadbać - stwierdziła. - Nie potrzebuję niczyjej ochrony.

- I wchodzisz w ten układ z własnej woli, wiedząc, że on cię zwyczajnie wykorzystuje.

Munroe znieruchomiała, a potem powoli obróciła się do Bradforda. Patrzyła na niego ze śmiertelną powagą. Długo. Nieustępliwie.

- Zgadza się - powiedziała wreszcie. - Robię to z własnej woli,

wiedząc, że mnie wykorzystuje, bo w wyborach nie kieruję się zasadą wzajemności. Zdecydowałam się pomóc Loganowi, ponieważ tego chcę. Postanowiłam uratować jego córkę, bo potrafię to zrobić. Wybieram nieobojętność. Rozumiesz, na czym polega różnica? To wybór, Miles, nie obowiązek. Nie obciążenie. Nie emocjonalny szantaż. Nie coś, co *muszę* zrobić tylko dlatego, że Logan mnie potrzebuje. Nie zależy mi na niczyjej wdzięczności ani rewanzu. To, co Logan robi, co czuje i jak reaguje, nie ma wpływu na moje decyzje. To mój wybór, nie jego.

Bradford nic nie odpowiedział. Wreszcie pojął jej więź z Loganem, niewygasłą miłość do Noaha i tak wiele decyzji, które podejmowała. Jej instynkt samozachowawczy był dziką mocą, która nieuchronnie ściągała śmierć na otaczających ją ludzi. Ten instynkt sterował nią i utrzymywał ją przy życiu, ale nie pozwalała, by zawładnął także jej sercem. Działała, jak chciała, i kochała, kogo chciała, kiedy chciała i jak chciała. Podejmowała te decyzje świadomie, kierując się znanymi tylko sobie powodami, czasem wbrew rozsądkowi. I trwała przy nich do końca, nawet jeśli mogła przez nie zginąć.

- W porządku - powiedział - nie będę próbował cię powstrzymać ani przekonać, żebyś zrezygnowała. Zdobędę wszystkie informacje, jakie zdołam, załatwię wszystko, czego potrzebujesz.

- Dziękuję ci.

- Pod jednym warunkiem...

Spojrzała na niego ostro.

- Idę z tobą - oznajmił, i tak jak wcześniej ona użyła jego słów, tak teraz on zacytował ją: - To nie obciążenie, nie obowiązek, nie emocjonalny szantaż ani nie przymus. To mój wybór.

Zebrali się w barze, przy jednej z wąskich uliczek San Telmo, niedaleko od pensjonatu. Salka długości zaledwie pięciu metrów nie miała okien, była mroczna, zadymiona i zatłoczona aż po kontuar w głębi. Wybrali to miejsce, ponieważ tu znajdowali się Gideon i Logan, kiedy Bradford do nich zadzwonił. Poza tym lokal doskonale odpowiadał ich potrzebom.

Munroe przekroczyła próg hałasu. Bradford szedł krok za

nią. Od razu zauważyli Logana i Gideona w kącie blisko drzwi. Obaj troskliwie obejmowali kufle z miejscowym piwem i sądząc po ich minach, zajmowali się tym już od jakiegoś czasu. Munroe wolałaby zastać ich kompletnie trzeźwych, ale nie miała wyboru.

Logan zauważył ich i przywołał gestem. Przez kilka minut gadali o wszystkim i o niczym, czekając na Heidi. Gdy się zjawiła, cała piątka usiadła przy stoliku ciasnym kręgiem.

- Jeśli żadne z was nie zrobiło jakiejś strasznej głupoty - zaczęła Munroe — to w grze mamy do czynienia z czynnikami, o których nikt wcześniej nie wspomniał.

Przy stole zapadło pełne zdumienia milczenie. Gideon podniósł do góry ręce w obronnym geście.

- Dałem ci słowo - powiedział. - Cokolwiek się wydarzyło, nie ponoszę za to odpowiedzialności.

- Może wyjaśnij wszystko od początku - prychnął Logan. - Dotąd nie włączałaś nas do grona tych, którzy, według ciebie, „powinni być informowani”.

Bradford zastygł w podszytym napięciem oczekiwaniu. Sarkastyczna uwaga skierowana była właśnie pod jego adresem. Logan miał do niej pretensje o to, że pozwoliła Milesowi zająć należne mu miejsce. Munroe pod stołem uspokajająco położyła dłoń na kolanie Bradforda.

Przez chwilę milczała, nie z powodu przytyków Logana, ale dlatego, że musiała wśród zbieranych przez wiele dni informacji wyłowić dokładnie te detale, które przesądziły o ich obecnym położeniu.

- Przez trzy kolejne dni odwiedzałam Wybranych - wyjawiała. - Przyjęli mnie serdecznie i przez większość czasu traktowali jak jedną ze swoich. Byłam tak blisko, że mogłam chwycić Hannę i wyprowadzić ją stamtąd frontowymi drzwiami, czego nie zrobiłam... aby uniknąć potencjalnych ofiar. - Na moment umilkła, upiła łyk wody i dała pozostałym znak, by na razie nic nie mówili. - Na dziś zaplanowaliśmy akcję. Wszystko było gotowe. Wyrwanie stamtąd Hanny miało pójść gładko. Ale ponieważ siedzę tutaj z wami i się nie uśmiecham, na pewno kojarzycie, że plan się nie powiódł. Dam wam jedną szansę od-

gadnięcia, co się wydarzyło.

Gideon spojrział na Heidi, a ta z kolei na Logana. Wszyscy troje patrzyli po sobie niepewnie, aż w końcu Gideon się odezwał:

- Wywieźli ją?

- Zgadza się - potwierdziła. - Wywieźli ją. Czy ktoś potrafi mi wyjaśnić, dlaczego to zrobili? Miałyśmy spać w sąsiednich łózkach, więc mogę chyba bezpiecznie zakładać, że to nie przede mną postanowili ją ukryć. Kto z was mi powie, dlaczego została wywieziona? Czemu właśnie teraz się wystraszyli?

Logan i Heidi wymienili dyskretne spojrzenia. Nie umknęło to uwadze Munroe.

- O co chodzi? - spytała. - Czego mi nie powiedzieliście?

- Heidi natknęła się przypadkiem na grupkę Wybranych - wyjawiał Logan.

Munroe pohamowała wściekłość i przez chwilę rozważała tę nową informację, ale nawet tak niespodziewany obrót spraw nie wszystko tłumaczył.

- Dlaczego mi o tym nie wspomnieliście? - zapytała w końcu.

- Bo nikt mnie nie zauważył - przyznała Heidi.

Munroe niemal wstała z miejsca. Wycelowwała w Heidi palec wskazujący.

- Ostrzegałam, żebyś trzymała się od tego z daleka - powiedziała do niej i przeniosła wzrok na Logana. - O wszystkim wiedziałeś?

Przytaknął.

- Byłem przy tym.

- Kiedy to się stało?

- Wczoraj - odparł.

- Możesz z absolutną pewnością potwierdzić, że nikt jej nie widział?

- Od razu bym do ciebie zadzwonił, gdyby ją zauważyli - zapewnił.

Munroe się uspokoiła. Loganowi bardzo zależało na odzyskaniu córki i pilnował najdrobniejszych szczegółów, dlatego całkowicie mu ufała. Poza tym, gdyby Wybrani zauważyli Heidi poprzedniego dnia, Hanna zostałaby zabrana z Przystani jesz-

cze tego samego wieczoru.

Munroe oparła łokcie o stół.

- W takim razie wracamy do punktu wyjścia - powiedziała. - Skoro nie widzieli Heidi, dlaczego coś ich nagle wystraszyło?

Umilkła i pozwoliła, aby atmosfera panująca w barze otoczyła ich stolik. Dawała obecnym czas na odkrycie przyczyny, znalezienie odpowiedzi, która jej wydawała się oczywista. Czekwała w nadziei, że któreś na to wpadnie i nie będzie musiała niczego im wyjaśniać. Bo jeśli ten zaskakujący obrót spraw nie miał nic wspólnego z nimi, to instynktownie wyczuwała, o co chodzi. Nie знаła tylko szczegółów, a właśnie one były jej potrzebne do zaplanowania kolejnego kroku.

Pierwszy odezwał się Logan. Wpatrywał się w stół z nieobecnym wyrazem twarzy, tak jakby w myślach pokonywał tor przeszkód.

- Przygotowują się do czegoś - stwierdził. - Wiedzą, że ktoś próbuje dotrzeć do Hanny, dlatego ją usunęli. Nie mają tylko pojęcia, że chodzi o ciebie.

Munroe skinęła głową. Jeszcze nie zamierzała mu podpowiadać. Chciała, aby najpierw wszyscy troje pojęli złożoność problemów, z jakimi mieli do czynienia.

- Dlaczego akurat teraz? - spytała.

- Wiedzieli o naszym przyjeździe - wyszeptał Logan, kierując te słowa raczej do Heidi i Gideona niż do Munroe. Zabrzmiało to jak niepewne pytanie, ale w spojrzeniach, jakie wymienili między sobą, jawiła się groza.

- W takim razie zostaje tylko jedna kwestia - powiedziała Munroe. - Jeśli wy troje jesteście pewni, że ich reakcja nie ma nic wspólnego z tym, co się wydarzyło w mieście - i nie twierdzicie tak, bo się obawiacie, że połamię wam nogi, tylko naprawdę jesteście o tym absolutnie przekonani - jestem skłonna w to uwierzyć. Jeżeli jednak ma to związek z którymkolwiek z was, lepiej powiedzcie mi to teraz, bo inaczej wszyscy możemy zginąć.

- Ja nie mam z tym nic wspólnego - stwierdził Logan.

Heidi pokręciła głową, a Gideon jeszcze raz podniósł rękę.

- Ja też nie - zapewnił.

- No dobra - skwitowała Munroe i na długą chwilę umilkła, czekając, aż wszyscy poczują ciężar sytuacji, w jakiej się znaleźli. - Skoro nie chodzi o was, to dostrzegam tylko dwie możliwości. Wprawdzie żadna nie ma dla mnie w tej chwili większego znaczenia, ale może wy powinniście o nich wiedzieć. Pierwsza to ta, że ktoś, z kim rozmawialiście, osoba z kręgu najbliższych znajomych, która wie o waszych zamiarach, powiedziała coś, czego nie powinna mówić, komuś, kto nie powinien o tym wiedzieć. - Odczekała moment i podniosła dwa palce. - Możliwość druga: informacja o tym, gdzie znajdziecie Hannę, została wam przekazana celowo, aby ściągnąć tutaj was lub coś, na czym komuś zależy.

Pierwsze wytłumaczenie wywołało serię westchnień, które świadczyły o potencjalnie wysokim prawdopodobieństwie takiego niedopatrzenia. Drugie spowodowało jednoczesną reakcję całej trójki. Wszyscy naraz zaczęli zapewniać, że to absolutnie niemożliwe. Munroe wołała jednak zbadać to dokładniej.

- Mówiłeś, że informacja o miejscu pobytu Hanny wyszła od Maggie, siostry Charity? - zwróciła się do Logana. - Że to właśnie ona skontaktowała się z Charity i przekazała jej tę wiadomość?

Logan przytaknął.

- Czy Maggie mieszka w Buenos Aires?

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Poszukiwania trwały długo i w tym czasie kontaktowaliśmy się z wieloma osobami. Maggie była jedną z nich... Nie znamy miejsca zamieszkania każdego. Przeważnie wiemy tylko, jak ich złapać. E-maile. Sieć kontaktów. Znajomi znajomych. Wiesz, jak to jest.

- Ale wiadomość od niej was zaskoczyła, mam rację? Wiedziałam, jak rodzeństwo reaguje na wzmiankę o siostrach, które opuściły wspólnotę. - Munroe nieznacznie kiwnęła głową w kierunku Heidi. - Domyślam się, że siostra Charity nie była na szczycie listy tych, od których spodziewaliście się czegoś dowiedzieć, czy tak?

-Tak.

- Jak ona wygląda? Jest podobna do Charity?

Logan przez chwilę się zastanawiał, tak jakby nie miał pew-

ności. Gideon odpowiedział za niego:

- Nie. Mają różnych ojców.

- Pewnie nie mam co liczyć na fotografię?

Gideon spojrzał na nią.

- Maggie ma ciemne włosy - powiedział po chwili zastanowienia - i jest niższa. Bardziej przypomina Azjatkę. Jej ojciec chyba jest w połowie Japończykiem.

Przybrana matka Hanny. Munroe zakłęła pod nosem.

- Ale ma jasne zielone oczy, tak jak Charity - wtrąciła.

Wszyscy troje spojrzeli na nią zdziwieni. Nie mieli pojęcia, skąd ona może to wiedzieć. Dopiero po chwili dotarło to do nich.

- Byliście tylko ślepymi narzędziami - stwierdziła. - Udało się wam zejść aż tak daleko, bo zrobiliście coś, czego tamci się nie spodziewali. Znaleźliście sposób na przeniknięcie do środka.

Logan pierwszy zaprotestował.

- To się nie trzyma kupy. Nawet jeśli Maggie rzeczywiście tutaj jest, to przecież mogła szczerze chcieć nam pomóc. Nie musi zaraz chodzić o pułapkę. Może naprawdę chciała pomóc siostrze naprawić to, co się stało.

- Uwierzyłabym w to, gdyby Hanna nadal była w Przystani.

- Nie rozumiem, co oni chcą w ten sposób zyskać? - spytała Heidi. - Po co mieliby celowo ściągać na siebie kłopoty? To zupełnie nie ma sensu. A bez motywów nie może być mowy o zasadzce.

Munroe spojrzała na Bradforda.

- Dobra jest, Miles. Gdybym była szefem twojej firmy, zaproponowałabym jej pracę - powiedziała, a potem przeniosła wzrok na Heidi. - Musicie przede wszystkim uświadomić sobie jedno. W podobnych przypadkach w przeszłości, co się zwykle działo, gdy wpadano na trop porwanego dziecka?

- Interweniował rząd, zwykle policja organizowała serię nalotów na Przystanie.

- A potem kurz osiadał, zarzuty wycofywano, a dzieciaki wracały do domu, tak?

Heidi skinęła głową.

- Czy kiedyś komuś udało się przedostać do Przystani i po-

rwać stamtąd dziecko?

- Nie.

- W takim razie, opierając się na doświadczeniach z przeszłości, czy możemy zakładać, że Hanna została wywieziona, ponieważ Wybrani spodziewają się nalotów? Które zresztą sami sprowokowali?

- Oszalałaś? - wypalił Gideon, a Logan i Heidi przyglądali jej się tak, jakby wyrósł jej róg pośrodku czoła.

Munroe się wyprostowała, tak jakby za chwilę zamierzała wstać od stolika.

- Zastanówcie się - powiedziała. - Najgorszym błędem jest niedocenywanie przeciwnika. W tej chwili nie robi mi różnicy, jak jest naprawdę, ale może ma to znaczenie dla was... lub dla waszych przyjaciół. Patrząc na to z czysto analitycznego, neutralnego punktu widzenia, trzeba przyznać, że Wybranych sporo kosztowało trzymanie Hanny w ukryciu. A teraz, ni z tego, ni z owego, dostajecie cynk. Wygląda to tak, jakby miała być dla nich idealną przynętą. Spodziewają się, że ktoś będzie jej szukał, i chcą udowodnić, że są niewinni, kiedy się okaże, że dziewczynki u nich nie ma. Może coś się zaczęło dziać w waszej społeczności? Jakies rozprawy sądowe? Reportaże w telewizji? Coś, co może przedstawić Wybranych w złym świetle?

- To możliwe - przyznała Heidi. - O niczym konkretnym nie wiem, ale ostatnio od informatorów z wewnątrz docierały do mnie wieści, że Prorokowi zależy na powszechnej akceptacji i poprawie wizerunku. Chcą pogrzebać przykre sprawy i udowodnić, że są po prostu odmienną wspólnotą kościelną. Problem w tym, że osoby takie jak Charity nie rezygnują, a dopóki pojawiają się w mediach, wśród ludzi niezmiennie krążą negatywne opinie. Niewykluczone, że Prorok... Wybrani... miejscowi przywódcy organizacji chcą nagłośnienia jakiejś akcji, może właśnie nalotów. Zależy im na czymś, czego media nie będą mogły zignorować. Pragną udowodnić, że ich byli członkowie to banda szaleńców, że jesteście kłamcami, którzy wszystko wyolbrzymiają, i że naszym słowom nie można wierzyć. To dość dramatyczny sposób na pokazanie, że są prześladowani i szkalowani.

- No i proszę - stwierdziła Munroe - oto wasz motyw.

- W takim razie dlaczego nie powiedzieli nam, że Hanna jest w Dżakarcie, Bombaju lub nawet w Asunción? Moglibyśmy wtedy szukać wiatru w polu. Po co ściągnęli nas w miejsce, gdzie ona rzeczywiście jest?

Munroe wzruszyła ramionami.

- Może obawiali się, że wiecie coś więcej, i woleli nie ryzykować, że nie chwycicie przynęty. Ze wszystkich materiałów, jakie dotychczas czytałam, wynika, że Prorok jest egocentrycznym szaleńcem. Czy motywy, jakimi się kieruje, w ogóle muszą mieć jakiś sens?

Wstała od stolika, a Bradford poszedł za jej przykładem. Rzuciła na blat zwitek pesos.

- Nie możesz tak po prostu tego zostawić - zaproponowała Heidi.

- To nie moja walka - stwierdziła Munroe. - Ja mam wydość Hanę.

Rozdział 30

Razem z Bradfordem opuściła bar. Logan wyszedł za nimi i zawołał, żeby zaczekała. Zatrzymała się na rogu ulicy. Gdy ją dogonił, dyszał. Już nie dbał o pozory.

- Dokąd ją zabrali? - spytał wprost.

- Nie wiem. Wezwałam was, gdy tylko się dowiedziałam, że Hanny nie ma w Przystani. Jeszcze nie zaczęłam drążyć, ale wiem, z kim jest, i dzięki temu ją znajdę.

- Powiedz mi prawdę - poprosił. - Nie owijaj w bawełnę, nie oszczędzaj moich uczuć i nie próbuj mnie chronić. Jest źle?

Munroe zdmuchnęła z twarzy wyimaginowany kosmyk. Przez chwilę się zastanawiała, czy nie wrócić do baru. Tam przynajmniej mogła wyłożyć mu wszystko na siedząco. Ale to nie miało sensu. Za mało jeszcze wiedziała. Teraz mogła go tylko przerazić.

- Wróciliśmy do punktu wyjścia - powiedziała. - Może niezupełnie na linię startu, ale najwyżej trzy lub cztery kroki od niej... na szczęście nie zostaliśmy z niczym. Prosisz o brutalną szczerłość, więc słuchaj. Mamy do czynienia z zupełnie nowym zwierzem. Takim, co ma kły. Wybrani wpuszczają do swojego łóżka naprawdę dziwnych sponsorów.

Logan chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał. Dopiero teraz docierała do niego powaga sytuacji.

- Kim oni są? To wojskowi? Policja? Nie byłby to pierwszy raz.

- Mafia.

Zacisnął mocno usta. Nawet nie próbował udawać spokojnego.

- Na pewno przyda ci się dodatkowa para rąk, dodatkowa para oczu i jeszcze dwie stopy na ziemi - powiedział. - Mogę pomóc.

- Nie - stanowczo odparła Munroe.

Skrzyżowała ręce. Nie zostawiła miejsca na żadną dyskusję, żadne argumenty, żadną debatę. Po prostu nie i już.

- Michael, proszę cię. Mam nie tylko ogromną motywację, ale i doświadczenie. Robiłem to dziesiątki razy. Jestem w tym dobry, przecież wiesz... nie masz do czynienia z outsiderem i amatorem.

Munroe położyła dłonie na jego barkach i przytrzymała go na odległość ramion. Patrzyła mu prosto w oczy.

- Jesteś dobry - przyznała. - Niezaprzeczalnie. Bez dwóch zdań. W innych okolicznościach zrobilibyśmy to wspólnie. Ale nie tym razem. Nie mogę. Dla ciebie to zbyt osobista sprawa. Dla mnie też. - Umilkła, nie mogąc znaleźć słów, które oddałyby potworne cierpienie, jakim kończył się każdy jej sen. - Muszę cię mieć żywego - powiedziała w końcu. - Nie mogę cię stracić, a co więcej, nie mogę pozwolić, żebyś zginął przeze mnie. - Raz jeszcze umilkła, a potem dodała niemal szeptem: - Nie mogę. - Dopiero po chwili odchrząknęła i podniosła głos. - Jeśli w to wejdiesz, całą uwagę poświęcę chronieniu ciebie. Będziesz mnie rozpraszał, a w tej chwili potrzebuję skupienia jak jeszcze nigdy dotąd. Dla twojego dobra, dla dobra Hanny i z myślą o sobie muszę cię trzymać jak najdalej od tego przedsięwzięcia.

Logan cofnął się o krok. Jego twarz zmarszczyła mieszanka frustracji i rezygnacji.

- Dobrze - powiedział, a potem przeniósł wzrok na Bradforda i wycelował w niego palcem. - Jeśli coś się jej stanie, jeżeli jej plan nie wypali... masz mnie w rezerwie. I lepiej mnie wezwij.

- Nic mi nie będzie - oświadczyła Munroe i przeprowadziła Bradforda na drugą stronę ulicy, zanim dwa samce alfa zdążyły się na siebie rzucić.

Żeby uwolnić Hannę, najpierw musiała ją znaleźć. Obawiała się, że w tym celu będzie musiała zmiażdżyć kilka rzepek kolanowych. Na podstawie tablic rejestracyjnych ustalili adresy, a na podstawie adresów - nazwiska. Od tych ludzi mogli siłą

wyciągnąć informacje, choć miała nadzieję, że przemoc nie będzie konieczna. Liczyła, że sprawy potoczą się zgodnie z planem rezerwowym i że z podsłuchu w Przystani uzyskają coś, co wskaże im właściwy kierunek.

Na razie jednak nie wszystko przebiegało według planu.

Gdy wrócili do pokoju hotelowego, Munroe od razu skierowała się do biurka. Zmieniła się w drapieżnika. Ruszała na łowy i pragnęła krwi.

- Idź spać - rzuciła do Bradforda, odwrócona do niego plecami - musisz być wypoczęty.

Jej głos zabrzmiał ostro. Swoją szorstkością pewnie sprawiła mu przykrość, zwłaszcza po trosce i emocjach, jakie okazała wcześniej Loganowi. No cóż, nie mogła się z nim teraz cackać. Przyjemniejsze chwile musiały poczekać na lepsze czasy. Wiedziała, że Bradford nie będzie miał do niej pretensji z powodu sugestii, że powinien się zdrzemnąć. Po pierwsze, miała rację, a po drugie, w tej chwili nie mógł zrobić nic więcej. O drugiej w nocy wszyscy jego informatorzy smacznie spali, a ona potrzebowała ciszy i czasu, żeby przesłuchać nagrania z kilku dni.

Za sobą usłyszała szelest pościeli. Miles położył się i zgasił lampkę. Ciemności rozjaśniał tylko blask monitora.

Zostało mało czasu. Wiedziała, że do rana powinna - musi - znaleźć potrzebne informacje. Gdyby się nie udało, zostawała tylko opcja rzepek. Założyła słuchawki i w idealnym skupieniu, które potrafiła osiągnąć, jedynie pracując nad jakimś zadaniem, zapomniała o całej reszcie świata.

Przez ostatnie dwa dni z trzech Przystani zebrano się w sumie dwadzieścia osiem godzin nagrań - sporo, a byłoby tego jeszcze więcej, gdyby Bradford nie wyciął wcześniej dłuższych fragmentów ciszy oraz niewyraźnych rozmów.

Najwięcej zarejestrowanego materiału pochodziło z rancza. To dobrze, bo tym większe były szanse, że Munroe znajdzie tam potrzebne informacje. Zniechęcała ją tylko myśl o tym, ile czasu potrzebowała, aby je odszukać.

Zaczęła od dwugodzinnego nagrania z trzeciej Przystani - najmniejszej i położonej najbliżej hotelu - z której mieli tylko

jeden kanał audio. Podejrzewała, że raczej nic tam nie znajdzie, dlatego wołała od razu wykluczyć ten materiał, zanim zajmie się resztą. Nastawiła program na odtwarzanie dźwięku w przyspieszonym tempie i zamknęła oczy.

Nagrania były jak słuchowa wersja podglądania. Pozwalały zajrzeć w życie podsłuchiwanym ludzi. Zarejestrowane fragmenty, które w sumie przesłuchiwała prawie godzinę, potwierdziły jej podejrzenia. Nie znalazła tam nic wartościowego.

Z pozostałych dwudziestu sześciu godzin osiem pochodziło z pierwszej Przystani. W nich również nie spodziewała się niczego odkryć, więc zostawiła je na potem.

Na moment zdjęła słuchawki. Panujący w pokoju mrok i miarowy oddech Bradforda uspokajały ją. Czekwała zasłuchana, zanurzając się w kokon ciszy i próbując zupełnie oczyścić umysł. W końcu ponownie sięgnęła po słuchawki.

Nagrania z rancza pochodziły z sześciu kanałów, po jednym na każdą pluskwę założoną przez nią lub Bradforda. Zaczęła od tego, który wydawał się jej najbardziej obiecujący - z przekaźnika na schodach. Słuchała pojedynczego trajkotu i chóralnych konwersacji, głównie po hiszpańsku i angielsku, ale zdarzały się też krótkie wymiany po fińsku i niemiecku. Czas płynął.

Przeszła do materiałów z sali dziewcząt i z pokoju dziennego. Potem uznała, że wyeliminuje nagrania ze źródła, na które liczyła najmniej, i właśnie tam natknęła się na pierwszą wskazówkę. Jak na ironię, zarejestrowała ją pluskwa, którą Bradford założył w gniazdku elektrycznym w łazience chłopców.

W słuchawkach zabrzmiały głosy gości - to ich słowa raczej niż ton czy akcent wyłowiła w ciągu odsłuchiwanym dźwięków i od razu się zorientowała, na co trafiła. Cofnęła nagranie i zwolniła odtwarzanie do normalnej prędkości.

Rozmowa odbyła się w holu, pluskwa wychwyciła ją, choć nie idealnie. Dotyczyła Hanny. Brzmiało to tak, jakby rozmówcy potwierdzali zamiar zabrania z Przystani dziewczynki oraz jej opiekunki na bliżej nieokreślony czas. Ani słowem jednak nie wspomniano dokąd i więcej do tego tematu nie wrócono.

Poza tym jeszcze tylko jeden moment w nagraniach pośrednio odnosił się do tego, co interesowało Munroe. Kiedy wyszła z

kuchni, Morningstar wymieniła z Hanną kilka uwag o pakowaniu rzeczy i o wyjeździe, ale gdy Hanna spytała, na jak długo opuszcza Przyszań, nie otrzymała odpowiedzi. Nie wspomniały też ani słowem o powodach wyjazdu, ale to chyba dla Hanny od początku nie było tajemnicą.

Munroe odłożyła słuchawki na biurko i dopiero w tym momencie zauważyła, że w pokoju zrobiło się jaśniej. Nیکłe promienie światła przebijały się przez zasłony, obwieszczając, że jest już dzień. Obejrzała się za siebie. Bradford leżał na łóżku z rękami pod głową i przyglądał się jej uważnie.

- Długo nie śpisz? - spytała.

- Pół godziny.

- Jesteś głodny?

- Potwornie.

Śniadanie zjedli w kafejce niedaleko hotelu. Kawa i croissanty. Przez szybę grzało ich słońce. Od tego ciepła zrobiło się przyjemnie i sennie.

- Jak dobry jest twój człowiek? - chciała wiedzieć Munroe.

- Ludzie - sprostował Bradford. - Liczba mnoga. Już dawno nie pracowaliśmy razem nad żadną większą sprawą, ale jeśli przeszłość jest jakimś wskazaniem, są świetni.

- Mają dojścia?

- Przypuszczam, że tak.

- Pojawił się pewien trop w sprawie Hanny. Nic wielkiego, ale zawsze to coś. Sama mogłabym coś z tego wyciągnąć, ale nie mam czasu, żeby zająć się tym osobiście. Jeżeli twoi ludzie są coś warte, lepiej będzie skorzystać z ich pośrednictwa.

- Co masz?

- Hotele.

- Hotele? - zdziwił się Bradford.

Przytaknęła.

- Hotele. Zajazdy. Pensjonaty. Kwatery. Wszystkie tego typu miejsca w obrębie miasta.

- To sporo.

Wzruszyła ramionami.

- Może tak, może nie. Niewykluczone, że są właścicielami jednego, ale całkiem możliwe, że mają ich dziesiątki. No ale

przynajmniej wiemy już, na czym się skoncentrować, i nie musimy szukać na ślepo w całym mieście. Chciałabym zarzucić przynętę, przekonać się, kogo zdołamy złapać i na co.

- Z tym nie powinno być problemu.

- Jak szybko możemy się spodziewać rezultatów?

- Tego nie wiem - przyznał. - Zobaczą, co uda mi się wycisnąć z moich. A ty co zamierzasz? Wrócisz na ranczo?

- Najpierw muszę się przespać - stwierdziła. - Czuję, że jestem już o krok od krawędzi. Tracę zdolność koncentracji. Jeśli nasi przeciwnicy są choć w połowie tak dobrzy, jak mówisz, muszę działać na pełnych obrotach. Zaaplikuję sobie taką dawkę, żeby wyłączyć się na osiem godzin... dzięki temu będziesz mógł spokojnie działać i nie martwić się o mnie.

Bradford wzdrygnął się nerwowo.

- Nie brałam nic od ponad tygodnia, Miles. Jeden raz nie zmieni mnie w narkomankę. Albo to zrobię, albo ty zmarnujesz cały dzień na pilnowanie mnie i znowu narazisz się na to, że będę próbowała cię zabić.

- To nie problem.

- Lepiej weź się do roboty - oznajmiła. - Ja idę spać.

Nie powiedział nic więcej, więc wstała. W milczeniu wrócili do hotelu. W pokoju sięgnęła po torbę, która leżała byle jak porzucona w nogach łóżka. Domyślała się, że Bradford miał wielką ochotę wywalić wszystkie butelki podczas jej nieobecności, ale tego nie zrobił. Rozpięła zamek i zaczęła grzebać w środku, pewna, że wciąż tam są.

Wyciągnęła jedną i zdjęła zabezpieczenie. Wylała zawartość prosto do ust, a potem spojrzała na niego trochę zaczepnie i wytarła ślad syropu z wargi.

- Jeden raz - powiedziała.

Mikstura słodko drażniła jej gardło. Nie była tak mocna jak hydro kodon czy morfina, ale kodeina wciąż jej wystarczała. Ciepło opiatu przynosiło ulgę od stresów, bólu i odpowiedzialności, uwalniało od wszystkich uczuć. Odurzało, trochę tak jak adrenalina, tyle że działało odwrotnie,

uspokajająco. Gdyby Bradford miał pojęcie, jakim wysiłkiem opierała się chęć życia w stanie takiej błogości, pewnie protestowałby bardziej stanowczo, a może nawet próbował siłą odebrać jej leki. Tylko że to by było błędem.

Na szczęście tego nie zrobił. Wypiła dość i wreszcie się położyła. Z uśmiechem na ustach zamknęła oczy i osunęła się w ekstazę niepamięci.

Obudziła się, czując na ramieniu dotyk Bradforda. Może więcej niż dotyk. Pewnie potrząsał nią od dłuższej chwili. Świadomość wracała powoli, jak przez mgłę, i choć naprawdę chciała zareagować, stać ją było tylko na nieprzytomny uśmiech. Przewróciła się na plecy, nadal uśmiechnięta, nadal nieprzytomna.

Rozbawiła ją zaniepokojona mina Milesa. Poglądziła go dłonią po policzku.

- Co słyhać? - spytała.

- Chyba mam to, czego szukasz - oznajmił.

Pokiwała głową i zacisnęła wargi, dusząc w sobie śmiech.

- Może przyniosę ci kawę - zaproponował - i jakiś porządny posiłek.

- Nic mi nie będzie. To minie. Jak długo spałam?

- Pięć godzin.

- Wzięłam sporą dawkę - przyznała. Zamknęła oczy i oparła się chęci ponownego zatopienia się w mroku. - Mów, czego się dowiedziałeś. Nie jestem w stu procentach przytomna, ale mózg działa mi sprawnie, nawet jeśli mój zwykły brak poczucia humoru szwankuje.

Kiedy nie zareagował, prychnęła i sama się zaśmiała ze swojego żartu.

Bradford westchnął.

- No dobrze - powiedział. - Carcanowie mają udziały w wielu hotelach w mieście. Większość jest średniej wielkości, takie o szczebel wyżej od sieci Budget Inn. Należą do holdingów i spółek, żaden nie jest własnością prywatną. Wszystko jest jawne i legalne. Oprócz trzech mniejszych hotelików, których

właścicielem jest jeden z synów... można by rzec, że to taka jego robótka na boku.

Munroe podrapała się w kark, nadal nie otwierając oczu.

- No to wiemy już, od czego zacząć - orzekła. - Musimy w każdym założyć kamery i podsłuch - coś, co pomoże nam stwierdzić, czy to właściwy trop i czy Hanna jest w jednym z nich.

- Możesz jeszcze pospać - powiedział Bradford. - Mam kilka pomysłów. Dam ci znać, jak się czegoś dowiem.

Gdy Munroe wreszcie oprzytomniała, na zewnątrz panowały ciemności. W jednej chwili spała, w drugiej była już w pełni świadoma. Tak po prostu. Jakby gasiła lampę, a potem ją zapalała. Bradford jeszcze nie wrócił, nie widziała też jego telefonu. Domyśliła się, że zabrał go ze sobą. Sięgnęła po zegarek. Dziewiętnasta. Szybko policzyła. Obudził ją mniej więcej o trzeciej. Nie było go już cztery godziny. Trochę długo jak na zwiadowczy wypad.

Zwlokła się z łóżka i poszła do łazienki. Odkręciła do końca kurek z zimną wodą. Lodowaty prysznic nieprzyjemnie ściągnął ją z powrotem do krainy żywych i usunął skutki działania leku.

Kiedy skończyła, Bradforda jeszcze nie było.

Ubrała się jak na zwiad. Po kolei wkładała rzeczy, które pomagały jej się wtopić w mrok ciemnych uliczek. Czowała się w nich komfortowo, jak we własnej skórze. Mogła bez przeszkód wspinać się po ścianach, chodzić po wystęпах murów i wślizgiwać w ciasne przesmyki. Zupełnie inaczej niż w eleganckich kobiecych fatalaskach, jakie nosiła przez ostatnie dni.

Nadal ani śladu Bradforda.

Nie potrzebowała go do kolejnego etapu. Na biurku zostawił informacje, które zdołał zebrać, gdy spała. Z myślą o niej czytelnie wszystko zanotował. Mogła sama kontynuować rozpoznanie, w najgorszym przypadku powieliłaby jego pracę. Tylko że brak wiadomości o tym, gdzie on jest i co robi, budził jej

niepokój.

Stała przed lustrem, twarzą w twarz, oko w oko ze sobą, i zaczęła planować kolejne posunięcia. Tak czy inaczej musiała dotrzeć do Hanny. Z jasnym obrazem sytuacji bądź na ślepo, z Bradfordem lub bez niego zamierzała znaleźć dziewczynkę. Gdyby wróciła na ranczo, to już na pewno nie jako gość.

Z kieszeni torby wyciągnęła jedną z wielu rzeczy, które nabyła podczas ostatniego wypadu na zakupy. Rozwinęła przewód. Założyła plastikową nakładkę z regulacją długości i włączyła urządzenie. Pochylając głowę nad zlewem, usunęła resztki kobiecości. Miała w tym lata praktyki. Po chwili z lustra patrzył na nią młody mężczyzna z ogoloną po wojskowemu głową. Uśmiechał się niebezpiecznie.

Szybko sprzątnęła bałagan i schowała maszynkę. Bradford nie dawał znaku życia.

Ufała jego ocenie sytuacji, jego instynktowi. Skoro twierdził, że z Carcanami nie ma żartów, to ostrzeżenie w takim samym stopniu dotyczyło i jego, i Munroe. Na pewno zachował ostrożność. Spojrzała na zegarek. Nie wracał już dość długo, ale pora była wciąż wczesna, jak na to miasto.

Munroe westchnęła i wróciła do biurka. Czowała się dziwnie, gdy ktoś inny przejmował jej rolę, ale zamierzała pozwolić Bradfordowi działać. Uznała, że jeśli do rana nie wróci, spróbuje się z nim skontaktować telefonicznie, a gdyby to nie dało rezultatów, zamierzała działać sama. Tymczasem zostało jej jeszcze trochę nagrań do odsłuchania.

Rozdział 31

Wskazówki zegara przekroczyły północ. Munroe właśnie kończyła przesłuchiwanie nagrań bezwartościowych rozmów, kiedy Bradford wreszcie stanął w drzwiach.

Obróciła się w jego stronę gotowa robić mu wyrzuty, ale gdy go zobaczyła, zamarła w pół słowa i zdusiła chichot.

- Gdzie się, do diabła, podziewałeś? - spytała.

Nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

Bradford miał na sobie zniszczone i porwane ubranie, w jakim mógłby paradować dzieciak, który przez ostatnie cztery miesiące przejechał autostopem cały kontynent. Buty wyglądały na znoszone i dziurawe. Na ramieniu niósł niewielki plecak. To nie był ten sam Miles, który opuścił hotel po południu.

- Musiałem się wkraść w łaski półświatka - przyznał. Zdjął plecak, odsunął go od siebie na odległość ramienia, tak jakby brudem można się było zarazić, i rzucił na podłogę. - Nie miałem jak zadzwonić. Cieszę się, że zaczekałaś... i mam nadzieję, że się nie martwiłaś.

Munroe wykonała głową taki ruch, jakby chciała spytać go o powód przebrania.

- Mów wszystko po kolei - poprosiła.

- Udało się - oznajmił.

- Znalazłeś ją?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się chełpliwie. Pozwoliła mu na tę chwilę triumfu. Przeniosła się z krzesła na łóżko, jak widz, który usuwa się ze sceny, i dała mu znak, aby mówić dalej.

- Z trzech hotelo-pensjonatów, które wyskoczyły nam na radarze, dwa to zupełnie zwyczajne miejsca - przyznał. - Nie wiele się tam dzieje. Cisza. Spokój. Czysto. W ich pobliżu nie natknąłem się na żadnych Carcanowych pachółków. Pomyślałem, że na miejscu takiego bonza, który obiecał wyświadczyć przyjacielom przysługę i ukryć gdzieś dzieciaka, chciałbym wie-

dzieć, co owi przyjaciele knują, i umieściłbym Hannę tam, gdzie mógłbym mieć na nią oko. Dlatego sprawdziłem również trzeci hotelik. Okazało się, że ten jest zupełnie inny. Ma trzy piętra i znajduje się blisko niezbyt bezpiecznej okolicy. Krążą plotki, że wielu gości nie jest przejezdnych, tak jak w zwykłych hotelach, tylko że Carcanowie lokują w nim ludzi, którzy dla nich pracują. Sama rozumiesz, takich wynajmowanych do konkretnej roboty, którzy zaraz potem się ulatniają. To zwróciło moją uwagę. Uznałem, że właśnie czegoś takiego szukamy. No, ale mniejsza z tym. Najważniejsze, że hotel jest otwarty również dla zwykłych gości i najprościej można się tam dostać zwyczajnie, przez frontowe drzwi. Tylko nie w takim stroju, jaki akurat miałem na sobie. Kilka przecznic od celu natknąłem się na dzieciaka, który chętnie przystał na moją propozycję i zamienił się ze mną na ubrania i buty. Za bagaż musiałem mu dopłacić ekstra. - Pokręcił głową z udawanym oburzeniem i przesunął palcem po postrzępionym kołnierzyku koszuli. - Wynająłem pokój w przybytku rodziny Carcanów. Ten hotel to zupełna nora, ale pokoje są w miarę czyste i drzwi zamykają się na klucz. Na dole jest niewielka *cantina*. Metalowe stoły, rozkładane krzesła, letnia kawa, telewizja z lokalnymi programami. Wiesz, jak to zwykle wygląda. Jakiś czas się tam pokręciłem i w końcu ja oraz mój wierny książkowy przewodnik zdobyliśmy nowych przyjaciół.

Munroe uniosła brwi, tak jakby pytała: I co?

- Hanna jest przemiłą młodą damą - oznajmił. - Wygląda jak mały Logan. Za to kobieta, która jej towarzyszy... - Bradford skrzywił się i pokręcił głową.

Munroe spojrzała na niego z kamienną twarzą. Jej głos nie zdradzał żadnych emocji.

- Namierzyłeś cel?

- Owszem. I nie musisz mi dziękować - stwierdził. - Poza tym bardzo mi się podoba twoja nowa fryzura - dodał po chwili.

Uśmiechnęła się i wstała. Przez cały czas patrząc mu prosto w oczy, powoli ruszyła ku niemu. Zastygł w miejscu i nie odrywał od niej wzroku, tylko nieznacznie obrócił głowę, gdy znalazła się tuż przy nim, z ustami przy jego uchu. Jej wargi lekko otarły

się o jego skórę.

- Nieźle jak na jeden wieczór – wyszeptała.

Poczuł, jak podnoszą mu się włoski na karku. Munroe minęła go, a on - z oczami jak u jelonka w świetle samochodowych świateł - obrócił się w ślad za nią.

- Dziwię się, że w takiej okolicy dwie panny zgodziły się o tak późnej porze dotrzymać towarzystwa obcemu mężczyźnie - stwierdziła, opierając się o ścianę.

- Miały powody, by czuć się przy mnie bezpiecznie.

- Pewnie nie tylko dlatego, że taki z ciebie równy gość, co?

Bradford pokręcił głową.

- Gadaj wszystko po kolei - powiedziała.

Bradford zdążył się zapoznać z rozkładem pomieszczeń na piętrach hotelu, a czas spędzony przy stoliku na rozmowie - najpierw o kraju, a potem o religii - pozwolił mu zdobyć numer pokoju Hanny.

Na kartce naszkicował ogólny schemat, zaznaczył na nim wejścia, niepewne strefy i miejsca potencjalnie ryzykowne. Hanna mieszkała na trzecim piętrze i można się było do niej dostać tylko od frontu. Trzeba było minąć recepcję i schodami wejść na górę. Klatka schodowa, do której prowadził krótki hol, stanowiła centralną oś budynku. Nie było tam wind ani wyjść ewakuacyjnych. Nie ta część miasta i nie taki hotel.

Recepcjoniści bardziej przypominali ochroniarzy, a nie skromnych pracowników hotelowych. Podczas zmiany w recepcji Bradford miał okazję się przekonać, że wszyscy są tak samo napakowani. Pod biurkiem trzymali broń i z nikim się nie cackali. Nie było kamer monitorujących, za to dwóch goryli Carcanów oddelegowano do patrolowania korytarzy. Przez całą dobę, na okrągło, na wszystko mieli oko. Wygląd hotelu i chodnika przed nim świadczył o tym, że ich obecność dostatecznie zniechęcała miejscową chuliganerię. Choć okolica nie należała do bezpiecznych, w pobliżu hotelu nic się nie działo.

Na każdym z dwóch pięter korytarz rozchodził się na prawo i lewo od schodów. Cztery pokoje z każdej strony, w sumie

szesnaście. Pokój Hanny znajdował się w głębi holu na trzeciej kondygnacji, którą zajmowali wyłącznie członkowie rodziny Carcanów. Bradford zdążył się zorientować, że dziewczynka nie jest specjalnie strzeżona.

Miniecie recepcji nie było problemem, jednak nie mogli liczyć na to, że równie łatwo pójdzie im powrót tą samą drogą z nafaszerowaną środkami odurzającymi nastolatką, którą właściciel hotelu traktował jak specjalnego gościa. Taka akcja nastęrczała wprawdzie więcej trudności niż wyciągnięcie dziewczyny z uśpionego rancza, ale i tak była łatwiejsza od próby odbicia zakładnika.

Mieli szczęście, że udało im się tak szybko ustalić nowe miejsce pobytu Hanny, i Munroe nie chciała dłużej czekać. W jej świecie liczyły się jednak informacje i wywiad. Przedkładała ostrożność i spryt nad broń i gwałtowne wtargnięcia. W normalnej sytuacji wolałaby zebrać więcej danych i osobiście zbadać miejsce, aby sprawdzić, w co się pakuje, bo opis Bradforda, nawet najdokładniejszy, nie mógł zastąpić jej własnej oceny. Tym razem jednak nie to liczyło się najbardziej.

Nie wiedzieli przecież, jak długo Hanna będzie trzymana w hotelu. Carcanowie na pewno mieli mnóstwo miejsc, do których mogli ją przenieść, gdyby Wybranym nasunęły się jakieś podejrzenia. Poza tym Munroe wolała nie myśleć, jak oprychy pokroju tych, których spotkała w holu Przystani, potraktowałyby dziewczynkę taką jak Hanna, gdyby ją dorwały. A teraz małą otaczali wyłącznie tacy ludzie.

Michael już nie miała siły być tą dobrą, wyczerpała całe pokłady ostrożności i przestała się przejmować tym, że przy okazji ktoś może zginąć. Tym razem szła na całość. Plan mieli jeden: wdrzeć się do środka, zabrać dziewczynkę i zmykać.

Za odpowiednią sumę Raúl zgodził się oddać im swoją taksówkę do dyspozycji na resztę nocy... a może i na zawsze. Bradford prowadził przez zabójczy chaos ulicznego ruchu Buenos Aires z wprawą tubylca, a Munroe jechała za nim peugeotem.

Zostawili peugeot na parkingu, jakieś pół mili od hoteliku, w strefie, gdzie ulice były jeszcze w miarę dobrze oświetlone i raczej nie musieli się obawiać, że samochód padnie łupem

wandali podczas ich krótkiej - na co liczyli - nieobecności.

Munroe wysiadła z samochodu prosto w mrok. Z fotela po stronie pasażera wzięła niemal pustą ortalionową torbę, wrzuciła ją na tył taksówki i zamknęła peugeota pilotem. Potem dojadła się do Bradforda, oddała mu kluczyki i w milczeniu pokonali ostatni odcinek drogi.

Budynek hotelu, wciśnięty między inne podobne, stał frontem do dwupasmowej drogi, w strefie, gdzie ruch na chodnikach nigdy nie zamierał. Wzdłuż ulicy mieściły się niewielkie knajpki, zakłady krawieckie, rozmaite warsztaty i komisy - o tej porze wszystkie zamknięte, z pogaszonymi światłami. Ludzi przyciągały tu za to liczne bary, których światła, dym i hałasy wdzierały się w mrok.

Sam hotel, choć słabo oświetlony, wyglądał spokojnie - wzór porządku pośrodku morza zamętu.

Bradford zatrzymał taksówkę w połowie ulicy, przy której znajdował się ich cel. Munroe przewiesiła torbę przez ramię i wysiadła.

- Dziesięć minut - powiedział, a ona mu przytaknęła.

Miała przy sobie dwa noże i Bersę Thunder, dziewiątkę, jeden z wielu pistoletów, w które Bradford zdążył się zaopatrzyć na miejscu. Biorąc pod uwagę kierownictwo hotelu i jego klientelę, byłaby szalona, gdyby weszła tam nieuzbrojona, ale plan przewidywał szybką akcję, i miała nadzieję, że w ogóle nie sięgnie po broń.

Maleńki hotelowy hol wyglądał dokładnie tak, jak się spodziewała. Po lewej stronie otwarte drzwi prowadziły do baru, a od wejścia do kontuaru recepcji dzieliło ją zaledwie kilka kroków. Mężczyzna, który za nim stał, miał co najmniej metr dziewięćdziesiąt wzrostu i mniej więcej połowę tego w pasie. Przywitał ją z szacunkiem, a jej prośbę o pokój przyjął uprzejmie, tak jak się tego spodziewała. Wypełniła wymagany druk, a on podał jej klucz - zupełnie zwyczajny, zawieszony na dziesięciocentymetrowym kawałku drewna.

Wygląd pokoju zgadzał się z opisem Bradforda: czysty, po spartańsku urządzony i maleńki. Traf chciał, że znajdował się na drugim piętrze, dokładnie pod tym, w którym spała Hanna.

Munroe podeszła do okna. Po chwili z ciemności wyłowiła zarys taksówki, która czekała w uliczce na tyłach budynku.

Zabranie Hanny z trzeciego piętra wymagało sprzętu, jakiego nie posiadali, ale Munroe nie chciała opóźnić akcji, aby go zdobyć. Każdy etap tego przedsięwzięcia wymagał błyskawicznych zmian i rozwiązań wymyślanych na poczekaniu, także wydostanie stąd dziewczynki miało być improwizowane, przeprowadzone przy użyciu tego, co akurat mieli pod ręką.

Rzuciła torbę na podłogę, ściągnęła pościel z łóżka i związała rogi dwóch prześcieradeł. Na wszelki wypadek sprawdziła moc wiązania dwukrotnie, po czym wrzuciła prowizoryczny sznur do torby.

Zamknęła pokój na klucz, przeszła w koniec korytarza i zastukała do drzwi Bradforda.

Otworzył je, a ona weszła do środka.

On też już zdążył zdjąć pościel i związać prześcieradła. Sprawdziła solidność jego węzła.

- Nie obraź się - powiedziała.

Wzruszył ramionami i sprawdził jej robotę. Munroe połączyła oba odcinki w jeden długi sznur i jeszcze raz skontrolowali całość. Pracowali szybko. Dokładnie. Gdy skończyli, wepchnęła gotowy sznur do torby.

Razem wyszli z pokoju. Przez chwilę nasłuchiwali kroków ochroniarza patrolującego korytarze. W końcu usłyszeli go na pierwszym piętrze. Bradford ruszył na dół, a Munroe na górę.

Gdyby ktoś ją zobaczył, nie mogłaby wyjaśnić, po co weszła na trzecie piętro ani dlaczego stoi pod drzwiami pokoju Hanny. Dlatego liczyła na to, że Bradford, jego kiepski hiszpański i pytania, na które niezwłocznie potrzebował odpowiedzi, dadzą jej trochę czasu, nim ktoś się tu zjawi.

Zamki były starego typu, zupełnie zwyczajne. Pokoje nie miały dodatkowych łańcuchów ani zasuw. Błyskawicznie uporała się z mechanizmem i wślizgnęła do ciemnego pokoju. Zamknęła drzwi od środka.

Rozległ się cichy szcęk zapadki. Taki dźwięk by wystarczył, żeby obudzić ją, Bradforda czy Logana, ale lokatorki pokoju nie były zahartowane w boju i o trzeciej w nocy obie spały jak

zabite.

Munroe zaczekała chwilę, aż jej wzrok przywyknie do minimalnej ilości światła w pomieszczeniu, a potem postawiła torbę na podłodze i z bocznej kieszeni wyjęła butelkę i szmatkę.

Łóżko bliżej drzwi zajmowała kobieta, którą Bradford podsumował skrzywieniem twarzy. Munroe pamiętała ją z jadalni Wybranych. Była jedną z niewielu, którym nie towarzyszyły dzieci. Miała około pięćdziesięciu lat, może trochę mniej. Czas i trudy życia nie obeszły się z nią łaskawie.

Munroe namoczyła szmatkę i zakryła nią usta i nos opiekunki. Przerazona kobieta otworzyła oczy, ale po chwili jej powieki opadły.

Na składanym łóżku, które ledwo się mieściło między łóżkiem a oknem, leżała Hanna.

Przez moment Munroe patrzyła na spokojnie śpiącą córkę Logana. Potem uklękła i zakryła szmatką twarz dziewczynki. Powieki Hanny uniosły się i w jej oczach błysnęło takie samo przerażenie jak u jej starszej towarzyszki, po czym ona również odpłynęła w nieświadomość.

Upewniwszy się, że obie są nieprzytomne, Munroe ściągnęła opiekunkę z łóżka i położyła ją na podłodze. Zerwała prześcieradła z jej materaca i dołączyła je do prowizorycznego sznura, który przygotowała wspólnie z Bradfordem.

Hanna ważyła znacznie mniej od dorosłej kobiety. Zamiast zdjąć ją z łóżka, Munroe zwinęła dziewczynkę w kłębek i związała cztery rogi prześcieradła nad nią, tworząc duży toból. Potem dla bezpieczeństwa zrobiła to samo z drugim prześcieradłem, na wypadek gdyby węzły pierwszego puściły.

Parapet wąskiego okna znajdował się na wysokości jej pasa. Uchwyt nie chciał łatwo ustąpić. Kiedy w końcu poddał się szarpnięciu, okno otworzyło się z takim oporem i hałasem, że Munroe zamarła. Wsłuchiwała się w noc, czekając na jakąś reakcję, ale nic nie usłyszała. W dole Bradford błysnął latarką w jej kierunku. Droga wolna.

Spuszczenie Hanny na dół tą drogą było łatwe jedynie w teorii. Choć dziewczynka miała o trzydzieści centymetrów mniej niż Munroe i nawet jak na swój wzrost była szczupłą, i tak oka-

zała się dość ciężkim ładunkiem, który trzeba było bezpiecznie podnieść na wysokość parapetu, a potem opuścić przy zewnętrznej ścianie.

Bradford lepiej by się nadawał do tej części zadania, ale jego obecność w tym pokoju z dwiema kobietami wiązała się z innego rodzaju komplikacjami. Gdyby trzeba było użyć wobec którejś z nich siły, mógł się zawahać. Munroe nie miałyby takich obiekcji.

Przykłęka na jedno kolano, podsuwając je jak najbliżej bawełnianego kokonu z Hanną. Chwyciła za dołączony do niego sznur prześcieradeł, oplotła go wokół przedramienia, a następnie owinęła wokół tułowia, resztę ciągnąc po podłodze. Używając kolana jak dźwigni, pociągnęła Hannę na siebie, objęła kokon i utrzymując środek ciężkości na wysokości bioder, wstała.

Od miejsca, w którym leżała Hanna, do okna, gdzie miała się znaleźć, został tylko jeden krok, ale w tym samym momencie dokładnie pod nimi trzasnęły drzwi. Munroe nieznacznie wystawiła głowę w mrok i usłyszała jak okno trzy metry niżej zamyka się ze skrzypnięciem.

Znieruchomiała. Jej ręce zaczęły drżeć od ciężaru. Bradford ponownie błysnął z dołu latarką, więc wysunęła Hannę przez okno, stopami do przodu. Węzły prześcieradeł zacisnęły się mocniej i Munroe wypchnęła cały kokon za parapet. Kiedy Hanna znalazła się za framugą, jej ciężar mocno napiął przewidywany sznur. Munroe aż zapała się o ścianę. Powoli ugięła kolana i zrobiła krok w tył, wypuszczając prześcieradła kawałek po kawałku. Jednocześnie odliczała minuty, które dzieliły ją od chwili, gdy ten, kto sprawdzał dół, znajdzie się pod drzwiami.

Nie miała pojęcia, dlaczego ktoś był w jej pokoju. W najlepszym wypadku chodziło o zwykłe włamanie. Kradzież, wandalizm, a nawet zamiar gwałtu lub morderstwa uważała za lepsze opcje od tej, że facet z recepcji i ochroniarze porównali spostrzeżenia i zaczęli się czegoś domyślać. Raczej nie mogła liczyć na to, że jakiś złodziejasek wybrał sobie akurat tę porę na włamanie, a odarte z pościeli łóżko tylko utwierdziło goryli Carcanów w podejrzeniach, które kazały im wtargnąć do środka.

Pojawienie się gościa, który nocą szuka pokoju, i niemal rów-

noczesny powrót Bradforda obudziły ich czujność. Nie potrzebowali wiele czasu, aby powiązać jedno z drugim. Szybko ruszyli na górę. Ona i Bradford mogli teraz liczyć tylko na to, że w hotelu znajdowały się osoby lub rzeczy ważniejsze od podopiecznej Wybranych i że tam goryle mieli zajrzeć w pierwszej kolejności.

Hanna pokonała zaledwie półtora metra z dziesięciometrowej podróży w dół, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Munroe zignorowała je, tak jak ignorowała niepokój wywołany tym, że stoi plecami do wejścia i ma zajęte ręce. Zamknęła oczy i pozwoli opuszczała kokon.

Drugi raz zastukano głośniejsze. Taki łomot mógł poderwać z łóżek nawet mieszkańców sąsiednich pokoi. Latarka Bradforda zamrugła krótką serią. Usłyszał hałas. Munroe uwolniła jedną rękę, wyjęła własną latarkę z zębów i odpowiedziała.

Towarzystwo.

Hanna znajdowała się trzy metry pod oknem. Wciąż za daleko od ziemi, by można ją było bezpiecznie puścić. Munroe nadal stała tyłem do wejścia. Słuch musiał zastąpić jej wzrok. Rozległ się odgłos kilkakrotnie naciskanej klamki... a chwilę później trzask wyważanych drzwi.

Nie przestawała popuszczać sznura. Pięć metrów. Połowa drogi.

Zatrzymali się w progu. Munroe nie musiała ich widzieć, żeby śledzić ich ruchy. Lata spędzone w dżungli, tropienie w ciemnościach, nocne uciezki, ukrywanie się przed najokrutniejszym z drapieżników, przygotowały ją na chwile takie jak ta. Wystarczył szelest ubrania, ciężar stopy na podłodze lub nieostrożny oddech.

Było ich dwóch. Rozstawili się w korytarzu po obu stronach drzwi, tak jakby te cienkie ściany mogły osłonić ich przed ewentualnymi strzałami.

Pięć i pół metra.

Na tle nieco jaśniejszego prostokąta okna Munroe stanowiła doskonały cel.

Nie przestawała popuszczać sznura. Sześć metrów.

Jeden z intruzów przykleknął przy wejściu z bronią wycelo-

waną w Munroe. Drugi wszedł do pokoju, czubkiem buta trącił leżącą na podłodze kobietę i po chwili cichym i spokojnym tonem nakazał Munroe podnieść ręce i powoli się obrócić.

Nie zareagowała. Sześć i pół metra. Jeszcze dwa i Hanna znajdzie się na tyle nisko, że Bradford zdoła ją złapać.

Intruz powtórzył nakaz, tym razem nie tak cicho i nie tak spokojnie.

Munroe popuszczała sznur, jednocześnie oceniając dystans i ryzyko. Z odległości pięciu metrów nawet średni strzelec miał duże szanse trafić ją śmiertelnie. Nie uśmiechał jej się taki koniec, ale skoro był jej pisany, to trudno. Nadal stała odwrócona do nich tyłem i opuszczała Hannę.

Siedem metrów.

Ostrzegawczy strzał rozbił szybę nad jej głową. Odłamki szkła rozprysły się wokół. Z dołu dobiegł przytłumiony okrzyk Bradforda.

- Puszczaj. Złapię ją. Puść sznur!

Siedem i pół.

Zbliżające się kroki.

Zsunęła prześcieradło z przedramienia. Powoli uciekło jej z rąk. Ciężar Hanny utrzymały zwoje wokół pasa Munroe. Z całych sił zaparła się o parapet, aby spowolnić upadek kokonu.

- Trzymaj się planu - zawołała.

Snop światła latarki Bradforda strzelił w górę.

Munroe odsunęła się o krok od okna i puściła prześcieradło. Jego koniec zafurkotał gwałtownie.

Z dołu dobiegł ją głuchy odgłos, potem stęknienie, krótka pauza i trzaśnięcie drzwi.

Zimny metal lufy wciskał się w tył jej czaszki. Podniosła najpierw jedną rękę, potem drugą i splotła palce za głową.

Szum opon. Oczyma wyobraźni ujrzała taksówkę gwałtownie ruszającą z miejsca.

Hanna była w drodze. Każda chwila zwłoki, każdy moment tutaj ułatwiał tamtym ucieczkę. Munroe czuła mieszaną euforii i smutku. Nie żałowała siebie, tylko Bradforda, bo bez względu na to, co miało się jeszcze tej nocy wydarzyć, wiedziała, jaka udręka go czeka. Doświadczyła jej na własnej skórze. Znała tę

bezsilność i świadomość, że nie zdołało się kogoś ochronić. Miles mógł tylko czekać, przeklinając własną słabość, przeżywając męki i bez końca się zastanawiając, czy postąpił właściwie.

Lufa nadal wciskała się w tył jej głowy. Munroe patrzyła przed siebie, w mrok. Na jej twarzy pojawił się smutny uśmiech, gdy druga para rąk zaczęła ją sprawdzać.

Bradford w końcu miał zrozumieć, że nie mógł postąpić inaczej. Weszła tu, do tego pokoju na trzecim piętrze, w pełni świadoma tego, że może się dla niej stać klatką bez wyjścia. Świadomie dokonała wyboru. Podobnie jak świadomie zdecydowała się teraz nie stawiać oporu ani nie walczyć. Tym razem chodziło o to, by Miles mógł odjechać jak najdalej. W końcu jednak, bez względu na wynik dzisiejszej akcji, i tak miał cierpieć. Ta jedna myśl sprawiała jej ból.

Obce ręce namacały Bersę i noże. Odebrały jej broń. Munroe była gotowa. Czekala. Sekundę później dopadł ją mrok.

Rozdział 32

Bradford z piskiem opon skręcił w boczną uliczkę. Z każdą chwilą coraz bardziej oddalał się od hotelu i od Munroe.

Oddychał ciężko. Za ciężko. Musiał zwolnić, nie mógł myśleć, nie potrafił się skoncentrować. Ona wyraźnie dała mu do zrozumienia, czego chce. *Trzymaj się planu*. No to się go trzymał, instynktownie wybierając drogę, prowadząc jak automat, podczas gdy każdy jego mięsień, każdy nerw stawiał opór i nakazywał mu zawrócić.

Opuścił towarzysza broni w potrzebie. I to nie jakiegoś anonimowego człowieka, ale właśnie ją.

Zrobił coś niedopuszczalnego. To nie powinno było się stać. Postąpił źle. Musiał wrócić, stanąć do walki, bronić jej, bo sama się bronić nie chciała. To ona była najważniejsza, nie ta dziewczynka, dla której poświęcała życie.

Gwałtownie skręcił w lewo, w boczną uliczkę prowadzącą do głównej alei. Ot jedna z wielu taksówek krążących po mieście o tak późnej - bądź tak wczesnej - porze. Odrobinę zwolnił pedał gazu. Każda sekunda oddalała go od Munroe. Nie wiedział nawet, czy ona jeszcze żyje.

Odezwał się w nim głos rozsądku.

Oczywiście, że żyje. Włamała się do budy wielkiego psa i zabrała mu kość. Teraz ten pies na pewno chciał się dowiedzieć, gdzie znajdzie swoją własność i jak może ją odzyskać.

Ten argument był jak obosieczny miecz. Owszem, świadomość, że Michael wciąż żyje i jeszcze przez jakiś czas będzie żyła, przyniosła ulgę, ale zaraz dołączył do niej ból, bo Bradford wiedział, co ją czeka, jeśli nie zdradzi tamtym szczegółów. Nie mogła im podać żadnych informacji, bo ich nie znała.

Przewidziała taką ewentualność i zostawiła dopracowanie detali wywiezienia Hanny z kraju Bradfordowi. Nawet nie miała pojęcia, w jaki sposób zamierzał wydostać stąd dziewczynkę ani dokąd w Montevideo planował ją zabrać.

Dobrze znała zasady tej gry. Dopóki tamci będą myśleli, że zdołają od niej wyciągnąć potrzebne informacje, będą do skutku próbować ją złamać. Im dłużej przeżyje i im bardziej będzie zwodziła oprawców, tym większe szanse będzie miała Hanna.

Zaparkował taksówkę obok peugeota i wyłączył silnik. Odwrócił się i spojrzał na małą, opatuloną postać. Patrzył na nią kilka sekund, a w końcu wysiadł z samochodu i otworzył tylne drzwi.

Przeciął węzły prześcieradeł i odsunął materiał. Dziewczynka wydawała się taka drobna, taka delikatna. Była bardzo podobna do Logana i to podobieństwo wywołało w nim falę gniewu, który przeważał nad sprzecznymi uczuciami, jakie nim targaly.

Przez chwilę stał bez ruchu, zaplątany w sieć powinności.

Mała oddychała spokojnie, miarowo i gdy tak na nią patrzył, jego umysł wreszcie trafił na nić, która mogła wyprowadzić go z labiryntu. Znalazł sposób, który pozwoli mu dotrzymać obietnicy i nie zostawić Munroe na pastwę rodziny Carcanów.

Wziął Hannę na rękę i przeniósł ją do drugiego wozu. Sprzęt zostawił w bagażniku taksówki, kluczyki wrzucił pod fotel po stronie pasażera, a sam wsiadł za kierownicę peugeota.

Już wiedział, co zrobi.

Wbrew najsilniejszemu instynktowi zamierzał trzymać się planu, ale dorzucając coś od siebie. Tylko dzięki temu mógł liczyć na to, że sumienie pozwoli mu zrealizować zadanie do końca, a jednocześnie załatwić wszystko tak, jak chciała Munroe.

Przyszła pora, aby Logan spłacił swój dług.

Decyzji o włączeniu go w plany nie podjął łatwo i nie była ona podyktowana emocjami, choć te sięgały zenitu. Tym razem to Bradford miał stawiać warunki. Skoro musiał poświęcić Munroe, aby ocalić czyjeś dziecko, to inni także powinni zapłacić odpowiednią cenę. Życie za życie za życie.

Właśnie na tym polegało ryzyko wciągnięcia Logana lub nawet Gideona do walki. W swoich małych światkach może rzeczywiście umieli sobie świetnie radzić, ale nie dało się tego porównać z ciągłym życiem na krawędzi. Człowiek rdzewiał,

tracił wprawę, mięśnie słabły, a poza tym tamci dwaj żyli jak cywile. Munroe miała powody, by nie dopuścić ich do walki - nie dlatego, że chciała oszczędzić sobie zmartwień, ale ze względu na duże ryzyko, że któryś z nich zginie.

Zycie za życie za życie.

Bradford wyciągnął telefon. Wybrał numer.

- Mam Hannę - oznajmił.

Ulga, z jaką jego wiadomość została przyjęta, była niemal namacalna.

- Gdzie jesteś? - spytał Logan.

- Tamci dorwali Munroe.

Cisza.

- Sam nie mogę jej pomóc - powiedział Bradford. - Muszę bezpiecznie wywieźć Hannę. Sytuacja jest trudna.

Znowu cisza.

- Dlatego albo ty odszukasz Munroe, albo sam po nią wrócę, a Hannę zostawię tu, gdzie jest.

Bradford umilkł i zaczekał, aż z jego głosu ulotni się jad.

- Dlaczego nie przekazesz Hanny mnie? - spytał Logan.

- Takiej opcji nie ma. Wszystko albo nic. Ludzie, którym właśnie odbiliśmy twoją córkę, są potężni, wpływowi i bezwzględni. Mam gotowe wszystko, co pozwoli mi bezpiecznie wywieźć dziewczynkę z kraju, ale szanse na to z każdą chwilą maleją. Nie mam czasu na targowanie się z tobą. Albo to zrobię, albo nie.

Kolejna pauza.

- Powiedz mi, od czego mam zacząć - odezwał się w końcu Logan.

Bradford podał mu adres hoteliku, udzielił ogólnych wskazówek, wytłumaczył, gdzie znajdzie taksówkę i co jest w środku. W skrócie przedstawił też plan budynku i zwyczaje ochronny, uprzedzając, czego Logan może się spodziewać. Poradził mu też, aby działał jak najszybciej. Munroe była teraz w hotelu, ale nie dało się przewidzieć, jak długo tam zostanie.

- I jeszcze jedno - dodał. - Powiedz Gideonowi, że dostanie informacje, które Michael dla niego zebrała, tylko pod warunkiem że ona przeżyje i sama mu je przekaze.

Nie czekał na odpowiedź. Wyłączył telefon i rzucił go na fotel. Wyjechał z parkingu prosto na niezbyt ruchliwą ulicę. Nie-wykluczone, że Gideon i tak wzięłby udział w akcji, choćby po to, żeby ubezpieczać Logana, ale nic nie motywuje ludzi lepiej niż własny interes.

Logan patrzył na komórkę. Trzymał ją przed sobą jak coś toksycznego. W głowie miał pustkę. Wieści, na które czekał osiem lat, wreszcie nadeszły, a wraz z nimi koszmarna męka.

Wstał i włożył ubranie, które zrzucił zaledwie przed godziną. Gideon poruszył się na drugim łóżku.

- Dzwoniła Munroe? - spytał.

- Miles.

Gideon przewrócił się z pleców na bok.

- Dobra czy zła wiadomość?

Logan powoli przemierzał pokój, zbierając swoje rzeczy. Pasek. Buty. Portfel, Zegarek.

- I taka, i taka - przyznał.

Gideon zapalił światło.

- Co się dzieje?

- Miles ma Hannę. To dobra wiadomość. Już pracuje nad wywiezieniem jej za granicę... - Logan na moment umilkł i spojrzał na Gideona tak, jakby jego umysł nie był w stanie pojąć znaczenia słów, które wypowiadał. - Podczas akcji uwalniania Hanny Michael trafiła w łapy tamtych. Nie Wybranych, tylko ludzi, którym przekazano małą... to jakaś ważna miejscowa rodzina. - Przez chwilę wahał się, co ma robić, a potem zapiął zegarek na nadgarstku. - Prawdopodobnie będą próbowali torturami wydusić z niej informacje, jeśli od razu jej nie zabiją.

- To ma pecha - skwitował Gideon. Dopiero po chwili dotarło do niego, że Logan przygotowuje się do wyjścia. - A ty dokąd? - spytał.

- Szukać Munroe.

Gideon położył się z powrotem i zakrył aż po brodę.

- No to powodzenia.

Logan zastygł w pół ruchu i przez chwilę gapił się na Gideona

tak, jak wcześniej na telefon.

- Mam dla ciebie wiadomość od Milesa - oznajmił.

Gideon znów się przewrócił i otworzył oko.

Logan przykląkł i zawiązał sznurowadła. Mocno. Z przyzwyczajenia.

- Michael nie tylko ustaliła lokalizację wszystkich Przystani w Buenos Aires. Ma też wiele godzin nagrań wideo i audio, schemat wewnętrznej hierarchii i mnóstwo nazwisk. Umowa, jaką z tobą zawarła, dotyczy tylko was dwojga. Miles powiedział, że to, na co liczysz, możesz dostać tylko od niej.

Gideon zaklął. Zrzucił przykrycie i gwałtownie wstał, marmrocząc pod nosem coś o szantażu.

- I co zrobimy, nawet jeśli uda nam się ją znaleźć? - spytał głośno. - Wtargniemy tam jak para idiotów, która wystawia się na cel, i zawołamy: „Hej, strzelajcie do nas, a ją wypuście”?

- Podobno Miles zostawił dla nas prezent. Jest w bagażniku taksówki, tylko najpierw musimy do niej dotrzeć.

Logan stanął przed Gideonem i nie ruszył się z miejsca, dopóki ten nie podniósł głowy i nie spytał:

- Co jest?

- Munroe jest moim najlepszym przyjacielem - a nawet kimś więcej - jest jedyną rodziną, jaką mam. Nie raz mnie ratowała i naraziła własne życie dla Hanny, ponieważ poprosiłem ją o pomoc. Bez względu na to, co postanowisz, ja zamierzam ruszyć jej na pomoc. Przynajmniej tyle mogę dla niej zrobić. Dlatego decyduj: albo idziesz ze mną, albo się zamknij.

Gideon podniósł rękę.

- W porządku - powiedział. - Czas skopać komuś tyłek.

Według wskazówek Bradforda trafili do taksówki. Tylko okolica parkingu nie była tak pusta, jak wynikało z opisu. Zbliżał się świt. Logan wydobył kluczyk spod fotela, otworzył bagażnik i ostrożnie rozpiął brezentową torbę.

Przez długą chwilę on i Gideon z rozdziawionymi gębami przyglądali się zawartości. Potem Logan błyskawicznie się rozejrzał i upewnił, że wciąż są sami. Ściągnął torbę na ziemię i

zatrzasnął bagażnik.

- Jakim cudem udało mu się to zdobyć? — zdziwił się Gideon.
- I czemu, mając tyle tego gówna, Munroe wpadła tamtym w łapy?

- Broń to działka Milesa — stwierdził Logan. Ze stęknieniem dźwignął torbę na tylną kanapę i zamknął drzwi taksówki. Powoli i pewnie. - On wszędzie ma jakieś kontakty. - Na moment się zamyślił, próbując jakoś poskładać w całość nocne wydarzenia. Niewiele wiedział o Bradfordzie, ale za to nikt nie znał Munroe lepiej od niego. - Michael nie chciała zbrojnej akcji ze względu na Hanneę. Zawsze woli spryt i podstęp niż broń. - Kiwnął głową w stronę torby. - To na pewno pomysł Milesa. Podejrzewam, że ona nie miała o tym pojęcia.

Obaj wsiedli do taksówki, Logan za kierownicę, a Gideon na miejsce pasażera. Po kolejnej chwili zastanowienia Logan przekręcił kluczyk w stacyjce i włączył się w gęstniejący strumień samochodów. Musieli trochę pokrażyć, zanim trafili na hotelik. Po drodze ustalili strategię. Logan powtórzył wszystko, czego dowiedział się o hotelu i jego ochronie - niemal słowo w słowo to, co przekazał mu Bradford.

Gideon przedostał się na tył taksówki, zepchnął torbę na podłogę i chwilę w niej grzebał, dopóki nie znalazł tego, czego potrzebował. Potem wyciągnął jeszcze coś dla Logana. Większość lżejszej broni była produkcji argentyńskiej. Torba zawierała cały komplet pistoletów Bersy, w tym niezawodne dziewiątki, niezbyt dobrze znane poza Ameryką Południową. Znalazł też dwa hiszpańskie pistolety maszynowe Star Z-84 tego samego kalibru, kawał plastiku C4, zapalniki czasowe, zdalne detonatory, granaty ręczne, świece dymne, noktowizory i co najmniej dwa tysiące jednostek amunicji.

Niebo już się rozjaśniało. Nim dotarli do hotelu, był dzień. Logan po drodze zatrzymał się jeszcze, żeby przenieść torbę i resztę jej zawartości z powrotem do bagażnika. Potem skierował się prosto do celu. Taksówkę zatrzymał blisko wejścia.

Wyłączył silnik i skinął do Gideona.

- Gotowy?

Gideon odpowiedział mu takim samym gestem.

- Do roboty - stwierdził.

Wysiedli z taksówki, zatraskując drzwi w tym samym momencie. Przeskoczyli dwa schodki do frontowego wejścia i za progiem natychmiast się rozdzielili. Razem stanowiliby jeden cel.

Recepcjonista podniósł wzrok i w jednej chwili spochmurniał. Każdy idiota, który był w budynku przez ostatnie godziny, miał powody nie ufać dwóm gościom, którzy tak zdecydowanie wkroczyli do środka. Sięgnął pod blat.

Gideon dobył broni, celując prosto w jego pierś. Mężczyzna znieruchomiał. Nie musiał nic robić, wystarczyło poczekać na wsparcie. Wiedział, że za chwilę goryle zjawią się na dole.

Gideon wiele lat spędził w Ameryce Południowej i płynnie mówił po hiszpańsku. Teatralnym szeptem nakazał mężczyźnie trzymać dłonie tak, by były widoczne. Gdy ten spełnił polecenie, Gideon w kilku szybkich krokach przemierzył hol i stanął za plecami recepcjonisty z wycelowaną w niego bronią.

Kiwnął głową do Logana, który czekał u stóp schodów.

Logan wślizgnął się za kontuar, wydobył spod blatu dwa pistolety i przekazał je Gideonowi. Potem cofnął się, żeby przejąć recepcjonistę, podczas gdy jego towarzysz związał mężczyźnie ręce za plecami plastikową opaską zaciskową.

Logan wrócił na swój posterunek pod schodami. Broń trzymał tak, by nie było jej widać, i czekał. Rozbrojenie i unieszkodliwienie recepcjonisty poszło im szybko - lepiej niż się spodziewał - załatwili to z niemal zegarmistrzowską precyzją. Następne zadanie nie było aż tak proste.

Goście hotelowi pewnie już wstawali i Logan przypuszczał, że część z nich może zejść na dół jeszcze przed goryłami właściciela. O ochroniarzach wiedział tylko to, co przekazał mu Bradford, a podejrzewał, że tamtych zmienili już inni. Coś mu nie pasowało w postawie mężczyzny, który zjawił się jako pierwszy. Logan, tak jak Munroe, umiał interpretować subtelności mowy ciała i mimiki twarzy. Trenował te zdolności przez lata, aby unikać kłopotów w niestałej i arbitralnej strukturze Wybranych.

Na klatce schodowej rozległy się kolejne kroki. Te również

zignorował. Mężczyzna przeszedł przez hol i wyszedł na zewnątrz, ale za nim mieli się zjawić kolejni. Część na pewno zamierzała skorzystać z bufetu. Wprawdzie byli hotelowymi gośćmi, jednak większość z nich pracowała dla Carcanów, a to oznaczało, że każdy stawał się potencjalnym zagrożeniem. Bradford szczególnie to podkreślał. Im więcej ludzi zbierało się na dole, tym trudniej byłoby im ciągnąć przedstawienie z recepcjonistą.

- Zmiana planów, Gid - oznajmił Logan, nie oglądając się za siebie. - Jeden powinien nam wystarczyć. Bierzymy go, póki mamy szansę.

- Jeśli z tym się nie uda, nie będziemy mogli wrócić po dołatkę - zauważył Gideon.

- Uda się, nie ma innej możliwości.

Logan chwilę nasłuchiwał. Chciał mieć pewność, że w holu nikt się nie zjawi w czasie, którego potrzebowali, żeby się wycofać. Gdy na schodach zapanowała cisza, dał Gideonowi znak, że droga wolna.

Gideon dźgnął mężczyznę lufą. W połowie drogi do wyjścia recepcjonista pojął ich plan i zdał sobie sprawę, że jego koledzy nie zdążą w porę zejść na dół, żeby przeszkodzić intruzom. Zaczął wrzeszczeć. Gideon go uderzył, a Logan pchnął do przodu. Połączenie jednego z drugim sprawiło, że mężczyzna się zachwiał.

Niepewnym krokiem wyszedł na zewnątrz. Potknął się. Upadł. Próbował wstać i uciec. Chwycili go pod ręce i z wysiłkiem - bo był wielki - podciągnęli do taksówki. Gideon szarpnięciem otworzył drzwi i wspólnymi siłami próbowali wepchnąć opierającego się i krzyczącego zakładnika do środka.

Logan pędem dopadł do drzwi kierowcy.

- Kropnij go - zawołał.

Gideon przytknął lufę do wierzgającej nogi mężczyzny. Pociągnął za spust.

Ryk rannego niemal dorównał głośnością hukowi wystrzału. Sekundę później od strony wejścia padła odpowiedź. Gideon napał na zakładnika i ten w końcu padł na tylną kanapę. Gideon rzucił się za nim i zatrzasnął drzwi.

- Ruszaj - wrzasnął. - Ruszaj!

Tyłna szyba się rozprysła.

Po raz drugi w ciągu ostatnich trzech godzin ta sama tak-sówka odjeżdżała spod hotelu Carcanów. Logan prowadził na ślepo. Jak szalenciec zmieniał pasy ruchu i wciskał się między samochody. Dopiero po chwili dotarły do niego słowa partnera.

Gideon siedział na recepcjoniście, trzymał głowę o kilka cali od Logana i wrzeszczał:

- Zwolnij, kurwa, bo nas pozabijasz! Nikt za nami nie jedzie!

Z jego tonu wynikało, że powtarza to jak mantrę już od dobrej minuty. Logan kiwnął głową i zdjął nogę z gazu.

To była prawdziwa adrenalina. Serce waliło mu zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy ścigał się na motocyklach lub skakał ze spadochronem.

Na moment zapadło milczenie, a gdy do obu przyjaciół wreszcie dotarło, co się stało, wybuchnęli głośnym śmiechem. Rechotali jak maniacy, bez opanowania, dopóki Logan nie powiedział:

- Złaź z gościa. Wzbudzamy zainteresowanie.

Recepcjonista leżał twarzą w dół, ręce miał nadal związane za plecami, a nogi trzymał pod dziwnym kątem. Przestał już stawiać opór. Gideon się przesunął. Sprawdził, czy mężczyzna wciąż żyje, a potem szybko zbadał ranną nogę. Pocisk przeszedł na wylot przez mięsień i najprawdopodobniej utknął gdzieś w kanapie. Rana krwawiła, ale nie na tyle szybko, by uznać ją za poważną. Gość miał żyć. Może.

Gideon oddał kawał koszuli zakładnika i owiązał go wokół nogi, żeby zatamować krwawienie, a potem przeniósł się na przedni fotel. Mężczyzna odwrócił twarz w ich stronę.

- *Sos un hombre muerto* - syknął do Gideona. - Jesteś martwy. Obaj jesteście martwi.

Gideon przytknął mu do głowy lufę.

- Pif-paf - powiedział i zignorował strumień obelg, który wyrzucił z siebie leżący.

Logan zorientował się wreszcie, gdzie są, i zawrócił. Musieli wyjechać za miasto. W jakieś odludne i spokojne miejsce. Tam, gdzie nikt nie mógł usłyszeć krzyków.

Rozdział 33

Świadomość wracała powoli. Mglę przekłuwały bodźce wrażeń, rozpraszając czerń i wybudzając ją. Siedziała z opuszczoną na pierś głową. Jej nogi przywiązano do metalowej podstawy rozkładanego krzesła, ręce unieruchomiono z tyłu. Nie kajdanami. Może taśmą izolacyjną... albo opaskami zaciskowymi.

Jej umysł pracował. Z trudem odzyskiwał przytomność.

Linka. Cienka linka. Dużo.

Idioci.

To, czym miała zasłonięte oczy, zawiązano mocno. Nawet najlżejszy całus światła nie docierał do jej powiek. Na lewo od siebie słyszała głosy, hałaśliwą rozmowę mężczyzn przy stole. Jej głośność i używane zwroty świadczyły, że grali w karty lub jakąś inną grę hazardową. Słyszała czterech. Żaden nie zwracał na nią uwagi. Po prostu zabijali czas. Czekali.

Każdy dźwięk, każdy zapach był dla niej migawką, wyobrażeniem tego, czego nie mogła zobaczyć. Na ich podstawie w myślach składała sobie obraz. Nic nie wskazywało na to, że ktoś siedzi blisko niej. Nie zarejestrowała żadnego ruchu niecierpliwych palców, szelestu ubrania ani oddechu.

W powietrzu unosił się rozproszony tytoniowy dym. W niewielkiej przestrzeni byłby znacznie cięższy. Tymczasem tu rozchodził się tak samo jak głosy. Znajdowali się w jakiejś dużej hali. Ogromnej. Munroe oceniała, że od mężczyzn przy stole dzieli ją mniej więcej trzy metry... może nawet pięć, ale nie więcej. Zostawili ją samą, przodem odwróconą do nich. Uznali, że nie zdoła się uwolnić.

Taka fuszerka mogłaby ją skłonić do zbagatelizowania zagrożenia, ale ona nie zamierzała popełnić tego samego błędu co ci mężczyźni. Już niedługo mieli się przekonać, że lekceważenie przeciwnika jest najszybszą drogą do śmierci.

Brodę wciąż trzymała na piersi, udając nieprzytomną, ale

cierpliwie wykręcała nadgarstki i pracowała palcami, dopóki nie natrafiła na odrobinę luzu. Stopniowo naciągając i przesu-
wając linkę, zdołała poluzować ją na tyle, by w odpowiednim
momencie bez trudu oswobodzić się z więzów. Gdzieś z prze-
pastnej przestrzeni za nią dobiegł odgłos dobrze naoliwionych
rolek przesuwanych po prowadnicach.

Zamarła i zamieniła się w słuch.

Dźwięk odsuwanych drzwi.

Znajdowała się w jakimś magazynie.

Z zewnątrz dochodziły tylko ciche dźwięki. Żadnych samo-
chodów ani klaksonów, żadnych pieszych ani muzyki.

Magazyn za miastem.

Rolki ponownie się odezwały, tym razem sunąc w przeciwną
stronę. Pomruk dobrego silnika samochodowego przybliżył się,
a potem umilkł. Rozmowy przy stole ustały. Nogi krzeseł za-
skrobały o podłogę. Stopy zaszurały. Drzwi wozu otworzyły się i
zaraz zatrzasnęły. Po chwili drugie zrobiły to samo.

Od strony stołu usłyszała kroki. Zmierzały do jej krzesła.
Potem czyjeś palce, dłonie, zdjęły przepaskę z jej oczu.

Munroe zamruwała.

Wnętrze magazynu rozjaśniała przemysłowa lampa obok
roboczego blatu i choć czeluść hali bez trudu połykała taką por-
cję światła, jego moc boleśnie klęła ją w oczy po przymusowym
zaciemnieniu.

Skrzywiła się i spod zmrużonych powiek spojrzała na stoją-
cego przed nią mężczyznę.

Spodziewała się jednego z Carcanów. Miała pewność, że
któryś się zjawi. Wiedziała, że dopóki boss osobiście się nią nie
zajmie, zostawi ją przy życiu. Jego rozmyślny brak pośpiechu
dawał więcej czasu nie tylko Bradfordowi i Hannie, ale także jej
samej. Pech chciał, że oprawca okazał się tym samym mężczy-
zną, który próbował ją obmacać w holu rancza.

Przyglądał się jej teraz z góry, celowo przeciągając milczenie.
Jego ludzie rozstawili się po obu stronach szefa. Munroe
przestała się krzywić i jej twarz przybrała kamienny wyraz.
Boss wyszczerzył zęby. Pozostali nie ruszali się z miejsc, a on
cofnął się o krok i podparł brodę palcem wskazującym oraz

kciukiem, udając, że się zastanawia.

Po chwili pogroził jej palcem.

- Znam cię - powiedział.

Lekko podciągnął spodnie w kolanach i zniżył się do pół-przysiadu, żeby spojrzeć jej prosto w oczy.

- Tak, tak. Na pewno cię znam.

Munroe nie odpowiedziała. Jej szkliste spojrzenie wyrażało obojętność i brak zrozumienia. Nie podążyła za nim wzrokiem, gdy wstał, nie patrzyła, jak się obraca i szepcze coś do mężczyzny stojącego za nim. Wreszcie nie miała zasłoniętych oczu i mogła w pełni ocenić swoje położenie. Carean był teraz dla niej najmniej interesującym obiektem w tej wielkiej, pustej przestrzeni.

Zamiast przyglądać się jemu, dyskretnie popatrzyła na stół, potem na ściany dookoła, szukając drogi ucieczki, próbując wypatrzyć coś, czego mogłaby użyć jako broni. Błyskawicznie oceniła, kto, co, kiedy, gdzie i jak. Już знаła odpowiedź na pytanie dlaczego.

Podłogi były z gładkiego betonu, ściany z pustaków, a dach, piętnaście metrów nad ich głowami, z blachy falistej. Sposób, w jaki rozchodził się tu dźwięk, sugerował, że magazyn jest pusty. Stół przy ścianie i lampa obok niego stanowiły jedyne wyposażenie.

Do czterech mężczyzn, którzy wcześniej tam siedzieli, dołączyło jeszcze dwóch. Przyjechali z bossem. Cała szóstka otaczała go teraz nierównym półokręgiem, wszyscy z bronią schowaną w kaburach lub zatknietą za pasek.

Podobieństwo tych mężczyzn kończyło się na wyglądzie - mocnej budowie i mięśniach godzinami ćwiczonych na siłowni. Ich szef był raczej drobny i zupełnie przeciętny. Wyróżniał się tylko drogim garniturem i przerośniętym ego.

Munroe chłonęła wszystkie szczegóły rozstawienia mężczyzn i ich broni. Każdy detal przenikał do jej świadomości z dokładnością echolokacji. Analiza była błyskawiczna i instynktowna.

Nie mogła dokładnie przewidzieć szans na przeżycie. Zdarzało jej się walczyć z większymi grupami, ale nie w zamkniętej przestrzeni i nigdy z tak słabej pozycji wyjściowej. Jej

sprzymierzeńcem zawsze była prędkość - refleks zrodzony z chęci przetrwania, gdy noc w noc stawała się obiektem polowań i musiała się bronić, aby przeżyć. Zwinna i nadspodziewanie szybka, mogła stawić czoło czterem lub pięciu gorylom, którzy nie mieli wojskowego przeszkolenia. Siedmiu graniczyło z szaleństwem.

Ponownie spojrzała przed siebie, na mężczyznę, który był prawą ręką bossa. To do niego Carean coś szepnęła i to on zmierział teraz ku niej.

Był najbardziej rozrośnięty w barach i najniższy z całej siódemki. Szedł pewnie, a gdy jego stopy się zatrzymały, pięść powędrowała dalej w tym samym kierunku, prosto w twarz Munroe. Cios powaliłby ją, gdyby nie była przywiązana do krzesła i nie zaparła się o podłogę.

Potrząsnęła głową, żeby pozbyć się zawrotów głowy. Z kącika jej ust popłynęła strużka krwi, a kłujący ból wywołał na jej wargi uśmiech. Jej serce zaczęło bić w rytmie marsza zniszczenia.

Boss podszedł znowu, żeby z bliska obejrzyć jej puchnącą twarz. Odwzajemniła mu się równie badawczym spojrzeniem. Wszystko wokół przybrało szarą barwę. Obraz zawęził się i wyostrzył, jak u drapieżnika skupionego na ofierze. Rosła w niej żądza krwi i zemsty i tylko dzięki wieloletniej praktyce w hamowaniu zwierzęcego instynktu powstrzymała się od ataku.

Przez myśl przemknęły jej słowa Bradforda.

Przyszło ci choć raz do głowy, że zabijanie nie zawsze jest zle?

Usłyszała głos bossa.

- *¿Dónde está la niña? Gdzie jest mała?*

Oczy Munroe ponownie zaszyły mgłą. Skupiała się na tym, co dopiero miało się wydarzyć, tak jakby jego słowa nie miały znaczenia. Boss skinął głową do goryla. Mężczyzna wysunął się do przodu i uderzył. Tym razem mocniej. Zadzwonilo jej w uszach.

Może niektórzy zasługują na śmierć. Może usuwając ich z tego świata, przerywasz łańcuch bólu i cierpienia?

Patrzyła prosto przed siebie, skupiona na jakimś niewidocz-

nym punkcie w oddali. Boss cofnął się do półokręgu. Znowu coś szepnął. Drugi mężczyzna włożył nóż sprężynowy w wyciągniętą dłoń szefa. Carean go otworzył i po chwili znowu nachylił się ku Munroe, aby znaleźć się z nią oko w oko. Przystawił jej ostrze do gardła, dokładnie w miejscu najchętniej wybieranym przez morderców. Nacisnął. Musiała podnieść głowę i odgiąć się do tyłu, aby jej nie zranił. Kiedy odsunęła się najdalej jak mogła i skóra na jej szyi napięła się do granic możliwości, wykonał szybki ruch. Ostrze cięło ją niezbyt głęboko, ale wystarczająco, by to poczuła — tak by popłynęła krew.

- Dokąd posłałaś tamtą małą? - spytał ponownie, tylko że tym razem zrobił to po angielsku, niemal bez obcego akcentu.

- Nikogo nigdzie nie posyłałam - odpowiedziała.

Boss się wyprostował. Obrócił się do swoich ludzi z ironicznym śmiechem.

- Angielka? - Sprawiał wrażenie zdziwionego tym, że jego strzał w ciemno okazał się trafiony.

Z tego, co się orientował, angielski był jej ojczystą mową. Oczywiście odpowiedziałyby mu równie płynnie, gdyby użył włoskiego, niemieckiego, tureckiego, ibo czy któregośkolwiek z dwudziestu kilku znanych jej języków. Rezultat byłby ten sam.

- Ale nie mówiłaś po angielsku u moich przyjaciół.

- U jakich przyjaciół?

Carean pokręcił głową. W jego spojrzeniu pojawiło się zniecierpliwienie. Właśnie na to czekała.

Podniósł palec. Na ten znak dwaj goryle opuścili półokrąg, podeszli do krzesła i przyklękli. Przecięli więzy na jej kostkach. Silne łapy zacisnęły się na jej ramionach. Szarpnęły ją w górę i pchnęły w stronę bossa. Munroe z trudem utrzymała równowagę. Dłonie wciąż miała złączone za plecami i oplecione poluzowaną linką.

Głęboko wciągnęła powietrze, badając aurę przeciwnika, jego poziom agresji. Chłonęła to wszystko do chwili, gdy terażniejszość zlała się ze wspomnieniem i poczuła zapach Pietera Willema. W jej wyobraźni stali się jednym i tym samym oprawcą.

Boss podniósł nóż ku jej twarzy i uśmiechnął się, gdy powio-

dła za nim wzrokiem. Po chwili skierował ostrze w dół i szybkim ruchem chlasnął materiał koszuli, a potem podkoszulek. Ubranie rozchyliło się, odsłaniając piersi.

Carean odwrócił się do swoich ludzi i wskazał ją kciukiem.

- Widzicie, mówiłem wam, że to kobieta.

Podszedł jeszcze bliżej. Na policzku poczuła jego gorący oddech. Palcem obwiał jej sutek. Uszczypnął.

- Miałem rację - wyszeptał. - Znam cię. - Przesunął ostrzem noża po jej skórze. - Teraz nie jesteś ich gościem, tylko moim, więc będę cię traktował tak, jak mi się podoba.

Zamilkł, gdy jego uwagę przyciągnęły blizny znaczące jej tułów. Przez chwilę przyglądał się im, a potem jego twarz wykrzywił pólusmiech.

- Widzę, że nie będę pierwszy. Płakałaś przez tego, kto ci to zrobił? Tego, który pocałował cię do krwi? - Przysunął się bliżej, powąchał jej szyję, jej włosy, językiem przeciągnął od jej ucha przez policzek, aż po powiekę. - Cierpiałaś przez niego, tak jak będziesz cierpiała przeze mnie?

Krew się w niej burzyła, wypełniała głowę hukami. Ciężkie dudnienie zagłuszyło inne dźwięki. Słyszała tylko męczyznę przed sobą. Wojenny werbel zagrał sygnał: „Zabij!”.

Instykt.

Wycucie.

Kalkulacja.

Resztką rozsądku zdołała zdusić to w sobie, zwalczyć żądze mordy, dać szansę ucieczki komuś, kto na to nie zasługiwał.

- Wypuść mnie - powiedziała cicho, niemal na jednym dźwięku - to cię nie zabiję.

W odpowiedzi boss się zaśmiał. Szczek jego śmiechu zabrzmiał twardo i bezdusznie jak szyderstwo.

- Proszę bardzo, maleńka - odezwał się. - No już, spróbuj mnie zabić. Nie przypuszczałem, że tego ranka czekają mnie takie atrakcje.

Westchnęła.

Zła odpowiedź.

Zawsze, kurwa, mówili nie to, co trzeba.

Zamknęła oczy, czując, jak przyjemny dreszcz ogarnia jej

ciało. Teraz już nie było odwrotu. Wkrótce miała poczuć rozkosz zabijania. Nie mogła się cofnąć. Niczego nie żałowała, pogodziła się ze swoim losem. Wiedziała, że jeśli tu spotka ją koniec, umrze szczęśliwa. Wymieniła własne życie za życie niewinnego dziecka. Cena była sprawiedliwa.

- Pokażę ci, czego naprawdę pragniesz - powiedziała.

- Tak - wyszeptał, śledząc wzrokiem ostrze, którym pieścił jej skórę. - Na pewno.

Umilkł, wyrwał się z transu i schował nóż do kieszeni marynarki. Znienacka uderzył ją pięścią w brzuch i powalił na kolana. Potem pochylił się nad nią i palcami pogładził jej policzek.

Czas niemal stanął w miejscu. Ruchomy obraz podzielił się na pojedyncze klatki, jak w błyskach lampy stroboskopowej. Jej palce pracowały, nadgarstki ocierały się o siebie, rozluźniając więzy. Podniosła wzrok i tym razem jej uśmiech zwiastował śmierć.

Jeden ruch, pewny, płynny, błyskawiczny. Z kolan na nogi. Do góry. Czoło w jego twarz. Dość szybko, by złamać mu nos, dość mocno, by jego głowa szarpnęła się w tył. Jej ręka w jego kieszeni. Jego nóż w jej dłoni. Ramię wokół szyi. Ostrze przy gardle.

Jego goryle dopiero sięgali po broń.

Carean zamachał rękami. Próbował złapać równowagę i zaprzeć się w miejscu, gdy pociągnęła go w stronę ściany i stojącego przy niej stołu. Był silny. Ważył niemal tyle co ona. Wzrostem jej dorównywał. Na szczęście adrenalina dawała takiego kopa, że Munroe nie czuła jego siły, nie czuła ciężaru. Ciągnęła go za sobą jak szmacianą lalkę.

Goryle bali się strzelać, aby nie trafić w bossa, ale zaczęli się zbliżać, zacieśniając półokrąg.

Munroe szybkim ruchem rozcięła skórę na gardle Carcana.

- Do tyłu - syknęła i tamci przystanęli w pół kroku.

Lepiej od niego wybrała miejsce. Trafiła dokładnie w żyłę szyjną. Wiedziała, że takie cięcie jest jak wyrwa w tamie. Przeciwnik ciągle jeszcze się nie poddawał. Próbował stawiać opór. Wydawał się nieświadomy tego, że im bardziej się będzie szarpał, tym szybciej umrze. Zdołał chwycić ją za ucho. Wpił w

nie palce, pociągnął.

Dźgnęła go w rękę.

Wrzasnął.

- Na razie tylko czujesz ból - powiedziała do niego - ale jeśli twoi ludzie nie rzucą broni, nie przeżyjesz.

Wysyczał niezrozumiałą odpowiedź.

Munroe odciągnęła go za szeroki stół. Ściana za jej plecami była solidna. Przez rozciętą koszulę czuła jej chłód. Nikt nie mógł zejść jej od tyłu, a stół nie dopuszczał tamtych bliżej niż na dwa metry.

- Wykrwawiasz się - szepnęła do swojego zakładnika. - I to szybko. W tym tempie za dwadzieścia minut będziesz martwy. Wolisz pojechać do szpitala czy prosto do kostnicy?

Sklamała, żeby go nakłonić do posłuszeństwa. Przy takim krwawieniu zostało mu najwyżej dziesięć minut.

Przestał się szamotać. Wyraźnie słabł. Może się poddał, a może to kleszcze jej ręki zagiętej wokół jego szyi ograniczyły dopływ krwi do mózgu. W tej chwili przyczyna nie miała żadnego znaczenia.

- Rzućcie broń - nakazał swoim goryłom.

Jego głos zabrzmiał cicho, niemal jak szept.

- Chyba cię nie słyszeli - wysyczała.

- Rzućcie broń - powtórzył niewiele głośniej, ale tym razem dla podkreślenia polecenia podniósł i opuścił rękę.

Na wszelki wypadek Munroe powtórzyła jego słowa. Kiedy nie zareagowali, przytknęła czubek noża do stawu barkowego bossa i dźgnęła.

Mężczyzna wrzasnął.

Goryle położyli broń na podłodze.

- Kopnijcie pistolety pod stół - nakazała i spojrzała na kierowcę Carcana. - Hej ty! Grubasie! Rzuć kluczyki na blat.

Kiedy mężczyzna wypełnił polecenie, Munroe kiwnęła na dwóch, którzy stali najbliżej wejścia.

- Otwórzcie wjazd - powiedziała.

Nie mogła dosięgnąć broni pod stołem. Nie miała jak jej zebrać, nie puszczając przy tym szefa bandziorów. Oni to wiedzieli, ona to wiedziała i oni wiedzieli, że ona wie. Odliczała

sekundy, patrząc, jak tamci dwaj niktą w półmroku, kierując się do rozsuwanych drzwi.

Zbliżał się najbardziej niebezpieczny moment. Czterech goryli po drugiej stronie stołu miało teraz szansę ją podejść.

Dwaj w głębi magazynu, ci, których wysłała do wyjścia, celowo się ociągali. Grali na zwłokę. Dopóki miała odciętą drogę ucieczki, ich czterej koledzy mieli szansę coś zdziałać. Traciła przewagę, którą udało jej się zdobyć, zaskakując przeciwnika.

Czterech bandziorów po drugiej stronie stołu rozstawiło się szerzej. Krok za krokiem zbliżali się do niej - za odważnie jak na nieuzbrojonych goryli, nawet najbardziej lojalnych.

Znowu odezwał się w niej instynkt. Najpewniejsza szansa na przetrwanie. Munroe zdjęła rękę z szyi bossa - po prostu puściła go, pozwalając, by osunął się na ziemię. Nie zdołał utrzymać się na nogach, a ona rzuciła się na podłogę razem z nim. Dosłownie zanurkowała pod stół i chwyciła dwa pistolety. Nie miała czasu wybierać. Złapała to, co nawinęło się pod rękę.

Jej palce zacisnęły się na dwóch Bersach Thunder, dziewiątkach, takich samych jak ta, którą jej wcześniej odebrano. Jeśli miały pełne magazynki, a podejrzewała, że tak jest, każda dawała jej siedemnaście strzałów. Jeżeli to by jej nie wystarczyło, zasługiwała na kulkę.

Leżąc na boku, oddała dwa strzały. Ostrzegawcze. W beton tuż pod nogami tych, którzy znajdowali się najbliżej stołu. Huk rozszedł się potężnym echem po pustym magazynie. Goryle drgnęli i przypadli do ziemi, a po chwili cofnęli się, ale tylko do granicy kręgu światła rzucanego przez lampę. Czas upływał w nanosekundowych interwałach. Gesty przemawiały do niej wyraźniej niż jakiegokolwiek słowa. Wszyscy po coś sięgali.

Mieli zapasową broń.

Skoro miała zginąć, zamierzała zabrać ze sobą towarzystwo. Na ułamek sekundy znieruchomiała. Uspokoila oddech. Dwa strzały. Mężczyzna najbliżej niej zawył. Padł. Był ranny, ale żył. Na razie.

Boss próbował dźwignąć się z ziemi. Rąbnęła go łokciem w twarz i drugi raz w rozcięte ramię. Wrzasnął.

Przetoczyła się nad nim, aby wykorzystać jego ciało jak żywą

tarczę. Przycisnęła mu lufę do kręgosłupa.

- Spróbuj się ruszyć, a do końca życia będziesz sparaliżowany. Rozumiesz?

Jęknął.

Trzej mężczyźni na krawędzi światła znowu zaczęli się przesuwać. Chcieli podejść ją pod innym kątem, aby nie zasłaniały jej krzesła, nogi stołu ani ich szef. Wjazd do magazynu wciąż był zamknięty.

- Jeśli w ciągu minuty nie otworzycie bramy, jeden z waszych ludzi zginie.

Tym razem mężczyźni wycofali się w półmrok. Żaden nie chciał być tym pierwszym. Szmery, skrobnięcia butów o beton i szelesty zdradzały ich pozycje. Trzymali się tuż poza polem widzenia. Z takiej odległości byłoby im trudno strzelać celnie, ale zawsze mogli liczyć na łut szczęścia albo rykoszet. Zwłaszcza że blask lampy uniemożliwiał Munroe dojrzenie tego, co znajdowało się poza jasnym kręgiem, i czynił z niej łatwy cel.

Przeçoła się nieco do przodu. Wycelowała. Pocisk trafił w żarówkę i magazyn spowija czerń. Munroe pod powiekami wciąż miała jasny kontur silnej lampy, ale nawet tak oślepią w ciemnościach czuła się jak ryba w wodzie.

Wiedziała, że oczy przeciwników szybciej się oswoją z mrokiem i doda im to odwagi. Podejrzewała, że spróbują podczołgać się bliżej. Do miejsca, skąd mogli ją dostrzec. Uklękła. Czekala. Nasłuchiwała. Po chwili podniosła się do półprzysiadu, złapała z blatu kluczyki samochodowe i ponownie zanurkowała pod spód, tam gdzie nogi stołu i krzesel dawały jej niewielką zasłonę.

Odwróciła się do bossa.

- Zostałeś sam - wyszeptala i przytknęła mu lufę do podstawy czaszki. - Wstawaj.

Z trudem podparł się rękami i dźwignął z ziemi. Oddychał powoli, płytko. Stracił dużo krwi. Nie zostało mu wiele czasu. Musiała dotrzeć do wozu, dopóki był jeszcze dla niej jako taką gwarancją.

Rozdział 34

Logan zatrzymał taksówkę kilkaset metrów od celu. Bez trudu znaleźli właściwy magazyn. W odległej od miasta strefie przemysłowej, na ogromnej przestrzeni znajdowało się niewiele budynków, a ten przewyższał sąsiednie o piętro lub dwa. Z daleka wydawał się pusty, choć od frontu, nieopodal wejścia stał samochód.

W przeciwieństwie do innych składów przy tej samej ulicy przed tym nie czekała żadna ciężarówka ani nie uwijali się wokół robotnicy. W ogóle nic się tam nie działo. Logan był skłonny uznać, że ma przywidzenia, kiedy zauważył, że szerokie wejście jest otwarte.

- Co o tym sądzisz? - zwrócił się do towarzysza.

Gideon pokręcił głową, tak jakby zastanawiał się nad łamigłówką, której nie potrafił rozwiązać. Sięgnął na tył wozu, chwycił recepcjonistę za koszulę i podciągnął go tak, by ten mógł coś zobaczyć nad deską rozdzielczą.

- Jesteś pewien, że to właściwe miejsce? - spytał go.

Zakneblowany i opuchnięty mężczyzna przytaknął.

- A drzwi? Normalnie zostawiają je tak otwarte? - zdziwił się Gideon.

Recepcjonista pokręcił przecząco głową i Gideon puścił go z powrotem na siedzenie.

Wierzyli, że doprowadził ich we właściwe miejsce i udzielili informacji zgodnych z prawdą, nie dlatego, by był godny zaufania, tylko dlatego, że dwie godziny wcześniej zdołali go przekonać, że ich interesy się pokrywają. Wywieźli go za miasto i na ciemnym polu unieruchomili rozpostartego na ziemi. Potem przycisnęli mu lufę do dłoni i zagrozili, że będą odstrzeliwali po jednym palcu, dopóki nie odpowie na wszystkie pytania. Do współpracy nie nakłonił go strach przed bólem, tylko obietnica, że go wypuszczą. Zapewnili, że zależy im wyłącznie na odnalez-

zieniu przyjaciółki, i obiecali go uwolnić, gdy wskaże, dokąd ją zabrano, i upewnią się, że ona rzeczywiście tam jest. Tylko tyle. Miał do wyboru to albo mniej palców u rąk, a potem u stóp, aż do skutku.

Logan podjechał jeszcze kawałek, po czym zatrzymał wóz i wyłączył silnik. Z tego miejsca, niedaleko wejścia magazynu, mogli spokojnie wszystko obserwować i czekać.

Okolica była spokojna. Ruch niewielki. Kiedy po półgodzinie wciąż się nic nie działo, Logan położył dłoń na klamce.

- Tracimy czas - powiedział. - Albo ona tu jest, albo nie.

Gideon obrócił się do tyłu.

- Jeśli my przeżyjemy, to ty też - rzucił.

Recepcjonista pokiwał głową. Wiedzieli, że i tak spróbuje uciec, gdy tylko się oddalą. Każdy o zdrowych zmysłach by tak postąpił. Tylko że jemu nie mogło się udać.

Z bagażnika wyciągnęli pistolety maszynowe. Broń miała zbyt duże gabaryty, by dało się ją ukryć pod kurtką, a budynek nie stał przy samej drodze i mieli do pokonania jeszcze kilkadziesiąt metrów.

Gideon jeszcze chwilę grzebał w torbie. Rzucił Loganowi trzy pełne magazynki i tyle samo upchnął we własnych kieszeniach i za paskiem. Gdyby wzięli więcej amunicji, byłoby im za ciężko i wolniej by się przemieszczali.

Według recepcjonisty Munroe mogło towarzyszyć od pięciu do dziesięciu ludzi, ale nawet jeśli się mylił lub kłamał, żeby mylnie ocenili swoje szanse, taka ilość amunicji powinna wystarczyć - chyba że w środku czekała na nich dobrze uzbrojona armia.

Gideon zamknął bagażnik. Logan na moment zatrzymał się przy przednich drzwiach po stronie pasażera i kilkoma kopniakami poluzował boczne lustro, po czym zabrał je ze sobą. Kiedy zeszli z chodnika, Gideon zebrał kilka kamyków. Logan nie musiał pytać po co.

Podeszli do budynku nie od frontu, lecz z boku. Nikt ze środka nie mógł ich zauważyć, ponieważ ściana nie miała okien. Gideon ostrożnie zbliżył się do zaparkowanego obok magazynu samochodu, przeszedł dwa kroki tyłem, zatrzymał się w poło-

wie jego długości i zajrzał do wnętrza. Stwierdził, że wóz jest pusty, i dał Loganowi znak, że można iść dalej. Jedyнным dźwiękiem był lekki chrzęst żwiru pod ich butami.

Logan przesunął się wzdłuż frontowej ściany do samego wejścia i wsunął do środka lusterko, jak prowizoryczny peryskop, próbując zobaczyć w nim, co się da. Nie dostrzegł żadnego ruchu. Na podłodze ogromnej hali tu i ówdzie zauważył dziwne garby. Może ciała. W tym świetle i pod takim kątem trudno było to stwierdzić z całą pewnością.

Dał znak Gideonowi i ten wrzucił do środka kamyk. Mały otoczek kilkakrotnie głośno odbił się od podłogi, zanim się zatrzymał. Echo zwielokrotniło hałas.

Wciąż żadnej reakcji.

Gideon powtórzył manewr. I znowu chwilę nasłuchiwali.

Żadnych strzałów. Żadnych kroków. Żadnych głosów. Nic.

Obaj błyskawicznie wślizgnęli się do środka i przywarli do ściany.

Światło wpadające przez otwór drzwi docierało mniej więcej trzydzieści metrów w głąb hali. Budynek był znacznie dłuższy, ale ciała znajdowały się w oświetlonej strefie i ze swego miejsca widzieli wszystkie.

Siedem trupów - sami mężczyźni - leżało w dużych odstępach na betonie.

Gideon przez chwilę gapił się na nie z rozdziawionymi ustami. Potem wyszedł na środek i powoli okręcił się wokół własnej osi.

- Trafiliśmy we właściwe miejsce? - upewnił się. - Ona naprawdę tu była?

Ton jego pytań świadczył o stopniu niedowierzania.

Logan podszedł do najbliższego ciała. Ukłękł.

- Tak - potwierdził. - Trafiliśmy we właściwe miejsce.

- Lepiej zrób zdjęcie — stwierdził Gideon. — Miles nie uwierzy nam na słowo.

Logan sprawdził puls leżącego. Nie spodziewał się niczego i nic nie wyczuł. Czaszka mężczyzny miała dziwny kształt. Jego ciało wydawało się połamane i powykręcane, tak jakby spadł z belek pod sufitem — albo został uderzony przez samochód.

- Uwierzy - zapewnił. - Widział to na własne oczy. Z bliska. Wyprostował się i odwrócił do Gideona. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale kiedy zobaczył minę towarzysza, umilkł i ruszył do kolejnego ciała.

Musiał dać mu czas na przetrwanie tego, co ich otaczało. Logan wiedział, że nie chodzi o scenę jatki, bo Gideon widział już - i przeżył - o wiele gorsze rzeczy. Tylko że wokół leżało siedem trupów, a Munroe zniknęła i powoli zaczynało do Gideona docierać, że tego wszystkiego dokonała ta sama kobieta, którą kilka dni wcześniej próbował sprowokować do walki. Świadomość, czego wtedy uniknął, przyszła trochę po czasie, ale lepiej późno niż wcale.

- Jak myślisz, co tu się stało? - spytał w końcu.

Logan wzruszył ramionami.

- Przy takiej agresji, hm, podejrzewam, że ktoś jej dotknął... no wiesz... w wiadomych zamiarach.

Podszedł do następnego trupa, przykląkł i zbadał puls, tak jak u poprzednich dwóch. Ciała już stygły, ale jeszcze nie były zimne.

- Zwykle stara się unikać rozlewu krwi - powiedział. - A zwłaszcza takiej rzezi. Ale jest kilka rzeczy, które są w stanie wyprowadzić ją z równowagi do tego stopnia, że kończy się to właśnie tak. Ten, kto próbuje przemocą zmusić ją do seksu, szybko ginie.

- Myślisz, że oni wszyscy? - zdziwił się Gideon.

- Nie wiem.

Logan obrócił się powoli wokół własnej osi i po chwili wskazał mężczyznę w kałuży krwi, opartego o podziurawioną pociśkami ścianę.

- Tamten - stwierdził i podszedł do niego. - Wygląda na to, że umarł z upływu krwi, od ran zadanych nożem. Co do reszty nie jestem pewien, ale ten ma wszystkie znamiona jej ofiary. Nie wiem, kim jest, ale musiał strasznie ją wkurwić. Podejrzewam, że to on dowodził resztą. - Logan wskazał na odpryski w murze.

- Strzelali do czegoś lub do kogoś... nie do tego gościa. - Przesunął dłonią po ścianie i spojrzął na opuszki palców. - Nie ma śladów krwi - stwierdził i rozejrzał się po podłodze, szuka-

jąc charakterystycznie układających się kropel wokół krzepnącej kałuży. - Chyba nie trafili w cel. Mam ochotę przyciągnąć tu naszego recepcjonistę, żeby zidentyfikował tych gości.

- A co z Munroe? - spytał Gideon.

- Tu jej nie ma, a siedmiu facetów nie przyjechało jednym samochodem. Musiał być jeszcze drugi. Nigdzie go nie widać, więc albo Michael leży martwa w jakimś innym miejscu, albo bandziorów było więcej i zabrali ją gdzie indziej. Ale jeśli tamten pod ścianą to ich boss, podejrzewam, że jest wolna i ma wóz. Na pewno od razu ruszy za Milesem. Powinniśmy chyba zrobić to samo.

Logan przez chwilę nad czymś rozmyślał, rozglądając się po hali. Wreszcie wstał. Jeżeli lider tutejszego świata przestępczego zniknął bez uprzedzenia, należało się spodziewać, że prędzej czy później ktoś zacznie go szukać.

- Sprawdzę jeszcze resztę magazynu, aby mieć pewność, że jej tu nie ma - powiedział. - przyprowadź recepcjonistę. Niech zidentyfikuje tych ludzi, a potem znikajmy stąd, nim zjawią się posiłki i my oberwiemy za to, co tu zaszło.

Pora była jeszcze dość wczesna i w mieście panował niewielki ruch. Munroe jechała ulicami Buenos Aires jak najwolniej, aby ściągać na siebie jak najmniejszą uwagę. Trudno było zupełnie nie rzucić się w oczy, w samochodzie z maską wgniecioną od uderzenia w ścianę magazynu, ze zderzakiem poplamionym krwią i z pajęczyną zamiast tylnej szyby po stronie pasażera, bo w kuloodporne szkło trafiło kilka pocisków. Jeszcze kilka kilometrów i mogła się pozbyć grata.

Drugi samochód obok magazynu zobaczyła dopiero, gdy z piskiem opon wyjechała na drogę. Teraz uważała, że lepiej było zawrócić i wziąć tamten wóz, ale wtedy w ogóle nie brała pod uwagę takiej opcji.

Podporządkowała się zmiennemu rytmowi ruchu ulicznego, podczas gdy jej myśli zataczały kręgi. Starła się ustalić kolejność czynności, jakie musiała teraz wykonać. Zostało jeszcze kilka spraw do dokończenia, parę elementów musiało trafić na

miejsca, a każdy opierał się na tych pod spodem tak jak w domu z kart. Musiała myśleć trzeźwo i szybko, ale gwałtowny odpływ adrenaliny spowalniał ją i utrudniał skupienie się na czymś poza bezpiecznym dojechaniem z punktu A do punktu B.

Powinna coś zjeść, podnieść poziom cukru we krwi. Potrzebowała również snu. Jedzenie było łatwiej i szybciej dostępne. Tylko najpierw musiała wrócić do hotelu i upewnić się, że Bradford jest bezpieczny i trzyma się planu. Potrzebowała tej pewności, nie tylko po to, by się uspokoić, ale też aby wiedzieć, co ma dalej robić. Zakładała, że albo jak najszybciej podąży w ślad za Bradfordem, albo będzie musiała ustalić, gdzie on jest, i ruszyć mu na ratunek. Jedno z dwóch.

Jeżeli żył i udało mu się bezpiecznie wywieźć Hannę, Logan na pewno chciał przejąć córkę. W takiej sytuacji Bradford musiał mu odmówić, bo choć sam nie był prawnym opiekunem Hanny ani nie mógł zabrać jej do domu, to zobowiązał się dostarczyć dziewczynkę jej matce i przypuszczalnie chciał to zrobić jak najszybciej.

Podejrzewała, że potem zamierzał niezwłocznie wrócić do Buenos Aires i zacząć jej szukać, wszystko jedno jak długo miało to trwać. Dlatego chciała jak najszybciej rozprawić się z całym tym bałaganem. Musiała dotrzeć do Bradforda, zanim on spotka się z Charity, a poza tym czuła, że powinna porozmawiać z Hanną, nim dziewczynka trafi do mamy. W obu przypadkach konieczny był pośpiech. Charity potrzebowała co najmniej dnia, żeby dotrzeć do Montevideo, chyba że już była w drodze.

Munroe weszła do hotelu, nisko pochylając głowę i ręką przytrzymując rozciętą na piersi koszulę. Skierowała się prosto do ogólnodostępnej łazienki na parterze. Widziała już swoją twarz we wstecznym lusterku i nie wyglądało to najlepiej. Miała spuchnięte wargi, podbite oczy i sińce oraz zadrapania na policzkach i czole. W sumie wołała takie kolory od trupiej białości, ale nie miała szans wmieszać się w tłum.

W łazience zamknęła drzwi na klucz, stanęła przed rzędem luster i puściła wodę. Zmyła krew z twarzy, rąk i ramion i włożyła głowę pod kran, żeby opłukać króciutko ostrzyżone włosy.

Rozcięte ubranie zdjęła, podkoszulek włożyła tyłem na przód, tak że pęknięcie znalazło się na plecach, i na to z powrotem narzuciła wierzchnią koszulę. Na materiale widniały ślady zaschniętej krwi. Rękaw na ramieniu, którym założyła zakładnikowi duszący chwyt, zupełnie przesiąkł, ale nic nie mogła na to poradzić. Na szczęście na czarnym tle nie było widać, że to krew. Wolałaby splukać plamy albo przynajmniej zdrapać zaschnięte resztki do zlewu, ale na to potrzebowała czasu, którego nie miała. I tak siedziała w łazience na tyle długo, że ktoś mógł nabrać podejrzeń.

Raz jeszcze obmyła twarz zimną wodą i osuszyła papierowym ręcznikiem. Nie zmniejszyło to opuchlizny, ale przynajmniej przyniosło jej chwilową ulgę.

Z łazienki poszła do recepcji. Świadoma ciekawskich spojrzeń, poprosiła o klucz do pokoju. Jak zawsze podczas akcji, nic przy sobie nie miała. Paszport, pieniądze i wszystkie osobiste rzeczy zostawiła w hotelu. Podejrzewała, że pokój został już opróżniony - miała nadzieję, że tak właśnie było, bo to by oznaczało, że Bradford trzymał się planu - ale i tak wolała przekonać się osobiście.

Recepcjonista nie zdołał zamaskować obrzydzenia na widok jej pokaleczonej twarzy i nawet nie udawał, że chce jej pomóc. Owszem, pokój został opłacony za cały tydzień z góry, ale ponieważ nie miała żadnego dokumentu, który poświadczyłby, że jest jedną z wynajmujących, a on jej nie rozpoznawał, nie mógł nic dla niej zrobić.

Niebezpieczny koktajl hormonów wywołany porannymi wydarzeniami wciąż jeszcze krążył w żyłach Munroe, a rezerwy uprzejmości dla gnojzków wyczerpała wiele godzin wcześniej.

Rozdział 35

Nawet w najlepsze dni Munroe nie miała cierpliwości do pętaków i arogantów, a tego dnia nie mogła zaliczyć do dobrych. Nóż Carcana błyskawicznie znalazł się w jej dłoni. Wysunęła ostrze, pochyliła się nad blatem i wysyczała barwny opis tego, co zrobi recepcjoniście, gdy dopadnie go samego. Szybko skapitulował.

Z kluczem w ręce wbiegła po schodach na swoje piętro, przeskakując po dwa stopnie. Ściagała się z czasem i z hotelową ochroną, która wkrótce miała ruszyć w pościg za nią. Podejrzała, że może nawet dołączy do nich policja.

Otworzyła drzwi i obiegła wzrokiem pusty pokój. Został dokładnie wyczyszczony. Nie przez obsługę hotelu, ale przez specja od takiej roboty. Nie został żaden ślad, który świadczyłby o tym, że ona lub Bradford w ogóle tutaj byli. Poszła prosto do łazienki, zignorowała swoje odbicie w lustrze i podniosła pokrywę baku toalety. Zniknęły także jej pieniądze i dokumenty.

Z ulgą umieściła pokrywę na miejscu. Bradford trzymał się planu. Wyjazd z kraju i odszukanie go bez pieniędzy i dokumentów mogły nastreścić jej trochę trudności, ale to jej nie przerażało. Zdecydowanie wołała takie wyjście.

Rzuciła klucze na łóżko, zostawiła odrobinę uchylone drzwi i ukryła się w niszy obok klatki schodowej. Spędziła w pokoju półtorej minuty - o całą minutę za długo. Rozległ się odgłos otwieranych drzwi windy i dwaj mężczyźni w uniformach minęli ją pędem. Zatrzymali się przed pokojem i kopnięciem otworzyli drzwi. Munroe po cichu wydostała się na klatkę schodową.

Zbiegła na dół, przemknęła przez hol, wypadła na chodnik i skręciła w lewo. Szła szybko, z nisko spuszczoną głową. Nie zatrzymała się przy wozie, którym tu dotarła. Kilka kroków dalej jakiś mężczyzna właśnie wsiadał do swojego samochodu.

Skierowała się w jego stronę.

Przytknęła mu nóż do boku i kazała się przesunąć na fotel pasażera, a sama zajęła jego miejsce.

Decyzję podjęła dosłownie w ułamku sekundy. Nienawidziła tego. W takich okolicznościach mogła się przedostać przez miasto, nie terroryzując żadnego kierowcy. Nie była bandzirem i nie pochwałała żerowania na przypadkowych ludziach, którzy nie ponosili winy za sytuację, w jakiej się znalazła.

Zwykle do złapania okazji wystarczyła uważna obserwacja mowy ciała, kilka uśmiechów i łzawa opowiadka. Tylko że nikt nie chciałby zaoferować pomocy Frankensteinowi. Z taką twarzą mogła jedynie ukraść czyjś samochód albo pojechać rozbitym wozem, który wszystkim rzucał się w oczy.

Wyjechała na ulicę i wcisnęła pedał gazu. Dopiero gdy uznała, że dostatecznie oddaliła się od hotelowej ochrony i nie grozi jej pościg, zwolniła do mniej obłądnej prędkości.

Mężczyzna patrzył na nią wytrzeszczonymi oczami. Odsunął się jak najdalej. Gdyby mógł, wlażyłby na drzwi. Zerkał na nią z absolutnym przerażeniem i mamrotał coś bez sensu, tak jakby rozmawiał z wymaginionym przyjacielem.

- Nic ci nie zrobię - powiedziała, ale to go nie uspokoiło, jakby nie rozumiał jej słów.

Był szczupły, po pięćdziesiątce, siwiejący, w mysim garniturze, który bardziej pasował do urzędnika niż biznesmena. Nie znał hiszpańskiego, więc nie pochodził stąd. Jadąc w strumieniu samochodów, Munroe skupiła się na jego paplaninie. Podchwyciła zlepkę dźwięków raz i drugi i w końcu zaczęła rozumieć. Mężczyzna się modlił, szeptem powtarzając raz po raz te same kilka zdań. Po rosyjsku. Taki splot okoliczności zdumiał Munroe do tego stopnia, że o mało nie spowodowała kolizji. Skoncentrowała się na prowadzeniu.

- *Ja nie sdietaju wam niczego ptochogo* - powiedziała.

W tak stresującej chwili przeszła z jednego języka na drugi zupełnie automatycznie, podobnie jak przełącza się kanały pilotem albo zrzuca kurtkę po powrocie do domu.

- Muszę się tylko dostać w drugi koniec miasta - wyjaśniła - potem oddam panu samochód. Obiecuje.

Oczy mężczyzny zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe, jeśli było to możliwe. Ze zdumienia rozdziawił usta.

Taka reakcja nie była dla niej niczym nowym. W ten sposób zachowywali się ludzie, którzy słysząc ojczysty język w obcym kraju, sądzili, że trafili na rodaka. Zwykle działo się to w zupełnie innych okolicznościach, ale przynajmniej nie po raz pierwszy miała z tym do czynienia i gdyby mężczyzna zadał jej jakieś pytanie, wiedziałaby, co mu odpowiedzieć.

Ale on o nic nie pytał.

Przestał się modlić, ręce luźno położył na kolanach. Nie próbował z nią walczyć. Mogła w milczeniu prowadzić i była mu za to wdzięczna.

Przed pensjonatem Logana zatrzymała się przy krawężniku, wyskoczyła z samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwi, ale po chwili ponownie je otworzyła. Wsunęła głowę do środka i przeprosiła mężczyznę. Potem raz jeszcze trzasnęła drzwiami, okręciła się na pięcie i niemal biegiem ruszyła na niewielki, wewnętrzny dziedziniec.

Nie zawracała sobie głowy szukaniem właścicielki i proszeniem jej o klucze. Tutaj pokoje miały słabsze futryny i mniejsze zamki. Aby dostać się do środka, wystarczyło solidne uderzenie obok klamki, po lewej stronie. Najpierw skierowała się do pokoju Heidi.

Zapukała. Chwilę zaczekała.

Zadudniła. Chwilę zaczekała.

I wreszcie kopnęła.

Futryna przy zamku trzasnęła i drzwi poleciały do środka. Tak jak się spodziewała, pokój był pusty. Nie opróżniony przez speców, tak jak w jej hotelu, tylko opuszczony w wielkim pośpiechu.

Poszła pod drzwi Logana. Podejrzewała, że tam zostanie to samo, ale wołała się upewnić. Kolejny zamek ustąpił i Munroe stanęła w progu jak wryta. Bradford nie zostawił po sobie ani śladu, Heidi się wyniosła, ale w pokoju Logana i Gideona wciąż były ich rzeczy.

Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Tylko chwilę zajęła jej prowizoryczna naprawa zamka. Potem podeszła do

łóżek, dotknęła pościeli i stwierdziła, że od dawna są zimne. Chłopcy nie zabrali laptopów ani innych przenośnych urządzeń, a na nocnej szafce Gideon zostawił książkę. To znaczyło, że obaj nadal są w mieście.

Munroe, znając zwyczaje Logana, wsunęła dłoń pod materac i wydobyła stamtąd płaską saszetkę. W środku znalazła jego paszport i kilkaset dolarów, połowa w argentyńskich pesos.

W myślach szybko skojarzyła fakty. Tylko jedno mogło tłumaczyć to, dlaczego ci dwaj jeszcze nie wyjechali. Pewnie by się roześmiała, gdyby nie była taka wściekła.

Bradford realizował plan... do pewnego momentu. Potem posłał jej na ratunek Logana i Gideona. Co za koszmar! Ważni dla niej ludzie - ci, których kochała - rozleźli się po całym mieście. Nie miała pojęcia, gdzie ich szukać. Nie wiedziała, czy są bezpieczni. Pragnęła wszystkich odnaleźć i wziąć pod swoje skrzydła. Ale rozsądek nakazywał jej co innego. Tak jak dziecko, który zgubił się w wesołym miasteczku, mogła jedynie trzymać się wcześniejszego planu, aby nie pogorszyć sytuacji. Musiała dotrzeć w ustalone miejsce z nadzieją, że pozostałym również się to uda.

Wzięła część pesos i wcisnęła je w kieszeń. Znalazła długopis, napisała wiadomość do Logana i wsunęła ją pod przednią część okładki jego paszportu. Potem z powrotem upchnęła saszetkę pod materac. Z bagażu Logana wyciągnęła czyste rzeczy i przebrała się w nie, a zakrwawione ubranie wrzuciła do plecaka i zabrała ze sobą. W sumie spędziła w pokoju cztery minuty.

Odszukała właścicielkę w głównej części pensjonatu. Zignorowała jej reakcję oraz szok niektórych gości i zostawiła chłopakom wiadomość. Liczyła, że jeśli nic im się nie stało, wkrótce tu wrócą, żeby się wymeldować. W ten sposób mogła najszybciej dać znać Milesowi, że żyje, bo Logan prawdopodobnie nadal miał awaryjny telefon, który umożliwiał mu bezpośredni kontakt z Bradfordem.

Pieniądze, które wzięła od Logana, wystarczyłyby na taksówkę do portu i na bilet w jedną stronę do Montevideo, stolicy sąsiedniego Urugwaju. Podróż promem trwała zaledwie trzy godziny, ale same pesos niczego nie ułatwiały, bo bez doku-

mentów bilet nie był jej do niczego potrzebny. Musiała się liczyć z tym, że przeprawa potrwa znacznie dłużej.

Kiedy wyszła z pensjonatu, Rosjanin nadal siedział w samochodzie, dokładnie tam, gdzie go zostawiła. Przeniósł się za kierownicę, ale wyłączył silnik i wyglądał przez przednią szybę. Nie upłynęło nawet dziesięć minut, odkąd zniknęła w budynku, tylko że dla człowieka, który - w swoim przekonaniu - ledwie uniknął napaści, dziesięć minut równało się dziesięciu żywotom. Spodziewała się raczej, że taki ktoś jak najszybciej stąd ucieknie i przy najbliższej okazji wieje w siebie coś mocniejszego.

Tymczasem mężczyzna nie wyglądał jak ofiara napadu, a poza tym, że wciąż tkwił w miejscu, gdzie go zostawiła, nie sprawiał wrażenia kogoś, kto przeżył wstrząs. Munroe zakłęła w duchu i ostrożnie podeszła do wozu. Nie miała czasu do stracenia, a Rosjanin był pod ręką. Ponieważ to ona odpowiadała za ściągnięcie go tutaj, nie mogła tak po prostu odejść.

Zastukała w szybę po stronie pasażera. Mężczyzna spojrzał na nią, tak jakby czekał na jej powrót i jej widok go cieszył.

- Co się stało? - spytał. - Jakież kłopoty?

Nie takich pytań się spodziewała, ale nie zamierzała marnować okazji.

- Muszę się dostać w jedno miejsce - powiedziała.

Otworzył drzwi po stronie pasażera i Munroe wsunęła się do środka.

- My, Rosjanie, musimy się trzymać razem - oznajmił.

Poszła po linii najmniejszego oporu i po prostu wyszczerzyła zęby. Jej reakcja nie była ani potwierdzeniem, ani zaprzeczeniem. Mógł interpretować jej minę tak, jak chciał. Niejednoznaczność była o wiele łatwiejsza od prawdy. Sporo czasu zajęłyby wyjaśnienia, że nigdy nie była w Rosji, że po prostu ma dar do języków, a jedynym powodem, dla którego uznał ją za swojaka, było to, że na drugim roku studiów przez cztery miesiące chodziła z chłopakiem z Petersburga. Dlatego wołała się po prostu uśmiechnąć.

Mężczyzna uruchomił silnik i Munroe poprosiła, aby podwiózł ją na przystań promową, przy porcie towarowym. Stam-

tąd odchodziły promy do Urugwaju. Rosjanin wiedział, gdzie to jest, i znał drogę. Natychmiast włączył się do ruchu, nie pytając o wskazówki. Pierwsze kilka minut jechali w milczeniu.

- Jeżeli masz kłopoty, może zdołam jakoś pomóc - odezwał się w końcu kierowca - tak daleko od domu trzeba mieć sprzymierzeńca.

- Mam za sobą kiepski ranek i tyle - powiedziała. - Muszę dotrzeć do przyjaciół. Potem już wszystko będzie w porządku.

- Na pewno? - nie ustępował mężczyzna.

Munroe kiwnęła głową i nic więcej nie powiedziała.

Port znajdował się bezpośrednio przy ruchliwych bulwarach Puerto Madero. W tym miejscu można było odnieść wrażenie, że miasto postanowiło z rozmachem wskoczyć do wody barwy czekolady, ale w ostatnim momencie uznało, że lepiej zanurzać się powoli, i na samym końcu dodało kilka budynków.

Nowoczesny, przeszklony terminal Buquebus, z rękawami, którymi z drugiego poziomu wchodziło się bezpośrednio na pokład statku, bardziej przypominał port lotniczy niż przystań promową.

Munroe poprosiła Rosjanina, żeby minął parking strzeżony przez policję i ochronę i podwiózł ją trochę dalej. Posłusznie przejechał obok terminalu z kasami biletowymi i zatrzymał się we wskazanym przez nią miejscu, przy rdzewiejącym ogrodzeniu, które oddzielało port od ulicy.

Zaproponowała, że zapłaci mu za podwiezienie, ale odmówił przyjęcia pieniędzy.

On powstrzymał się od pytań, a ona uściśnięła mu dłoń w sposób, który sugerował, że wszystko będzie dobrze, i w końcu się pożegnali. Długo stała w miejscu, patrząc, jak samochód robi się coraz mniejszy, włącza w nurt innych i wreszcie znika.

Odwróciła się i przeszła jeszcze kawałek dalej, ku gorzej wyglądającej części nabrzeża, ze starymi zabudowaniami i kiepską ochroną. Kręciło się tam niewiele osób. W końcu znalazła miejsce, w którym łatwo pokonała ogrodzenie, i dostała się do strefy, gdzie gromadzili się robotnicy portowi. Stąd, nie wzbudzając niczyich podejrzeń, mogła obserwować kolejki samochodów i pracowników przewożących bagaże na wózkach

podczepionych do niewielkich traktorów, gotowych do obsługi kolejnego rejsu.

Prom do Montevideo wypływał za godzinę i Munroe zamierzała się znaleźć na jego pokładzie. Problemem nie była sama konieczność posiadania biletu, tylko obowiązek okazania dowodu tożsamości przy jego zakupie - no i potem przejście kontroli granicznej. Nie miała wątpliwości, że jej poobijana twarz niepotrzebnie wszystko skomplikuje.

Na górze, za szkłem, widziała cienie pasażerów, którzy szykowali się do wejścia na pokład, ale nie oni ją interesowali. Paszport był coś wart tylko dla prawowitego właściciela i mógł się stać źródłem nieprzewidzianych kłopotów dla osoby, która próbowałaby się posłużyć cudzym. Lepsza była karta identyfikacyjna, którą przeciągało się przez specjalne czytniki. Argentyńczyk podróżujący do Urugwaju nie potrzebował innego dokumentu. Żadnych pytań. Żadnych podejrzeń. Wolna droga przez granicę.

Z chłodnym wyrachowaniem przyglądała się ludziom zgromadzonym na nabrzeżu, każdego oceniała i kolejno skreślała.

Znowu przełączyła się na niebezpieczny tryb, w którym jej instynkt drapieżnika brał górę nad empatią i - tak jak w przypadku Rosjanina - konieczność zdobycia tego, czego potrzebowała, zacierała granice między dobrem a złem, przez co cierpiały zupełnie nieświadome niczego osoby zamiast prawdziwych winowajców.

Munroe dyskretnie podeszła do strefy, w której panował największy ruch. Obserwowała i czekała, aż w rozgardiaszu przygotowań do odejścia pojawi się odpowiednia okazja. Dostawcy, robotnicy portowi i czasem pojedynczy członkowie załogi zjawiali się i odchodzili, a ona śledziła ich z uwagą.

Dobre dwadzieścia minut upłynęło, zanim znalazła cel. Był członkiem obsługi pasażerów promu, miał najwyżej trzydzieści kilka lat, a jego mowa ciała i niewdzięczne zadania, jakie wykonywał, świadczyły o tym, że zajmował jeden z najniższych szczebli drabiny w hierarchii. W przeciwieństwie do członków załogi jego nieobecność nie byłaby aż tak zauważalna, gdyby nie dotarł na pokład. Co więcej, fakt, że pracował w Buque-

bus, nie tylko rozwiązywał problem posiadania dokumentu, ale eliminował też konieczność kupienia biletu oraz przejścia większości procedur kontroli granicznej.

Przygotowania do wypłynięcia weszły już w ostatnią fazę. Strumień pasażerów powoli rzedł, a upatrzony przez nią cel odbył już kilka rund po trapie na nabrzeże i z powrotem, transportując na pokład rozmaite pudła.

Munroe kręciła się w pobliżu. Czekala, aż robotnik upora się z większością pak, i kalkulowała, jak długo trwa każdy kurs z ładunkiem. Wreszcie na nabrzeżu zostało tylko jedno pudło, a mężczyzna zniknął w bebeczach promu.

Wiele można wyczytać ze sposobu, w jaki ludzie się poruszają, z ich budowy ciała i spojrzenia, ale wygląd czasem myli. Najmilsza starsza pani mogła się okazać dumną posiadaczką majchra, którego używała bez skrupułów, dlatego konieczność zmierzenia się z nieznanym przeciwnikiem zawsze niosła element ryzyka.

Mężczyzna w końcu wrócił na nabrzeże i szykował się właśnie do podniesienia ostatniego pudła. Munroe zbliżyła się do niego od tyłu, mijając uwijających się robotników swobodnie, tak jakby miała absolutne prawo tu być. Ze skraju świadomości odezwała się przeciwwaga jej dzikiego instynktu - sumienie, które ostrzegało ją, że nie ma sensu wypleniać zła, jeśli potem samemu się je powieła.

Przytknęła nóż do pleców robotnika, nisko, z ostrzem skierowanym ku górze i pchnęła na tyle mocno, by poczuł go przez ubranie.

- Nie chcę cię skrzywdzić — wyszeptała - i nie zamierzam cię okraść.

Zesztywniał, zostawił ładunek i się wyprostował. Rytm jego oddechu się zmienił, ale Munroe nie usłyszała szybkiej zadyszki wywołanej strachem. Powolne ruchy świadczyły o tym, że taka sytuacja nie jest dla niego obca. Doskonale zdawał sobie sprawę z przewagi, jaką miał nad nią w tym tłoczonym miejscu.

Oplotła go wolną ręką w pasie i pociągnęła za sobą pod występ górnego poziomu, w stronę służbowego przejścia obok zewnętrznej ściany kas biletowych. Chciała jak najszybciej zna-

leżć się z nim tam, gdzie nikt ich nie zobaczy.

- Chodź ze mną i wysłuchaj mojej propozycji - powiedziała.

Mężczyzna posłusznie ruszył i przez chwilę szedł przed nią, być może po to, by ją zmylić, bo po kilkunastu krokach uderzył ją łokciem w bok z taką siłą, że wytrącił z jej dłoni nóż.

Rozdział 36

Tak jak zawsze uratował ją refleks. Zareagowała błyskawicznie. Uderzyła go pięścią na wysokości nerki i kopnęła w przeciwległe kolano. Kiedy stracił równowagę, pochyliła się za nim. Zgarnęła nóż z ziemi i pociągnęła mężczyznę do góry. Wszystko to zabrało mniej czasu, niż gdyby zwyczajnie się potknął i złapał równowagę.

Uwijający się wokół ludzie niczego nie zauważyli.

Swoją reakcją chciał dać jej coś do zrozumienia, ale spotkał się z mocniejszą odpowiedzią. Munroe siłą woli opanowała gniew. Nie mogła go winić za to, że próbował. Sama zareagowałaby tak samo. Niczym sobie nie zasłużył na takie traktowanie, po prostu znalazł się w dobrym miejscu o złej porze.

- Przysięgam, że nie chcę ci nic zrobić - zapewniła. - Ale jeśli mnie zmusisz, nie zostawisz mi wyboru, rozumiesz?

Kiwnął głową i gdy lekko go szturchnęła, ruszył we wskazaną stronę, do końca budynku, ku niepozornym drzwiom, używanym przez członków obsługi portowej. Przez ostatnie pół godziny większość zdążyła już tamtędy wyjść.

Zaraz za wejściem, po obu stronach wąskiego korytarza znajdowały się dwa pokoje. Stosy papierów, zapach nieświeżej kawy i jedzenia wydostawały się przez otwarte drzwi prosto w przejście. W głębi było zamknięte pomieszczenie, najprawdopodobniej toaleta albo magazynek, a dalej korytarz zakręcał w prawo. Munroe wskazała mężczyźnie zamknięte drzwi.

- Otwieraj - nakazała.

Weszła za nim do pojedynczej ubikacji, zamknęła drzwi na klucz i kazała mu usiąść na sedesie. Muszla nie miała deski ani pokrywy i żeby nie zsunąć się tyłkiem do wody, musiał szeroko rozstawić nogi.

- Potrzebuję twojej bluzy i identyfikatora - oznajmiła Munroe. - Albo wezmę je siłą, co może się okazać dla ciebie bolesne,

a dla mnie nieprzyjemne, albo oddasz mi je w zamian za pieniądze, które mam przy sobie. Nie jest tego dużo, ale na pewno więcej, niż kosztuje wyrobienie nowego identyfikatora. Tak czy inaczej, muszę cię związać i tu zostawić. Jeśli będziesz się opierał, i tak odbiorę ci to, czego potrzebuję, bo nie mam innego wyboru. Jeżeli oddasz mi to po dobremu, załatwimy wszystko tak, żeby twoja wersja wydarzeń brzmiała wiarygodnie. Sam ją sobie wymyślisz.

Mężczyzna patrzył na nią, nie przestając poruszać szczęką. Mogło to oznaczać wściekłość lub intensywne myślenie - a prawdopodobnie jedno i drugie.

- Ile pieniędzy? - spytał w końcu.

Z nożem w prawej dłoni, bacznie śledząc każdy jego ruch, lewą ręką wydobyła z kieszeni dwie trzecie tego, co zabrała Loganowi. Rzuciła banknoty w wyciągniętą dłoń mężczyzny, a on sięgnął do tylnej kieszeni spodni.

- Stop! Niczego nie próbuj - ostrzegła go.

Podniósł ręce do góry.

- Muszę wyjąć portfel - wyjaśnił, a ona kiwnęła głową.

Mężczyzna wyciągnął z portfela identyfikator i podał go jej.

- Rzuć to na podłogę - poleciła.

Zrobił tak, a potem zdjął bluzę i teatralnym gestem upuścił ją na identyfikator. Spojrzał na nią, unosząc brwi.

-I co teraz?

Zażądała jeszcze jego koszulki z krótkim rękawem, więc ściągnął ją przez głowę, odsłaniając dobrze umięśniony tors. Munroe przytknęła but do jego krocza i przycisnęła go niebezpiecznie mocno do dołu, po czym sięgnęła po T-shirt.

- Nie waż się ruszyć! - powiedziała.

Nożem pocięła koszulkę na paski, a potem wepchnęła głowę mężczyzny między jego kolana i nacisnęła mu butem na kark. Ręce związała mu za plecami i go zakneblowała. Pewna, że nie da rady łatwo się uwolnić, kazała mu wstać.

Poluzowała klamrę paska jego spodni. Mężczyzna spojrzął na nią przerażony i zaczął się cofać rakiem, tak jakby zamierzał na ślepo rzucić się do ucieczki, z góry skazanej na niepowodzenie.

Munroe zaśmiała się mimowolnie i pokręciła głową.

- Spokojnie - powiedziała. - Chcę tylko mieć pewność, że się stąd nie wydostaniesz.

Nawet nie zwracała sobie głowy wyjaśnianiem, że jest kobietą.

Wciąż patrzył na nią niepewnie, ale przestał stawiać opór. Położyła mu ręce na ramionach i zmusiła, by znowu usiadł. Spodnie ściągnęła mu do kostek i związała jego stopy paskami pociętej koszulki. Zaimprovizowane więzy biegły od jednej nogi, za sedesem, do drugiej nogi i z powrotem. Wiedziała, że gdy tylko ona zniknie, facet zacznie się szamotać, ale miała pewność, że prowizoryczne wiązanie wytrzyma przynajmniej do wypłynięcia promu, a to jej wystarczało.

Włożyła jego roboczą bluzę i podniosła z podłogi identyfikator. Wymknęła się z łazienki, zamykając za sobą drzwi.

Szybko wróciła na nabrzeże, podniosła ostatnie pudło i ruszyła z nim do brzucha promu, pamiętając, że jeden kurs z ładunkiem od startu do finiszu trwa pięć minut.

Dopiero gdy znalazła się na pokładzie i wreszcie mogła swobodniej odetchnąć, zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo się trzęsie. Dwukrotnie przeszła cykl od adrenaliny do szczytu do zupełnego nizu, a potem do kolejnego skoku. Czuła się zupełnie wyczerpana. Potrzebowała jedzenia. I miejsca, gdzie mogłaby się zaszyć na całą podróż.

Znajdowała się na niższym pokładzie, gdzie na czas rejsu parkowano samochody. Powietrze śmierdziało tu spalinami i smarem. Ostatni z wózków bagażowych trafił już z powrotem na nabrzeże. Pasażerów, którzy podróżowali samochodami, wysłano na górne pokłady i na dole zostało tylko kilku członków załogi.

Munroe skierowała się do przejścia obok samochodów. Na półce obok kamizelek ratunkowych dojrzała niewielki pojemnik podobny do pudełka z kanapkami, czyjeś drugie śniadanie. Nie zwalniając kroku i wciąż dźwigając ostatnie pudło, złapała pojemnik po drodze. Jak gdyby nigdy nic przeszła wzdłuż aut aż do pełnych drzwi.

Prowadziły do ciemnego, małego magazynku.

Wsunęła się do środka, zrzuciła ładunek na podłogę, usiadła

na nim i zaczęła wpychać zawartość pojemnika do ust szybciej, niż była w stanie przeżuwać. Pochłaniała jedzenie, tak jakby od dawna głodowała. Potrzebowała białka, ale musiała się zadowolić warzywami i ziemniakami oraz smakiem, który sugerował zawartość mięsa, choć go tam nie było.

Taka porcja wystarczyła, żeby powstrzymać drżenie, ale nie zaspokoili głodu. Munroe rozcięła pudło, na którym siedziała.

Zawierało pakowane słodycze. Wiedziała, że później zapłaci za wpompowanie cukru do organizmu, który tak bardzo potrzebował porządnego pożywienia, mimo to zjadła zawartość kilku opakowań.

W miarę jak głód ustępował, coraz wyraźniej czuła ciężar wy-czerpania. W ciemnym i ciepłym kokonie magazynku ze wszystkich sił starała się nie zasnąć. Nie potrzebowała koszarów, zwłaszcza teraz. Poza tym przy takim zmęczeniu istniało ryzyko, że zaśnie zbyt głęboko i przegapi wejście do portu u celu podróży.

Pomruk silników promu dodawał melodię do rytmu bujania i wbrew protestom umysłu jej ciało - senne, osłabione i domagające się odpoczynku - dało się ukołysać.

Noc była zupełnie czarna, niebo bezgwiazdne. Od strony piaszczystego pasa dobiegał rytmiczny odgłos fal wdzierających się na brzeg. Wokół pustka, żadnych świateł cywilizacji, żadnego ludzkiego głosu w ciszy. Była sama, otoczona tylko zapachem ryb, wonią słonej wody i subtelną nutą jaśminu. Czuła, jak ciepła bryza znad oceanu muska jej skórę, i kołysała się w hamaku.

Nie miało znaczenia to, że nic nie widzi ani że szum wody zupełnie zagłusza wszelkie inne dźwięki, bo mogła czuć. Przestrzeń spowitą absolutną ciemnością wypełniał spokój. To tutaj było niebo nicości - takiej, która mogła trwać i trwać...

Rytm pomruków przeszedł w niskie burczenie. Munroe otworzyła oczy. Gwałtownie wciągnęła powietrze, tak jakby zbyt długo wstrzymywała oddech. Wokół wciąż panował mrok, ale już nie było spokojnie. Zdezorientowana starała się połapać,

gdzie jest, nadać jakiś sens ciasnocie tego miejsca. Po chwili się uspokoila. Wszystko sobie przypomniała i pojęła, że odgłosy na zewnątrz się zmieniły, ponieważ uruchomiono turbiny wstecznego biegu.

Prom wpływał do portu. Nie miała pojęcia, jak długo spała ani do jakiego portu zawijali.

Zaczęła na ślepo badać otoczenie i odetchnęła z ulgą, gdy palcami wyczuła, że nic się nie zmieniło. Nóż wciąż tkwił w jej kieszeni, a pojemnik stał na pudle, tam gdzie go zostawiła. Nie namacała strzępów ubrań ani śladów zniszczenia. W niezbyt wygodnej pozycji, oparta ramieniem o ścianę zamiast o poduszkę, spała mocno i - po raz pierwszy od trzech miesięcy - nie śniła się jej przemoc.

Zza drzwi zaczęły się sączyć kroki i głosy. Budzące się do życia silniki samochodów świadczyły, że pasażerowie zaczynają opuszczać pokład. Munroe wstała, wygładziła zagniecenia, które na pewno znaczyły jej ubranie, przesunęła palcami po głowie i odrobinę uchyliła drzwi.

Zaczekała na właściwy moment, pewnym pociągnięciem otworzyła składzik i tak jakby miała prawo tu być, przyłączyła się do ludzi opuszczających pokład. Nie oglądając się za siebie i ignorując spojrzenia innych, wyszła na zewnątrz i ruszyła w stronę trapu.

Montevideo.

Budynki miasta wystawały zza kontenerów ustawionych jedne na drugich do wysokości trzech, a nawet czterech. W chłodnym powietrzu późnego popołudnia Munroe przystanąła, aby przez chwilę sycić się atmosferą tego miejsca. Montevideo było znacznie mniejsze od siostrzanej stolicy położonej o trzy godziny drogi na zachód, ale i tak niemałe. Liczyło niemal dwa miliony mieszkańców, a ona nie miała pojęcia, gdzie znajdzie Bradforda. Czuliła się tak, jakby miała szukać igły w ogromnym stogu siana.

Terminal promowy Buquebus w Montevideo dzielił przestrzeń z portem handlowym. Piesi pasażerowie opuszczali prom z wysokości drugiego poziomu, tak jak w Buenos Aires. Munroe ominęła kontrolę graniczną i celną, wychodząc dołem

prosto na nabrzeże i przedostając się między kontenerami. Bez kłopotów przeszła przez punkt ochrony, w którym tylko pobieżnie sprawdzano identyfikatory, i wreszcie znalazła się na ulicy najstarszej części miasta. Wiekowe budowle wznosiły się w regularnym układzie przestrzennym, który obejmował cały półwysep.

Munroe złapała taksówkę, która miała barwy pszczoły tak jak w Buenos Aires. Na podróż do gmachu poczty głównej wydała niemal wszystkie pieniądze. W zasadzie od celu dzieliła ją zaledwie mila - krótka przeprawa z promu na stare miasto - ale brakowało jej sił i czasu. Chciała mieć to już za sobą. Jazda taksówką trochę skróciła podróż, lecz i tak zjawiała się na poczcie tuż przed zamknięciem.

Główny urząd pocztowy Montevideo wydawał się niewielki w porównaniu z okazałą budowlą, w której się mieścił. Dwie ściany dużej sali zajmowały antyczne skrytki pocztowe, a pośrodku znajdował się kontuar w kształcie czworoboku. Za nim klientów obsługiwało troje urzędników.

Najbliżej stojąca kobieta, zapytana o poste restante, poprosiła Munroe na bok i kazała poczekać.

Tutaj kierowano listy do tych, którzy nie mieli adresu, i tu przechowywano je przez miesiąc lub nawet dłużej, ale przesyłka, którą Munroe miała nadzieję odebrać, przyszła dopiero dziś i została dostarczona osobiście. Z dłońmi na ladzie czekała na obsługę. Nerwy wciąż miała napięte. Na szczęście jedzenie i trzy godziny snu zdziałały cuda i teraz tylko cierpliwością mogła zdobyć to, czego potrzebowała.

Wbrew instynktowi, który pchał ją do działania, zmusiła ciało do bezruchu i przywołała na twarz wyraz spokojnej obojętności. Pulchna, czterdziestokilkuletnia urzędniczka wróciła bez pośpiechu. Munroe podała nazwisko. Kobieta sprawdziła kilka pudełek z alfabetycznie ułożonymi przesyłkami i wreszcie wyciągnęła pojedynczą kopertę.

Na widok białego prostokąta Munroe poczuła, jak opada z niej ciężar niepewności, która nie opuszczała jej przez ostatnią dobę.

Urzędniczka poprosiła o dokument, ale Munroe nie miała się

czym wylegitymować.

Bradford nie był idiotą, zabrał jej papiery, a wiedział, że będzie ich potrzebowała do odebrania listu, i na pewno wymyślił jakiś sposób, by przekazać jej wiadomość. Zdołała wykrzesać z siebie jeszcze odrobinę uprzejmości i nie szczedząc urzędnicze komplementów, spytała, czy może zobaczyć list. Kobieta uniosła brew z udawaną naganą i trzymając kopertę za rogi, podsunęła ją pod nos Munroe adresem do góry.

Munroe przyglądała się kopercie przez chwilę, po czym westchnęła rozczarowana.

- To nie do mnie - powiedziała, określiła się na pięcie i wyszła, zostawiając zdezorientowaną urzędniczkę z listem.

Pod pocztą złapała drugą taksówkę i podała kierowcy adres, który widniał na kopercie jako zwrotny.

Hotel Palladium.

Miała znaleźć Bradforda i Hannę na jedenastym piętrze. W apartamencie prezydenckim.

Montevideo - tak jak centrum Buenos Aires - było miastem wysadzanych drzewami bulwarów i architektury wzorowanej na europejskiej, tyle że nieco mniejszą, spokojniejszą i czystsza wersją swojej zachodniej siostry. Mimo i tak dość znacznych rozmiarów oraz głośnych autobusów, które pędziły raczej spokojnymi ulicami, zachowało coś z sennego uroku miasteczka Starego Świata.

Taksówka wyjechała ze starego miasta, kierując się na wschód. Oddalony o kilka przecznic od wybrzeża hotel Palladium wyglądał nowocześnie i reprezentacyjnie. Wyróżniał się zaokrąglonymi liniami bryły i przeszkleniami. Zaliczano go do najlepszych hoteli w mieście. Munroe wjechała windą na górę i ruszyła do Bradforda szlakiem wykładziny, mijając kolejne kinkiety.

Z niezmiennym wyczuciem, które przejawiał zawsze, gdy razem pracowali, otworzył drzwi, jeszcze zanim dotknęła klamki. Na jego twarzy malowały się ulga i radość... i jeszcze coś subtelnego, ukrytego pod warstwami ostrożności.

Munroe zatrzymała się w progu, a on przyciągnął ją do siebie i ciasno oplótł rękami. Rozumiała jego desperację. Mocno go

wystraszyła, ale na razie nie zamierzał jej ganić ani słowem. Akceptował ją całą, razem z osobistym ryzykiem i okaleczeniami.

Z ulgą wtuliła się w niego i położyła mu głowę na ramieniu.

Bradford pachniał radością, przyjemnością i tęsknotą. Napięcia i gniewne chmury ostatnich dni gdzieś się ulotniły.

Puścił ją, cofnął się o pół kroku i objął dłońmi jej twarz.

- Co oni ci zrobili?

- Szkoda, że nie widziałeś tamtych - odparła.

Przytulił ją raz jeszcze i pocałował w czoło.

- Logan mi o nich powiedział.

- Trafił do magazynu? - zdziwiła się, nie podnosząc głowy z jego ramienia ani nie ruszając się z progu. - Nic mu się nie stało?

Bradford kiwnął głową. Jego szept działał na nią uspokajająco.

- On i Gideon są już w mieście. Przyjechali jakieś dwie godziny temu.

Bez pytania wiedziała, że to Miles wysłał ich, żeby ją odnaleźli.

- Twoim tropem dotarli z hotelu do magazynu i z tego, co tam zastali, wywnioskowali, że żyjesz i zgodnie z planem zmierzasz tutaj.

Objął ją ręką za szyję. Drugą wciąż oplatał ją w pasie. Na moment przycisnął policzek do boku jej głowy, a potem niespodziewanie chwycił ją pod kolanami, wziął na ręce i wniósł do apartamentu, stopą zamykając za sobą drzwi.

Roześmiała się i złapała się jego szyi.

- Co robisz?

- Wsadzam cię do wanny - oznajmił i ruszył z nią do łazienki.

Apartament miał dwie sypialnie oddzielone od siebie solidną ścianą. Drzwi dodatkowo dzieliły przestrzeń i dawały poczucie prywatności. Bradford chciał tego nie tylko ze względu na siebie, ale i na odurzoną środkami nasennymi Hanne, śpiącą w sąsiednim pokoju ciągle w tej samej piżamie, którą miała na sobie, kiedy wyciągali ją z trzeciego piętra tamtego hotelu w Buenos. Był dorosłym mężczyzną i pilnował porwanej, nie-

przytomnej trzynastolatki, którą nie miał prawa się opiekować. To nie była dla niego komfortowa sytuacja.

Munroe, wciąż u niego na rękach, próbowała zajrzeć do dziewczynki.

- Obudziła się w ogóle? - spytała.

- Tak - potwierdził. - Puść wodę. Przyniosę ci czyste ubranie - powiedział i na moment umilkł. - Jeśli ci to nie przeszkadza, opowiem ci o wszystkim, kiedy będziesz już w wannie.

Rozdział 37

Munroe znowu się uśmiechała, od ucha do ucha, tak, że był w stanie tylko odpowiedzieć jej tym samym. Widok tego uśmiechu, nawet mimo jej pokaleczonej twarzy, wprowadził go w stan bliski euforii. Wreszcie miał ją przy sobie, bezpieczną, po tylu koszmarnych godzinach strachu i niepewności. Niesamowita ulga łagodziła gniew, który pojawił się krótko po tym, gdy się dowiedział, że ona żyje.

Chciał ją pocałować, objąć, a zaraz potem potrząsnąć nią i spytać, co ona sobie, do cholery, wyobraża - wyrzeshceć całą frustrację, aby dotarło do niej, jakie piekło przeżywał przez ten cały czas.

Ale tego nie zrobił. I nie zamierzał.

Tak jak kiedyś powiedziała, czasami sama miłość musi wystarczyć, a próby zamienienia jej w coś więcej sprawiają, że powoli się ją zabija. Potwornie nienawidził tego, z jaką łatwością Michael igrała z niebezpieczeństwem i nic sobie nie robiła z życia na granicy ryzyka, ale rozumiał, że tak musi być. Nie mógł jej chronić i nie zamierzał jej zmieniać. Jeżeli musiał zaakceptować ją taką, jaka była, aby utrzymać się blisko niej, chętnie godził się na tę cenę.

Postawił ją na podłodze w łazience i wyszedł. Zaczekał, aż napełni wannę i zanurzy się w niej. Dopiero wtedy delikatnie zastukał do drzwi. Przyniósł jej swoje jedyne ubranie na zmianę i położył je na brzegu umywalki. Miał tylko to. Reszta rzeczy została w Buenos Aires.

Według planu on i Munroe mieli razem udać się do miejsca, gdzie czekał na nich wynajęty samolot. Dopiero bezpiecznie odstawiwszy ją i Hannę na lot, zamierzał wrócić do hotelu i wyczyścić pokój.

Taki był plan.

Tymczasem konieczna okazała się improwizacja. Musiał dać

Loganowi kopa w tyłek, żeby zmusić go do działania, wyciągnąć Heidi z łóżka i posłać ją do domu, a potem w środku nocy poprosić zaufanego człowieka o jeszcze jedną przysługę. Zakładał, że hotelowy pokój został dokładnie sprzątnięty, jeszcze zanim on przypiął Hannę pasem do fotela gulfstreama, którym dotarli do Urugwaju.

Wszystko, co zostało zabrane z pokoju, znajdowało się teraz w Buenos Aires. Ubrania, sprzęt, materiały, pieniądze i dokumenty czekały tam na niego w bezpiecznym miejscu. Bradford wiedział, że będą musieli wrócić, i to dość szybko, przynajmniej po dokumenty i dane, których Munroe użyła jako karty przetargowej, aby powstrzymać Gideona.

Po pełnych napięcia dniach przed wydostaniem Hanny i koszarze, jaki przeżył, gdy Munroe trafiła w łapy zbirów, samo wywiezienie dziewczynki z Buenos Aires okazało się proste i nieciekawe. Dzięki skrupulatnym przygotowaniom akcja przebiegła bez najmniejszych błędów. Wycarterowany samolot czekał zatankowany. Bradford zabrał ze sobą paszport Hanny - który Charity musiała mieć, aby zabrać córkę z Urugwaju - ale ani on, ani Munroe nie planowali podróżować z dokumentami, dlatego wcześniej zaaranżował wszystko tak, by ominąć konieczność oficjalnego przekroczenia granicy.

W drodze na lotnisko dziewczynka się wybudziła i choć wystarczyła niecała minuta, aby ponownie ją uspić, było to potworne kilkadziesiąt sekund. Mała ocknęła się przerażona. Poszła spać w otoczeniu, które знаła, a obudziła się w samochodzie z obcym mężczyzną. Podanie jej kolejnej porcji środków usypiających było nie tylko koniecznością - bo musiał bezpiecznie przetransportować ją przez granicę - ale też aktem litości. Kiedy dotarli do Montevideo, Bradford podłączył Hannie kroplówkę, żeby się nie odwodniła i spokojnie spała.

Wkrótce jednak powinni ją wybudzić, i co potem?

Woda chlapnęła o zasuniętą nad wanną zasłonę prysznicową. W tym zwykłym dźwięku kryła się radość, podobnie jak w ciszy, która zapadła po nim. Spokojnie czekał, żeby przekazać Munroe informacje. Nie ignorowała go, wiedziała, że jest obok i że cierpliwe czekanie jest tylko pretekstem jego obecności w

łazience, bo nigdy by nie wyjawiał prawdziwego powodu. Pragnął być blisko niej, mieć ją przy sobie przez bardzo długi czas.

Choć to życzenie nie miało się spełnić, przynajmniej na razie nie mogła się stąd ruszyć i ta chwila musiała mu wystarczyć.

Oparł się o ścianę naprzeciwko wanny i skrzyżował ręce. Cieszył się po prostu, że tu jest. Dopiero po kilku minutach zaczął mówić.

- Wiem, że postąpiliśmy słusznie, zabierając Hannę od Wybranych, ale tyle czasu poświęciliśmy na opracowanie strategii samego wydostania jej, a prawie nie rozmawialiśmy o tym, co zrobimy z nią potem. Mała przeżyje traumę, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Zasnęła, mając przy sobie kogoś, kogo znała, a obudzi się wśród ludzi, których przez całe życie uważała za pomocników diabła. Nawet jeśli wybudzimy ją dosłownie w ostatniej chwili i od razu przekazemy mamie, wcale nie będzie jej łatwiej.

- Na jak długo się ocknęła? - spytała Munroe.

- Niedługo, może na minutę, ale trzeba było widzieć wyraz jej twarzy. Serce się ścisnęło.

- Domyślałam się, że tak będzie - przyznała. - Charity już dotarła do Montevideo?

- Przyjedzie jutro po południu. Za to Logan wciąż mnie męczył, żeby przekazać mu Hannę. Musiałem wyłączyć telefon.

- Mogę jedynie sobie wyobrazić, jakie to dla niego trudne.

Logan czekał na córkę osiem lat i teraz, gdy wreszcie ją mieli, nie mógł nawet potrzymać jej za rękę, nim zjawi się tu jej matka. Tak musiało być. Porwanie i przerzut dziecka przez granicę uważano za poważne przestępstwo. Ich sytuacja nie była do końca jasna, mimo że działali na prośbę i za zgodą prawnej opiekunki dziewczynki. Jeżeli nie chcieli ściągnąć sobie na głowę przedstawicieli prawa, musieli poczekać na Charity.

- Nic na to nie poradzimy - powiedziała Munroe. - Zresztą może tak jest lepiej, bo muszę porozmawiać z Hanną, zanim spotka się z pozostałymi. Nie wiem, czy pójdzie mi lepiej niż tobie, ale przynajmniej nie jestem dla niej zupełnie obcą osobą, a jest coś, co powinna usłyszeć.

Spuściła wodę z wanny, wstała i odkręciła prysznic. Za za-

słoną majaczył nikły zarys jej sylwetki i Bradford z nieskrywanym podziwem patrzył, jak Munroe pochyla długą szyję i podstawią kark pod strumienie wody. Wreszcie zakreśliła kurek.

- Wybudzimy Hannę jutro rano - powiedziała. - To da mi kilka godzin przed przyjazdem jej mamy.

Wystawiła rękę za zasłonę i wyczekująco poruszyła palcami.

Bradford uśmiechnął się i podał jej mały ręcznik do rąk. Wybuchnęła śmiechem i odrzuciła go z powrotem.

- Daj coś porządnego - poprosiła, a on podał jej ręcznik kąpielowy.

- Z Nowego Jorku dostałem dziś rano jeszcze jedną interesującą wiadomość - oznajmił. - Najnowsze wieści na temat śledztwa, które się tam toczy.

Wyszła spod prysznica zaróżowiona od ciepła i owinięta ręcznikiem.

- Naprawdę?

- Aha - potwierdził, ale nic więcej nie powiedział.

Plasnęła dłonią w jego biceps i na jej twarzy pojawił się uśmiešek.

- Nie zamierzam cię błagać o szczegóły, Miles, choćbyś nie wiem jak tego chciał.

- Zobaczymy - stwierdził, ale zabrzmiało to ciszej i mniej brawurowo, niż zamierzał.

Głos uwiązył mu w gardle. Stała przed nim taka ciepła i mokra i choć zdawał sobie sprawę, że nie powinien się gapić, to nie mógł oderwać od niej oczu. Myślał, że na zawsze ją stracił, i kiedy wróciła, poczuł się tak, jakby los mu ofiarował najwspanialszy prezent. Ta świadomość zatarła wcześniejsze granice. Zupełnie zapomniał o powściągliwości i kontroli, które wcześniej pozwalały mu zachować dystans.

Położył dłoń na jej karku, przyciągnął ją i pocałował.

Mogła znieruchomieć, odepchnąć go lub nawet zaatakować. Był gotowy ponieść konsekwencje, w zamian za tę krótką chwilę. Ona jednak wypuściła z rąk ręcznik, objęła dłońmi jego twarz i odwzajemniła pocałunek.

Przygarnął ją, pieszcząc spragnionymi wargami i palcami. Jej ręce, równie niecierpliwe jak jego, wsunęły się pod jego ko-

szulkę i pociągnęły ją w górę.

Zaczęli w łazience, a skończyli na sofie w salonie. Munroe nie wiedziała, która jest godzina, miała jedynie mgliste pojęcie, ile czasu upłynęło, i widziała, że na zewnątrz zapadł zmrok. Błada poświata zza okien i odrobina światła sącząca się spod drzwi łazienki rozpraszały ciemność w pokoju.

Bradford leżał płasko na plecach, a ona obok niego, na boku. Z głową na jego piersi, wsłuchiwała się w rytm jego oddechu.

Odpłynął w sen. Kusilo ją, by dołączyć do niego w sennej krainie i zostać przy nim trochę dłużej, ale musiała działać.

Wkrótce mieli przekazać Hannę rodzicom i dokończyć to, po co tu przyjechali, a jeszcze nie wszystko zostało dopięte na ostatni guzik. Okoliczności zmusiły ją do opuszczenia rancza w środku nocy, ale problem, który tam odkryła, nie znikł wraz z opuszczeniem Przystani. Wprawdzie nie musiała już oglądać Eliasza, lecz nie zapomniała ani o tym, co zrobił Hannie, ani o zawilej sieci relacji, w którą wszyscy byli zaplątani. Każda więź zazębiała się o inną i tak tworzyły niekończącą się pętlę zależności.

Munroe ostrożnie przesunęła się nad Bradfordem. Starła się go nie zbudzić, ale ucieszyła się, gdy otworzył oczy.

- Dokąd się wybierasz? - wyszeptał.

- Muszę pogadać z Heidi - wyjaśniła. - A potem powinnam odszukać Gideona i Logana. Najpierw jednak koniecznie muszę coś zjeść.

Bradford milczał. Rozumiała jego dylemat. Nie chciał puścić jej samej, ale jednocześnie nie mógł zostawić Hanny bez opieki - mimo że była nieprzytomna.

Wstała i poszła do łazienki po ubranie, z którego wcześniej nie zrobiła użytku. Wciągnęła spodnie. Były trochę za luźne, ale nie opadały do kolan. Koszulę wyciągnęła na wierzch.

Bradford nie ruszył się z sofy. Wzrokiem śledził każdy jej ruch do chwili, gdy się ubrała i włożyła buty. Dopiero wtedy wstał i podszedł do szafki, na której stał telewizor. Jego naga sylwetka pięknie się prezentowała w bladym świetle księżyca.

Wziął z blatu telefon komórkowy i rzucił go do niej.

- Wiem, że muszę tu zostać, ale byłbym o wiele spokojniejszy, gdybyś umówiła się z nimi w restauracji na dole - powiedział.

Skinęła głową.

- To się da załatwić — stwierdziła.

Tyle że wtedy mogliby się domyślić, że Hanna jest w hotelu, a wołała, żeby Logan nie wsiadł jej na głowę z tym swoim uporem.

- Pokój jest wynajęty na moje lub twoje nazwisko? - spytała. Pokręcił głową i podniósł do góry rękę.

- Żadnych dokumentów ani kart kredytowych. Załatwiłem wszystko dużo wcześniej, zanim się tu zjawiliśmy. Dostałem tylko cynk, gdzie znajdę kartę-klucz.

Munroe się uśmiechnęła. Lubiała Bradforda między innymi za to, że podobnie myśleli. Umiał planować i działać wielokierunkowo, przewidując kolejne ruchy z dużym wyprzedzeniem.

- Z tego telefonu połączę się z Loganem?

Bradford przytaknął.

- A gdzie znajdę Heidi?

- Zatrzymała się w Balmoral Plaza.

Munroe wołała przemilczeć kilka osobistych pytań, które przemknęły jej przez głowę.

Łatwo zdobyła numer do Balmoral Plaza i uzyskała informację, w którym pokoju zatrzymała się Heidi. Potem wykonała dwa telefony. Pierwszy właśnie do niej, a drugi do Logana. Umówiła się z nimi w restauracji na dole, tyle że Heidi podała inną godzinę. Musiała najpierw porozmawiać z nią bez świadków, omówić sprawy, do których wołałaby nie wracać. To było zło konieczne.

Analizowała scenariusze zdarzeń pod każdym kątem, wciąż na nowo. Przybyła do Argentyny, załatwiła to, co miała załatwić, i pozostałe niewyjaśnione kwestie powinny być dla niej nieistotne - to już nie jej bagaż. Nie umiała jednak tego tak zostawić. Przecież widziała to na własne oczy, miała świadomość tego, co się dzieje. Nie mogła tak po prostu nic nie zrobić. Gdyby tak postąpiła, stałaby się współwinna, tak samo jak wszyscy

członkowie Wybranych.

Widziała tylko jeden sposób na uwolnienie się od odpowiedzialności, o którą wcale się nie prosiła. Musiała powiedzieć o wszystkim Heidi. Zdawała sobie sprawę, że żadne dziecko - nawet dorosłe i takie, które od dawna nie utrzymywało kontaktów z rodziną - nie mogło spokojnie przyjąć wiadomości, że ojciec, którego tak kochało i z którym pragnęło odnowić więź, najprawdopodobniej molestuje dzieci.

Doświadczenia Heidi z dzieciństwa mogły poświadczyć prawdziwość słów Munroe, ale w takiej sytuacji człowiek mimowolnie zaprzeczał faktom. Dziewczyna nie mogła tak po prostu zaakceptować tego typu prawdy - nie chciałyby tego zrobić - i z czasem konflikt emocjonalny urósłby do niebezpiecznych rozmiarów. Właśnie dlatego powinna się o wszystkim dowiedzieć od Munroe i z jej pomocą przebrnąć przez pierwszą fazę niedowierzania, zamiast usłyszeć o wszystkim od Logana lub Charity, bo prawda w końcu i tak miała wyjść na jaw.

Co do tego Munroe nie miała żadnych wątpliwości. Bo nawet gdyby Hanna nie powiedziała rodzicom, co się z nią działo, Michael zrobiłaby to za nią. Tym razem nie chodziło o szarżowanie imienia Wybranych przez ich dorosłych wychowanków. Tutaj i teraz nie mogło być mowy o przedawnieniu sprawy ani ukryciu przestępcy. Gdyby za problem uznano granice jurysdykcji, Munroe mogła osobiście dostarczyć Eliasza do Stanów, pod sam sąd. I może, tylko może, tym razem system prawny zdołałby ochronić tych, których chronić powinien. Wtedy nie musiałyby brać spraw w swoje ręce.

Wyszła z pokoju i zjechała windą do restauracji. Usiadła przy wolnym stoliku i złożyła zamówienie. Jadła z apetytem. Jej organizm wciąż się domagał odpowiedniego paliwa. Właśnie kończyła, kiedy zjawiała się Heidi.

Od ich ostatniego spotkania w barze w San Telmo minęło niecałe czterdzieści osiem godzin, a Munroe wydawało się, jakby upłynęło całe życie. Swoim zwyczajem Heidi uściskała ją na przywitanie, a potem ze szczerą troską spytała o sińce i zadrapania.

- Ledwie cię poznałam - powiedziała. - W tym stroju, z takimi włosami i twarzą... No ale sama mnie uprzedzałaś, że tak będzie. - Nie czekając na odpowiedź, podała Munroe torbę z ubraniami na zmianę. - To najmniejsze rzeczy, jakie mam ze sobą.

- Na pewno będą dobre. Zależało mi, żeby miała coś do przebrania i nie musiała spotykać się z obcymi ludźmi w pizamie.

Heidi przytaknęła i rozejrzała się po restauracji.

- Gdzie są chłopcy?

- Zjawią się, gdy tylko będą mogli. - Munroe powiedziała prawdę, choć niecałą.

Poprosiła Heidi, żeby usiadła. Przez chwilę gawędziły o błahych sprawach, po czym Munroe w naturalny sposób sprowadziła rozmowę na temat wydarzeń minionego tygodnia, żeby przygotować dziewczynę na to, co miała jej do powiedzenia, i osłabić jej czujność. Opowiedziała, czego wymagało wywiezienie Hanny za granicę, wyjaśniła, jak udało się zlokalizować Przystanie i jakimi metodami przeniknęła do środka, gdy już miała pewność, w której z nich jest dziewczynka. Heidi wcześniej nic o tym nie wiedziała. Wpatrywała się w rozmówczynię okrągłymi oczami, z głową pełną pytań, w niemal namacalnym napięciu, które stało się jeszcze wyraźniejsze, gdy Munroe wspomniała o jej rodzeństwie.

- Podejrzewam, że Morningstar za jakiś czas odezwie się do nas - powiedziała Michael - zwłaszcza po tym, jak przejrzy walizkę, którą zostawiłam, i znajdzie dokumenty, w których istnienie nie wierzy. Ma tam także opłacony z góry telefon i mój numer. - Mina Heidi, radosna i pełna nadziei, była dokładnie taka, jakiej się spodziewała, tyle że teraz musiała przekazać jej wieści, które wolałaby pominąć. - Poza tym podejrzewam, że prędzej czy później dotrą do ciebie informacje na temat twojego taty... - Celowo w tym miejscu zrobiła pauzę, zanim podjęła temat: - Nie chcę, żeby były dla ciebie szokiem, kiedy to się stanie.

- Jakie informacje? - zdziwiła się Heidi.

Munroe przez chwilę zachowała znaczące milczenie i Heidi zaczęła się domyślać, o jakie niewypowiedziane zarzuty chodzi.

- Nie podam ci żadnych konkretów - powiedziała w końcu dziewczynie - bo ich nie znam. Chcę tylko, żebyś miała świadomość, że w końcu wyjdą na jaw, rozumiesz?

Heidi pokiwała głową, ale nic nie powiedziała. Pograżona w myślach nie odzywała się aż do przyjścia chłopaków. Obaj gwałtownie przystanęli, kiedy Munroe odwróciła się w ich stronę. Gideon zareagował bardziej powściągliwie niż Logan.

- No tak - powiedziała do nich - ale sami widzieliście, jak skończyli tamci.

Napięcie znikło. Usiedli. Aby dać Heidi jeszcze trochę czasu, Munroe powtórzyła Gideonowi i Loganowi większość z tego, co wcześniej powiedziała ich kolezance. Oni z kolei opowiedzieli swoją wersję wydarzeń. Munroe podziękowała im za to, że ruszyli jej na ratunek, a potem spojrzała na Logana.

- Charity już się z tobą kontaktowała?

Przytaknął.

- Wyjdę po nią na lotnisko i razem pojedziemy we wskazane przez was miejsce.

- Miles przekaże ci szczegóły... Posłuchaj, Logan, wiem, że czekanie jest dla ciebie koszmarnie trudne, ale kiedy zjawi się tu Charity, myślę, że będzie lepiej, jeśli najpierw sama spotka się z Hanną, zanim dołączą do niej inni, dobrze?

- Będę tylko ja i Charity.

- Właśnie ciebie mam na myśli, mówiąc o „innych” - przyznała Munroe, a widząc, że Logan zamierza zaprotestować, pokręciła głową. Taka rozmowa nie powinna się odbywać w obecności Gideona i Heidi - pewnych spraw Logan nie chciałby przy nich omawiać - i choć był sfrustrowany tym, że znowu musi czekać, wiedziała, że później zrozumie, a może nawet jej podziękuje.

Przeniosła wzrok na Gideona.

- Mam z tobą do pogadania - powiedziała.

- Bez świadków?

Wzruszyła ramionami.

- Twój wybór.

Wstał z miejsca. Zostawili Logana i Heidi i poszli do wyłożonego wykładziną holu przy windach.

- Umowa jest umową - powiedziała Munroe. - Dostaniesz wszystko, co ci obiecałam. Jest tylko jeden problem, dane na są w Buenos Aires. Kiedy tylko wsadzimy Charity i Hannę o samolotu, razem z Milesem wrócimy do Argentyny. Możesz za brać się z nami, jeśli chcesz, albo mogę dostarczyć ci wszystko do Stanów.

Gideon chwilę milczał, tak jakby naprawdę rozważał możliwości...

- Nie musisz mi odpowiadać w tej sekundzie - stwierdziła. - Chciałam tylko, żebyś wiedział, na czym stoimy.

Wyprostowała się i przysunęła nieco bliżej. Taktownie, robiła to dla podkreślenia swoich słów, a nie po to, żeby onieśmielić rozmówcę.

- Nie zamierzam cię zmuszać, żebyś wyjawiał mi, co zamierzasz - stwierdziła. - To nie było częścią naszej umowy, a e myślę, że mam prawo wiedzieć. Przekazując ci wszystkie informacje, staję się współniczką w tym, co planujesz... Co chcesz osiągnąć, Gideonie?

W zamyśleniu oparł się o ścianę.

- Szukam kogoś - oznajmił w końcu.

- Kogo?

- Kobiety.

Niejasna odpowiedź jej nie zaskoczyła, ale po tym, co Logan opowiedział jej na temat przeszłości Gideona, nie spodziewa a się, że może chodzić o kobietę.

- Kogo? - powtórzyła pytanie.

- Tak naprawdę to nie ma znaczenia. Mówienie o tym ni czego nie zmieni.

- Mylisz się. Wiem o wiele więcej, niż ci się wydaje, i uważam, że rozmowa o tym może zmienić wszystko.

Gideon długo milczał. Nie poganiała go. Stała obok, plecami oparta o ścianę, oddychając w tym samym rytmie co on. Gdy wreszcie się odezwał, jego głos brzmiał cicho i spokojnie.

- Jako nastolatek mieszkałem w Argentynie. To był dla mnie trudny okres. Dużo się wtedy wydarzyło. Czytałaś dokumenty, więc wiesz, że nikt z nas nie miał łatwo. Ale nawet tym, którzy przetrwali naprawdę ciężkie chwile, trudno jest uwierzyć w to,

co mnie spotkało.

Gideon ponownie umilkł. Być może rozważał, jak daleko powinien się posunąć w wyjaśnieniach. Munroe również się nie odzywała.

- Rzecz w tym - podjął w końcu - że wtedy była pewna kobieta, która o wszystkim wiedziała. Właśnie ona między innymi doprowadziła do... - przerwał myśl, tak jakby nie miał pewności, jakiego słowa użyć - ...ekskomuniki tych, którzy mnie krzywdzili. Wiesz, co dla Wybranych oznacza ekskomunika, prawda?

Munroe przytaknęła.

- No więc ona o wszystkim wiedziała. Po latach, kiedy wielu z nas postanowiło odejść, i zaczęto publicznie mówić o tym, jakim koszmarem było nasze życie, ja też zdecydowałem się trochę opowiedzieć o tym, co mnie spotkało. Trudno jest otwarcie rozmawiać o takich sprawach, sama rozumiesz. Mimo to część z nas się odważyła. Myśleliśmy, że dzięki temu coś się zmieni... że ktoś w tej sprawie coś zrobi, że zareagują przedstawiciele prawa... albo przynajmniej że ludzie dowiedzą się, kim oni naprawdę są, i przestaną dawać im pieniądze. To było straszne, wiesz? Brałem udział w publicznym przedstawieniu, ale naprawdę wierzyłem, że coś się zmieni na lepsze. Tymczasem ta sama kobieta, która była świadkiem tamtych wydarzeń i wiedziała, co mi zrobiono... - Gideonowi załamał się głos. Po chwili zakaszłał i odchrząknął. - W programie emitowanym przez telewizję publiczną oświadczyła całemu światu, że zmyślam, po czym opowiedziała serię kłamstw na mój temat, wymieniając rzeczy, których nigdy nie robiłem, lub podle przekręcając prawdziwe wydarzenia. A przecież ona знаła prawdę, nie miała żadnych wymówek, bo przy tym była. Patrząc prosto na dziennikarza, który prowadził wywiad, kłamała w żywe oczy!

Munroe przez jakiś czas milczała.

- Myślisz, że ona jest w Buenos Aires? - spytała w końcu głosem tak samo cichym jak jego.

- Ja to wiem. Nie mam pojęcia dlaczego, ale wiem, że tam jest.

- I co zrobisz, kiedy ją znajdziesz?

- Nie wiem - wyszeptał. - Chcę, żeby cierpiała, żeby patrzyła mi w oczy, kiedy będę zadawał jej ból. A potem niech mi jeszcze raz powie, że kłamię. Naprawdę życzę jej śmierci, ale nie wiem, czy potrafiłbym ją zabić.

Gideon z ukosa zerknął na Munroe. W jego oczach zobaczyła przerażenie. Zdał sobie sprawę, że powiedział za dużo.

Położyła mu dłoń na ramieniu i obróciła się tak, że stali teraz twarzą w twarz.

- Rozumiem twój ból i dobrze znam taką wściekłość - powiedziała. - Pamiętaj tylko, że niektórych rzeczy nie da się cofnąć i będziesz dźwigał ten ciężar aż do śmierci, bo nawet taka kobieta jest czyjąś córką, siostrą lub matką.

- Ona nie jest niczyją matką - sprostował Gideon.

Gdy to powiedział, Munroe przebiegł dreszcz. Bezdzienna kobieta wśród Wybranych była rzadkością. Jak wiele takie mogło przebywać teraz w Buenos Aires?

- Opisz mi ją - poprosiła.

Wzruszył ramionami.

- Jasne włosy, wystające górne zęby, brązowe oczy, mniej więcej sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Raczej nieatrakcyjna.

Munroe przez chwilę kręciła głową, czując, jak rozbawienie miesza się w niej z gniewem. Gideon opisał bezimienną towarzyszkę Hanny, kobietę, która jako opiekunka towarzyszyła dziewczynce w hotelu Carcanów. Kolejna zależność dołączyła do pętli pozostałych.

Rozdział 38

Wreszcie uporała się ze sprawami, które musiała załatwić tego wieczoru, i wróciła schodami na górę. Dziesięć pięter powolnej wspinaczki pozwoliło jej wyrzucić z głowy wszystko, co jeszcze w niej zostało po dwóch godzinach rozmów w restauracji. Z czworga ludzi, którzy zebrali się przy stoliku, tylko Munroe wyszła stamtąd z lżejszym sercem.

Tak jak się spodziewała, Bradford otworzył drzwi, jeszcze zanim do nich dotarła. Zadał sobie trud, by wciągnąć dzinsy, ale tors wciąż miał nagi. Gdy znalazła się na progu pokoju, złapał ją za rękę, zamknął w objęciach i pociągnął prosto na sofę.

Drzwi się zatrzasnęły.

Zaśmiała się głośno. Jego dłonie wędrowały już po jej skórze, a usta muskały jej wargi.

- Tęskniłem za tobą - powiedział.

Te trzy słowa, takie zwyczajne i proste, znaczyły o wiele więcej, niż oboje byli w stanie przyznać. W tej chwili wydawało im się, że mową nigdy nie zdołają oddać tego, co wyrażali dotychczas. Dłonie Bradforda błędziły po jej ciele, a jej ręce odwzajemniały mu się tym samym. Całowała go z taką intensywnością, z jaką on przyciągnął ją do siebie w progu.

Szybko pozbyła się ubrania i poczuła jego ciepłą skórę przy swojej. Raz jeszcze ich ciała się splątały i każdy moment trwał wieczność, dopóki wyczerpani nie zastygli w swoich objęciach.

Munroe oparła głowę na ramieniu Milesa, przywierając do niego ciałem. On opuszkami palców gładził to, co zostało z jej włosów. Długo milczeli.

- Tamten facet nazywał się Patrick - odezwał się w końcu Bradford.

Zmieniła pozycję. Oparła brodę o dłoń, którą trzymała na jego piersi, i spojrzała mu w twarz.

- Ten, którego wrzuciłam do śmietnika?

Przytaknął.

- Devin Patrick. Miał odznakę, ale nie był z policji.

- To kim był?

- Udawał glinę. Odznakę traktował jak broń, i to od dobrych kilku lat. Im głębiej kopią, tym więcej się dowiadują i tym mniej im się to podoba... więc w pewnym sensie wyświadczyłaś im przysługę.

- Zatuszują sprawę?

- Może aż do tego się nie posuną. Raczej upchną ją gdzieś na górną półkę. Podejrzewam, że jeśli ktoś nie podsunie im konkretnych dowodów, nie będą szukać winnych.

- To dobra wiadomość - przyznała. — Nie mam na myśli tego, że nie zamierzają szukać winnych, tylko że to, co zrobiłam, być może ma jakieś uzasadnienie.

- Od początku wiedziałas, że tak - stwierdził Bradford - ale na pewno dobrze jest mieć taką pewność.

Munroe dała się otulić ciszy. Miles się nie mylił, dobrze było mieć pewność. Nawet lepiej niż dobrze.

- Zamierzasz spać?

- Nie - wyszeptała - nie dziś.

I wcale nie chodziło o to, że boi się zasnąć, by nie trafić znowu w świat koszmarów. Była niemal pewna, że już nie wróci, jednak wolała jeszcze tej nocy nie kusić losu. Zwłaszcza że w pokoju obok spała Hanna i że tak niewiele dzieliło ich od końca zadania.

Koszmary znikły i została tylko wspaniała nieważkość. Zastanawiała się, czy powodem tej zmiany była praca i spora liczba trupów, która pomogła jej rozładować napięcie, ale wiedziała, że to nie jest prawdziwa przyczyna. Zawsze bardzo pragnęła zaznać od najbliższych sobie osób tylko jednego, i po raz pierwszy w życiu dopuściła do siebie uczucie, na które wcześniej sobie nie pozwalała. Wreszcie czuła się akceptowana.

Miała dar. Nie walcząc z nim ani nie gardząc własną naturą, pozwoliła, by jej służył. Wnikliwe spostrzeżenia Bradforda - jego słowa - wiele dla niej znaczyły. Wprawdzie nigdy nie zaliczała się do osób, które potrzebują aprobaty i uznania innych, ale w tej jednej słabości, gdy czuła się tak rozpaczliwie

samotna, inny łowca odsłonił przed nią swoją prawdziwą twarz.

Zabijanie nie zawsze jest złe.

Wiedziała, że potem będzie miała czas się wyspać. Na razie jej dar pozwolił uratować dziecko i cało wyjść z opresji. Liczyła, że wszystkie elementy trafią na miejsce zgodnie z planem i już jutro ostatnie luźne nitki zostaną trwale ze sobą splecione.

Oddech Milesa przybrał rytm, który stał się dla niej symbolem spokoju. Zsunęła się z sofy i lekko ucisnęła jego dłoń na znak, że wszystko jest w porządku.

Wciągnęła koszulę przez głowę, znalazła koc i przykryła nim Bradforda, a potem przeniosła się do drugiego pokoju. Tam usiadła na brzegu łóżka i patrząc na śpiącą Hannę, po kolei odsuwała od siebie wszystkie myśli. Wskazówki zegara obiegały tarczę i w końcu zaczęło świtać.

O szóstej wstała, odłączyła kroplówkę, zebrała wszystkie niepotrzebne rzeczy i wyniosła je do salonu. Kiedy sięgnęła po słuchawkę, żeby zadzwonić po obsługę hotelową, Bradford uniósł powieki. Podejrzewała, że nie spał od momentu, gdy zaczęła się krzątać. Kilka minut później dołączył do niej przy łóżku Hanny.

- Może idź się umyć - zaproponował. - Masz jeszcze czas, zanim zaczniesz się na serio wybudzać. Popilnuję jej.

Munroe skinęła głową i ruszyła pod prysznic. Wróciła po długich dziesięciu minutach.

- Już niedługo - poinformował ją Bradford i w tym samym momencie rozległo się stanowcze pukanie. Oboje obejrzel się na drzwi.

Powieki Hanny zadrżały.

- Zajmę się tym - powiedziała Munroe. - Sam lepiej włącz pod prysznic, zanim ona się na dobre ocknie, bo ty i cały sprzęt macie stąd zniknąć do przyjazdu jej mamy.

Bradford przytaknął i wyszedł z pokoju. Munroe ruszyła do drzwi, odebrała tacę i wróciła do dziewczynki. Zostało jeszcze tylko kilka godzin do chwili ostatecznego przekazania spraw w ręce Logana, Charity, Heidi, Gideona i wszystkich dzieci Wybranych.

Drzwi łazienki otworzyły się i zamknęły, a zaraz potem usły-

szala odgłos zamykanych drzwi na korytarz. Bradford wyszedł. Jak na zawołanie Hanna otworzyła oczy. Jej powieki zadrgały, uniosły się, opadły i znowu uniosły, aż w końcu półprzytomnie się rozejrzała.

W pokoju wciąż panował półmrok. Munroe z doświadczenia wiedziała, że ostrość widzenia wraca powoli. Hanna miała jeszcze wielokrotnie przysypiać i się budzić, nim w pełni odzyska świadomość. Munroe ujęła dłoń dziewczynki i lekko ją ścisnęła.

Domyślała się, że Hanna będzie miała mnóstwo pytań, ale potrzeby fizyczne domagały się pierwszeństwa. Munroe właśnie na to liczyła.

- Jak się czujesz? - spytała.

Hanna odwróciła się na dźwięk jej głosu.

- Muszę skorzystać z łazienki - odparła. - Koniecznie.

- Pomogę ci. Pójdziemy powoli, dobrze? Jesteś słaba i kręci ci się w głowie, jeśli nie będziesz uważała, możesz się przewrócić.

Hanna kiwnęła głową i niepewnie oblizwała spierzchnięte wargi, tak jakby chciała się pozbyć wrażenia suchości, które często pojawia się u osób przez dłuższy czas poddawanych działaniu leków nasennych. Z wysiłkiem usiadła. Munroe objęła ręką jej plecy i pomogła wstać. Mocno ją trzymała, żeby dziewczynka nie straciła równowagi. W łazience nie włączyła lamp, tylko zostawiła otwarte drzwi, żeby wpadało do niej światło z holu. Chciała oszczędzić Hannie rażącego blasku, a poza tym wolała zbyt wcześnie nie pokazywać swojej twarzy, żeby nie przerazić małej.

Misja się powiodła i powrót był już mniej chybotliwy. Hanna się położyła i z zamkniętymi oczami spytała:

- Gdzie ja jestem?

- W Montevideo - odparła Munroe. - Jesteś głodna?

- Bardzo - wyszeptała dziewczynka.

Munroe przyniosła tacę do łóżka i postawiła ją tak, aby obie z Hanną mogły łatwo jej dosięgnąć.

Hanna spojrzała na nią.

- Kim pani jest? - spytała.

Niepokój szybko znikł z jej głosu, gdy tylko zobaczyła roz-

maite ciastka na talerzu.

- Mam na imię Miki - powiedziała Munroe. - Pracowałyśmy razem w kuchni, pamiętasz?

Nie było sensu mówić, ile czasu minęło od tamtego dnia. Powolny powrót przytomności u osoby, która była sztucznie uśpiona, w niczym nie przypominał zwykłego przebudzenia. Hanna nie miała świadomości upływu godzin, w jej pojęciu po prostu był ranek następnego dnia.

Skinieniem głowy przyjęła wyjaśnienie. Gdy mętność myśli nieco ustąpiła, na buzię dziewczynki wkradł się wyraz lęku. Na szczęście nie wpadła w panikę. Taki był plus porwania dziecka, które przez całe życie przenoszono z miejsca na miejsce i przekazywano z rąk do rąk.

- Inaczej pani wygląda - stwierdziła Hanna. - Co się stało z pani twarzą?

- Wdałam się w okropną bójkę - odparła Munroe ze znaczącym uśmiechem. - Tamten gość miał trzy metry wzrostu i musiałam wejść na krzesło, żeby dosięgnąć mu do brody, ale i tak go pokonałam.

Hanna się uśmiechnęła.

- Chyba raczej na drabinę - powiedziała, przeżuważając.

W krótkich przerwach między kęsami zadawała pytania: Gdzie jesteśmy? Dlaczego tu jesteśmy? Gdzie jest Sunshine?

Sunshine? A więc tak nazywała się kobieta, na którą polował Gideon.

- Nie przyjechała z nami - wyjaśniła Munroe, wybierając łagodniejszą wersję niż „ona nie miała prawa cię więzić”.

Hanna ugryzła kolejny kęs i jeszcze jeden. Ze wzrokiem utkwionym w pościeli intensywnie myślała.

- Dlaczego tu jestem? - spytała w końcu. - Nie powinnam tu być, nie dostałam pozwolenia. Gdzie są Elias i Morningstar? Gdzie jest moja mama?

- Jesteś tu, ponieważ chce cię zobaczyć kilka osób, które bardzo cię kochają.

Hanna ponownie umilkła. Pochłaniała takie ilości jedzenia, jakich normalnie dziecko jej rozmiarów nie byłoby w stanie zjeść, no ale w Przystani raczej nie podawano takich smakoły-

ków. Między innymi właśnie dlatego Munroe je zamówiła. Najłatwiejszy rodzaj przekupstwa.

- Czy przez panią zostałam odesłana z Przystani? Zabrała mnie pani od Sunshine?

- Tak - potwierdziła Munroe. - Zgadza się.

Jej głos brzmiał miękko. Łagodnie. Wiedziała, co spowoduje jej wyznanie, i nie było jej z tym łatwo, ale nie mogła inaczej postąpić.

Twarz Hanny poczerwieniała. Do jej oczu napłynęły łzy.

- Dlaczego? Dlaczego pani to zrobiła? Muszę wracać.

- Opowiedz mi o swoim tacie - poprosiła Munroe.

Łzy ustąpiły miejsca oburzeniu. Głos Hanny zabrzmiał o ton wyżej.

- Jeżeli chce pani wiedzieć, gdzie on jest, nigdy się pani tego ode mnie nie dowie. Nie wiem, gdzie on mieszka, ale nawet gdybym wiedziała, nic bym nie powiedziała. Nigdy. To by było... - Urwała, tak jakby nie mogła znaleźć właściwego słowa. - To by była nielojalność wobec Boga i Proroka.

- Rozumiem - odparła Munroe. - W takim razie opowiedz mi o mamie.

- O której?

- O tej prawdziwej.

Dziewczynka umilkła. Już nie była śmiała, tak jak podczas rozmowy przy krojeniu warzyw na ranczu, ani zagniewana jak przed sekundą.

- Moja mama mnie nie chciała - oznajmiła.

- Pamiętasz ją?

Hanna zaczęła płakać. Wielkie łzy kreśliły szlak od jej oczu po brodę i skapywały na szyję. Pomimo brawury, jaką demonstrowała wtedy w kuchni, była tylko małą, opuszczoną dziewczynką, która bardzo chciała, żeby komuś na niej zależało. Pragnęła coś dla kogoś znaczyć. Munroe objęła ją i przytuliła. Trzymała ją mocno, dopóki łzy nie przestały płynąć, a potem wyszeptwała:

- A jeśli ci powiem, że twoja mama cię chciała? Że jesteś dla niej bardzo ważna?

Hanna wyprostowała się i odepchnęła Munroe. Stanowczym gestem wytarła policzki.

- To i tak nie ma znaczenia, bo ona jest z Pustkowie - oznajmiła.

- A Pustkowie to takie straszne miejsce?

- Bóg nie może nas chronić na Pustkowie, a co gorsza, kiedy jesteśmy poza domem Wybranych, może nami zawładnąć diabeł.

- I tak się stało z twoją mamą?

Hanna spuściła wzrok i pokiwała głową.

Nie miało sensu zapewnianie, że nie musi się bać, ani zaprzeczanie temu, w co wierzyła. To by mogło wywołać dysonans myślowy i zostać z miejsca odrzucone. Hanna z czasem sama miała się przekonać, które lęki są uzasadnione, a które nie. Tylko tak mogło się to odbyć. Teraz potrzebowała jedynie, by ktoś jej wysłuchał i zrozumiał to, co w tej chwili czuła - i musiało to nastąpić, zanim zobaczy matkę.

- Strasznie jest myśleć, że to mogłoby spotkać ciebie, mam rację? - spytała Munroe.

Hanna przytaknęła.

- Ale nawet jeśli ona jest z Pustkowie, to chyba i tak przyjemnie jest wiedzieć, że cię chciała, prawda?

- Rzeczywiście, ale to niczego nie zmienia - przyznała dziewczynka.

- Twojemu ojcu również na tobie zależało - powiedziała Munroe.

Hanna pociągnęła nosem, a potem wytarła go rękawem.

- Wiem. Ale służba Bogu jest najważniejsza.

- Mam na myśli twojego prawdziwego ojca.

- On jest moim prawdziwym ojcem... - Hanna umilkła i spojrzała na Munroe, tak jakby nie miała absolutnej pewności.

- Prawda?

Powiedziała to głosem porzuconego dziecka, które odsuwa od siebie wszystko, w co dotąd wierzyło, nawet ścieżkę własnego zbawienia, w nadziei, że może ma rodziców, którzy naprawdę go pragną. Munroe zdawała sobie sprawę, że znalazły się na niebezpiecznym gruncie, po którym trzeba stąpać ostrożnie.

- Nie znam wszystkich odpowiedzi - powiedziała - ale znam twoją mamę i twojego tatę - twojego prawdziwego tatę. Prawdę

mówiąc, twój prawdziwy tato jest moim najlepszym przyjacielem.

- I oni przysłali panią po mnie?

- Tak. Bardzo długo cię szukali.

Hanna znowu zaczęła cicho płakać. Łzy powoli skapywały na pościel. Munroe rozumiała jej udrękę. Świadomość, że ktoś jej pragnął, przynosiła ulgę, ale silniejszy był strach przed Pustkowiec i tym, że tutaj nie mogła liczyć na ochronę Wybranych. Munroe położyła rękę na dłoni Hanny i dziewczynka podniosła czerwone, zapuchnięte oczy.

- Nie wiem, jak dotychczas żyłaś, Hanno. Nie znam wszystkich miejsc, w których byłaś, ani ludzi, którzy cię otaczali. Nie wiem, z kim mieszkałaś. Mogę ci za to opowiedzieć o tym, co było wcześniej, a czego ty prawdopodobnie nie pamiętasz. Wiem, że Magdalena jest twoją ciocią, siostrą twojej mamy. Wiem także, że David był chłopakiem twojej mamy i że porwał cię od rodziców.

W oczach dziewczynki błysnęło niedowierzanie i ponownie wlepiała wzrok w pościel.

- Mój tato i ja jesteśmy do siebie podobni, nosimy to samo nazwisko. Magdalena może jest moją ciocią, ale ona jest Amerykanką, a ja Wenezuelką, tak jak mój tato.

- Ja mam paszporty z trzech różnych krajów - powiedziała Munroe - ale nie z tego, w którym się urodziłam i dorastałam, kim więc jestem?

Hanna milczała, nie odrywając wzroku od łóżka.

- Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego tak często przenosisz się z miejsca na miejsca? - spytała Munroe.

- Wszyscy to robimy.

- Ale ty znacznie częściej, prawda? Wiesz, że David jest poszukiwany przez policję. Kiedyś miał amerykański paszport, ale nie mógł go przedłużyć, bo by go aresztowano. Wiesz, że ty też miałaś amerykański paszport?

Hanna spojrzała na nią nieufnie.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Nie mam przy sobie dowodów, ale łatwo je zdobędę, jeżeli zechcesz je zobaczyć.

Dziewczynka milczała zaszępiła.

- Opowiem ci pewną historię — zaczęła Munroe. - Potem, jeśli będziesz miała jakieś pytania, odpowiem na wszystkie. Gdy skończymy, może zechcesz się umyć i ubrać - mam dla ciebie czyste rzeczy - bo za... - wyciągnęła szyję i zerknęła na zegar - ...mniej więcej godzinę przez te drzwi wejdzie twoja mama - ta prawdziwa, która nigdy nie chciała cię oddać. Przez osiem lat cię szukała i zachowała całą swoją miłość tylko dla ciebie.

W oczach Hanny znowu zakręciły się łzy, ale zdołała je powstrzymać. Zrobiła dzielną minę i skrzyżowała ręce.

- A ten, który niby jest moim tatą?

- Zjawi się tu zaraz po niej.

- I co potem?

- A co byś chciała, żeby się potem wydarzyło?

Hanna spojrzała na okno.

- Powinnam wracać do Przystani - odparła.

Powinnam.

- Tylko czy naprawdę tego chcesz?

Munroe zadała pytanie, na które Hanna nie mogła odpowiedzieć, nie zdradzając przy tym Proroka i Wybranych.

Stworzyła dziewczynce możliwość spotkania rodziców, którzy ją kochali i dla których była ważna, a tym samym dała jej największe jabłko, jakiego ta mała Ewa mogła pragnąć. Tylko że ono znajdowało się na Pustkowiu, było zakazanym owocem, wielką niewiadomą - samym złem. Dla dziecka wychowanego przez Wybranych powrót do znanego zła był lepszy niż sprostanie nowemu. Hanna nie wiedziała, co to jest wolny wybór, nie pojmowała, że wolno pragnąć tego, co podpowiada jej serce, dlatego Munroe kuła żelazo póki gorące.

Opowiedziała o Davidzie i o tym, jak wykradł dziewczynkę Charity i Loganowi. Opowiedziała o tym, co się później działo, i opisała wygląd i charakter Charity z najdrobniejszymi szczegółami. Potem przeszła do zabawnych historyjek o Loganie - błżeństwach, jakie mogły się podobać dziecku. Mówiła tak długo, aż na buzi Hanny pojawił się prawdziwy uśmiech. Od czasu do czasu dziewczynka nawet śmiała się głośno. Munroe wreszcie

uznała, że zdołała przełamać opór i znaleźć wątpliwy porozumienia. Gdy Hanna przestała się lękać granicy, którą wkrótce miały razem przekroczyć, Munroe wzięła rzeczy od Heidi i zaprowadziła dziewczynkę do łazienki.

Później wróciły na łóżko i zaczęły wybierać najlepsze kąski z drugiej zamówionej przez Munroe porcji smakołyków. Kiedy zadzwonił telefon, oczy Hanny zrobiły się okrągłe, a czoło zmarszczyła niepewność. W jednej chwili powrócił strach. Munroe wyciągnęła się w poprzek łóżka w stronę nocnej szafki i podniosła słuchawkę. Usłyszała głos Bradforda.

- Tak, już można - odpowiedziała mu i odwróciła się do Hanny. - Za minutę otworzą się drzwi i wejdzie twoja mama. Wtedy ja wyjdę do drugiego pokoju, żebyście mogli побыć chwilę same, dobrze? Będę tuż obok i w każdej chwili możesz mnie zawołać, rozumiesz?

Hanna kiwnęła głową. Jej mina wyraźnie zdradzała lęk. Munroe odruchowo zmierzwiła czuprynę dziewczynki. Hanna odchyliła się, żeby uciec od jej ręki, i palcami przyglądała włosy.

Munroe się roześmiała.

- Zupełnie jak twój tato - powiedziała.

Rozdział 39

Salnę przy wyjściu wypełniali pasażerowie czekający na bezpośredni lot do Nowego Jorku. Niedbale ubrana młodzież z podniszczonymi plecakami mieszała się w tłumie z bogaczami i z turystami podróżującymi klasą ekonomiczną. Wszyscy cisnęli się w pomieszczeniu, które, choć sprawiało wrażenie przestronnego, w rzeczywistości było niewiele większe od wagonu bydłęcego.

Munroe i Bradford stali przy bramce i patrzyli, jak Logan, Charity i Hanna kierują się do rękawa. Status uwolnionej małej ofiary porwania nie miał wielu plusów, ale przynajmniej umożliwiał wejście na pokład samolotu w pierwszej kolejności.

Jeszcze chwila i znikli z oczu.

Zadanie zostało wykonane.

Napięcie ustąpiło, zostawiając po sobie pustkę, tak jakby stadion pełen rozkrzyczanych widzów nagle umilkł.

Michael oparła głowę o ramię Bradforda. Przez chwilę nie ruszali się z miejsca, patrząc przed siebie, aż w końcu Munroe odwróciła się do Heidi i Gideona, którzy stali dwa metry dalej. Objęła ją serdecznie, a jemu uściśnęła dłoń.

- No to my się zbieramy - powiedziała.

Po stosownych pożegnaniach spojrzała jeszcze raz na Gideona.

- Ostatnia szansa, żeby się z nami zabrać.

Pokręcił głową.

- Dobrze jest, jak jest - odparł.

Munroe ujęła Bradforda pod rękę i razem ruszyli do wyjścia.

- Hej, Michael! - zawołał za nią Gideon.

Odwróciła się.

- Dziękuję ci — powiedział. - Nie tylko za Hanne, ale... no wiesz, za wszystko.

Kiwnęła głową.

- Umowa jest umową - stwierdziła. - Wiesz, gdzie mnie szukać, jeśli zmienisz zdanie.

Gideon palcem wskazującym dotknął czoła i potem wycełował w nią.

Nie mogła wykluczyć, że zechce ją odszukać, ale miała nadzieję, że powrót Hanny do domu i zmiany, jakie miały dzięki temu nastąpić, pozwolą mu odzyskać spokój.

Porwanie dziecka i wywiezienie go z kraju było poważnym przestępstwem, poza tym nie brakowało dowodów na to, że Sunshine - czy jakkolwiek nazywała się tamta kobieta - brała bezpośredni udział w ukrywaniu Hanny. Po raz pierwszy od niemal dziesięciu lat w Gideonie obudziła się nadzieja. Istniała szansa na to, że gdy Charity i Logan wreszcie poczują się gotowi, by stawić czoło sprawie, wszyscy wreszcie poznają smak sprawiedliwości.

Spotkaniu Hanny z rodzicami towarzyszyły łyzy i trudne emocje - najpierw z Charity, a potem, w niemal identycznej powtórcie, z Loganem, który dołączył do nich dwadzieścia minut później. No ale już mieli to za sobą i jeśli ktoś miał szansę pomóc dziewczynce w sprostaniu problemom, jakie ją czekały, to właśnie jej rodzice. Munroe wiedziała, że trudniej byłoby znaleźć lepszych kandydatów do tego zadania. Charity i Logan znali Wybranych na wylot. Ich własne doświadczenia pozwalały im zrozumieć sposób myślenia takiego dziecka i etapy, jakie musiało ono przejść, aby odrzucić wpajane mu od najwcześniejszych lat przekonania. Oni najlepiej wiedzieli, jak z tym walczyć.

Wymagało to czasu, ale Hanna miała w końcu dojść do siebie.

Zza wizjera kasku świat stawał się bardziej stonowany i wyrazisty. Adrenalina potęgowała jasność spojrzenia. Błyski białych pasów pulsowały pod kołami tak szybko, że niemal zlewały się w linię ciągłą. Strzałka prędkościomierza wspinała się coraz bardziej. Pora była tak wczesna, że słońce nie pokazało się jeszcze nad horyzontem. Munroe pędziła ku

niemu pustą drogą, jechała motocyklem, ale niemal nie czuła, że go prowadzi. Upajała ją wolność. Była tylko niezwykła moc i wrażenie, że frunie nad ziemią.

Otworzyła oczy. Bradford siedział obok, oparty na łokciu, i zaciekawiony przyglądał się jej z uśmiechem.

- Śniłaś o czymś - powiedział.

W odpowiedzi również się uśmiechnęła, trochę zaspana, ale pokrzepiona głębokim i kojącym snem.

- Tak - wyszeptła i posłała mu jeszcze jeden uśmiech. - Śniłam.

Podziękowania

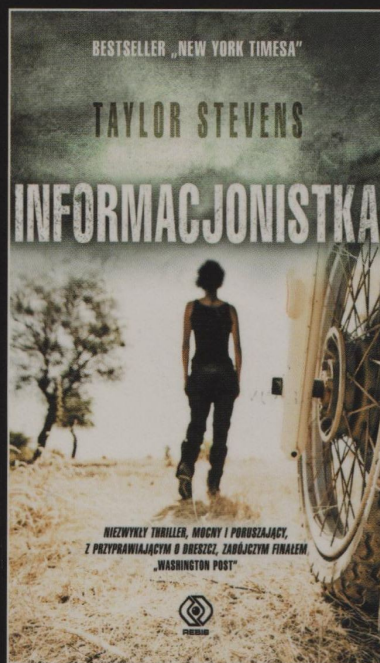
Mojej agentce, Anne Hawkins, mojemu redaktorowi, Johnowi Glusmanowi, wydawcy, Sarah Breivogel, i wszystkim w Crown Publishers, którzy swoim wysiłkiem pomogli przyspieszyć pracę nad tym projektem: Dziękuję. Jestem ogromnie wdzięczna personelowi Palladium w Montevideo za pozwolenie obejrzenia ich hotelu, a także osobom z The Palace, które umożliwiły mi zebranie informacji w Nowym Jorku i poświęciły czas na oprowadzenie mnie po trzypoziomowych apartamentach.

Polecamy również:



© Alyssa Skyes

Taylor Stevens urodziła się i wychowywała w sekcie religijnej Dzieci Boga, zerwała z nią i wybrała własną drogę. Po wielu podróżach ostatecznie osiadła w Dallas, gdzie mieszka z dwiema córkami. REBIS opublikował jej debiut literacki – *Informacjonistkę*. Prawa do jej wydania sprzedano do kilkunastu krajów, a słynny reżyser James Cameron planuje przenieść ją na ekran.



„Absolutnie zniwielający debiut, z zapadającą w pamięć bohaterką, która mogłaby stanąć w szranki z Lisbeth Salander, postacią stworzoną przez Stiega Larssona – i wywalczyć sobie zwycięstwo. Jeden z najlepszych thrillerów napisanych w ostatnim roku!”

Tess Gerritsen

Vanessa „Michael” Munroe – tajemnicza i nieustraszona bohaterka bestsellera *Informacjonistka* – przyjmuje nowe wyzwanie.

NIEWINNA

Przed ośmioma laty małą Hannę uprowadzono ze szkoły prosto do zamkniętego świata Wybranych. Od tamtej pory sprzymierzeńcy ich przywódcy – Proroka – ukrywają dziewczynkę i chronią jej porywacza. Grupa młodych ludzi, którym udało się wyrwać z sekty, dowiaduje się, gdzie jest Hanna, i zwraca do Vanessy Munroe o pomoc. Munroe podejmuje się zadania. Wyrusza do Buenos Aires, aby przeniknąć do sekty i wydostać stamtąd dziewczynkę. Wprowadzona w świat, jakiego wcześniej nie знаła, musi znaleźć sposób na nieprzewidywalnych Wybranych i ich niebezpiecznych popleczników, zmagając się jednocześnie z własną naturą, która coraz gwałtowniej daje o sobie znać. Nie może dopuścić do tego, by szansa na uratowanie Hanny przepadła na zawsze.

Po raz kolejny Taylor Stevens po mistrzowsku tka akcję błyskotliwego, pełnego napięcia thrillera, który czyta się jednym tchem.



REBIS

www.rebis.com.pl



Cena det. 34,90 zł